

Johnson Myra

Kwiaty Edenu 02

Pałac w chmurach



Wszystkim nauczycielom z mojej rodziny - szczególnie Jackowi, Benowi, Judy, Jimowi, Joelowi i Helen. Oraz pamięci tych wyjątkowych nauczycieli z mojej młodości, którzy rozbudzali kreatywność i zaszczepili we mnie miłość do książek. Nie da się nawet wyrazić, na jak wiele sposobów wpłynęliście na życie Waszych uczniów.

Podziękowania

Kiedy w 2013 roku pastor naszej wspólnoty ogłosił możliwość wyjazdu na safari do Kenii, od razu z mężem skorzystaliśmy z tej szansy. W tamtym czasie nasza córka Julena i jej mąż pracowali jako misjonarze w Etiopii (jeśli sprawdzicie na mapie, zobaczycie, że Kenia graniczy z Etiopią), więc nie było lepszej okazji, żeby ich odwiedzić i zobaczyć, jak im się tam wiedzie, a bardzo o tym marzyliśmy! Nie wspominając już, że Julena wiele nam opowiadała o Kenii po powrocie ze swojej wyprawy misyjnej z college'u w połowie lat 90.

Osobiście doświadczyć życia w Etiopii i Kenii? To naprawdę była wyprawa naszego życia i wróciliśmy z niej z licznymi wspomnieniami i blisko tysiącem zdjęć. Wiedziałam też, że kiedyś będę musiała wpleść te wrażenia do którejś ze swoich powieści. Gdy w głowie zaczynała mi się jawić postać Larkspur Linwood, pomyślałam, że ją mogłabym wysłać do Afryki.

Dziękuję naszym przyjaciołom, Johnowi i Dianie Lasater, którzy zorganizowali tę wyprawę, za to, że zadbaliście, by wszystko poszło dobrze - nawet w tych nieprzewidywalnych splotach wydarzeń! Kto mógł się spodziewać, że międzynarodowy terminal w Nairobi zostanie dotknięty pożarem dokładnie tego dnia, którego mieliśmy tam lądować!

Johnie, Twoja pełna spokoju obecność niesamowicie nam pomogła, podobnie jak dodające otuchy e-maile Diany ze Stanów. Diano, to dla mnie zaszczyt, że mogę z Tobą śpiewać ramię w ramię w sopranach naszego kościelnego chóru. Dziękuję Ci za twój entuzjazm, z jakim wspierasz mnie w moim pisarstwie!

Wciąż zadziwia mnie, jak „mały” staje się nasz świat w epoce samolotów i Internetu. Dziękuję Bogu, że dał mi i mojemu mężowi dobre zdrowie i pieniądze, żebyśmy mogli cieszyć się takimi podróżami (choć nie określiłabym tego słowem „cieszyć się”, gdy musieliśmy spędzić od dziesięciu do piętnastu godzin w ciasnych fotelach w samolocie). Jestem naprawdę wdzięczna za ten wspaniały, różnorodny i piękny świat, który Bóg nam powierzył, i modłę się, byśmy nigdy nie przestali doceniać tych darów.

Muszę również wyrazić moją radość, że po raz kolejny mogłam pracować ze wspaniałym zespołem redakcyjnym w wydawnictwie Franciscan Media, szczególnie z wyjątkową redaktorką, Ericką McIntyre. Twoje bystre oko, subtelne wskazówki i pełny profesjonalizm sprawiły, że praca nad tymi powieściami była przyjemnością.

Dziękuję również mojej agentce, Natashy Kern. To dla mnie wyróżnienie, że mogę zaliczać się do Twoich klientek, a tym bardziej, że mogę nazywać Cię swoją przyjaciółką. Dziękuję, że jesteś pełną zapału orędowniczką moich książek i że interesujesz się osobiście każdym ze swoich klientów.

Jak zwykle nie mogłabym nie wspomnieć o moich ukochanych „siostrach z Seekerville” (www.seekerville.net). Dziękuję Wam za codzienny śmiech, modlitwy i zachęty, ale przede wszystkim za trwałą przyjaźń. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak moja droga wyglądałaby bez Was!

I na końcu, ale z pewnością nie pod względem ważności, dziękuję mojej cudownej rodzinie. Jackowi, mojemu naj-

droższemu mężowi - jesteś trwałym oparciem, które nigdy się nie chwieje, nawet jeśli zmierzę Cię „tym wzrokiem”, gdy przeszkodziś mi w pisaniu jakimś pytaniem o listę zakupów albo o bieżące sprawy w domu. Córkom, Johannie i Julenie, które są teraz zajęte mamami i z zaangażowaniem służą Bogu - zawsze umiecie znaleźć czas, żeby nieść radość swojej matce, i nie potrafię nawet wyrazić, jak wiele to dla mnie znaczy! Ściskam Was, Waszych mężów i siódmkę moich ukochanych wnucząt.

Nie mogłabym pominąć Shadow i Poppy, naszych wspa-
niałych psów ratowniczych, które są moimi codziennymi
kompanami w pracy. Dajecie mi wiele radości, grzejecie mi
stopy w chłodne dni i niezawodnie przypominacie, kiedy
nadchodzi czas, by już kończyć.

Rodzina, przyjaciele, znajomi i praca to moje prawdziwe
błogosławieństwo!

*Zawsze się radujcie, nieustannie się módlcie! W każdym
położeniu dziękujcie, taka jest bowiem wola Boża w Jezusie
Chryście względem was.*
1 Tes 5, 16-18

Albowiem według wiary, a nie dzięki widzeniu postępujemy.
2 Kor 5,7

1.

Henderson State Teachers College
Arkadelphia, Arkansas
Maj 1932

Larkspur Linwood poczuła, że dopada ją wyjątkowo nieprzyjemna treść. Przecież zdała wszystkie egzaminy... I to śpiewająco. Co więc mogło być powodem tego oschłego wezwania do gabinetu profesora Keenea?

Stała przed zamkniętymi drzwiami, przyciskając mocno do piersi stos książek, które miała dzisiaj oddać do biblioteki. Profesor Keene nie określił konkretnej godziny, powiedział tylko, żeby zgłosiła się do niego po południu, najszybciej, jak będzie mogła.

Może powinna najpierw zwrócić książki i przyjść tu później. *Dużo* później, gdy będzie już chciał wracać do domu na kolację i nie będzie miał czasu, by prawić jej zbyt długie kazanie o... o czymkolwiek by ono nie było.

Musiała szczerze przyznać, że ten człowiek jednocześnie ją zachwycał i przerażał. Jego uśmiech mógł w jednej chwili zmienić się z serdecznej zachęty w świętoszko wata kpinę. Podczas dwóch lat spędzonych w Henderson State Teachers College Lark mimowolnie padała ofiarą obu odsłon jego oblicza.

Zacisnęła mocno powieki i skrzywiła usta, przygotowując się już, by wziąć nogi za pas. I wtedy nagle otworzyły się drzwi.

- Panna Linwood. Proszę wejść.

Wyglądał dzisiaj bardzo elegancko. Ciemne, błyszczące włosy miał zaczesane do tyłu, a szerokie ramiona wyraźnie podkreślała tkanina białej, wykrochmalonej koszuli. Profesor Keene dżentelmeńskim gestem zaprosił ją do gabinetu. Wziął od niej książki i rzucił na niską półkę obok drzwi, a potem podsunął jej krzesło, by mogła usiąść.

Kiedy zajmował miejsce za biurkiem, Lark próbowała rozszyfrować, które oblicze widzi dzisiaj. Trochę podobne do Kota-Dziwaka z *Alicji w Krainie Czarów*, a może raczej do Mony Lisy? Innymi słowy: zupełnie enigmatyczne.

- Sir, czyżbym nie dokończyła jakiejś pracy? Jeśli cokolwiek przeoczyłam...

- Cóż za absurd! - Profesor Keene przechylił się do tyłu na krześle i założył nogę na nogę, a dłonie splótł przed sobą. - Z pewnością zdaje sobie pani sprawę, że jest pani jedną z najlepszych studentek w Henderson.

Lark rozluźniła się, ale tylko trochę. Profesor nie wzywa studenta do swojego gabinetu, jeśli nie ma po temu jakiegoś powodu. Niesforny kosmyk jasnych włosów opadł jej na skroń i nerwowo założyła go za ucho.

- W takim razie dlaczego...

Jeden kącik ust drgnął mu w uśmiechu. Profesor wyprostował się i rzekł:

- Panno Linwood... Lark, jeśli mogę, bo mam nadzieję, że po minionych dwóch latach nasza znajomość nie jest już tylko relacją profesora i studentki.

Poczuła, jak przeszły ją ciarki. -Sir?

- Próbuję powiedzieć, najwidoczniej niezbyt zgrabnie, że zarówno twój intelekt, jak i zaangażowanie wywarły na mnie silne wrażenie. Twoje uczestnictwo w moim Dyskusyjnym Kole Literackim odkryło dojrzałość, którą nieczęsto zauważam u studentów początkowych lat. - Profesor na chwilę spuścił wzrok i Lark miała okazję, żeby dyskretnie wziąć głębszy oddech maskujący zdenerwowanie. - Z tego też powodu podziwiam cię jako koleżankę, pokrewną duszę, która dąży do wiedzy, kogoś, kto ma to, co wysoce sobie cenię -perspektywy i wnikliwość.

Lark potrzebowała by kilku kolejnych głębokich wdechów, by się uspokoić... a może nawet całej cysterny tlenu, żeby przejść przez tę rozmowę. Bała się, że serce zaraz wyskoczy z jej piersi. Chyba - *a nawet z pewnością!* - te uwagi nie mogły oznaczać tego, co miała nadzieję, że oznaczają. Jednak mimo to słowa mężczyzny pochlebiały jej. Jego podziw podnosił ją na duchu, a zainteresowanie przyprawiało ją o dreszcze.

Ściskając w dłoniach torebkę, próbowała przełknąć ślinę, ale jej gardło było suche jak spalona słońcem ziemia na farmie dziadka w Edenie.

- Nie wiem, co powiedzieć, profesorze Keene.

- Powiedz, że przyjdiesz do mnie w sobotę wieczorem na specjalne spotkanie. Zapewniam cię, że będziesz zaintrygowana. To będzie życiowa okazja. - Podniósł się i obszedł biurko, a potem ujął jej dłoń i pomógł wstać. Jego wymowna mina przyprawiała ją wewnątrz o dziwne odczucia. - Siódma. Pamiętasz, gdzie mieszkam, prawda?

- Cherry Street, nieopodal Riverside - odparła.

W grudniu zeszłego roku profesor Keene zorganizował dla swoich studentów świąteczne spotkanie przy herbacie i Lark dobrze pamiętała ten uroczy, zbudowany z cegieł, parterowy dom o zdecydowanie męskim wystroju. Przeszła obok profesora, żeby wziąć swoje książki, ale przystanęła w drzwiach, pytając:

- Mogłabym wiedzieć, kto jeszcze jest zaproszony? Profesor podniósł na nią wzrok.

- Zaprosiłem jeszcze dwie inne młode damy, obie są niedawnymi absolwentkami. Spotkałaś je kilka razy w zeszłym roku na naszym kole dyskusyjnym, na pewno sobie przypominasz.

Dwie inne młode damy, ale z pewnością bliższe wiekiem profesorowi niż dwudziestojednoletnia Lark. Trochę popsuł jej się humor. Być może wcale nie była taka wyjątkowa dla przystojnego profesora Keenea, jak to sobie naiwnie wyobrażała.

- Nie martw się. Będzie też pani Eck z Uniwersyteckiej Kliniki Leczniczej oraz pewien dżentelmen, który przedstawi pouczające, powiedziałbym nawet, że wyjątkowo ważne, informacje.

Lark z pewnością nie musiała się obawiać jakiegokolwiek niestosowności sytuacji, skoro miała być tam pruderyjna i zawsze poprawna pani Eck.

- Nie może mi pan uchylić rąbka tajemnicy, czego będzie dotyczyć to spotkanie?

Opierając się nonszalancko jedną ręką o framugę, profesor Keene uśmiechnął się szeroko.

- Tak jak już powiedziałem... to będzie wyjątkowa okazja,

z której, mam nadzieję, będziesz chciała skorzystać.

Najwyraźniej nie zamierzał ujawnić nic więcej, więc Lark nawet nie miała pomysłu, czego mogłaby dotyczyć ta prezentacja.

- Będę musiała zapytać pana O'Neilla. Pracuję cały dzień w sklepie, a w soboty po zamknięciu robimy inwentaryzację.

Profesor dotknął lekko jej ramienia. Krótko, ale wystarczająco długo, by znów poczuła się wyjątkowa i szczególnie istotna w jego oczach.

- Lark, przyjdź, proszę. Obiecuję ci, że to będzie znacznie ważniejsze dla twojej przyszłości niż liczenie puszek fasolki szparagowej.

Prosto z gabinetu profesora Keenea Lark poszła do biblioteki, ale ledwie do niej docierało, że stąpa po ziemi. O ile nawet mijala po drodze jakichś innych studentów, musiałaby się mocno skupić, żeby przypomnieć sobie choć jedną osobę. Gdy tylko włożyła książki do kosza zwrotów, pognąła sześć przecznic dalej, do sklepu spożywczego O'Neilla. Wśliznęła się wejściem dla dostawców, jedną ręką złapała za roboczy fartuch, a drugą odbiła kartę czasu pracy i zaraz zmieniła pana O'Neilla na kasie.

Pulchny, łysiejący sklepikarz przesunął się na drugi koniec lady i wyciągnął księgę rachunkową, pytając:

- Pracowity dzień na uczelni?

- Bardzo. - Wciąż zadyszana, Lark przysiadła na jednym z wysokich stołków, które jej pracodawca trzymał za ladą.

- Przepraszam za spóźnienie, ale ze względu na kończący się trymestr wiosenny musiałam jeszcze wstąpić w parę miejsc w drodze powrotnej.

- Nie ma problemu. - Pan O'Neill puścił do niej oko znad swoich drucianych okularów. - Nadal planujesz spędzić trochę czasu w domu przed rozpoczęciem kolejnego, letniego trymestru?

- Tylko kilka dni. Wyjeżdżam w niedzielę i wrócę w czwartek. - Ponieważ trudno było o pracę, a dzięki tej była w stanie opłacić swoją edukację, nie mogła sobie pozwolić, żeby brać więcej wolnego, niż to konieczne. Z drugiej strony, dziadek i Rose, młodsza siostra Lark, sami pracowali ciężko na farmie już dłuższy czas. Należał im się choćby krótki odpoczynek od tych obowiązków, w których Lark mogła im pomóc. Nigdy nie przepadała za życiem na wsi, a tym bardziej za znojem i potem, które dawały tak niewiele, ale kochała swoją rodzinę.

Klientka przyniosła koszyk z zakupami i Lark wbijała na kasę kolejne produkty.

- To będzie cztery dolary i sześćdziesiąt trzy centy, pani Dimity.

Siwowłosa kobieta cmoknęła językiem, otwierając portmonetkę.

- Niedługo będzie trzeba oddać rękę i nogę. Dobry Boże, ależ te ceny rosną!

- Wiem, proszę pani. Wszędzie jest coraz trudniej. - Lark wsunęła lizaka do torby pani Dimity. - Dla pani wnuczka -dodała z uśmiechem.

Pan O'Neill zerknął i skinął na znak aprobaty. Starał się ze wszystkich sił, by mieć jak najniższe ceny, ale wszędzie

nadeszły ciężkie czasy, a susza, która rozpoczęła się latem 1930 roku w Arkansas, wcale szybko nie ustępowała. Lark modliła się każdego dnia, żeby w tym sezonie dziadkowi udało się osiągnąć przyzwoite zbiory bawełny i żeby się przy okazji nie zapracował na śmierć.

Kiedy pani Dimity wyszła, Lark poprawiła kilka artykułów na półkach, a potem przesunęła się bliżej miejsca, gdzie siedział pan O'Neill.

- Przykro mi, że muszę o to zapytać, ale czy byłaby możliwość, żeby zrobił pan inwentaryzację jutro wieczorem beze mnie?

Podniósł na nią wzrok i z uśmiechem na ustach patrzył spod uniesionych brwi.

- Nawet mi nie mów, Lark Linwood, że po całych dwóch latach w Henderson w końcu znalazłaś sobie jakiegoś adoratora?

- Och, nie! Nic z tych rzeczy. - Uniosła obie dłonie wysoko, licząc, że jej twarz wcale nie była tak czerwona, jak to czuła. - Mój kierownik studiów organizuje ważne spotkanie i prosił mnie, żebym przyszła.

- Profesor Keene? Cóż, w takim razie to *musi* być ważne. - Pan O'Neill podrapał się po brodzie. - Mogę poprosić Bobbyego, żeby przyszedł pomóc przy inwentaryzacji. Będzie zadowolony z dodatkowych godzin.

Bobby także był studentem, który pracował dla sklepikarza w niepełnym wymiarze godzin i tak samo jak Lark bardzo potrzebował pracy. A może nawet bardziej, bo miał w domu jeszcze piątkę rodzeństwa.

- Jest pan pewien? Bo mogę pracować, jeśli będzie mnie pan potrzebował.

- Lark. - Pan O'Neill poklepał po ojcowsku jej dłoń. - Nie chcę, żebyś choć przez chwilę martwiła się o pracę. Będiesz ją miała, dopóki tylko będziesz chciała. Zatem spotkaj się spokojnie z tym profesorem, a ja poproszę Bobby ego, żeby zamienił się z tobą godzinami, gdy tylko wrócisz w przyszłym tygodniu. Wtedy wyjdzie wam po równo.

Z cichym westchnieniem ulgi Lark podziękowała pracodawcy i wróciła do swoich obowiązków. Biorąc pod uwagę, jak słabo szły interesy od czasu, gdy się tu zatrudniła, Lark podejrzewała, że ten miły człowiek odnosił minimalne zyski, tylko po to, żeby pomóc niezamożnym studentom jak ona czy Bobby.

Ponieważ przerwy pomiędzy klientami zwykle pozwalały Lark na douczanie się, a trymestr wiosenny dobiegał już końca, miała wystarczająco dużo czasu, żeby rozmyślać nad tajemniczym zaproszeniem profesora Keene'a.

Piątek i sobota ciągnęły się nieznośnie i tylko dodatkowe zajęcia, które Lark znajdowała sobie w sklepie trochę jej pomagały. W sobotę po południu, gdy odbijała kartę po dniu pracy, każda półka była odkurzona, podłogi pozamiatane i wymyte na błysk, a listy inwentaryzacyjne dla Bobby ego przygotowane w jednym miejscu.

- O mój Boże! Cała jesteś w nerwach - skomentował pan O'Neill, gdy Lark szarpała się z paskiem fartucha. - Szkoda, że wyjeżdżasz od razu rano do Edenu, bo spotkalibyśmy się w kościele i mogłabyś mi opowiedzieć, o co tyle rozgorączkowania.

- To pewnie tylko spotkanie z jakimś wykładowcą, z którym według profesora Keene'a warto się spotkać. - Gdyby tylko Lark mogła przekonać takim argumentem samą siebie. Teraz już supeł na fartuchu był mocno zaciśnięty, a ona w swoim zdenerwowaniu nie potrafiła zmusić rozedrganych palców, by poradziły sobie z tym problemem. Aż się prosiło o jakieś przekleństwo, ale ugryzła się w język, by nic nie powiedzieć.

Stanąwszy za jej plecami, pan O'Neill złapał ją za nadgarstki i stanowczo opuścił jej ręce wzdłuż boków, a potem zręcznie rozsuptał węzeł i zdjął jej fartuch przez głowę, mówiąc:

- Już. A teraz weź głęboki wdech i uspokój się. Cokolwiek cię czeka dzisiaj wieczorem, pamiętaj, kim jesteś i zachowaj rozsądek. Dasz sobie radę.

Lark przesłała mu pełen wdzięczności uśmiech i poprawiając koczek, odparła:

- Mówi pan jak mój dziadek.

- To porównanie bardzo mi schlebia. - Wziął jej torebkę ze schowka i włożył w jej dłonie. - Lepiej już idź. Przecież nie chcesz się spóźnić. A ja będę czekał na szczegółowy raport, kiedy zobaczymy się pod koniec tygodnia.

Lark miała zatrwazająco mało czasu, żeby pośpiesznie wrócić do akademika, zrobić sobie jakąś szybką kanapkę i odświeżyć się po całym dniu pracy w sklepie. Potem jeszcze musiała zdecydować, w którą sukienkę się ubrać, choć i tak nie miała zbyt wielkiego wyboru. Szkoda, że jej współlokatorka pojechała już do domu. Ona miała wycucie stylu i atrakcyjną garderobę, której brakowało Lark. W końcu postanowiła włożyć jasnoniebieską szmizjerkę w białe kropki,

z szerokim koronkowym kołnierzem. To głupie, ale zawsze wydawało jej się, że profesor Keene uśmiechał się z lekkim zachwytem, kiedy wkładała tę sukienkę na zajęcia.

Och, gdyby tylko mogła sama sobie wymierzyć kopniaka za takie fantazje!

Za dziesięć siódma wybiegła na zewnątrz i skierowała się w stronę Cherry Street. Na końcu przecznicy, przy której mieszkał profesor, zwolniła kroku i usiłowała się uspokoić. Skoro on postrzegał ją jako dojrzałą kobietę, nie mogła stanąć pod jego drzwiami z potarganymi włosami i zadyszana, jakby była płochą uczennicą. Poprawiła szylkretowe grzebyki, które miała wpięte ponad skroniami oraz wygładziła kok upięty na karku.

Idąc dalej, zauważyła dwa samochody zaparkowane na podjeździe profesora. Oczywiście, nie była pierwszym gościem. Żałowała teraz, że pochłonęła tę kanapkę, bo jeśli zaraz nie uspokoi nerwów, być może, gdy tylko przekroczy próg domu, będzie musiała gnać jak szalona do łazienki.

Drzwi otworzyły się, zanim dotarła na szczyt schodów. Ukazał się w nich profesor Keene w koszuli, bez marynarki, ale tylko w kamizelce i pod krawatem i uśmiechnął się na powitanie.

- Udało ci się. Tak bardzo się cieszę. - Ujął jej dłoń i wprowadził ją do przedpokoju. - Proszę, wejdź, przedstawię cię pozostałym gościom. I pozwól, że powiem - ciągnął dalej, zniżając ton w taki sposób, że Lark przeszły ciarki - iż wyglądasz dziś wieczorem wyjątkowo pięknie.

- Dziękuję - wydusiła z siebie drżącym głosem. Trzymając dłoń na jej plecach, profesor Keene przeprowadził ją przez zwieńczone łukiem wejście do przytulnie

umeblowanego salonu.

- Proszę o uwagę, to moja studentka, Lark Linwood. Lark, pamiętasz Debrę McCarrick i Sandrę Nott z naszych spotkań koła literackiego?

- Ależ tak, oczywiście. Cieszę się, że mogę was znów spotkać.

- Lark skinęła grzecznie w stronę dwóch absolwentek zajmujących miejsca na sofie. Zawsze postrzegala Debrę jako zarówno mądrą, jak i piękną. Jej cera w kolorze kości słoniowej idealnie uzupełniała się z kruczoczarnymi włosami i królewską posturą. Sandra, równie inteligentna, nie miała wzrostu Debry i jej karnacji, ale rekompensowała niepozorną sylwetkę głosem, który mógłby przebić się przez gwar najgłośniejszej klasy.

- Znasz też panią Eck. - Profesor Keene wskazał na kobietę w średnim wieku siedzącą sztywno w wysokim fotelu uszaku naprzeciw sofie. - I mam zaszczyt przedstawić doktora Irwina Younga, naszego specjalnego gościa tego wieczoru. - Skinął w kierunku siwowłosego dżentelmena, który właśnie podnosił się z szerokiego fotela po drugiej stronie pokoju.

Mężczyzna podszedł bliżej i wyciągnął w jej stronę dłoń, mówiąc:

- Doktor naukowy, a nie medyczny. Miło mi panią poznać, panno Linwood. Franklin bardzo dobrze o pani mówił.

Przez krótki moment Lark nie mogła się domyślić, kim mógłby być ten Franklin, ale zaraz przypomniała sobie, że tak ma na imię profesor Keene.

- Miło mi!

- Proszę, usiądź wygodnie. - Profesor poprowadził Lark na miejsce na końcu sofie, obok Sandry, a sam usiadł w fotelu po prawej stronie doktora Younga.

- Niewątpliwie jesteście panie ciekawe, dlaczego was tu zaprosiłem, więc bez zbędnych ceregieli, proszę szanownego doktora Younga, by wszystko wyjaśnił.

- Dziękuję ci, Franklinie. - Starszy mężczyzna odkaszlnął i wychylił się do przodu. Patrzył na kobiety poważnym wzrokiem, a na jego ustach malował się tajemniczy uśmiech. - Drogie panie, jestem tu, by zaprosić was na szczególną przygodę.

Lark wymieniła zaintrygowane spojrzenia z Sandrą, która wydawała się równie nieświadoma celu tego spotkania jak ona. Wyraz twarzy Debry był trudny do odgadnięcia, ale z naprzeciwka dostrzegła błysk w oku pani Eck, a to sugerowało, że kobieta ma jakieś pojęcie, o co chodzi, i teraz czeka niecierpliwie na dalsze wyjaśnienia.

Sandra zdjęła z nosa okulary w eleganckich złotych oprawkach i trzymała je na kolanach w drżących od zdenerwowania dłoniach.

- Jako że skończyłam dopiero pierwszy rok nauczania, nie jestem pewna, czy jestem gotowa na jakieś przygody. Poza tym, uwzględniając obecną sytuację gospodarczą w kraju, nie mogę sobie pozwolić na narażanie swojej kariery.

Doktor Young skrzyżował wzrok z profesorem, a błysk zniecierpliwienia, który mignął na ich twarzach, przyprawił Lark o dreszcze.

- Nawet jeśli - zaczął doktor Young - ta przygoda, o której mówię, mogłaby zmienić kierunek waszej kariery zawodowej jako nauczycielek i dać wam wyjątkową okazję do zdobycia takich badań naukowych dla dalszego rozwoju, jakich nie mogłybyście zdobyć na żadnym amerykańskim uniwersytecie?

Sandra zamilkła i zacisnęła mocno usta. Przeniosła wzrok na Debrę, której twarz wyrażała teraz powściągliwe zainteresowanie.

- Brzmi intrygująco - oznajmiła Debra. - Proszę, doktorze Young, niech pan mówi dalej.

Lark przesunęła się na skraj sofy, przygotowując się, by wstać, przeprosić i wyjść.

- Ponieważ zostało mi jeszcze dwa lata do ukończenia college'u, nie wiem, czy rzeczywiście powinnam się tu znaleźć.

Profesor Keene uniósł dłoń, mówiąc:

- Wysłuchaj nas do końca, Lark. To może być niesamowita okazja także dla ciebie.

Lark obruszyła się z irytacją i nie potrafiła już dłużej powstrzymać języka.

- Ostatnie dwa dni siedziałam jak na szpilkach, zastanawiając się, czego może dotyczyć to spotkanie. Teraz obaj sprawiacie wrażenie, jakbyście posiadli najgłębsze tajniki wiedzy, a ja czuję się jeszcze bardziej zlekniiona niż przed przyjściem tutaj.

Doktor Young miał na tyle przyzwoitości, by okazać rozczarowanie.

- Proszę nam wybaczyć, drogie panie. Nie zamierzałem wzbudzać niepokojów. Jednakże Franklin osobiście polecił mi każdą z pań i niezależnie od tego, jaką decyzję podejmiecie i czy zdecydujecie się z nami wsiąść na pokład, prosiłbym panie o dyskrecję.

Lark zagryzła wargę. Następnie, zerkając szybko na pozostałych uczestników spotkania, skinęła i oparła się z powrotem na sofie, kwitując:

- Zatem dobrze.

Doktor Young wyciągnął jakieś kartki z teczki stojącej koło jego krzesła i podał je profesorowi Keene'owi, który podsunął je Lark, pani Eck i pozostałym dwóm damom.

- Zdjęcia w broszurze, którą trzymacie, przedstawiają misyjną szkołę założoną jakiś czas temu na terenach Wielkich Rowów Afrykańskich w Kenii. Jednak ze względu na obecny rozwój wydarzeń pomiędzy chrześcijańskimi misjonarzami prowadzącymi tę szkołę a ludnością tubylczą szkoła przechodzi konieczne zmiany w zakresie personelu. - Spojrzał znacząco po kolei na Lark, Sandrę i Debrę. - Mam nadzieję wypełnić wakaty utalentowanymi osobami, które znajdują się w tym pomieszczeniu.

Larkspur utkwiała wzrok w zdjęciu przedstawiającym długi, dwukondygnacyjny, ceglany budynek o szerokiej werandzie i grubych filarach. Dwie kobiety w habitach oraz wysoki, kościsty mężczyzna w muszce i białym, słomkowym kapełuszu górowali ponad kolorową klasą złożoną z dwudziestu czarnoskórych dzieci siedzących w rzędach na stopniach werandy. Przejęte twarze dzieci ujęły Lark za serce.

- Ale... ale ja nie jestem nauczycielką.

- Jeszcze nie - sprostował łagodnie profesor Keene. - Wyobraź sobie jednak, co takie doświadczenie mogłoby znaczyć dla twojej przyszłości, Lark. Nawet podczas twoich praktyk pedagogicznych tutaj, w Henderson, nigdy nie dojdiesz do takiego poziomu zrozumienia, czym tak naprawdę jest niesienie oświecenia spragnionym wiedzy dzieciom.

Krew pulsowała jej tak gwałtownie, iż szum w uszach zagłuszał dyskusję, która rozgorzała w pokoju. Słyszała ferwor w ich głosach, jakieś podekscytowanie, które sama też czuła.

- Drogie panie - przerwał doktor Young ze śmiechem. -Jestem zachwycony waszym entuzjazmem, ale jeśli dacie mi szansę, wszystkie istotne kwestie zostaną poruszone jeszcze przed końcem tego spotkania.

Lark nie mogła uwierzyć, że w ogóle była w stanie zaakceptować taką propozycję, ale teraz w jej głowie kotłowało się tylko jedno pytanie: „Kiedy możemy jechać?”

<-^>®^

- Kiedy mogą przyjechać? - Anson Schafer zdjął chłodny kompres z piekących oczu i odnalazł wzrokiem siostrę Mary John.

Pulchna kobieta spojrzała na niego znad swojego małego biurka ustawionego pod kątem do miejsca pracy Ansona, ale dla niego stanowiła teraz tylko niewyraźną plamę białego habitu.

- Oboje dobrze wiemy, jak długo trwa podróż przez ocean. Nie spodziewaj się pomocy wcześniej niż w połowie lipca.

Anson jęknął cicho. Irwin obiecał parę miesięcy temu, że gdy wróci do Stanów, będzie aktywnie poszukiwał nowych nauczycieli i personelu. Szkoła Matumaini założona prawie czterdzieści lat temu przez rodziców Ansona, którzy byli katolickimi misjonarzami z Little Rock w stanie Arkansas, zgodnie ze swą nazwą niosła nadzieję licznym rodzinom żyjącym w tym wyjątkowo pięknym otoczeniu kenijskich Wielkich Rowów Afrykańskich.

Jednakże Kenijczycy stawali się coraz bardziej przeciwni zarówno kolonizacji brytyjskiej, jak i nietolerancyjności

niektórych grup misyjnych w kwestiach wieloletnich tradycji etnicznych, więc lokalne poparcie dla szkoły słabło. Anson i pozostali pracownicy wierzyli, że jedynym sposobem, by szkoła przeżyła, było sprowadzenie nauczycieli, którzy bardziej skupiliby się na praktycznej edukacji. Ponadto chcieli szkolić Kenijczyków na nauczycieli, tak by w miarę powstawania kolejnych niezależnych szkół uniknąć przerw w kształceniu dzieci.

A wykształcenie, według Ansona Schafera, dawało jedyną, prawdziwą nadzieję dla społeczeństwa.

Wrócił myślami do otwartego podręcznika leżącego przed nim na biurku, zamrugał kilka razy, ale to nic nie dało. Słowa zlewały się w bezładne linie zacierającego się czarnego tekstu. Jak miał przygotować jutrzejsze lekcje, skoro nie mógł nawet czytać?

Siostra Mary John cmoknęła i przemaszerowała tuż obok, chwytając za kompres. Zanurzyła go w umywalce i wykręciła, a potem wcisnęła w jego dłonie.

- Chcesz zupełnie oślepnąć? Zamknij książkę i daj odpocząć oczom. Przecież i tak znasz to wszystko na pamięć.

Niewiele się myliła. Anson uczył tych samych przedmiotów z tych samych podniszczonych podręczników od czasu, gdy wrócił do szkoły po ukończeniu studiów siedem lat temu.

- Może siostra ma rację. Zakropię jeszcze oczy i pójdę do łóżka.

Siostra Mary John zatrzymała go, dotykając jego ramienia, i pełnym niepokoju szeptem dodała:

- Ale oszczędnie. Byłeś zbyt hojny wobec dzieci zarażonych infekcją. Jeśli nie będziemy ostrożni, może nam nie wystarczyć do czasu, gdy uzupełnimy nasze zapasy.

Ansona przeszył lęk. Roztwór siarczanu miedzi był jego jedynym ratunkiem od całkowitej ślepoty, która groziła mu w wyniku nieustępliwej infekcji oczu. Przypadłość ta nie była niczym nadzwyczajnym w tej części świata, ale Ansonowi udawało się jej unikać aż do minionego miesiąca.

To kolejny powód, dla którego potrzebował nowych, obiecanych mu przez doktora Younga nauczycieli i pielęgniarki. Siostra Mary John, chociaż była osobą kompetentną, wystarczająco nadwyręzała już siły po tym, jak opuściła ich większość pracowników.

Czyżby walczył w przegranej bitwie, usiłując utrzymać szkołę pomimo rosnącego ze wszystkich stron oporu? Choć osobiście mógł odczuwać odrazę do pewnych tradycji etnicznych, oburzało go postępowanie misjonarzy, którzy natychmiast ekskomunikowali kenijskich chrześcijan za kultywowanie wielowiekowych praktyk. Czy już sam święty Paweł nie mówił o takich podziałach? „Dla słabych stałem się jak słaby, by pozyskać słabych - pisał w liście do Koryntian. - Stałem się wszystkim dla wszystkich, żeby w ogóle ocalić przynajmniej niektórych”.

Anson czasami zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby całkiem wyłączyć z tego religię. Nie chodziło o to, że nie trzymał się mocno wiary. Jako chłopiec marzył, by wejść na drogę kapłaństwa, tak jak to uczynili jego dwaj wujowie. Ale gdzieś pomiędzy kościelnym wychowaniem tu, w szkole, i zdobywaniem tytułu magistra na jezuickiej uczelni w Stanach, odkrył, że jego powołaniem było nauczanie.

Teraz jednak, jeżeli wysiłki Irwina w sprawie rekrutacji zawiodą, a co ważniejsze, jeśli amerykańskie stowarzyszenie misyjne, które wspiera finansowo szkołę, nie zgodzi się

na konieczne zmiany, wszystko, co Anson i jego pracownicy mieli do tej pory nadzieję osiągnąć, może się rozpaść.

Udawszy się do swojej ubogiej kwatery znajdującej się nad szkołą, Anson zdecydował, że nie zaaplikuje sobie kolejnej dawki cennego roztworu siarczanu miedzi, by podleczyć oczy. Wolał ratować wzrok tych dzieci, dla których kształcenia poświęcił swoje życie, bo to one były przyszłością Kenii.

Przebrał się w piżamę, a potem wczołgał pod moskitierę rozciągniętą nad jego wąskim łóżkiem. Tutaj, nisko na południowo-zachodnich zboczach masywu Kenia, dni były ciepłe i przyjemne, ale wieczorami szybko robiło się chłodno. Pora deszczowa miała potrwać jeszcze tydzień albo dwa i wilgoć przenikała wszystko, nawet jego koce i poduszkę. Schował się głębiej pod przykrycie, a potem sięgnął przez otwór w moskitierze po kopertę, którą zostawił na stoliku nocnym.

Światło lampy było zbyt słabe, a wzrok Ansona zbyt zamglony, by mógł odczytać telegram od Irwina. Od kiedy otrzymał go sześć dni temu, wielokrotnie prosił siostrę Mary John, by przeczytała mu na głos wiadomość, jakby musiał się przekonywać o zapewnieniu, które było w niej zawarte: „Głowa do góry! Rekrutacja trwa. Oczekuj pomocy pod koniec lata”.

Westchnąwszy ze zmęczeniem, Anson zgasił lampę, a następnie położył się z telegramem przyciśniętym do piersi. Zamknął piekące oczy, przeżegnał się i wniósł ku niebu modlitwę, żeby ta obiecana pomoc wkrótce się zjawiała.

2.

Gdy tylko autobus zatrzymał się przed wejściem do sklepu w Edenie, Lark od razu dostrzegła zaparkowanego obok budynku zardzewiałego, starego, czarnego pick-upa należącego do dziadka. Serce zatrzepotało jej w piersi. Obiecała sobie, że nie powie od razu o Kenii ani słowa, ale jak uda jej się utrzymać w sekrecie podekscytowanie, aż nadejdzie odpowiedni moment?

Kierowca autobusu z krzywą miną popatrzył na nią we wstecznym lusterku.

- Hej, panno Larkspur, wysiada panienka czy nie? Proszę nie zapominać, że muszę trzymać się rozkładu.

- Już, zbieram swoje rzeczy. - Z torebką przewieszoną przez ramię i kuferkiem podróżnym pod pachą, Lark siłowała się właśnie z walizką umieszczoną na półce bagażowej ponad głową. Wreszcie udało się wytaszczyć ją na zewnątrz.

- Dziękuję, Jasper. Trzymaj się. Kierowca uchylił czapki.

- Widzimy się za parę dni w drodze powrotnej?

Stojąc jeszcze jedną nogą na najniższym stopniu, Lark zerknęła na niego z niepewnym uśmiechem.

- Jak się uda, to się zobaczymy.

- Larkspur Jane Linwood!

Na dźwięk radosnego okrzyku swojej siostry Rose Lark obróciła się gwałtownie i zapewne wylądowałyby twarzą na chodniku, gdyby Rose natychmiast nie chwyciła jej w objęcia. Walizka i kufer podróżny spadły na ziemię, a Lark objęła siostrę oburącz, tak w geście samoobrony, jak i powitania.

- Na Boga! Rosie! Też się cieszę, że cię widzę, ale daj złapać oddech.

Rudobrunatne pasma włosów Rose o mało nie wysypały się z warkocza, gdy dziewczyna rażno złapała za walizkę Lark. Za ich plecami autobus odjeżdżał w dal i obie ruszyły w stronę pick-upa.

- Dziadek wciąż rozprawia z pastorem w kościele, ale ja nie chciałam przegapić twojego autobusu. Jedziemy prosto do Brinkley na niedzielny obiad z Bryony i Michaeliem. Nie mogą się doczekać, żeby się z tobą zobaczyć.

Niewiele ponad rok temu Bryony - najstarsza z sióstr - wyszła za mąż za Michaela Heatha, syna właściciela ziemskiego, u którego dziadek najmował farmę.

- Czy Bry jest już przy nadziei?

Twarz Rose spochmurniała i dziewczyna potrząsnęła przecząco głową.

- Nawet nic o tym nie mów. Robi się wtedy smutna.

- Wszystko będzie w odpowiednim czasie danym od Boga. - Śmiejąc się lekko, Lark włożyła torebkę i kuferek do szoferki pick-upa. - Bryony matkowała nam jak kwoka na tyle długo, że Bóg nie mógłby jej odmówić własnych dzieci.

- Ja nigdy nie będę mieć dzieci. - Rose wrzuciła walizkę na platformę z tyłu. - Za dużo problemów.

- Jesteś jeszcze zbyt młoda na takie deklaracje. Gdy tylko ty i Caleb...

- Bądź już cicho! - Rose szarpnięciem otworzyła drzwi od strony kierowcy i patrzyła, jak Lark wsiada na miejsce pasażera. - Nigdy też nie wyjdę za mąż. Ty wyjechałaś na studia, Bry opuściła dom, by założyć własną rodzinę, więc ktoś musi zostać na miejscu, żeby pomóc dziadkowi na farmie.

Lark nie mogła się powstrzymać i zaśmiała się pod nosem na wyraźny rumieniec, którym oblała się Rose na samo wspomnienie o Calebie Wielandzie. Mogła się zarzekać do woli, ale nadejdzie taki dzień, kiedy Rose Linwood przestanie być chłopczycą i doceni zainteresowanie porządnych mężczyzn, takich jak Caleb.

„Tak jak ty doceniasz zainteresowanie ze strony profesora Keenea?” - przemknęło jej przez myśl. Lark odwróciła wzrok i wyglądała teraz przez otwarte okno, próbując ukryć wypieki, które pokryły jej oblicze.

- O, dziadek wraca z kościoła. Powinnyśmy już jechać.

Rose zapaliła silnik i podjechała drogą w kierunku dziadka. Uśmiechając się od ucha do ucha, starszy mężczyzna otworzył drzwi po stronie Lark i pochwycił ją w uścisku, zanim jeszcze wspiął się na miejsce obok niej.

- Dobrze cię znowuż widzieć! Jezusieńku, za każdym razem, gdy cię widzę, jesteś coraz doroślej sza.

Ostatnio Lark była w domu na Święta Wielkanocne, więc podczas jazdy do Brinkley, większego miasteczka oddalonego o jakieś trzydzieści kilometrów, dziadek i Rose zasypywali ją pytaniami o szkołę. Lepiej było skierować rozmowę

na temat studiów i życia akademickiego, by uniknąć mówienia o wczorajszym spotkaniu w domu profesora Keenea. Lark wciąż nie mogła uwierzyć, że naprawdę dopuszczała możliwość takiego kroku wiary - tak to należało właściwie nazwać, bo przecież prawie w ogóle nie umiała przewidzieć, co ją czeka.

Wiedziała jedno i to ją mobilizowało najbardziej: że sam profesor Keene już złożył wniosek o urlop w Henderson i miał udać się w podróż do Kenii razem z innymi osobami, które zwerbował doktor Young. Wyglądało na to, że zarówno Sandra, jak i Debra planowały jechać, podobnie jak pani Eck, która ze względu na swoje kwalifikacje pielęgniarskie miała być szczególnie potrzebna na misjach.

Kiedy Rose zajechała na podjazd obok małego, parterowego domku o pobielanych ścianach, Lark wróciła myślami do rzeczywistości. Gdy wysiadała z dziadkiem i Rose z auta, otworzyły się drzwi z moskitierą. Bryony z rozwianymi ciemnymi włosami zbiegła po schodach werandy i po raz kolejny Lark znalazła się w powitalnym uścisku.

- Nasza studentka wreszcie wróciła. - Bryony w końcu puściła Lark i poprowadziła ją w stronę domu. - Wejdźcie do środka. Kurczak i kluski są już na kuchni.

Lark ramieniem otoczyła Bryony w pasie i odparła:

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się stęskniłam za doskonałą kuchnią mojej starszej siostry.

Mąż Bryony, Michael, przytrzymujący właśnie otwarte drzwi, obdarzył Lark braterskim pocałunkiem.

- Słyszałem, że popisowo zdałaś wszystkie egzaminy. Zapisalaś się już na trymestr letni?

Dreszcz przeszył Lark na to pytanie szwagra. Starła się

uniknąć odpowiedzi i z obojętną miną rzuciła:

- W zeszłym tygodniu mój wykładowca z biologii pokazywał mi czasopismo naukowe z twoimi ostatnimi ilustracjami. Pracujesz nad czymś nowym?

- Lepiej, żeby nie zaczynał - wtrąciła Bryony - bo będziemy rozmawiać o botanice przez cały wieczór, a ja naprawdę bardzo chciałabym usłyszeć, jak ci idzie na studiach.

Zaordynowała, by wszyscy umyli ręce i zajęli miejsca w jadalni. Gdy Lark usiadła przy stole, Bryony zdążyła już nałożyć sówite porcje kurczaka i klusek w gęstym, aromatycznym sosie. Sam zapach wystarczał, by zaczęło jej burczeć w brzuchu. Michael poprosił dziadka, żeby poprowadził modlitwę dziękczynną, więc na następne kilka minut rozmowy ucichły, po czym jadalnię wypełnił brzęk sztućców uderzających o porcelanową zastawę.

Później Bryony podniosła się, by sprzątnąć ze stołu i podać deser, ale Michael zatrzymał ją, mówiąc:

- Zostań z gośćmi. Ja zajmę się naczyniami i zrobię kawę.

- Pozwólcie, że pomogę. - Lark sięgnęła po talerze Rose oraz dziadka i złożyła je na swoim. Chciała zrobić cokolwiek, by choć trochę zyskać na czasie, zanim ujawni nowiny na temat Kenii.

Michael zabrał jej sprzed nosa talerze, nim zdążyła odsunąć krzesło od stołu.

- Chyba żartujesz! Ty jesteś tu gościem honorowym.

Z wymuszonym uśmiechem Lark skrupulatnie poskładała swoją serwetkę i położyła ją na stole.

- Mam wam coś ważnego do ogłoszenia... - zaczęła. - O szkole i... jeszcze o czymś. Michaelu, może jeszcze zostaniesz, by wysłuchać.

Unosząc ze zdziwieniem brwi, odstawił stos talerzy na kredens i stanął za krzesłem Bryony.

- To brzmi poważnie.

- W rzeczy samej - zgodziła się Bryony. Sięgnęła po dłoń Michaela i skierowała zaniepokojony wzrok na Lark. - Chyba nie myślisz, żeby rzucić college z powodów finansowych, prawda? Bo Michael i ja gotowi jesteśmy zrobić wszystko, by pomóc...

- Proszę, pozwólcie mi powiedzieć. - Lark złożyła dłonie pod stołem i przełknęła nerwowo. - Ja... ja zgłosiłam się na wolontariat w Kenii.

- Kenia! - Rose opadła szczęką. - *W Afryce?*

Lark wyprostowała się na siedzeniu, ale wciąż unikała spojrzenia milczącego dziadka.

- Tak, w Afryce. Bryony stłumiła okrzyk.

- Poczekaj... co to znaczy, że zgłosiłaś się na *wolontariat*⁷. Lark, nic nie rozumiem.

- To życiowa okazja - oświadczyła Lark, powtarzając niczym echo argumenty profesora Keenea. - Będę pracować tam w szkole, więc zdobędę cenne doświadczenie pedagogiczne.

- A co z collegeem? - Bryony potrząsnęła głową w konsternacji.

- Zadeklarowałam się tylko na rok. Skończę studia po powrocie do Stanów. - Lark w końcu odważyła się popatrzeć na zamyśloną twarz dziadka.

- Czyj że to pomysł? - zapytał. - Nie jedziesz chyba tak ni z gruszki, ni z pietruszki, tylko dlatego, że jakiś nadobny jegomość złapał cię na słodkie słówka?

Lark poczuła na karku mrowienie, bo coś w tym było. Nie mogła zaprzeczyć, że „słodkie słówka” profesora Keenea z pewnością przechyliły szalę przy podejmowaniu decyzji. Ale to nie tylko jego pochlebstwa i pochwały. Naprawdę poruszył ją widok tych spragnionych wiedzy dzieci, które przedstawione były na zdjęciu w broszurze doktora Younga.

- Ta szkoła nazywa się Matumaini, co w suahili znaczy „nadzieja”. I właśnie to niosą tam ludziom... Nadzieję na lepsze życie dzięki wykształceniu.

Nie puszczać dłoni Bryony, Michael usiadł na krześle.

- Dawanie nadziei to wspaniała rzecz - powiedział łagodnie. - Takie szlachetne ambicje są godne podziwu. Ale podróż tak daleko i na tak długo... Na pewno rozumiesz niepokoje twojej rodziny.

I dobrze, że Michael wyraził obiekcje w tak opanowany sposób. Lark uśmiechem okazała mu wdzięczność.

- Oczywiście, że rozumiem. Gdybyście wszyscy nie martwili się o mnie, naprawdę zaczęłabym się niepokoić. Tak, wiem, że to wyszło tak nagle, ale to coś więcej niż zwykła zachcianka.

Pchana pasją do swojego zawodu, Lark czuła rosnącą pewność, gdy przedstawiała kolejne detale ze spotkania u profesora Keenea, starając się podkreślić, że inni nauczyciele i pielęgniarka również podejmą się podróży, a jej koszty zostaną pokryte z funduszy stowarzyszenia misyjnego w Little Rock. Zerwała się z krzesła i przyniosła z torebki broszurę od doktora Younga. Wręczyła ją dziadkowi, a ten dokładnie ją przeczytał i podał Bryony.

- Widać tę potrzebę, prawda? - Lark zwróciła się do Rose, której oczy coraz bardziej wypełniały się łzami, i uściśnęła

jej dłoń. - Boli mnie serce na myśl, że będę musiała was zostawić, ale mocno czuję, że powinnam tam jechać.

- Zatem musisz to zrobić - oświadczyła Bryony drżącym głosem. - Kiedy wyjeżdżasz?

To była najtrudniejsza część.

- Muszę się spakować i złapać pociąg do Charleston do środy.

- Och, Lark! Tak szybko!?! - wykrzyknęła najstarsza siostra.

- Niestety tak. Doktor Young rezerwuje podróż na parowcu handlowym, który opuszcza port w najbliższą sobotę.

- Przepraszam, nie... nie mogę... - Tłumiąc płacz, Bryony wybiegła z pokoju.

Spojrząwszy przepaszająco, Michael szybko wyszedł za nią.

Lark poczuła w piersi niemiły ucisk wyrzutów sumienia. Popatrzyła na Rose, a potem na dziadka i jej oczy również wypełniły się łzami.

- Czy Bry mi wybaczy? A wy?

- Chodź no tu. - Dziadek wziął ją na kolana, jak zdeorientowaną i wystraszoną siedmiolatkę, tak jak wtedy, gdy mama przywiozła ją razem z siostrami na farmę, kiedy tata zginął na wojnie. - Ni ma co przepaszać, jeżeli idzie się w życiu za wolą Bożą. Skoro Duch Święty powiedział, co-byś jechała do Afryki tam dzieci uczyć, to będzie strzec każdy jeden twój krok.

- I troszczyć się też o was, gdy mnie nie będzie, prawda? - Zaplotła mu ręce na szyi i patrzyła wyczekująco prosto w oczy.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Rose podeszła i otoczyła ich

oboje ramieniem.

- Tak jak zawsze. Będę się za ciebie modlić codziennie rano i wieczorem, Lark, aż wrócisz tu do nas cała i bezpieczna.

Dopiero w tym momencie Lark w pełni doceniła to, co miała za sobą zostawić.

Anson zmierzył wzrokiem dwa rzędy uczniów siedzących przed nim w ławkach i jego spojrzenie zatrzymało się na ośmioletnim chłopcu, który wiercił się bardziej od innych.

- Kanja, proszę, przeczytaj zdanie, które napisała na tablicy siostra Mary John.

Kanja wstał i miętosząc brzeg wyblakłej niebieskiej koszuli w stylu amerykańskim, należącej do szkolnego mundurka ofiarowanego przez stowarzyszenie misyjne, zaczął dukać:

- Brązowy... nie-nie-niedźwiedź... zaryczał... *Mwalimu* Schafer, co to jest niedźwiedź? To coś jak lew?

Anson starał się nie roześmiać, nawet nie tyle ze względu na pytanie Kanji, ile z powodu tego, że siostra Mary John wciąż zapominała, iż dzieci nie znają wielu rzeczy, które dla ludzi z Zachodu były oczywiste. Mrugając w kierunku zmieszanej siostry, Anson podszedł do tablicy, zmazał wyraz „niedźwiedź” i zastąpił go wyrazem „lew”.

- Spróbuj jeszcze raz, Kanja.

Chłopiec rozpromienił się w uroczym uśmiechu ukazującym szparę po zębie.

- Brązowy... lew... zaryczał... g-g-głośno.

- Wspaniale! - Anson wrócił na swoje miejsce za chwiejącym się drewnianym biurkiem. Wziął do ręki ołówek i zamrugał kilka razy, na próżno starając się odnaleźć imię Kanji w dzienniku.

Siostra Mary John stanęła obok niego. Patrząc mu przez ramię, jakby od niechcienia położyła palec obok nazwiska i trzymała go tam, aż Anson zaznaczył odpowiednią kolumnę. Wróciwszy pod tablicę, zakonnica posłała mu karcący uśmiech. Zanim Anson wywołał kolejnego ucznia, do sali zajrzała siostra Angelica, dając mu znaki. Zostawił klasę siostrze Mary John i wyszedł na zewnątrz.

- Czego siostra potrzebuje?

- Kolejny telegram, sir. - Drżąc z podekscytowania, trochę młodsza od trzydziestodwuletniego Ansona zakonnica mierzyła go wzrokiem znad okularów, gdy podawała mu nieco pomiętą kopertę.

Wyciągnął rękę, ale zaraz zmienił zdanie.

- Proszę mi przeczytać.

Siostra Angelica rozerwała kopertę i rozwinęła kartkę.

- Od doktora Younga. Pisz: „Sukces! Statek opuścił port w sobotę czwartego czerwca. Spodziewajcie się nas w połowie lipca”. - Podniosła na niego wzrok i z uśmiechem rzekła: - Nauczyciele przybywają... Alleluja!

Anson podejrzewał, że jej euforia nie wynikała głównie z faktu, że nowi nauczyciele są już w drodze, ale wiązała się z tym, że wkrótce będzie mogła powrócić do Stanów. Siostra Angelica nie potrafiła przystosować się do życia w Afryce.

- Och, i jest jeszcze przesyłka z Nairobi. Wydaje mi się, że to lekarstwa, po które pan posłał.

Pohamowawszy westchnienie ulgi, Anson poprosił siostrę

Angelicę, by pomagała siostrze Mary John w prowadzeniu lekcji do końca tego dnia. Sam pośpiesznie udał się do swojego gabinetu za rogiem i na biurku odnalazł paczkę owiniętą w szary papier. Rozdarł go i przejrzaawszy zawartość, poczuł, jak nogi się pod nim ugięły w przyływie wdzięczności. Wreszcie dotarły wyczekiwane, nowe fiolki siarczanu miedzi. Dwa dni temu kazał siostrze Mary John zużyć ich ostatnie zapasy na leczenie infekcji oczu trojga uczniów. Teraz on mógł kontynuować swoje leczenie.

Wypełnił zakraplacz, położył się na łóżku ustawionym w kącie i zaaplikował sobie roztwór, a potem leżał z zamkniętymi oczami i modlił się. Jeśli straciłby wzrok, byłby tu bezużyteczny. I tak już zbyt często musiał polegać na zakonnicach, gdy odczuwał coraz większe zmęczenie oczu w ciągu dnia. Bywało, że do wieczora jego wzrok stawał się tak zamglony, że ledwie był w stanie zobaczyć, którędy ma iść na górę do łóżka.

Obudził się jakiś czas później, kiedy siostra Mary John łagodnie szturchała go w ramię.

- Widzę, że przyjechały lekarstwa - stwierdziła. - Chwała niech będzie Bogu!

Usiadł na łóżku.

- Widziała siostra telegram?

- O tak. - Odwróciła krzesło i usiadła na wprost mężczyzny. Anson nie potrzebował dobrego wzroku, by rozpoznać zatroskaną minę zakonnic. - Nie jestem jednak pewna, czy sprowadzenie nowych nauczycieli cokolwiek nam da. Kolejnych dwoje mieszkańców wioski przyszło dziś po południu, aby powiedzieć, że ich dzieci już nie wrócą. Jeśli w ogóle pójdą do szkoły, to wybiorą nową, niezależną szkołę Kikuyu.

- Wiedzieliśmy, że tak będzie - odparł Anson zmęczonym głosem. - Mają już dość tego, że my, mieszkańcy Zachodu, narzucamy im nasze chrześcijańskie standardy.

Siostra Mary John szarpnęła głową, unosząc podbródek.

- Wiesz, co Chrystus ma do powiedzenia o letnich chrześcijanach. Jeśli nie będziemy bronić naszych przekonań, nie będziemy nic warci.

- I właśnie to *nic* nam zostanie, jeżeli zlekceważymy kulturę ludzi, którym służymy. Nie, sostro... - powiedział, wstając i podchodząc do swojego biurka. - Jeśli mamy pokazać Kenijczykom korzyści bycia wykształconym, musimy to czynić z szacunkiem dla nich i bez uprzedzeń. Niech siostra nie bierze tego do siebie albo jako słowa przeciw Kościołowi, ale szczerze liczę, że ci nauczyciele, których pozyskał doktor Young, są osobami świeckimi, że nie należą do żadnego zakonu.

Wykrzywiając usta w grymasie, siostra Mary John wstała i odparła:

- Usunięcie Chrystusa ze szkoły będzie wielkim błędem.

- W żadnym wypadku nie zamierzałem znikąd usuwać Chrystusa... jakbym w ogóle mógł. - Anson musiał zacisnąć zęby, by powstrzymać narastające w nim emocje. Piekły go oczy, więc uciskał grzbiet nosa. - Czy nie widzi siostra, że kroczymy po cienkiej linii? Jeśli chcemy, by ta szkoła nadal się liczyła, musimy się przystosować... nie rezygnować z naszych chrześcijańskich poglądów, ale wyjść naprzeciw tym ludziom w duchu pokornej służby, bez potępiania.

Nie potrafił powiedzieć, czyjego argumenty trafiły do niej czy nie. Ale gdy tylko przybędą nowi nauczyciele i siostra Angelica ustali szczegóły swojego powrotnego wyjazdu do

Stanów, siostra Mary John będzie jedyną osobą z ramienia Kościoła wśród personelu szkoły Matumaini, a Anson potrzebował teraz jej wsparcia bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Od czasu, gdy stanął na czele szkoły jako dyrektor, była jego prawą ręką, powierniczką i najbardziej zaufanym doradcą. Teraz, kiedy miał problemy ze wzrokiem, stała się także jego oczami.

Bryony siedziała na huśtawce ogrodowej ze Skarbem, swoją kotką o trójkolorowym umaszczeniu, zwiniętą obok niej, i listem od Larkspur rozłożonym na kolanach. Patrzyła w dal ponad oświetlonym słońcem trawnikiem, a pojedyncza łza płynęła po jej policzku. Kiedy drzwi rnoskitiery skrzypnęły, szybko otarła mokry ślad.

- Tu jesteś. - Michael przeszedł przez werandę i dosiadł się do Bryony na huśtawce. Niezadowolony, że mu przeszkadzono, Skarb wygiął grzbiet i zeskoczył. - Wybacz, kotku, ale nikt nie będzie stawał pomiędzy mną a moją żoną. Nawet ty.

Bryony nie mogła się powstrzymać, by się nie roześmiać. Przyjęła czuły pocałunek męża, po czym otarła z policzka kolejną łzę.

- Nie mogę uwierzyć, że jej nie ma.

- Skarba? Myślę, że wróci, jak tylko poczuje kolację. Bryony żartobliwie pacnęła Michaela po rękę.

- Wiesz, że nie mówię o kocie.

- Wiem, ale nie mogę znieść tego widoku, gdy mój skarb jest tak smutny. - Michael przyciągnął ją bliżej do siebie

i musnął ustami jej skronie. - Lark robi to, do czego czuje powołanie. Wydaje się, że jest szczęśliwa, prawda?

Zerkając po raz kolejny na list, Bryony musiała się zgodzić. Lark wysłała im wiadomość tego samego poranka, gdy wsiadła na pokład w Charleston. Z każdego słowa było pod-ekscytowanie i oczekiwanie, kiedy opisywała spokojną podróż pociągiem z profesorem Keeneem, panią Eck i dwiema absolwentkami college'u Henderson oraz doktorem Irwinem Youngiem, przedstawicielem stowarzyszenia misyjnego, który to wszystko zorganizował.

- Nie umiem się jednak przestać martwić. - Bryony westchnęła gwałtownie. - Lark tak wiele pisze o tym jej profesorze i w tak entuzjastycznych słowach... Obawiam się, że *prawdziwym* powodem wyjazdu do Afryki jest jej zainteresowanie jego osobą.

Michael zamilkł na dłuższą chwilę, a potem odparł:

- Lark nigdy nie była impulsywna. Przynajmniej mi się taka nie wydawała w tym niezbyt długim czasie, od kiedy ją znam.

- Impulsywna? Nie. Ale zawsze była marzycielką, zawsze też tkwiła z nosem w książce. Od dziecka pragnęła czegoś więcej niż tylko dorastania na farmie.

- W takim razie może właśnie o to chodzi. Lark ma szansę zrobić coś znaczącego i trwałego w swoim życiu.

- Może. - Ale nawet jeśli, Bryony nie potrafiła otrząsnąć się z dręczącego ją niepokoju, że jej siostra wypływała na zbyt głębokie wody.

Lark może i była najbardziej bystrą z sióstr Linwood, ale gdy człowiek się zakocha, mogą się dziać dziwne rzeczy. Poza tym co oni wiedzieli o tym profesorze Keenie? Może

jest kompletnym łajdakiem i jeśli cokolwiek poszłoby źle, będzie ich dzielić cały ocean, a Lark będzie na zupełnie innym kontynencie. Michael pogłaskał Bryony po rękę.

- Wcale nie jesteś przekonana, co?

Skarb przywędrował z powrotem. Z żalnym miauknięciem kotka wskoczyła na kolana Bryony, mnąc list i patrząc do góry szklanym wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: „Już wystarczy. Teraz zwróć uwagę na mnie!”. Bryony podrapała ją za uszami, a następnie uwolniła spod niej kartkę, wygładziła pogniecenia i złożyła ją starannie na trzy.

- Wiem, że to strata czasu i sił, żeby zamartwiać się rzeczami, nad którymi nie mamy kontroli.

- Wyjęłaś mi to z ust. - Michael wysunął list z ręki Bryony i wsadził sobie do kieszeni koszuli. - A teraz, jeśli udałoby nam się przekonać tego kota, któremu wydaje się, że do niego należymy, aby dał nam trochę czasu na osobności, z radością odwrócę twój umysł od *wszystkich* trosk.

Lark zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek minie jej ta choroba morska i czy uda jej się przyzwyczaić do nieustannego wznoszenia się i opadania statku. Spędziła pierwsze trzy dni zamknięta w kajucie, którą dzieliła z panią Eck. Obie wymiotowały na zmianę i odmawiały wszelkiego pożywienia poza krakersami i ogórkami kiszonymi.

Czwartego dnia doktor Young namówił je na wyjście na pokład, by zaczerpnęły odrobinę świeżego powietrza. Tam Lark spotkała profesora Keenea, który rozmawiał przyjaźnie

z doktorem Youngiem i pozostałymi kobietami. Nie mogła powstrzymać uczucia zazdrości, że żadna z młodszych pań nie wydawała się ani trochę chora. Próbowwała się uśmiechać i dołączyć do rozmowy, ale szybko ruszyła z powrotem prosto w stronę kabiny, zanim upokorzyłaby się ponad barierką statku.

W połowie drugiego tygodnia mogła już normalnie jeść bez uczucia mdłości. Była też w stanie poruszać się po pokładzie ze względną stabilnością, więc zaczęła zwiedzać statek i cieszyć się bezkresnymi widokami Atlantyku. Dni były spokojne i monotonne, jednak to dawało jej wiele możliwości, żeby lepiej zaznajomić się ze swoimi towarzyszami. Szybko wzbudziły jej podziw intelekt i dojrzałość Debry i Sandry, a także ich bezinteresowne poświęcenie się pracy w szkole Matumaini.

„Matumaini” - powtarzała Lark w kółko w swojej głowie, by zapamiętać zapis i wymowę słowa. Często, kiedy leżała już przed snem, przeglądała broszurę o szkole, przyglądając się uważnie każdej fotografii. Wyobrażała sobie, że stoi przed klasą i te spragnione wiedzy twarzyczki patrzą na nią, a wszystkie umysły gotowe są, by wypełnić je po brzegi wiadomościami, które miała im przekazać. To była jej własna *matumaini*... jej nadzieja, jej odwieczne marzenie.

W trzecim tygodniu czerwca przepłynęli przez Cieśninę Gibraltarską i znaleźli się na Morzu Śródziemnym. Lark nie potrafiła powstrzymać radości ogarniającej ją na myśl o tym, że podróżuje tak blisko miast i krajów, które znała dotąd tylko z książek. Maroko i Hiszpania, Włochy i Grecja, Libia i Egipt...

Któregoś popołudnia, kiedy statek przepływał obok Port Said przez Kanał Sueski, profesor Keene dołączył do stojącej obok barierki Lark.

- Czyż to nie piękny widok?

Serce Lark drgnęło na lekkie muśnięcie, gdy ich ramiona się zetknęły. Skupiła uwagę na ruchliwym wybrzeżu.

- Trudno mi uwierzyć, że tu jestem.

- Do tej pory prowadziłaś dosyć bezpieczne życie, prawda? - Profesor zaśmiał się delikatnie. Przechylając się tak, by znaleźć się na wprost niej, oparł się łokciem o barierkę. Drugą dłonią odgarnął na bok pasmo jej włosów, które wiatr wywiał z koka.

Poufałość tego gestu sprawiła, że Lark zadrżała. Śmiejąc się ze skrępowania, odsunęła się i z powrotem upięła włosy.

- Urodziłam się w Memphis, ale nie wyjeżdżałam poza Arkansas, odkąd moja mama przywiozła nas do Edenu, kiedy miałam siedem lat. - Ponownie skierowała wzrok w stronę nabrzeża, gdzie łodzie przeróżnych rozmiarów kołysały się pomiędzy pomostami, a samochody mijały się na drodze, wzdłuż której rosły drzewa. Wszystko wydawało jej się tak nierealne, że z jej ust wydobyło się mimowolne westchnienie. - I tak aż do teraz. To jest najbardziej ekscytująca i najbardziej przerażająca rzecz, której się kiedykolwiek podjęłam.

- Nie ma się czego bać, Lark. - Profesor Keene przysunął się bliżej, a jego ciepły uśmiech był taki kuszący. - Naprawdę się cieszę, że uczestniczysz z nami w tej przygodzie.

Jego zainteresowanie nie powinno aż do tego stopnia przyprowadzić jej o dreszcze, ale podobnie jak nie była w stanie zawrócić statku, nie potrafiła panować nad swoimi reakcjami

wobec takiej bliskości. Czyż jednak nie był tak samo zainteresowany Sandrą i Debrą? Lark często widziała go, gdy przechadzał się po pokładzie z jedną lub obiema dziewczętami, a ich głowy pochylone były we wspólnej, ożywionej rozmowie. Nie faworyzował żadnej z nich podczas posiłków w jadalni, starając się za każdym razem zajmować różne miejsca przy stole. Oczywiście pani Eck miała niemały wpływ na ich kontakty towarzyskie. Rzadko dopuszczała do damsko-męskich spotkań bez jej wyraźnego nadzoru.

O wilku mowa... Oto właśnie i ona nadchodziła, korzystając z czasu na popołudniową przechadzkę.

- Dzień dobry, profesorze, panno Linwood. - Pani Eck zerkała przez przyciemnione okulary o zielonych szklach spod opadającego, szerokiego ronda słomkowego kapelusza. - Czyż to nie najpiękniejsza pogoda? Państwo we dwoje niech uważają, żeby was nie spiekło. - Zarówno ton, jak i odpowiednio dobrane słowa wskazywały, że chodzi jej o coś więcej niż tylko kąt padania słońca.

- Dziękuję pani - odpowiedział profesor Keene, skłoniwszy się teatralnie. - Życzę pani miłego spaceru.

Lark odwróciła się od barierki.

- Chyba jednak powinnam się schronić na chwilę. Nigdy nie znosiłam słońca tak dobrze jak moja siostra Bryony. Ale najbiedniejsza była zawsze Rose ze swoimi rudymi włosami i piegami!

- Bryony, Larkspur i Rose... cóż za piękny „bukiet”¹. Jednakże z tych trzech, wydaje mi się, że najchętniej wybrałbym ostróżkę. Ma piękny odcień błękitu, taki jak twoje oczy.

¹ Imiona dziewcząt pochodzą od roślin i oznaczają kolejno: przestęp, ostróżkę i różę (O ile nie zaznaczono inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Ciepło rozlewające się po obliczu Lark nie miało nic wspólnego z egipskim słońcem. Spuściła głowę i szybko przeszła na drugą stronę pokładu.

Profesor poszedł za nią i przytrzymał jej drzwi.

- Chyba zobaczę, czy Irwin nie ma ochoty zagrać w shuf-fleboard². Widzimy się na obiedzie?

Miała trochę czasu na to, by opanować pierwsze zmieszanie, więc uniosła wzrok i z uśmiechem odpowiedziała:

- Nie mogę się już doczekać, profesorze Keene. Pogroził jej palcem, mówiąc:

- Ile razy mam ci powtarzać, żebyś mówiła mi Franklin? W zasadzie samo Frank też byłoby dobrze. Przecież teraz jesteśmy na koleżeńskim stopie.

Lark zatrzymała się w wejściu, wzruszyła ramionami i skinęła głową w kierunku pani Eck, która właśnie znajdowała się na rufie statku.

- Skoro nasza szanowna przyzwoitka nalega na formalne zwroty, trudno mi mówić inaczej.

- Rozumiem cię. - Profesor Keene przewrócił oczami. -Co byśmy zrobili bez naszej drogiej pani Eck, która trzyma nas w ryzach?

Kusiło ją, żeby odpowiedzieć, że być może nie wybrałaby się w ogóle w tę podróż, gdyż bez zabezpieczenia w postaci dostojnej obecności pani Eck dziadek pewnie zamknąłby Lark na cztery spusty w jej pokoju na farmie jeszcze na długo po tym, jak statek odpłynąłby z portu.

Ponieważ nie pozostawało nic do zrobienia poza znalezieniem dobrej książki, Lark skierowała się w stronę niewielkiej

2 Gra polegająca na trafianiu krążkami w pola oznaczone cyframi. Często rozgrywana na pokładzie statku.

biblioteki pokładowej. Zastała tam Debrę, która z lekturą na kolanach patrzyła przez iluminator.

Ciemnowłosa kobieta z krzywym uśmiechem skierowała na nią spojrzenie.

- Właśnie czytałam książkę o Afryce, ale stwierdziłam, że widoki są dużo ciekawsze.

- Prawda? - Lark zajęła miejsce w fotelu obok niej i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że Debra miała idealny widok na miejsce, w którym Lark stała razem z profesorem na pokładzie.

- I znowu się rumienisz. - Debra potrząsnęła głową. -Szczerze mówiąc, moja droga, masz wyraźnie wypisane na twarzy wszystkie twoje uczucia do Franka.

Lark zacisnęła dłonie w pięści, w milczeniu przeklinając swoją jasną karnację.

- W stosunku do profesora Keenea czuję wyłącznie uczniowski podziw.

- Ale on nie jest teraz twoim nauczycielem. - Unosząc się nieco, Debra sięgnęła do ramienia Lark. - Uwierz mi, byłam w tej samej sytuacji i zdaję sobie sprawę, jak bardzo potrafi być czarujący. Pilnuj swojego serca, moja droga. Nie chciałabym, żebyś cierpiała.

- Dziękuję za dobrą radę. Z pewnością chciałaś dla mnie dobrze. - Lark poczuła ukłucie urazy. Wstała sztywno, starając się posłać swojej rozmówczyni uprzejmy uśmiech, a potem wymaszerowała z biblioteki.

Na korytarzu spotkała ją Sandra.

- Och, cześć, Lark. Spotkałaś gdzieś Franka? Widać właśnie Egipcjan jadących na wielbłądach i chciałam, żeby to zobaczył. - Złapawszy za dłoń Lark, dodała: - Czyż to nie

jest najbardziej ekscytująca podróż?

- Z pewnością tak jest. - Niemile uczucie mdłości skręciło żołądek Lark. Zakrywając usta, rzekła: - Wybacz mi, proszę, Sandro, ale nagle poczułam się niezbyt dobrze.

Kilka minut później, w samotności swojej kajuty, leżała na koi z chłodnym okładem na czole. „Kiedy ty wreszcie będziesz ze sobą szczerą, Larkspur Jane Linwood?” - pytała samą siebie. Wiedziała, że to nie jedynie zew do służby w szkole misyjnej wyciągnął ją w tę podróż. Chciała przekonać się, że Franklin Keene widział w niej kogoś wyjątkowego, kogoś, o kogo mógłby zabiegać bardziej niż o zwykłą studentkę albo nawet koleżankę.

Ale romans? Lark uważała się za intelektualistkę, która nie da się nabrać na maślane oczy i słodkie słówka. Jednocześnie jednak jakaś jej część tęskniła za taką trwałą miłością, którą jej siostra Bryony znalazła u Michaela Heatha. Ich także łączyło niewiele, tak samo jak w przypadku Bryony, która pracowała dla zamożnej rodziny Michaela, właścicieli plantacji.

Cóż, jeśli cokolwiek miało wyniknąć ze związku Lark i jej profesora, miała na to cały rok w odległym kraju, podczas którego będą mogli lepiej się wzajemnie poznać.

- Franklin - powiedziała na głos i usiadła na łóżku, zdejmując z czoła okład. - Frank. - Mówienie mu po imieniu z pewnością ustawi ich na równej stopie. Będzie potrzebowała nieco czasu, żeby się przyzwyczaić, ale przecież trening czyni mistrza. - Cześć, Frank. Piękny dziś dzień, prawda? Frank, może mógłbyś mi polecić jakąś dobrą książkę z biblioteki. Och, Frank, przejdźmy się po pokładzie pooglądać wspólnie gwiazdy.

„Och, proszę...” - jęknęła w duchu. Lark nigdy w życiu nie miała drygu do flirtowania, co innym dziewczętom wydawało się przychodzić z taką łatwością. Już lepiej, żeby była sobą, zanurzoną w książkach idealistką, i by zawierzyła przyszłość Bogu. W końcu to Bóg sprawił, że się tu znalazła, a jak ona miałaby kochać mężczyznę, który nie akceptowałby jej taką, jaką jest?

3.

- Uparty, uparty człowiek. - Siostra Mary John sięgnęła ponad biurkiem Ansona, żeby zgasić lampę naftową. - Potrzeba ci żony, aby o ciebie dbała, bo ty z pewnością nie potrafisz o siebie zadbać.

Przechyliwszy głowę na bok, uśmiechnął się z przekąsem.

- Jest siostra chętna?

- Hm! Jestem poświęcona Chrystusowi, jak dobrze wiesz. - Zakonnica poprawiła rąbek wykrochmalonego, białego welonu okalającego jej okrągłą twarz. - Nie mówiąc już, że jestem od ciebie dwa razy starsza. Z drugiej strony... - ciągnęła, poprawiając stos podręczników - może uda ci się znaleźć odpowiednią kandydatkę pośród nowych nauczycielek, które przybywają jutro.

- Ja nie szukam żony. - Anson wydał z siebie jęk i zmrużył oczy, wpatrując się w otwarty przed nim dziennik. Cholerne oczy! Lekarstwo wiele pomogło w zwalczaniu infekcji, ale nadal miał rozmazany obraz.

Siostra Mary John cmoknęła językiem.

- Idź spać. Skończę dzisiejsze zapiski.

- Nie jestem śpiący. Ja po prostu...

- Nie jesteś to, nie jesteś tamto. Wszyscy święci, ratujcie nas przed człowiekiem, któremu się wydaje, że wie lepiej. - Szerokim biodrem trącała jego ramię, aż niechętnie musiał się podnieść z krzesła.

W połowie drogi przez pokój odwrócił się jednak z irytacją w spojrzeniu, której siostra Mary John, jako że siedziała do niego plecami, wcale nie zauważyła.

- Rozumiem, że dopóki siostra jest tu ze mną, nie muszę w ogóle myśleć.

- Tak byłoby najlepiej - odparła, nie podnosząc nawet wzroku znad dziennika. - Dobranoc, Ansonie. Śpij dobrze.

Nie zostało mu nic, tylko roześmiać się w duchu i potrząsnąć głową. Siostra Mary John opiekowała się nim od dzieciństwa, zarówno jako nauczyciel, jak i mama, od czasu śmierci jego matki, gdy miał zaledwie dwanaście lat. Jej grób obok nagrobka jego ojca znajdował się jakieś czterdzieści metrów stąd, na cmentarzu, za małą kaplicą, w której siostra Mary John codziennie rano modliła się przed rozpoczęciem lekcji.

Jako syn oddanych misjonarzy i nauczycieli, a teraz dyrektor szkoły, którą założyli państwo Schafer, Anson stał na straży znacznej spuścizny. Miał tylko nadzieję, że będzie umiał w tym samym duchu utrzymać wizję rodziców, a jednocześnie dostosować szkołę do przyszłych wyzwań zmieniającej się Kenii.

Zanim udał się na spoczynek, zawrócił i przeszedł przez korytarz na piętrze, żeby zajrzeć jeszcze do pustych pokoi, które niedługo zajmą nowi pracownicy. W ostatniej wiadomości Irwin podał mu więcej szczegółów dotyczących

rekrutacji w Henderson State Teachers College. Miał przywieźć ze sobą profesora akademickiego, mającego kwalifikacje zarówno do szkolenia, jak i kierowania placówką, wraz z pielęgniarką, dwiema akredytowanymi nauczycielkami i bystrą, młodą studentką pedagogiki, która ukończyła dwa lata w Henderson.

Pokoje nie były duże, ale w każdym znajdowały się dwa wąskie łóżka, wysoka komoda i małe biurko pod pojedynczym oknem. Anson miał nadzieję, że kobiety nie będą miały nic przeciwko współdzieleniu pomieszczenia. Irwin zamierzał zostać tylko miesiąc, a potem miał wrócić do Stanów, więc on i profesor mogli przez jakiś czas dzielić kwaterę. Siostra Angelica również wyjedzie z Irwinem, co da im kolejny wolny pokój.

Jedna z kenijskich kobiet, która gotowała i sprzątała w budynku szkolnym, zmiotła podłogi i przygotowała łóżka dla gości. Mimo to w pokojach czuć było wilgoć i stęchliznę. Pora deszczowa dobiegała już końca, więc nie zawadzi wpuścić do pomieszczeń trochę świeżości. Rozchyliwszy skrzydła okna w sypialni położonej najbliżej jego pokoju, Anson nabrał w płuca chłodnego wieczornego powietrza. Gdzieś z otaczających lasów dobiegał chichot hien, które zapewne rozgrzebywały resztki ofiary pantery. Anson miał nadzieję, że doktor Young jasno nakreślił kandydatom, jak dziki jest ten kraj, w którym mieli wkrótce zamieszkać.

Otworzywszy okna w pozostałych pokojach, Anson przygotował się do spania. Jego zmęczone oczy z radością przyjęły ciemność i zanim zasnął, wzniósł w niebo codzienną modlitwę o powodzenie szkoły i bezpieczeństwo dla podróżujących.

Poranek powitał go krzątanią w oczekiwaniu na przybycie nowych pracowników. Statek powinien był dopłynąć do portu w Mombasie wczoraj z rana, a potem grupa miała wsiąść do pociągu do Nairobi, skąd następnie mieli dostać się koleją do Nyeri. Stamtąd Irwin planował wynająć samochód, żeby pokonać pozostałą część trasy. Przyjadą tu zmęczeni, zdezorientowani i głodni, więc siostra Mary John poprosiła, aby pomoc kuchenna przygotowała solidny posiłek, który będzie można przygrzać, gdy tylko wszyscy się zakwaterują.

Dochodziła już czwarta po południu, gdy dwa głośne pojazdy zatrzymały się u podnóża schodów prowadzących na werandę. Anson poprawił swoją muszkę i przylizął dłonią włosy, a potem poszedł za siostrą Mary John do głównego wejścia. Nigdzie nie było widać siostry Angeliki i Anson podejrzewał, że najprawdopodobniej pakowała już swoją walizkę.

- Ansonie, chłopcze, dobrze cię znowu widzieć! - Irwin wytoczył się z pierwszego auta i przywitał druha, biorąc go w objęcia i klepiąc po plecach.

- Ciebie też, przyjacielu. Mam nadzieję, że mieliście spokojną podróż?

- Kilka ciężkich dni na morzu, ale tak, poza tym było całkiem przyjemnie. - Cofnąwszy się o krok, Irwin zmierzył Ansona wzrokiem. - Trochę posiwiałeś na skroniach od czasu, gdy widziałem cię po raz ostatni. Jak tam infekcja oka?

- Poprawia się. - Anson zamrugnął i zwrócił uwagę na pozostałych, którzy wyciągali swoje rzeczy z samochodów.

- Proszę, przedstaw mnie naszemu nowemu personelowi.

- Oczywiście. Jestem przekonany, że docenisz ich i uznasz

za prawdziwy skarb dla szkoły. - Podczas gdy kierowcy przynosili bagaż na werandę, Irwin dokonał szybkiej prezentacji.

Siostra Mary John już zapoznawała się z czterema kobietami. - I musicie używać tylko gotowanej wody do picia i mycia zębów - wyjaśniała. - Jeśli wydaje wam się, że choroba morska jest ciężka, to była ona niczym w porównaniu z tym, z czym będziecie się zmagać tutaj.

Jasnowłosa młoda dama ubrana na niebiesko - chyba Lark Linwood, o ile Anson dobrze usłyszał - najwyraźniej pobladła. Rzuciła zatrwożone spojrzenie w kierunku innych kobiet. Anson zrobił krok w ich stronę.

- Siostrzo, nie ma powodu straszyć pań od samego początku. Zapewniam was, drogie panie, że podejmujemy wszystkie konieczne środki ostrożności, zarówno w kwestii wody pitnej, jak i przygotowywania posiłków. A teraz, proszę, wejdźcie do środka, a siostra Mary John zaprowadzi was do kwater. Zaraz przyniosą też wasze bagaże.

Gdy tylko kobiety oraz profesor ruszyli za siostrą Mary John, Anson wezwał dwóch najemnych Kenijczyków i poprosił, by wnieśli walizki. Potem razem z Irwinem udali się do gabinetu, gdzie kucharka przygotowała dla nich herbatę i kanapki.

- Chciałem wcześniej powiedzieć - zaczął starszy mężczyzna, częstując się filiżanką herbaty - że ta praca cię postarza. Nigdy przedtem nie wydawałeś mi się aż tak zmęczony.

- Bo *ja jestem* zmęczony. - Opierając się jednym łokciem na biurku, Anson rozmasowywał sobie czoło. - Ale to nie

przez pracę. To przez zmartwienie, jak długo jeszcze uda nam się utrzymać szkołę. Trzy kolejne rodziny zabrały swoje dzieci w tym tygodniu. Irwin sięgnął po kanapkę i gryzł ją w zamyśleniu.

- Rozumiem, że niezależne szkoły rosną w siłę. Podzielim twoje przekonania co do potrzeby sekularyzacji szkoły, ale obawiam się, że to nie współgra z założeniami stowarzyszenia misyjnego. I nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co twój ojciec, niech Bóg ma go w swojej opiece, mógłby powiedzieć w tej kwestii. Po co mielibyśmy tu być, jeśli nie da się poprowadzić kolejnych dusz ku Chrystusowi?

Dłoń Ansona opadła ciężko na biurko, aż brzęknęła zastawa do herbaty.

- Jesteśmy tu, by kształcić Kenijczyków, tak by mieli nadzieję na lepsze życie na tej ziemi. Przynajmniej ja jestem tu z tego powodu. Jeśli nie jesteśmy w stanie się zgodzić...

- Przepraszam... - Nieśmiały kobiecy głos dobiegł ich od strony uchylonych drzwi.

Anson opanował emocje i wstał. Chociaż zamglony wzrok utrudniał mu rozróżnienie rysów twarzy, rozpoznał jasne włosy i niebieską sukienkę.

- Panna Linwood, mam rację? Potrzebuje pani czegoś? Wśliznęła się do pokoju.

- Chodzi po prostu o to, że każdy jest zajęty i albo się tu urządza, albo odpoczywa. Dzielę pokój z panią Eck, ale ona już zasnęła i nie chciałam jej przeszkadzać, więc zastanawiałam się, czy mogłabym trochę pozwiedzać.

- Proszę wejść, proszę... - Irwin zawołał ją z głębi pokoju. - Właśnie pijemy herbatę z Ansonem. Zapraszamy do nas.

- Tak, prosimy - zgodził się Anson. Wszystko, byleby tylko

zakończyć te pokrętne dyskusje ze starym przyjacielem. Darczył tego mężczyznę wyjątkową sympatią, ale wątpił, czy kiedykolwiek udałoby się im zgodzić w pewnych kwestiach.

- A potem z przyjemnością oprowadzę panią jeszcze przed wieczornym posiłkiem.

- Dziękuję, to bardzo miłe z pana strony. - Młoda kobieta zerknęła na niego i uśmiechnęła się, a wtedy on spostrzegł, że jej oczy były tak samo chabrowe jak jej sukienka.

- W rzeczywistości nie wydaje się pan tak wysoki. Przechyliwszy głowę, zapytał:

- W porównaniu do...?

- Pańskiej fotografii w broszurze.

- Ach, o to chodzi. - Za plecami Anson usłyszał stłumione parsknięcie przyjaciela. - To wina naszego szanownego doktora Younga, który był tu fotografem. Kazał mi stanąć na kilku cegłówkach, żebym sprawiał wrażenie... jak to dokładnie ująłeś, Irwin?

- Erudyty, mój drogi. Tak jak powinien wyglądać dyrektor tak dystygowanej instytucji.

Ukry wając swoje rozbawienie, Anson zwrócił się w stronę panny Linwood.

- Czy pani postrzegала mnie jako takiego? Dystygowanego i erudyte?

W odpowiedzi na skonsternowane odkaszlnięcie młodej damy, Irwin wybuchnął śmiechem.

- On się z panią droczy, moja droga. Ansonie, przysuń krzesło dla panny Linwood, a ja przyniosę filiżankę.

Parę minut później wszyscy troje siedzieli wokół biurka Ansona, popijając herbatę i przegryzając kanapki. Odpowiadając na pytania Ansona, panna Linwood opowiedziała

o latach dorastania na farmie w środkowym Arkansas i odwiecznym marzeniu, by zostać nauczycielką. Miała w sobie tyle zapału i to w połączeniu z wielką ciekawością, że przypominała mu jego zmarłą matkę, gdyż nieustannie nakierowywała rozmowę z powrotem na szkołę, dzieci i społeczność, której służyli.

Niedługo potem Irwin odstawił pustą filiżankę na bok i przeprosił swoich towarzyszy.

- Panno Linwood, obawiam się, że nie mam już pani młodzieńczej wytrzymałości. Powinienem udać się na drzemkę przed kolacją i muszę was zostawić, ale możecie kontynuować beze mnie.

Uświadomiwszy sobie nagle, że miałby zostać sam na sam z kobietą, która nie należała do katolickiego zgromadzenia żeńskiego, Anson podniósł się gwałtownie.

- Jeśli jest pani gotowa, panno Linwood, może moglibyśmy zacząć zwiedzanie, które pani obiecałem.

Choć pan Schafer nie był może tak wysoki, jak wydawał się na zdjęciu, już po „krótkiej” godzinie w jego towarzystwie Lark z pewnością mogła stwierdzić, że był erudytą. I chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że doktor Young użył słowa dystygowany, by opisać szkołę Matumaini, stwierdziła, że to określenie charakteryzowało również pana Schafera. Ze zmierzwionymi włosami w kolorze piaskowego blondu, kanciastą szczęką i wąską sylwetką sprawiał wrażenie profesora, dużo bardziej niż Franklin Keene, który czasem wydawał się zbyt wytworny jak na wykładowcę akademickiego.

Myśli Lark znów pobiegły w niewłaściwym kierunku, więc ukryła grymas, starając się bardziej skupić na tym, co pan Schafer pokazywał w obejściu szkoły. Stali teraz w jednej z klasopracowni i Lark nie mogła sobie odmówić, by zasiąść w ławce w pierwszym rzędzie, za długim, wąskim biurkiem. To pomieszczenie nie różniło się tak bardzo od amerykańskich klas szkolnych, jeśli nie liczyć gołych ścian i braku książek, map i innych pomocy dydaktycznych. Centralne miejsce na przedniej ścianie zajmowała tablica, a pod nią, nieco na lewo, znajdowało się puste biurko i krzesło.

- Nie do końca tego się pani spodziewała? - zapytał delikatnie pan Schafer.

Lark przesunęła dłonią po nierównej powierzchni biurka.

- Nie byłam pewna, czego mam się spodziewać. Nie chodzi o to, że doktor Young źle nas przygotował, ale żaden opis nie może oddać całkowicie rzeczywistości, czyż nie?

Dyrektor podszedł bliżej i z rękami wetkniętymi w kieszenie oraz zawadiackim uśmiechem na ustach, odparł:

- Czyżby to doświadczenie przemawiało przez panią?

Przez głowę Lark przemknęła cała lista rozczarowań, których doświadczyła. Utrata taty na wojnie, później, ledwie zaczęła drugą klasę w szkole w Memphis, mama zdecydowała, że muszą się przeprowadzić do Edenu i żyć z dziadkiem na farmie. Potem, w 1926 roku, matka zmarła w czasie potwornego huraganu, który przeszedł przez Arkansas w Święto Dziękczynienia. Ostatnio przedłużająca się susza pozbawiłaby jej rodzinę wszystkiego, gdyby Bryony nie podjęła się pracy pokojówki w rezydencji państwa Heath. Przynajmniej ta część historii miała szczęśliwe zakończenie. Teraz Bryony i Michael byli już małżeństwem, zakochani w sobie po uszy.

Ale czasem Lark nie potrafiła przestać myśleć o tym, jak jej rzeczywistość wyglądała w porównaniu do marzeń, by żyć długo i szczęśliwie.

Ławka uniosła się nieco. Lark, zauważywszy, że pan Schafer usiadł na drugim końcu, wróciła na ziemię.

- Chyba jednak jestem bardziej zmęczona, niż mi się wydawało - stwierdziła, śmiejąc się z zażenowaniem. - Mój umysł dryfował tysiące kilometrów stąd.

- Zapewne jakieś czternaście albo piętnaście tysięcy kilometrów, jeśli dobrze zgaduję. - W jego pełnych życzliwości oczach błysnęła troska. - Mam nadzieję, że nie będzie pani zbyt mocno tęsknić za domem.

Z ust Lark dobyło się melancholijne westchnienie.

-)a już nawet nie jestem pewna, gdzie jest mój dom. Spędziłam ostatnie dwa lata w akademiku i teraz jestem tutaj, na drugim końcu świata. Ale tak to już jest w życiu, prawda? Wszystko się zmienia, wciąż trzeba się przystosowywać... i ja też tak zrobię. - Wyprostowała się. - Czekałam na tę chwilę od pierwszego spotkania z doktorem Youngiem. Jestem wręcz niewyobrażalnie podekscytowana, gdy myślę o tym, że będę naprawdę uczyć i to tak dużo wcześniej, niż to sobie wyobrażałam.

Pan Schafer odwrócił wzrok i odparł:

- W takim razie mam nadzieję, że to nie będzie kolejna rzeczywistość, która minie się z pani oczekiwaniami. Obawiam się, że frekwencja uczniów znacznie spadła w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Liczymy, że sytuacja się w końcu poprawi, ale być może trzeba będzie na to czasu.

Lark słuchała z niepokojem wyjaśnień dyrektora na temat tego, że Kenijczycy zwracają się raczej w stronę niezależnych,

lokalnych szkół z powodu niezgody pomiędzy chrześcijańskimi naukami a kenijskimi tradycjami etnicznymi.

- Ale ja uważam, że kompromis i współpraca są możliwe - mówił - i wciąż wierzę, że możemy dokonać tu czegoś ważnego.

Mężczyzna bardzo taktownie opisał praktyki ludowe, które były najbardziej problematyczne i wprowadzały podziały pomiędzy chrześcijańskimi misjonarzami a ludnością kenijską, ale Lark wiedziała, o co chodzi. Odwróciła wzrok i zagryzła dolną wargę. Pomyślała o tym, co te małe dziewczynki musiały przeżywać podczas rytuałów przejścia... nic dziwnego, że misjonarze sprzeciwiali się temu.

- Zatem moim zamiarem - kontynuował pan Schafer - jest rozpocząć program szkoleniowy dla Kenijczyków, którzy chcieliby zostać nauczycielami. Przynajmniej w ten sposób możemy uzmysłwić im zalety prawdziwego wykształcenia.

Do sali zajrzała młodsza zakonnica, którą Lark spotkała wcześniej na piętrze.

- Podają już kolację, panie Schafer. Wszyscy zbierają się w jadalni.

- Dziękuję, siostrze Angelico. - Podniósł się i z wyciągniętą dłonią w kierunku Lark, zapytał: - Możemy?

Kiedy pomógł jej wstać z ławki, Lark stwierdziła, że praca pod kierownictwem Ansona Schafera będzie ogromną przyjemnością. Miał w sobie taki spokój, który dodawał jej pewności siebie. Choć szkoła przeżywała trudności, on miał jasną wizję tego, co chciał tu osiągnąć, i Lark cieszyła się, że może mieć w tym swój udział.

Minęły już prawie dwa tygodnie od przyjazdu do szkoły Matumaini i jeszcze nie miała okazji zrobić nic choćby luźno związanego z nauczaniem. Wiedziała, że nie powinna być zaskoczona. Z uwagi na mniejszą frekwencję i fakt, że Debra i Sandra były już pełnoprawnymi nauczycielkami, nie było takich sytuacji, by potrzebowano pomocy Lark. Zamiast tego oddelegowano ją do pilnowania dzieci podczas dwóch półgodzinnych przerw każdego dnia, pomocy w wydawaniu południowego posiłku, a potem do zmywania tablic i ścierania biurek po zakończeniu lekcji.

Jaka szkoda, że doktor Young nie poinformował jej o sytuacji uczniów, zanim namówił ją, by przemierzyła Atlantyk.

Któregoś późnego popołudnia, gdy wylewała wiadro wody po myciu wzdłuż rzędów kukurydzy w ogrodzie warzywnym, profesor Keene wyszedł na przechadzkę, by rozprostować nogi. Od momentu przyjazdu tutaj, spędzał większość czasu, debatując z panem Schaferem i doktorem Youngiem na temat programu szkolenia nauczycieli, który chciał wprowadzić tutejszy dyrektor.

Pełna nadziei na możliwość spędzenia choć krótkiej chwili z Franklinem - dużo bardziej wolała wytworne brzmienie jego pełnego imienia niż zdrobnienie - Lark miała już zawołać na powitanie, gdy na tylnych schodach pojawiła się Debra. Smukła, ciemnowłosa nauczycielka rozejrzała się szybko. Kiedy tylko dostrzegła profesora, w jej oczach błysnęło niedające się z niczym pomylić zainteresowanie. Ruszyła szybko w dół na spotkanie z mężczyzną.

- W końcu kilka minut na osobności - gruchała pieszczotliwie, przeplatając ramię z jego ramieniem.

Lark wśliznęła się głębiej w rzędy kukurydzy, a straszny,

zielony potwór zazdrości zaciskał swoje macki na jej szyi. Obserwowała niechętnie, jak profesor pokierował Debrę za najbardziej oddalony narożnik, przycisnął ją do ściany i łaskotał po szyi stęsknionymi pocałunkami.

Od razu powróciło wspomnienie rozmowy z Debrą w pokładowej bibliotece. „Pilnuj swojego serca?” To raczej nie było słowo przestrogi dla dobra Lark, ale subtelne ostrzeżenie, by trzymała się z dala od mężczyzny, którego Debra miała na oku.

Wycofując się bezgłośnie, Lark zakryła dłonią usta, by pohamować przypływ rozgoryczenia. Kiedy dotarła do najbardziej oddalonej części ogrodu, upuściła wiadro na miękką ziemię i ruszyła biegiem w stronę lasu. Zatrzymała się jednak, gdy przypomniała sobie wyraźne ostrzeżenie pana Schafera, by nie oddalać się zbyt od ogrodzonego obszaru. Jeszcze tego brakowało, żeby się zgubiła i skończyła jako kolacja dzikich zwierząt.

Niechętnie odwróciła się z powrotem w kierunku szkoły. Wyprostowała sztywno plecy i uniosła głowę. Stwierdziła, że okrąży budynek i zajdzie od strony głównego wejścia, jakby po prostu wracała z przechadzki. Będzie udawać, że w ogóle nie zauważyła tej pary obłapiającej się z tyłu zabudowań.

Udało jej się dotrzeć nawet do frontowych schodów, a potem z oczu trysnęły łzy wściekłości. Zachwiała się i z głuchym łoskotem usiadła ciężko na najwyższym stopniu.

- Panno Linwood? - Zza jej pleców dobiegł głos Ansona Schafera. - Czy wszystko w porządku?

Zawstydzona, Lark otarła mokre policzki grzbietem drżącej dłoni.

- Ch-chyba w końcu dopadła mnie tęsknota za domem. Usiadł obok niej i delikatnie ujął ją za rękę.

- Wszystkich nas to od czasu do czasu dotyka.

- Pana też? - Lark pociągnęła nosem, zadowolona z jego obecności, która pomagała jej oderwać się od smutnych myśli. Doceniała również jego życzliwość. - Bo myślałam, że pan dorastał tu, w Kenii.

- To prawda i kocham to miejsce. Ale nie brak tu też... trudności. Uczyłem się w college'u w Stanach i zbytnio przywykłem do wygód życia w Ameryce. Dobrze zaopatrzone sklepy spożywcze, biblioteka pełna książek. - Pan Schafer się zawahał, a jego głos ściszył się do szeptu zdradzającego podenerwowanie. - Prawdziwy doktor, do którego wystarczy zadzwonić, by uzyskać pomoc.

- Chodzi o pańskie oczy... Tak mi przykro. - Lark dostrzegła, że ciężko mu czytać wszystko, co nie było zapisane bardzo dużą czcionką.

Uścisnął krótko jej dłoń, a potem wypuścił.

- Tak i obawiam się, że pozwoliłem temu zbyt długo trwać. Z tego też powodu muszę wam coś zakomunikować i będzie pani pierwszą osobą, oprócz Irwina i Franka, której powiem o tej sprawie.

Lark zjeżyła się na sam dźwięk imienia profesora Keenea. Uniosła wyżej brodę i starała się nie myśleć o tym, czego była świadkiem na tyłach szkoły.

- Sprawia pan wrażenie bardzo poważnego. Czy to złe wiadomości?

- To zależy od punktu widzenia. - Pan Schafer odetchnął głęboko i objął ramionami kolana. - Kiedy Irwin i siostra Angelica będą wyjeżdżać do Stanów w przyszłym tygodniu,

pojadę razem z nimi.

Zaskakująca fala rozczarowania uderzyła ją na tyle mocno, że aż się cofnęła.

- Och, nie... - zawołała, a w myślach dodała: - „Dlaczego?”.

- Pani Eck bada moje oczy codziennie od dnia przyjazdu. Jest przekonana, że bez bardziej zaawansowanych rozwiązań od tych, które są dostępne tutaj, to tylko kwestia czasu, kiedy całkowicie stracę wzrok.

Lark nie mogła się powstrzymać, by nie sięgnąć po dłoń pana Schafera. Spojrzał na nią i teraz patrzyła głęboko w jego zamglone, zaczerwienione oczy. Zniechęcenie, które tam dostrzegła, ścisnęło jej gardło.

- Tak mi przykro - powtórzyła. - Tak bardzo, ale to bardzo przykro.

- Proszę - powiedział, śmiejąc się sztucznie. - Nie jestem jeszcze beznadziejnym przypadkiem. - Jego wzrok spoczął na dłoni, którą go trzymała. - To mnie powinno być przykro, że zostawiam swoich nowych nauczycieli bez dyrektora i to w sytuacji, gdy przyszłość szkoły jest tak niepewna.

- Damy sobie radę, jestem tego pewna. Czy przekazuje pan dowodzenie siostrze Mary John?

- Ona z pewnością poradziłaby sobie z wydawaniem rozkazów, co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości. - Pełen rozbawienia uśmiech sprawił, że lewy kącik jego ust uniósł się wyżej. - Ale nie. Przekazuję kierownictwo profesorowi Keene'owi. Ma imponujące przygotowanie pedagogiczne, które jest tak bardzo potrzebne szkole, a ponadto rozumie moją wizję przekształcenia Matumaini w instytucję szkolącą przyszłych nauczycieli.

- Rozumiem. - Lark ze wzrokiem utkwionym przed sobą dyskretnie cofnęła dłoń i położyła na swoich kolanach.

Pan Schafer popatrzył na nią z ukosa z pewnym zdziwieniem.

- Nie zgadza się pani?

- Nie o to chodzi. - Dlaczego, och, dlaczego w ogóle tu przyjechała? To by było na tyle, jeżeli chodzi o praktykę u boku Franklina Keenea jako współpracownika, jak to czasami obiecując wiele tygodni temu na spotkaniu informacyjnym. Teraz znowu będzie mu podległa, tym razem już nie jako studentka, ale jako podwładna. I to cały czas żyjąc w niezaprzeczalnej świadomości, że on woli inną kobietę.

- Panno Linwood... Lark. Widzę wyraźnie, że powiedziałem coś, co panią zasmuciło. Gdyby tylko mogła mi pani powiedzieć, co takiego...

- To nie ma nic wspólnego z panem. Jest pan dla mnie bardzo życzliwy od dnia mojego przyjazdu tutaj. Jestem panu bardziej wdzięczna, niż mogłabym wyrazić słowami. - Niepewnie stanęła na nogi. - Proszę mi wybaczyć. Powinnam się odświeżyć, zanim zawołają nas na kolację.

Ansonowi nie podobał się zmartwiony ton głosu panny Linwood. Płakała, gdy znalazł ją na schodach, i podejrzewał, że teraz też była ponownie na skraju płaczu, kiedy szybko uciekła do środka. Jej rozpacz wydawała się czymś więcej niż zwykłą tęsknotą za domem.

- Tu jesteś, Ansonie. - Irwin zastał go na werandzie, po tym, gdy Anson wstał, by wrócić do gabinetu. - Jeśli nie

zmieniłeś zdania co do podróży z powrotem do Stanów, pomyślałem, że mógłbym pożyczyć szkolnego Land Rovera i pojechać rano do Nyeri, żeby zarezerwować dla ciebie bilet.

- Nie zmieniłem i nie zamierzam zmieniać. Byłbym ci bardzo wdzięczny. - Anson zacisnął na chwilę powieki. - Nie sądzę, żebym w najbliższym czasie był w stanie sam prowadzić samochód.

Irwin poklepał go po ramieniu, mówiąc:

- Głowa do góry, staruszk. Lekarze w Stanach robią teraz cuda.

Wnioskując po tempie, z jakim jego wzrok się pogarszał, Anson spodziewał się, że trzeba było prawdziwego cudu, by ocalić oczy. Miał tylko nadzieję, że nie czekał zbyt długo, by zachować te resztki widzenia, które jeszcze mu zostały. Jednak niepokój o młodą studentkę pedagogiki przesłaniał jego własne problemy.

- Nie widziałeś się teraz z panną Linwood, prawda?

- Minęła mnie szybko, zmierzając na górę. Przywitałem się, ale sprawiała wrażenie, jakby bardzo jej się śpieszyło.

Anson zacisnął szczęki i podszedł do balustrady werandy. W oddali otaczający ich las tworzył szeroką plamę setek odcieni zieleni.

- Obawiam się, że jest wyjątkowo nieszczęśliwa, a ze względu na to, że byliśmy bardzo zajęci naszymi dyskusjami, zaniedbałem ją i nie poświęciłem odpowiedniej ilości czasu, by pomóc jej się przystosować do pracy, którą tu wykonujemy.

- Nie możesz się za to teraz winić. Mieliśmy ręce pełne roboty, pomagając pannie Nott i pannie McCarrick wejść w ich role nauczycielek, a to, co robią, jest w tym momencie dużo ważniejsze. - Irwin oparł dłonie na balustradzie.

- Zastanawiałem się, czy wyciąganie studentki z uczelni nie jest czasem pomyłką, ale Franklin bardzo zachwalał pannę Linwood i wydawał się szczególnie zainteresowany zabranieniem jej na pokład.

- Naprawdę? - W głosie Ansona wybrzmiewało powątpiewanie. Zwracając się w kierunku Irwina, zapytał cichym głosem: - Jak dobrze znałeś Franklina Keenea, zanim go zatrudniłeś?

- Zwrócił moją uwagę kilka lat temu, gdy lokalna gazeta z Little Rock opublikowała artykuł, w którym wymieniono paru wybitnych wykładowców z uczelni w Arkansas. Byłem pod wrażeniem jego kwalifikacji, więc nawiązałem z nim kontakt i przeprowadziłem kilka nieformalnych rozmów o tym, co tu robimy. Widziałem, że go to zainteresowało.

- Zerkając szybko przez ramię, Irwin mówił jeszcze ciszej:

- Chyba nie masz jakichś wątpliwości co do niego? Skoro masz wracać do Stanów, będziemy go teraz potrzebowali bardziej niż kiedykolwiek.

Obawiając się, że ktoś mógłby ich podsłuchać, Anson zaproponował, żeby się przeszli. Gdy ruszyli ścieżką w stronę kaplicy, powiedział:

- Nie chodzi o to, że kwestionuję referencje Franka, ale czasem odbieram go jako trochę zbyt wygadanego. Nie jestem pewien, czy to twoje wysiłki, czy raczej urok Franklina Keenea skusił pannę Linwood i pozostałe panie do tego, by dołączyły do nas na misjach.

Irwin roześmiał się, ale coś w tym było.

- Jeśli jego urok jest tym, co cię martwi, jak chodzi o nasze nowe nauczycielki, to podejrzewam, że wkrótce to minie. Poza tym siostra Mary John będzie pilnować, by nie

zaszło nic niestosownego.

- Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. - A jednak Anson wciąż nie potrafił się otrząsnąć z wrażenia, jakie na nim zrobił niepokój panny Linwood.

Gdy dotarli do kaplicy, Anson zatrzymał się, by spojrzeć w kierunku głównego budynku. Jakiś ruch nieopodał tylnej werandy przykuł jego uwagę. Nie widział na tyle dobrze, żeby rozpoznać twarze, ale dostrzegł dwoje ludzi, w tym z pewnością jakąś ciemnowłosą kobietę. Pociągnął Irwina za rękaw i wskazując, zapytał:

- Kto to?

Po krótkim wahaniu Irwin odparł sztywno:

- Wygląda na to, że to Frank i panna McCarrick zwarci w uścisku.

W tym momencie Anson wiedział już dokładnie, skąd wzięły się łzy Lark Linwood, i pożałował bardziej niż wcześniej, że będzie musiał zostawić szkołę - a dokładniej jedną, bardzo łatwowierną, młodą pracownicę - w rękach Franka.

4.

W środę rano kolejnego tygodnia uczniowie i pracownicy szkoły Matumaini ze łzami w oczach żegnali Ansona Schafera, doktora Younga i siostrę Angelicę. Lark poznała ich zaledwie trzy tygodnie temu, ale wiedziała, że będzie jej ich brakować, zwłaszcza pana Schafera. Od tego dnia, gdy niemal wypłakiwała mu się na ramieniu, był dla niej szczególnie uprzejmy, często pytając, jak się czuje, i proponując możliwości pracy przy szkole, które nie wiązałyby się z brudną wodą, miotłami czy chochlami.

Zwłaszcza jedno zadanie dawało jej satysfakcję, a była to pomoc dziewięcioletniej dziewczynce w nauce czytania. Jata, która wyjaśniła, że jej imię oznacza „gwiazda”, miała w sobie wiele radości życia i czas spędzony z nią pomagał Lark oderwać myśli od... innych rzeczy. Takich jak na przykład świadomość, że profesor Keene, którego teraz już nawet w myślach nie nazywała Franklinem, został wyznaczony na dyrektora „pod nieobecność pana Schafera”.

Mówiło się tak, jakby pan Schafer miał wrócić, gdy tylko jego oczy się poprawią, ale to mogło potrwać miesiące,

możliwe, że nie uda mu się przed zakończeniem rocznego zobowiązania Lark.

O ile przeżyje tyle czasu. Nie minął jeszcze tydzień od wyjazdu pana Schafera, a profesor Keene zaczął na nowo przydzielać obowiązki i Lark z powrotem została wysłana do podrzędnych prac.

Pewnego popołudnia profesor przyszedł do niej, gdy zaczęła ścierać tablicę.

- Lark, chciałbym, żebyś dzisiaj po kolacji zrobiła porządek w jadalni i przygotowała napoje do podania.

W sercu Lark obudziła się nadzieja.

- Spodziewamy się jakichś gości?

- Ogłaszałem to już podczas sobotniego spotkania pracowników - odparł profesor Keene tonem irytacji. - Spodziewamy się delegacji z okolicznych wiosek, które mają tego wieczoru wysłuchać naszej prezentacji programu szkoleniowego dla nauczycieli.

- Rozumiem. - Chwilowe podniecenie na myśl o gościach zastąpiło oburzenie. - Cóż, podczas sobotniego spotkania miałam inne obowiązki, zatem pierwszy raz słyszę o pańskich planach.

Profesor miał na tyle poczucia przyzwoitości, że przynajmniej przyjął pełen skruchy wyraz twarzy.

- Lark, zupełnie zapomniałem. - Przemierzył pomieszczenie, wziął z jej ręki mokrą ścierkę i wrzucił ją do wiadra z wodą, a następnie zamknął jej dłonie w swoich. - Ależ ze mnie nikczemnik! Proszę, wybacz mi. Kazałem ci sporządzić inwentarz materiałów szkolnych w sobotę, prawda?

Ciepło jego dotyku i szczerłość ciemnobrązowych oczu oraz nieco zawadiacki, przeprasający uśmiech - to wszystko,

wbrew zdrowemu rozsądkowi, sprawiło, że Lark poczuła, jak jej niechęć topnieje.

- Już... już w porządku - usłyszała własny głos. - Po dwóch latach pracy w sklepie spożywczym pana O'Neilla dosyć sprawnie idzie mi inwentaryzacja, no a przecież przyjechałam tu, żeby się na coś przydać.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. - Uszczypnął ją w policzek. - Tyle do zrobienia. Do zobaczenia na kolacji. - Obrócił się na pięcie i wyszedł z sali.

Ganiąc się za uczucia, których najwyraźniej nie kontrolowała, Lark sięgnęła po ścierkę z wiadra z wodą, a następnie ją wykręciła. Długimi, zdecydowanymi ruchami starła z tablicy resztki kredy i żałowała, że nie może tak samo zetrzeć swojej fascynacji ujmującym profesorem. Kolejne dni mijały, a ona wciąż próbowała przekonać samą siebie, że myliła się w ocenie tego, co zaszło pomiędzy profesorem Keeneem a Debrą McCarrick.

Ale trudno byłoby pomylić te miłosne spojrzenia i namiętne pocałunki z czymś innym. Kiedy już nie miała jak zaprzeczyć rzeczywistości, której była świadkiem tamtego popołudnia, zaczęła szukać usprawiedliwienia, wmawiając sobie, że to sprawka Debry, która skusiła profesora Keenea swoimi kształtnymi wargami, długimi rzęsami i zmysłowym głosem. Każdemu mężczyźnie z temperamentem niełatwo byłoby się oprzeć powabom kobiety zdecydowanej na to, by zdobyć jego zainteresowanie.

Lark skończyła z tablicą, a potem wypłukała ścierkę, ogarnęła wzrokiem całą klasopracownię i ruszyła do kolejnej. W korytarzu zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami do następnej sali. Z drugiej strony dobiegały przyciszone

głosy i tłumiony śmiech. Potem cienki pisk i słowa:

- Frank, przestań! Ona tu zaraz przyjdzie sprzątać.

- To jej powiemy, że właśnie szukaliśmy... podręcznika do matematyki albo czegoś innego. Naprawdę, ta dziewczyna to takie niewiniątko.

Lark zrobiło się niedobrze. Rozmawiali *o niej!* Chciała uciec, ale miała wrażenie, że jej nogi wrosły w podłogę, i nie mogła przestać słuchać tych wszystkich bolesnych słów.

- Ty wiesz, że ona jest w tobie zadurzona. Powinniśmy jej powiedzieć prawdę. Serce jej się rozpadnie na milion kawałków.

- Lark? - Usłyszała za plecami głos Sandry i się obróciła. - Już czas na kolację. Co ty... - Brwi Sandry zmarszczyły się w wyrazie zatroskania i szybko podeszła bliżej. - Skarbie, co się dzieje?

Słowa nie chciały jej przejść przez gardło i Lark stała tylko jak posąg z kamienia, a łzy płynęły po jej twarzy.

Wtedy otworzyły się drzwi klasopracowni i śmiech ze środka nagle umilkł. Lark tkwiła w miejscu, wpatrując się w pełne zaskoczenia twarze Debry i profesora Keenea.

Sandra zrobiła krok w przód i podparła się pod boki.

- Nawet nie chcę pytać, co tu się stało.

- Nic, naprawdę nic - zapewniał profesor Keene ze swoim zwykłym, czarującym uśmiechem. - My tylko, hm...

Jakimś cudem Lark udało się odzyskać głos i wtrąciła się:

- Szukaliście podręcznika do matematyki? Debra pobladła.

- Lark, to nie tak...

- Jak myślę? Czy naprawdę myślicie, że ja jestem tak naiwna, że nie potrafię poznać schadzek miłosnych? - Zaciskając

mocno zęby, Lark powoli potrząsnęła przecząco głową. - Powiedz mi tylko, *Franklin*, czy wzięłeś mnie do Kenii tylko po to, aby mieć pewność, że zawsze będzie koło ciebie ktoś, kto będzie na tyle łatwowierny, żeby dać się nabrać na twoje pochlebstwa?

Profesor wyciągnął w jej kierunku dłoń i przymilnym głosem starał się ją udobruchać:

- Lark, posłuchaj mnie...

- Ani słowa więcej, proszę, bo nie jestem w stanie już wierzyć w nic, co powiesz. - Wycofała się i wpadła na Sandrę. Wiadro przewróciło się i po podłodze rozlała się mętnawa woda.

- W porządku. - Sandra próbowała ją uspokoić, otaczając ręką jej ramiona. - Poprosimy pomoc kuchenną, żeby to sprzątnęła. A w międzyczasie... - Rzuciła wyniosłe spojrzenie na parę stojącą w drzwiach. - Wydaje mi się, że musimy odbyć miłą, długą rozmowę z siostrą Mary John i panią Eck.

Debra skoczyła w ich stronę, a na jej twarzy rysowała się skrucha.

- Sandro, proszę, nie! Dajcie nam szansę wytłumaczyć.

- Nie chcę słuchać waszych wymówek. Wiem, jak działaś, Frank. Ja jestem odporna na twoje wdzięki, ale dopiero teraz z przykrością uświadomiłam sobie, w jaki sposób wodziłeś Lark cały ten czas. - I kpiącym tonem dodała: -I jeszcze zadawałeś się z Debrą za naszymi plecami? Powinniście się oboje wstydzić!

Lark nie była już w stanie patrzeć na nich ani chwili dłużej, więc pozwoliła, by Sandra pokierowała ją w stronę gabinetu. Pokój był pusty i młoda nauczycielka usadziła Lark

w fotelu, a potem naląła jej szklankę wody.

- Trzymaj, skarbie. Zbierz się w sobie, a ja przyprowadzę siostrę Mary John i...

- Nie, nie. Nie teraz. - Lark zacisnęła palce na zimnej szklance. - Potrzebuję trochę czasu, by to przemyśleć.

- Oczywiście, rozumiem. To musiało być dla ciebie mocnym wstrząsem.

Lark roześmiała się szorstko.

- W zasadzie nawet nie... albo przynajmniej nie powinno być. Najbardziej jestem wściekła na samą siebie, że odczytałam w zainteresowaniu profesora Keenea więcej, niż powinnam. - Nabrała łyk wody, która spływając, koła ból jej gardła. - Tak jak powiedziałam, muszę coś przemyśleć. Czy mogłabyś w moim imieniu przeprosić... kogo tam trzeba? Idę na chwilę do kaplicy.

Może po głębokiej modlitwie i porządnie przespanej nocy - choć wątpiła, czy w ogóle uda jej się zasnąć - dojdzie do tego, jak uprzątnąć ten straszny bałagan, w którym się znalazła przez swoją naiwność.

- Och, nie. Nie, nie, nie! - Stojąc pośrodku pola bawełny, Rose Linwood patrzyła na zachód, w stronę ciemniejszego nieba.

To nie były deszczowe chmury, które i tak nie przysłużyłyby się tuż przed zbiorami bawełny. To w ogóle nie były chmury, ale toczące się czerwono-brązowe masy urodzajnej ziemi poderwanej z wypalonych suszą pól uprawnych w Teksasie i Oklahomie.

- Do domu! - wrzasnął dziadek. Wymachując rękami, biegł razem z nią przyległym rzędem. - Pozamykaj okna najszybciej, jak umiesz!

Rose nie potrzebowała podpowiedzi. Ileż to już razy tego lata musiała wymiatać pył, który zdołał się wcisnąć przez nawet najmniejsze szczeliny? Jak często, gdy jedli, piasek zgrzytał im w zębach, a posiłki smakowały jak woda ze zmaconego strumienia?

Dotarła do domu tylko kilka minut przed uderzeniem burzy piaskowej. Zasunęła rygle w oknach i zaciągnęła zasłony, a potem pobiegła do drzwi, by sprawdzić, czy dziadek zdążył wrócić.

Potknąwszy się, wpadł przez drzwi z moskitiery i dalej, do kuchni, a wnuczka zatrzasnęła za nim wejście.

- Boże jedyny! - Dziadek zdjął z głowy zakurzony słomkowy kapelusz, odkrywając pokrytą brudem i potem twarz. - Ileż to jeszcze trza wytrzymać?

- Proszę, dziadku. - Rose wręczyła mu wilgotną ścierkę, gdy siadał w fotelu. Zmoczyła też drugą dla siebie, nawet nie po to, by otrzeć twarz, ale by mieć coś wilgotnego i chłodnego, przez co da się oddychać.

Siedzieli w milczeniu, przeczekując burzę. Żadne próby przekrzykiwania wyjącego wiatru i ciągłego stukotu, jaki wydawał piasek uderzający o szyby, nie miały sensu.

Dziesięć minut później, gdy minęło już najgorsze, Rose przygotowała się na to, że kolejne popołudnie spędzi na zamiataniu domu. Mogła tylko mieć nadzieję, że bawełna jakoś przetrwała. I tak już zapowiadały się słabe zbiory, zwłaszcza biorąc pod uwagę przeciągającą się suszę i spadające ceny skupu. Byliby w niezłych opałach, gdyby Miranda Heath

Vargas, córka właściciela plantacji, nie opracowała planu przedłużenia najmu dla wszystkich dzierżawców. Miranda była dużo bardziej hojna i wielkoduszna niż jej ojciec. A poza tym na ich korzyść działało też to, że rodzina Rose przyjęła Mirandę pod swój dach w zeszłym roku, gdy ta powróciła do domu rodzinnego umierająca z głodu i brzemienna.

Jakby nie patrzeć, to był zły czas dla rolników w Arkansas. Zresztą, z tego, co słyszała Rose, nie tylko tam. I nie wyglądało na to, żeby coś się miało poprawić, dopóki nie minie susza. Nie tylko w Arkansas, ale na całym środkowym Zachodzie, skąd nadchodzą te wszystkie burze piaskowe.

Wkrótce, gdy tylko niebo się rozjaśniło, dziadek wyszedł na pole, żeby sprawdzić uprawy, a Rose chwyciła za miotłę i szufelkę. Gdy wynosiła tylnym wyjściem kolejne wiadro pełne kurzu, od strony drogi z terkotem zbliżał się brudny brązowy pick-up.

- Hej, panno Rosie! - Joe, sprzedawca ze sklepu w Edenie pomachał do niej przez okno, gdy zatrzymał się przed oborą. - Jejku, to było straszne, co nie?

- Hej, Joe. - Rose słyszała zmęczenie we własnym głosie. Odstawiła wiadro i powoli podeszła do auta. - Co cię tu sprowadza?

Sięgnął po coś z siedzenia i wysunął przez okno. To była koperta z Western Union³.

- Przyszło do was dzisiaj rano. Dopiero teraz miałem okazję, żeby to przywieźć, zwłaszcza że była ta burza i w ogóle...

- Telegram? Od kogo? - Nie czekając na odpowiedź, Rose rozerwała kopertę i rozłożyła cienką kartkę. - Och, to od Lark!

³ Amerykańskie przedsiębiorstwo zajmujące się dostarczaniem telegramów.

- I co? Wiem, że to nie mój interes, ale jestem ciekaw, jak się jej podoba w Afryce.

Ignorując go, Rose przebiegła wzrokiem wiadomość: „Wracam do domu. Przybędę do Brinkley pod koniec września. Więcej później. Tęsknię. Całuję, Lark”.

To nie mogło być nic dobrego. Minął zaledwie miesiąc od czasu jej przyjazdu do Kenii, a ona już wracała do domu? To nie było w stylu Lark, żeby się łatwo poddawać, zwłaszcza gdy robiła coś z zapalem. Czyżby okazało się, że szkoła była inna, niż oczekiwała? A może Lark jest chora?

Rose machnęła w zamyśleniu w stronę sprzedawcy.

- Dzięki, Joe. Muszę pokazać to dziadkowi. Do zobaczenia w mieście.

Znalazła dziadka w oborze, gdzie właśnie sprzątał. Mimo że zamknął drzwi dokładnie, zanim uderzyła burza, pełno kurzu dostało się przez szpary między deskami. Hermiona i Daisy, krowa mleczna i mulica, stały w swoich boksach, mrugając, by pozbyć się piasku z oczu.

- Zobacz, co właśnie przywiózł Joe! - zawołała Rose, podając dziadkowi telegram. - Lark wraca.

Zaciskając mocno usta, dziadek skończył czytać i wyjrzał przez otwarte drzwi na zewnątrz.

- Nie powiem, żeby mi było przykro.

- Martwię się o nią, dziadku. Nie umiem znaleźć dobrego wyjaśnienia na to, że tak szybko wraca z Kenii.

- Zgadza się, ale jeśli ten wyjazd był pomyłką, lepiej odkryć to wcześniej niż później. - Poskładał telegram i wetknął go do kieszeni swoich farmerskich ogrodniczek. - Jak skończysz w domu, udaj się do Wielandów. Dowiedz się, czy Caleb znowu w tym roku jest chętny na odróbkę przy

zbiorach bawełny. Nasza będzie już gotowa za kilka tygodni. Rose byłaby za to wdzięczna, ale teraz bardziej martwiła się o siostrę niż o bawełnę. Może po drodze do Wielandów zajedzie do miasteczka i zapyta Joego, czy mogłaby skorzystać z jego telefonu. Trzeba powiedzieć Bryony o telegramie, a kiedy tylko Lark wróci, Bryony będzie najlepiej wiedziała, jak pomóc siostrze przejść przez problemy, które spowodowały tę nagłą zmianę planów.

Gdy statek dobił do portu w Norfolk w stanie Virginia, Irwin Young naciskał, żeby Anson nie czekał ani chwili dłużej i złożył medykowi wizytę w sprawie swoich oczu. Lekarz na statku kontynuował leczenie, ale przyznał, że Anson powinien odwiedzić specjalistę najszybciej, jak to będzie możliwe.

Teraz Anson siedział w gabinecie lekarskim, czekając na orzeczenie okulisty.

- Nic pan nie mówi - zaczął, gdy doktor pochylał się, by zajrzeć przez wziernik. Mógł się cieszyć, że lekarz nie jadł cebuli na obiad.

Mężczyzna odsunął swój stołek i zmarszczył brwi.

- Infekcja jest zaleczona, ale pojawiło się trwałe zbliznowacenie rogówki. Obawiam się, że już zawsze będzie pan cierpieć na zaburzenia widzenia.

Anson westchnął z udręczeniem.

- Czy to będzie się pogarszać z czasem?

- Bliznowacenie nie. Ale infekcja osłabiła pańskie oczy i spowodowała znaczną krótkowzroczność. Okulary pomogą

tylko na jakiś czas. - Doktor wzruszył ramionami. - A na dłużej? Czas pokaże. Teraz jednak musi pan często dawać oczom odpocząć i zawsze zakładać przyciemniane okulary, gdy będzie pan wychodził na zewnątrz.

Kiedy lekarz coś notował, Anson zdobył się na pytanie, które kotłowało mu się w głowie, odkąd tylko postawił nogę w gabinecie. A w zasadzie nawet od czasu, gdy wyjechał z Kenii pięć tygodni temu.

- Panie doktorze, proszę mi szczerze odpowiedzieć. Czy w związku z moim wzrokiem są jakieś przeciwwskazania co do mojego powrotu do Afryki?

Choć widział wszystko jak przez mgłę, rozpoznał zwątpienie na twarzy lekarza.

- Kolejna infekcja może sprowadzić na pana całkowitą ślepotę. Jeśli nie chce pan stracić tego, co panu zostało, stanowczo zalecam, by pozostał pan w Stanach albo przynajmniej starał się unikać podróży do słabiej rozwiniętych krajów, w których rozprzestrzeniają się podobne infekcje.

Anson skinął głową, wyrażając zrozumienie. Nie to chciał usłyszeć, ale nie mógł powiedzieć, by go to zaskoczyło. Opuścił gabinet lekarski z milczącą akceptacją.

Asystent lekarza zaprowadził Ansona do przyległego pokoju, gdzie dobrał mu dwie pary okularów, jedne na co dzień, a drugie na wyjścia na zewnątrz.

- Będzie pan mógł je odebrać pojutrze - poinformował asystent. - Proszę zostawić recepcjonistce numer, pod którym można się z panem skontaktować.

W recepcji Anson ponownie spotkał się z Irwinem.

- Złe nowiny. Widzę to po twojej minie - orzekł przyjaciel.

- Nie teraz, Irwin. - Anson, zaciskając szczęki, skierował się do wyjścia. Kiedy znaleźli się na rozświetlonej słońcem ulicy, nasunął mocniej kapelusz na oczy.

Zatrzymawszy się na chodniku, Irwin rozejrzał się w prawo i lewo, a potem zapytał:

- Jesteś głodny? Jest tu niedaleko kawiarnia. Byłeś u lekarza tak długo, że przegapiliśmy lunch.

- Zamów coś dla siebie, jeśli chcesz. Ja chętnie wrócę do hotelu, jeśli złapiesz dla mnie taksówkę. - Anson nie mógł znieść myśli, że jest tak bezradny. Trudno mu było powstrzymać gorycz w głosie.

- Nie, w porządku. Odprowadzę cię do hotelu i możemy tam coś zjeść. - Irwin jakby od niechcienia ujął przyjaciela pod rękę i pokierował go w stronę krawężnika. - Jest nawet taksówka.

Zanim dotarli do hotelu, Anson odzyskał już pozory opamnowania. Usiadł naprzeciw Irwina w jadalni, przy odosobnionym stoliku, i kiedy czekali na zamówione kanapki klubowe, zrelacjonował to, co powiedział mu okulista.

- Ojej, naprawdę bardzo mi przykro. - Irwin pokiwał głową. - Na pewno jesteś załamany, ale musisz wziąć pod uwagę swoje własne dobro. Nie widzę jednak powodu, dla którego nie miałbyś nadzorować wszystkiego na odległość.

- Tak, ale to już nie to samo. - Zmrużywszy oczy, Anson patrzył przez okno, śledząc niewyraźne zarysy przechodniów. - Jesteś całkowicie przekonany, że Frank jest odpowiednio wykwalifikowany, żeby objąć kierownictwo?

- Wykwalifikowany? Wyjątkowo dobrze. Ale już o tym rozmawialiśmy. Wydaje mi się, że to nie o kwalifikacje martwisz się najbardziej.

Anson odetchnął ze świstem.

- Muszę być pewien, że moja wizja szkoły... szkoły, którą założyli moi rodzice i której poświęcili swoje życie... nie zostanie zapomniana. Muszę wiedzieć, że profesor Keene będzie kochał i troszczył się o szkołę Matumaini z takim samym oddaniem.

Irwin nie odpowiedział od razu. Bawił się filiżanką kawy.

- Nie ma nikogo takiego - powiedział powoli - kto dorównałby tobie, jeśli chodzi o oddanie dla szkoły Matumaini, ale to nie znaczy, że szkoła nie będzie się rozwijać pod przywództwem innej osoby. Zdecydowanie wierzę we Franka. A jeśli byłoby to wskazane, jestem gotowy osobiście wrócić do Kenii w twoim imieniu i sprawdzić, czy wszystko działa, jak należy. Masz moje słowo.

Anson miał pewne zastrzeżenia co do Franklina Keenea, zwłaszcza po tym, czego był świadkiem pomiędzy nim i panną McCarrick na tyłach szkoły. Z drugiej jednak strony, ufał bezgranicznie Irwinowi Youngowi. Poza tym cóż mu pozostało? Na nic by się nie przydał w szkole ani nikomu innemu, jeśli straciłby na zawsze wzrok.

Kelner przyniósł ich posiłek i dolał im kawy. Po kilku kęsach Irwin zapytał:

- Myślałeś już, dokąd się teraz udasz?

- Pewnie do Little Rock. Muszę zdać raport przed stowarzyszeniem misyjnym. - Anson nałożył sobie musztardę na kanapkę. - A potem... nie mam pojęcia. Z tymi oczami wątpię, bym miał jeszcze uczyć.

Irwin odchrząknął.

- Nie zaczynaj gadać jak stary koń, którego mają posłać na zieloną trawkę. Możesz uczynić jeszcze wiele dobrego.

- Może. - Chociaż w tym momencie Anson nie był w stanie tego dostrzec ani dosłownie, ani w przenośni. Pewnie dlatego, że jego serce wciąż pozostawało w Kenii.

Dolewając sobie śmietanki do kawy, Irwin przechylił głowę i rzekł:

- Nadal masz wątpliwości co do Franka, prawda? Anson odłożył kanapkę na bok.

- Nie mogę zapomnieć o tym, co widzieliśmy tamtego wieczoru, i nie potrafię przestać się martwić o Lark Linwood. Obawiam się, że jest skazana na rozczarowanie i złamane serce przez swojego przystojnego profesora, a teraz jeszcze nie mogę nic zrobić w tej sprawie.

Irwin wziął głęboki wdech i już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Po kolejnej krótkiej pauzie zaczął:

- Jest coś, co powinienem był ci powiedzieć już dawno temu. I zrobiłbym to, gdybym nie obiecał dochować tajemnicy.

Anson wyprostował się i lakonicznie odparł:

- Nie wiedziałem, że mamy przed sobą tajemnice.

- Tylko tę jedną i jestem przekonany, że będę tego żałował. - Westchnąwszy boleśnie, Irwin mówił dalej: - Pomimo tego, co wszyscy mogą myśleć, nie zaszło nic niewłaściwego pomiędzy Frankiem a panną McCarrick... a raczej, ściślej ujmując, *panią* Keene.

- Oni są *małżeństwem*⁷. Od jak dawna?

- Wzięli ślub parę miesięcy przed ukończeniem college'u przez pannę McCarrick. A że Frank był jej wykładowcą i kierownikiem studiów, utrzymywali zawarcie związku małżeńskiego w tajemnicy, by uniknąć skandalu na uczelni.

Anson zgniótł w palcach serwetkę, a potem pchnął krzesło do tyłu.

- Kiedy dokładnie zamierzali to ogłosić publicznie?

- Frank chciał mieć całkowitą pewność, że zatrudnią się w Matumaini na dłuższy czas i będzie mógł oficjalnie złożyć rezygnację w Henderson. - Irwin uniósł obie ręce i wzruszył ramionami. - Nie ma profesury, nie ma skandalu.

- A w międzyczasie Frank mógł bawić się uczuciami łatwowiernej młodej damy, takiej jak panna Linwood.

- Jeśli to może być jakimś pocieszeniem, nie wydaje mi się, żeby Frank specjalnie ją zwodził. Po prostu ma taką naturę.

- Ty to nazywasz „naturą”. Dla mnie to rażąca nieodpowiedzialność. - Anson zerwał się na nogi. - Będę przy recepcji. Idę wysłać telegram do siostry Mary John.

Dwa dni podróży pociągiem z Nyeri do Mombasy, a potem jeszcze ponad miesiąc na morzu dały Lark wystarczająco dużo czasu na zastanowienie się, co ma zrobić ze swoim życiem. Nie zdąży wrócić do Stanów na czas, by zapisać się na rozpoczynające się jesienią zajęcia w Henderson, ale może wzięcie urlopu na okres tego trymestru wcale nie byłoby takim złym pomysłem. Mogłaby pomóc dziadkowi i Rose na farmie i w tym czasie leczyć złamane serce.

Nie, lepiej zapomnieć o tym głupim pociągu do mężczyzny, który bawił się jej uczuciami od samego początku.

Zdawała sobie sprawę, że powinna podziękować profesorowi Keene'owi za to, iż w końcu wyznał prawdę, ale było to

trochę za późno. Podczas jej ostatniego dnia w szkole poprosił ją o prywatną rozmowę.

- Proszę, Lark, nie myśl o mnie źle - powiedział, gdy stali na tylnej werandzie wychodzącej na ogródek warzywny. - Ani o Debrze. Oboje obawialiśmy się, że to byłoby zbyt ryzykowne dla rozwoju naszej kariery, gdyby wiadomość o naszym ślubie wyszła na jaw w niewłaściwym czasie.

W tamtej chwili Lark nie przychodziło do głowy nic, co mogłaby odpowiedzieć, ale podczas długich dni na morzu wielokrotnie od nowa przeżywała tamto popołudnie, za każdym razem wymyślając nowe, coraz bardziej płomienne riposty: „A zatem własne tajemnice były ważniejsze, dlatego usprawiedliwiały krzywdzenie innych?”, „Jestem pewna, że ty i Debra świetnie się bawiliście, śmiejąc się ze mnie za moimi plecami”, „Powinnam być ci dozgonnie wdzięczna za to, że pokazałeś mi, jak zupełnie nie można ufać mężczyznom”.

Chociaż... nie wszystkim mężczyznom. Przynajmniej taką miała nadzieję. Nie śpieszno jej było otworzyć ponownie swoje serce, ale może któregoś dnia, gdy już skończy college i zacznie uczyć... po tym, jak stanie się odporna na elokwentnych mężczyzn i ich czułe słowa... może wtedy weźmie pod uwagę możliwość, by dać miłości kolejną szansę.

Kiedy statek dopłynął do Charleston, Lark spędziła jedną noc w wynajętym pokoju w pensjonacie dla samotnych kobiet. Następnie wsiadła do pociągu, który miał ją zawieźć z powrotem do Arkansas. Minęły jeszcze dwa dni podróży koleją, nim dotarła do Brinkley.

Bryony i Michael czekali już na dworcu. Siostra wybiegła jej na spotkanie i chwyciła ją w objęcia.

- Lark, kochanie, tak się cieszę, że wróciłaś!

To było najcudowniejsze na świecie, czuć się otuloną siostrzaną miłością. Lark uścisnęła ją mocniej, wtulając się w siostrę.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam. Tak bardzo!

Michael zaraz znalazł tragarza, który pomógł im zanieść bagaż do auta. Lark usadowiła się na tylnym siedzeniu zielonego chevroleta i miała nadzieję, że Bryony wstrzyma się trochę, zanim zada pytania, na które wszyscy z pewnością pragnęli znać odpowiedzi.

- Będę samolubna i zatrzymam cię u nas na noc - stwierdziła Bryony, gdy Michael odjeżdżał spod dworca. - I tak już prawie pora na kolację, a ja akurat mam pieczeń w piecu. Potem będziesz mogła wymoczyć się w wannie, żeby zmyć z siebie trudy podróży, a następnie udasz się do łóżka i porządnie wyśpisz.

Bryony zawsze umiała matkować.

- Dziękuję ci, Bry. Twoja propozycja brzmi cudownie. W domu Michael zaniósł torbę podróżną Lark do pokoju gościnnego, a Bryony poszła sprawdzić kolację.

- Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebowała, po prostu powiedz - oświadczył Michael.

- Zastanawiałam się... - Lark zagryzła wargę, niepewna, jak zacząć tak delikatną kwestię. - Czy Bryony...

Jakby czytając w jej myślach, Michael odwrócił wzrok i zaprzeczył ruchem głowy.

- Jeszcze nie.

- Będę się dalej modlić.

Uśmiechając się smutno, Michael przeprosił i wyszedł, pozwalając, by Lark się odświeżyła. Kilka minut później Bryony zawołała ich do jadalni. Przez cały czas, gdy jedli,

Lark widziała nieme pytania w oczach siostry, więc kiedy tylko skończyli posiłek i Michael zaproponował, że pozmywa w kuchni, Lark zaprosiła ją na huśtawkę ogrodową na werandzie i powiedziała jej całą prawdę o Franklinie Keenie.

Bryony ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w dal ponad trawnikiem.

- Tego się właśnie obawiałam, że coś do niego czujesz.

- Chodzi o to, że był dla mnie za stary? - Lark zdusiła w sobie ukłucie niechęci. - Michael jest od ciebie starszy o dobre dziesięć lat, a popatrz, jacy jesteście szczęśliwi.

- Nie martwiłam się o różnicę wieku. - Bryony otoczyła ramieniem Lark. - Jako twój wykładowca powinien był odwieść cię od zainteresowania jego osobą, a przynajmniej nie wspierać takich uczuć.

Lark westchnęła. Kiedy cierpienie i gniew ustępowały, zaczynała dostrzegać drugą stronę Franklina Keenea.

- Wydaje mi się, że nie był w stanie sam sobie pomóc. Nie określiłabym go mianem kobieciarza, ale to jest mężczyzna, który uwielbia zainteresowanie ze strony kobiet. - Zacisnęła usta. - Który nie wie, kiedy należy zaprzestać oczarowywania swoją osobą.

W oczach Bryony widać było zamyślenie. Przechyliwszy głowę, uśmiechnęła się i rzekła:

- Moja młodsza siostrzyczka dorasta. Lark zaśmiała się cierpko.

- Tylko dlaczego musiałam w tym celu przepłynąć ocean...

I to nie raz, ale dwa razy?

- Bo niektórzy są większymi realistami niż inni?

- Hm, cóż, przynajmniej ta długa podróż pomogła mi nabrać dystansu. Być może lepiej znosiłabym dwulicowość

Franklina Keenea, gdybym tylko spełniała się zawodowo w tamtej pracy, a nie była traktowana jak służąca. Opierając czoło o głowę Lark, Bryony wyszeptała:

- Z tego powodu przykro mi najbardziej, bo wiem, jak wiele dla ciebie znaczyła ta okazja.

Lark zamknęła oczy i zaczęło ją ogarniać zmęczenie. Gdyby się nie pilnowała, łagodne kołysanie huśtawki uspiłoby ją tu na miejscu. Sennie wyrzekła:

- Mówiłam ci już ostatnio, jak bardzo cię kocham, Bry? Co ja bym w ogóle zrobiła bez mojej starszej siostry?

- Ja też cię kocham, Lark. Bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. - Westchnąwszy z zadowoleniem, Bryony wtuliła się w nią jeszcze bardziej.

Nagle coś ciepłego i mokrego przesunęło się po szyi Lark i odchyliwszy się lekko, starła kciukiem łzę siostry.

- Nie płacz, Bryony. Wróciłam już do domu, tu, gdzie moje miejsce.

Następnego dnia rano Lark spakowała ponownie swoją małą torbę podróżną i pojechała z Michaeliem i Bryony do Edenu, gdzie spotkali się z dziadkiem i Rose na niedzielnym nabożeństwie. Lark cieszyła się, że przyjechali na tyle wcześnie, by mogli razem spędzić chwilę przed rozpoczęciem. Jeszcze będzie mnóstwo czasu po powrocie na farmę, żeby wyjaśnić dziadkowi i Rose, dlaczego tak nagle wróciła.

Ale najpierw Lark musiała znieść powitania i pytania ze strony pastora i przyjaciół z Kościoła. Starła się dawać jak najbardziej wyważone odpowiedzi, twierdząc, że sytuacja

w Kenii okazała się nieco inna od tej opisaney i że szybko uświadomiła sobie, że ona nie pasowała do tamtej szkoły.

Później w domu opowiedziała dziadkowi i Rose wszystko... no prawie wszystko. Nie było sensu roztrząsać swojego braku właściwego osądu sytuacji, zwłaszcza jeśli chodziło o Franklina Keenea.

- Co teraz zrobisz? - zapytała Rose, gdy zmywały razem naczynia po niedzielnym obiedzie. - Zamierzasz wrócić do college'u?

- Dopiero na trymestr wiosenny. Obawiam się, że do tego czasu będziesz musiała tutaj ze mną wytrzymać.

- Eh, świetnie. - Rose żartobliwie trzepnęła ramię Lark ścierką do naczyń. - W takim razie przejmiesz prace domowe i gotowanie, żebym mogła spędzać więcej czasu z dziadkiem w polu.

Wylewając zawartość miski do zlewu, Lark upewniła się, że dziadek udał się do salonu na drzemkę, a potem ściszym głosem zapytała:

- Powiedz mi, Rosie, jak złe były tegoroczne zbiory bawełny?

- Skrajnie złe. W najlepszym wypadku udało nam się zebrać kilkaset funtów z akra. W sytuacji, gdy płacą za ledwie pięć centów za funt, staczamy się na dno.

Lark sama nie wiedziała, dlaczego spodziewała się, że pod jej nieobecność coś szczególnie się polepszy. Chyba to były pobożne życzenia. Rozwiesiła mokrą ścierkę do naczyń na krawędzi zlewu i wyjrzała przez okno na rozległe obszary ścierniska.

- Gdybym wróciła do Arkadelphii, pan O'Neill dałby mi pewnie więcej godzin w sklepie. Nie będę musiała opłacać

uczelni jesienią, więc mogłabym wysłać dodatkowe pieniądze do domu dla ciebie i dziadka.

- Wolałabym raczej mieć cię tutaj. Zwłaszcza teraz, gdy Bryony jest w Brinkley, brakuje mi tu was bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Uśmiechnąwszy się znacząco, Lark pociągnęła siostrę za warkocz.

- Coś mi się wydaje, że tak naprawdę brakuje ci kogoś, kto mógłby się zająć gotowaniem.

- Hm... to też - rzekła Rose z kokieteryjnym uśmiechem. Zaraz jednak posmutniała. - Kocham dziadka z całego serca, ale, prawdę powiedziawszy, tęsknię za siostrami, z którymi mogłabym porozmawiać tak po kobiecemu.

- Po kobiecemu? O pewnym mężczyźnie, który ma na ciebie oko?

- Nie zaczynaj się droczyć ze mną na temat Caleba! - Kłyszając biodrami, Rose przeszła do stołu i usiadła ciężko. - Opowiedz mi każdą, nawet najdrobniejszą, ekscytującą rzecz, jaka przytrafiła ci się w tej podróży. Co widziałaś? Kogo spotkałaś? Jaka jest Afryka? Czy były tam lwy i słonie, i nosorożcy... nosorożce... jakkolwiek one się zwa?

Śmiejąc się w głos, Lark dołączyła do Rose przy stole.

- Szkoda, że nie miałam aparatu albo przynajmniej talentu do rysowania jak Michael. - Westchnęła na wspomnienie tego wszystkiego, czego doświadczyła. - Pomimo że *nie wyszło* tak, jak marzyłam, to naprawdę była moja życiowa przygoda.

5.

Nie minął miesiąc, odkąd Anson wrócił do Little Rock, gdy w jego życie zaczął się wdzierać niepokój. Nie mając pretekstu, by udać się gdzieś indziej, przyjął propozycję zamieszkania u Irwina Younga. Jako wdowiec od ponad dekady, Irwin cieszył się, że będzie mógł dzielić lokum z przyjacielem. Co więcej, było to wygodne, gdyż jedynie krótki spacer dzielił dom Irwina od biura stowarzyszenia misyjnego, gdzie Anson spędzał większość czasu każdego dnia, pomagając w miarę potrzeb. Ale monotonia odbierania telefonów i prób zajęcia się korespondencją, którą ledwie był w stanie czytać bez poważnego nadwyrężania wzroku, nużyła go. Tęsknił za szkołą Matumaini, tamtejszymi pracownikami, uczniami, a przede wszystkim za poczuciem, że robi coś ważnego.

Nie uświadamiał sobie też wcześniej, że wraca do kraju, który pogrążony jest w kryzysie ekonomicznym. Czuł się jednocześnie upokorzony i zasmucony, kiedy zdał sobie sprawę, jak bardzo niedoinformowany pozostawał przez te wszystkie lata pobytu z dala od kraju. Irwin za każdym razem, gdy go odwiedzał, przywoził najnowsze gazety, ale

ponieważ Anson zmagał się z dnia na dzień ze zmianami zachodzącymi w Kenii, nie interesowało go zbytnio to, co działo się na drugim końcu świata.

Teraz żałował, że nie zwracał na to uwagi. Banki upadały lub tkwiły na krawędzi upadku. Miliony Amerykanów żyły bez pracy, wielu z nich nie pozostawało nic innego jak zamieszkać w swoich samochodach lub cienkich, tekturowych barakach. Zarówno dzieci, jak i dorośli głodowali. Świat, do którego wrócił, wydawał się wyjątkowo smutnym miejscem.

Ale może to właśnie była dla Ansona szansa, żeby znaleźć nowy sens własnego życia. Może nie miał pieniędzy, aby zapewnić żywność i dach nad głową potrzebującym, ale jedno, mógł dać innym - wykształcenie. Tak jak pragnął nieść nadzieję przez edukację ludności Kenii, czy nie mógł dać tego samego niewykształconym dzieciom tutaj, w Arkansas?

Zamierzał dzisiaj spotkać się z Irwinem na kolacji i podzielić się z nim swoimi przemyśleniami. Kiedy biuro misyjne zamknięto na koniec dnia, Anson ruszył dwie przecznice dalej do pobliskiej kawiarni, gdzie zastał Irwina, który czekał już na niego przy stoliku.

Gdy tylko złożyli zamówienie, Anson przeszedł od razu do rzeczy.

- Jestem sfrustrowany ponad miarę, Irwinie. Muszę znów poczuć się potrzebny. - Przedstawił swój pomysł, wciąż jeszcze bardzo mglisty, o tym, by dać potrzebującym dzieciom z Arkansas szansę na wykształcenie. - To jakieś błędne koło. Rzucają szkołę, żeby szukać pracy albo dlatego, że ich pomoc jest potrzebna na farmie, ale bez wykształcenia nigdy

nie będą mogli osiągnąć nic lepszego, nawet gdy pewnego dnia sytuacja gospodarcza się poprawi.

- To bardzo zacne cele - odparł Irwin, smarując bułkę masłem.
- Oczywiście, zostaje jeszcze kwestia funduszy, a towarzystwo misyjne już i tak ma mocno napięty budżet.

- Też to sobie ostatnio uświadomiłem. - Anson odkroił kawałek pieczeni. Ostatnio coraz częściej doskwierały mu wyrzuty sumienia w związku z tym, że jest w stanie cieszyć się trzema sowitymi posiłkami dziennie, podczas gdy tyle osób cierpiało z głodu. Być może powinien wkrótce przemyśleć swoją sytuację finansową. Towarzystwo misyjne, jego główne źródło utrzymania przez te wszystkie lata, wypłacało mu nadal niewielkie uposażenie na ten przejściowy czas, ale jeśli miał mieć stałe przychody, powinien wrócić na misje zagraniczne - co lekarze szczególnie mu odradzali - albo udowodnić, że może przydać się w organizacji bardziej niż tylko w kwestiach papierkowych.

- Spróbujemy o tym jeszcze razem pomyśleć. A tymczasem...
- ciągnął Irwin, zgniatając w kulkę serwetkę i odkładając ją obok talerza. - Może zainteresuje cię list, który otrzymałem od siostry Mary John dzisiaj rano.

Anson ożywił się.

- Jakież nowiny ze szkoły? Co pisze?

Irwin wyjął z kieszeni list i przebiegł tekst wzrokiem, jakby chciał odświeżyć go w pamięci. Odkasznął i zaczął:

- Inicjatywa szkolenia przyszłych nauczycieli powoli rusza, ale mają nadzieję, że zainteresowanie wzrośnie, kiedy wieść o tym rozniesie się w okolicy. Zauważają otwartość na współpracę, a przynajmniej brak jakiegoś szczególnego oporu ze strony kierownictwa kenijskich szkół.

- To dobra wiadomość - skomentował Anson, popijając kawę.
- Píše coś o Franku?

- Mówi, że radzi sobie dosyć dobrze z codziennym przewodzeniem placówce i że zyskuje coraz większe poważanie wśród pracowników.

Anson westchnął krótko z ulgą.

- Chwała Bogu!

- I jeszcze coś... - Irwin odwrócił list na drugą stronę i Anson z łatwością zauważył jego zmartwiony wyraz twarzy. - Niestety panna Linwood wyjechała z Kenii zaledwie dwa tygodnie po nas.

- Co? Nie! - Kawa chlusnęła ponad krawędzią filiżanki Ansona, gdy gwałtownie odstawił ją na spodek. Kiedy ta wiadomość dotarła do niego, zamknął na chwilę oczy i potrząsając głową, rzekł: - Tak czułem, że nie będzie tam szczęśliwa. Zwłaszcza że Frank i panna McCarrick mieli potajemny ślub. Ale tym gorsze musiało być jej rozczarowanie obowiązkami, które więcej miały wspólnego z pracą służącej niż z nauczaniem.

- Niestety nic tu się nie dało zrobić, jak to się potem okazało. A jednak współczuję tej dziewczynie, że tak mało знаła życie. Okazała się zbyt marzycielska i nie wyszło jej to na dobre. Żałuję teraz, że Frank w ogóle zaprosił ją na nasze spotkanie informacyjne.

Anson prychnął.

- Nie spodziewałbym się, że jako człowiek, który od dziesiętna lat pracuje przy misjach, będziesz kręcić nosem na idealistyczne pobudki.

- Być może po prostu się starzeję - odparł Irwin i zaśmiał się bez przekonania. - A może to z powodu smutnego stanu,

w jakim znajduje się ten kraj. Nadszedł czas, gdy względy praktyczne stają się ważniejsze.

Wyjrawszy przez okno, Anson dostrzegł ubranego w łańchmany mężczyznę, który powłócząc nogami, szedł chodnikiem. Wymizerowany, z zapadniętymi oczami i zgarbionymi ramionami, wyglądał, jakby stracił całą nadzieję. Kiedy zatrzymał się, by zajrzeć przez okno, Anson poczuł, jak zalewa go nowa fala poczucia winy. Przeciął na pół ostatnią bułkę z koszyka na pieczywo i posmarował masłem, a potem włożył tam resztki pieczeni i zawinął tę kanapkę w serwetkę. Przeprósiwszy, wybiegł przez drzwi i wręczył zawiniątko zaskoczonemu włóczędze.

- Dziękuję, sir! Niech panu Bóg błogosławi za okazywaną dobroć. - Oczy mężczyzny przepełnione były łzami. Wręczył Ansonowi pomietą karteczkę i ruszył dalej w swoją stronę.

Poprawiając okulary, Anson z trudem odczytał skrupulatnie wykaligrafowany tekst: „List do Hebrajczyków 10, 24-25: Troszczmy się o siebie wzajemnie, by się zachęcać do miłości i do dobrych uczynków. Nie opuszczajmy naszych wspólnych zebrań, jak się to stało zwyczajem niektórych, ale zachęcajmy się nawzajem, i to tym bardziej, im wyraźniej widzicie, że zbliża się dzień”.

Był to fragment, nad którym Anson wielokrotnie rozmyślał i miał nadzieję, że jego życie odzwierciedlało te słowa.

Wydawało się też, że to jest Boże potwierdzenie w idealnym czasie, obietnica błogosławieństwa na kolejny rozdział w powołaniu Ansona do służby.

W dzień wyborów, 8 listopada 1932 roku, Lark weszła do sklepu razem z dziadkiem i dumnie oddała głos na Franklina Delano Roosevelta. To był jej pierwszy raz, gdy mogła głosować w wyborach prezydenckich, i cieszyła się, że ma okazję przyczynić się do wykopania Hoovera z urzędu.

- Myślisz, że Roosevelt wygra? - zapytała Rose po tym, gdy Lark i dziadek wrzucili swoje głosy do zamkniętej skrzynki koło drzwi.

- Jest lepszy jak amen w pacierzu. - Gniewny grymas na twarzy dziadka dobitnie świadczył o tym, iż jego zdaniem Hoover sromotnie zawiódł, jeśli chodzi o wyciągnięcie kraju z kryzysu.

Lark zerknęła w stronę stoiska z mięsem. Joe liczył sobie jedenaście centów za funt mielonego. W maju zeszłego roku pan O'Neill sprzedawał mięso mielone o trzy centy taniej, a i tak wszyscy uważali, że to skandaliczna cena. Wreszcie nadszedł czas, żeby Ameryka miała prezydenta, który dostreże trudy biednych i spróbuje coś z tym zrobić.

Zanim Lark ruszyła do drzwi za dziadkiem i Rose, obok niej zaczął krzątać się Joe.

- Hej, nie zapomnijcie poczty. - Wetknął w dłoń Lark jakieś koperty. - Może to coś ważnego.

- Na przykład rachunki? - Marszcząc nos, Lark w zamyśleniu przerzucała plik kopert, gdy kierowała się do wyjścia na ciepłe popołudniowe powietrze. Jeszcze przez ramię rzuciła: - Daj nam znać, kiedy dowiesz się o wynikach wyborów, dobrze, Joe?

- Jasne.

Zza kierownicy pick-upa pomachała do niej Rose i zawołała:

- Wskakuj. Dziadek poszedł jeszcze do sklepu z paszami.

Lark skończyła przeglądać pocztę do czasu, gdy Rose przejechała ten krótki odcinek i zaparkowała ponownie. Jediną interesującą rzeczą był list, na którym widniał adres zwrotny pana O'Neilla. Lark pisała do niego kilka tygodni temu, pytając, czy będzie mogła podjąć pracę, gdy wróci na trymestr wiosenny. Odpisał od razu, potwierdzając, że zawsze ma dla niej miejsce, i wyrażając żal z powodu nieudanego wyjazdu do Kenii.

W dzisiejszym liście znalazła wycinek z lokalnej gazety w Arkadelphii. Pan O'Neill pisał: „Czy to nie ten sam gość ze szkoły w Kenii, o którym wspominałaś w liście?”.

Właściwie tak było. Zdjęcie Ansona Schafera widniało obok artykułu zapowiadającego jego wizytę w Henderson State Teachers College w sobotę 12 listopada.

Rose zerknęła w jej stronę.

- Cóż tam masz?

- To pan Schafer, dyrektor szkoły Matumaini. - Gdy podawała Rose list i wycinek z gazety, jej ręce zaczęły się trząść, choć nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Zaraz szybko dodała: - Chyba pojedę do Arkadelphii na najbliższy weekend.

Nie tłumacząc nic więcej, Lark wyskoczyła z pick-upa i pognęła z powrotem ulicą do sklepu wielobranżowego.

- Muszę skorzystać z telefonu, Joe. Połączenie zamiejskowe, więc dolicz do naszego rachunku.

Chwilę później rozmawiała z panem O'Neillem. Po głosie słychać było, jak bardzo ten wesoły człowiek cieszy się z telefonu od niej, a jeszcze bardziej odczuła to, gdy przedstawiła mu swoją prośbę.

- Ależ jasne, przyjeźdź tutaj, skarbie - powiedział. - Pani O'Neill przyszykuje dla ciebie pokój gościnny.

Następnie Lark zamówiła u Joego bilet na piątkowy autobus do Arkadelphii i powrotny na sobotę. Zanim wróciła do rodziny pod sklepem z paszami, Rose i dziadek już domyślili się, o co chodzi.

- Mam nadzieję, że nie jesteście na mnie źli? - Lark przestąpiła z nogi na nogę. - Zapłacę za rozmowę telefoniczną i bilet ze swoich pieniędzy, obiecuję.

- Nie martwili my się tym - oświadczył dziadek ze zmarszczonym czołem - ale znam cię i wiem, że budujesz pałace w chmurach. Tak jak z tą Afryką. Zbyt szybko robisz ufny krok, nie bacząc, że możesz się przewrócić.

W środku czuła fajerwerki, więc tylko uściśnęła mocno dziadka.

- Ale kiedy się jest zbyt skupionym na przewracaniu, to czy to w ogóle byłby ufny krok? - Przytuliła się mocniej, a potem cofnęła na tyle, by ująć w dłonie policzki dziadka. - Obiecuję, jadę tylko posłuchać pana Schafera. Nie będę podejmować żadnych pochopnych lub głupich decyzji.

W sobotę Lark stała przed lustrem w pokoju gościnnym pana O'Neilla. Poprawiła kołnierzyk bluzki. Mankiety były nieco poszarpane i nie był to szczyt mody, ale Lark pomyślała, że odcień kości słoniowej dobrze dopełniał jej karnację.

I wcale nie miała zamiaru zakładać niebieskiej sukienki w kropki - tej, o której kiedyś myślała, że podoba się

Franklinowi Keene'owi. Kilka razy już zastanawiała się, czy jej komuś nie oddać, ale nie mogła sobie pozwolić na to, by poświęcić jedną z niewielu ładnych rzeczy, które posiadała.

Pani O'Neill zajrzała do pokoju.

- Benjamin już czeka, żeby zawieźć cię na uczelnię, gdy tylko będziesz gotowa.

- Zdaje się, że już lepiej się nie przygotuję. - Przyklepała jeszcze kok i chwyciła sweterek oraz torebkę.

Od chwili, gdy ujrzała fotografię Ansona Schafera w wycinku z gazety, nie potrafiła powstrzymać podekscytowania. Jakoś dotąd nie myślała zbyt wiele o jego powrocie do Stanów, zakładając, że pewnie wyleczył oczy i jest już znowu w Afryce.

Ale teraz okazało się, że zamierzał zostać w Arkansas i według tego, co napisano w gazecie, był właśnie w trakcie zakładania fundacji edukacyjnej, która miała służyć najbardziej potrzebującym dzieciom. Jeśli Lark mogłaby odegrać jakąś małą rolę - może Bóg prowadził ją całą drogę do Kenii właśnie po to, żeby spotkała Ansona Schafera i stała się częścią jego organizacji - w takim razie ostatnie pięć miesięcy nie było taką całkowitą stratą czasu i środków, jakie stowarzyszenie misyjne w nią zainwestowało.

Piętnaście minut później pan O'Neill wysadził ją przed salą wykładową, w której miał przemawiać pan Schafer. Szukając miejsca na auli, przywitała się z kilkoma dziewczętami poznanymi w ciągu ostatnich dwóch lat, a one oczywiście pytały, gdzie się podziewała od zeszłej wiosny. Tylko kilka z nich wiedziało o jej podróży do Afryki i te przyjaciółki chciały z kolei dowiedzieć się, dlaczego tak szybko wróciła.

Jedyne, co mogła powiedzieć, to że po prostu nie wyszło to najlepiej.

W trzecim rzędzie przy przejściu było jeszcze wolne siedzenie. Lark zajęła je, tuż zanim siwowłosa kobieta z wydziału języka ojczystego przedstawiła pana Schafera. On wszedł na podium z takim samym spokojem i niewymuszonym uśmiechem, który Lark pamiętała z Kenii. Jediną różnicą była para okularów w okrągłych, połączonych oprawkach na jego nosie.

- Dzień dobry - zaczął. - Dziękuję wszystkim za przybycie.

Głęboki tembr jego głosu od razu przeniósł Lark do tego dnia, kiedy po raz pierwszy spotkała go przed Matumaini, i serce zabiło jej mocniej w piersi. Przechyliła się nieznacznie w kierunku przejścia, licząc, że może on ją rozpozna. Wkrótce jednak, widząc, jak trzyma głowę i często dotyka palcami oprawek okularów na skroniach, domyśliła się, że jego wzrok niewiele się poprawił. Na myśl o tym poczuła przyływ współczucia i troski oraz jeszcze większy podziw, gdy opisywał to, co chciał osiągnąć dla najbardziej zaniedbanych dzieci w Arkansas.

Na zakończenie jego przemówienia dwoje wolontariuszy rozdało ulotki z dodatkowymi informacjami dotyczącymi jego fundacji oraz tego, jak można zgłosić się na wolontariat albo wesprzeć tę inicjatywę finansowo.

Kiedy sala wykładowa opustoszała, Lark skierowała się do przodu. Czekwała chwilę z boku, gdy pan Schafer rozmawiał z dwójką innych studentów. Kiedy odeszli, zrobiła krok ku niemu i nieśmiało wyciągnęła dłoń.

- Dzień dobry, panie Schafer. Dobrze pana znów widzieć.

Przechylił głowę w bok i uśmiechnął się z zaciekawieniem, gdy ścisnął jej dłoń.

- Proszę mi wybaczyć, moje oczy nie są już takie jak dawniej. Pani głos brzmi znajomo... - Zmrużył powieki i pochylił się bliżej, a jego twarz pojaśniała. - Panna Linwood!

- Tak. Kiedy dowiedziałam się, że będzie pan dzisiaj przemawiał, musiałam przyjechać.

- Tak się cieszę, że pani to zrobiła. - Przywołał gestem kogoś za plecami Lark. - Irwinie, popatrz, kto tu jest!

Doktor Young podszedł do nich. Kiedy poznał Lark, jego brwi uniosły się w wyrazie pełnym zainteresowania.

- O, panna Linwood. Jak się pani miewa? Słyszeliśmy od siostry Mary John, że wróciła pani do domu.

- Tak, stwierdziłam... że tak będzie lepiej. - Lark wyciągnęła rękę do doktora Younga, gdyby tylko pan Schafer ją puścił, ale nie dość, że ją trzymał nadal, to jeszcze w obydwu dłoniach.

- Wróciła pani na uczelnię? - spytał pan Schafer.

- Jeszcze nie, ale zamierzam zapisać się na trymestr wiosenny

- Ale wszystko w porządku? - Przysunął się bliżej, jakby próbował ją lepiej widzieć. - Zastanawiałem się... to znaczy razem z Irwinem zastanawialiśmy się...

Wyprostowawszy plecy, Lark zmusiła się do uśmiechu, po czym uwolniła dłoń z uścisku.

- Ubiegłe wakacje okazały się dla mnie cenną lekcją. Jej wynik mógł być nieco rozczarowujący, ale nigdy nie zapomnę pobytu w Kenii.

Po chwili milczenia doktor Young skinął głową i rzekł:

- Widzę, że wyszła pani z tego mądrzejsza.

Lark zwilżyła wargi.

- Cóż, chciałam... chciałam po prostu powiedzieć, że jeśli w jakiś sposób mogę pomóc w pańskiej sprawie... niestety nie finansowo, to mam nadzieję, że pan mnie poinformuje.

Gdy odwróciła się, by odejść, pan Schafer zrobił olbrzymi krok w bok i stanął na jej drodze.

- Panno Linwood... Lark. Może masz czas, by dotrzymać nam towarzystwa dziś podczas kolacji?

Jeśli było coś, co Anson chciałby widzieć bardziej niż ukochane książki, to była to twarz Lark Linwood, gdy uśmiechała się do niego zza stołu. Otaczał ją nimb połyskujących blond włosów, a jasnoniebieskie oczy błyszczały jak woda w słoneczny dzień.

- Deser? - zapytał Irwin. - Serwują tu znakomite ciasto wiśniowe.

Lark potrząsnęła przecząco głową.

- Dla mnie nie, dziękuję. Powinnam już wracać do państwa O'Neill, zanim zrobi się późno. Muszę rano zdążyć na autobus.

Oddech uwiązał Ansonowi w gardle. Miał wrażenie, jakby dopiero co usiedli do kolacji, i był zaskoczony, jak bardzo nie chciał, by ten wieczór się kończył. Po tylu latach kawalerstwa i całkowitego poświęcenia szkole ponowne spotkanie z Lark obudziło w nim tęsknotę, którą tłumił od zbyt dawna.

Irwin poprosił o rachunek.

- Ansonie, masz za sobą długi dzień. Podrzucę cię do hotelu, gdy będziemy jechać, żeby zawieźć pannę Linwood do

domu jej przyjaciół.

- Nie - odpowiedział szybko. - Chętnie pojedę z wami. Gdy tylko rachunek został wyrównany, wyszli na zewnątrz,

do samochodu. Irwin zasugerował, że może Anson wolałby siedzieć z tyłu z panną Linwood, by mogli dalej rozmawiać, i Anson z radością przyjął tę propozycję.

Kiedy dotarli do domu państwa O'Neill, Anson westchnął z żalem.

- Dobrze cię było znów zobaczyć, Lark. To naprawdę miła niespodzianka.

- Nie mogłabym tego przeoczyć, panie... znaczy, Ansonie. - Pomimo tego, że przekonał ją podczas kolacji, aby zrezygnować z formalności, wymawiała jego imię z pewną dozą niepokoju, co zdaniem Ansona było bez wątpienia winą Franklina Keenea.

Nie wykonał żadnego ruchu, by otworzyć jej drzwi.

- Domyślam się, że z okazji zbliżających się świąt czeka cię wiele rodzinnych spraw.

- Nic wyszukanego, ale to zawsze wyjątkowy czas. - Nie dało się odczytać wyrazu jej twarzy w ciemnym aucie, wyczuwał jednak, że jej wcale nie śpieszyło się bardziej niż jemu. - A ty spędzisz święta z rodziną?

- Nie zostało mi już wiele rodziny i nie trzymam się z nimi blisko. Podejrzewam, że będziemy sami z Irwinem, dwóch zatwardziałych kawalerów. - Anson zlekceważył ostre prychnięcie Irwina z przedniego siedzenia.

- Obaj będziecie bardzo mile widziani w Edenie w Święto Dziękczynienia. Moglibyście poznać moją rodzinę.

- To bardzo miła propozycja. Na pewno ją rozważymy, prawda, Irwinie?

- Och, z pewnością. - Nagły atak kaszlu Irwina brzmiał w uszach Ansona raczej jak parsknięcie śmiechem.

Nie mając już żadnej wymówki, by przeciągać ich pożegnanie, Anson otworzył drzwi i wyszedł na chodnik. Podał dłoń, by pomóc Lark wysiąść.

Przed wejściem do domu państwa O'Neill kobieta jeszcze przystanąła.

- A tak w ogóle, mówiłam poważnie z tym zaproszeniem na Święto Dziękczynienia. Jeżeli zdecydujecie się przyjechać, możecie wysłać wiadomość do sklepu wielobranżowego w Edenie.

Anson odnotował w pamięci tę informację i odprowadził Lark do drzwi.

- Tak się cieszę, że mogłem cię znów spotkać. Zaśmiała się delikatnie.

- Tak, już to mówiłeś. I bardzo dziękuję za kolację. Cudownie spędziłam ten wieczór z tobą. I z doktorem Youngiem oczywiście też - dorzuciła pośpiesznie.

Znowu grali na zwłokę. Anson zrobił krok w tył.

- Hm, dobrej nocy. Wracaj bezpiecznie do domu.

- Dobranoc - odparła Lark. Położyła dłoń na gałce u drzwi i uśmiechnęła się przez ramię. - Nawiasem mówiąc, te okulary sprawiają, że wyglądasz bardzo dystyngowanie.

Na twarzy Ansona rozciągnął się szeroki uśmiech.

- Hm, dobrej nocy.

- To też już mówiłeś.

Czując, jak jego twarz płonie, Anson przełknął z trudem ślinę.

- W takim razie chyba po prostu odejdę w milczeniu. Przy samochodzie odwrócił się jeszcze raz i zobaczył, że

Lark nadal stoi w otwartych drzwiach wejściowych. Pomachała mu, a on odmachnął i potem wszedł na przednie siedzenie obok Irwina. Zapalając silnik, Irwin jęknął teatralnie.

- Nie sądziłem, że będę przyzwoitką dla pary zakochanych nastolatków. Mój Boże, Ansonie, dlaczego nie pocałowałeś dziewczyny, gdy miałaś taką okazję?

Dopiero wtedy do Ansona dotarło, jak bardzo musiał walczyć, by zdusić w sobie ten impuls. Nawet nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni całował dziewczynę. Pewnie wówczas, gdy w college'u, wieki temu, odprowadzał z tańców siostrę współlokatora i tylko dlatego, że tak wypadało. Zawsze był raczej typem mola książkowego i miał małe doświadczenie, jeśli chodzi o zabieganie o względy u płci pięknej, czego nagle bardzo zaczął żałować.

- Zakochanych? Proszę cię... - zadrwił. - Ja mam trzydzieści dwa lata i jestem półślepy. Jaka kobieta przy zdrowych zmysłach chciałaby mieć cokolwiek ze mną do czynienia?

- Ta, którą właśnie odstawiliśmy tam, na chodnik, jeśli miałbym to oceniać. - Irwin szturchnął po przyjacielsku ramię Ansona. - A więc przyjmujemy jej zaproszenie na Święto Dziękczynienia? Miałbyś dzięki temu niecałe dwa tygodnie na to, by popracować nad swoim naturalnym dowcipem i urokiem.

- To nie jest śmieszne, Irwinie. Jest jeszcze młoda i już raz cierpiała przez zainteresowanie, jakim obdarzyła starszego mężczyznę. Powinna poznać kogoś w swoim wieku.

Irwin chrząknął, wyrażając tym samym odmienne zdanie, a potem zamilkł, gdy weszli do hotelu. W korytarzu, prowadzącym do ich oddzielnych pokoi, Irwin zaproponował,

by następnego dnia razem pojechali na ósmą rano na mszę, po której wrócą do Little Rock.

Kiedy Anson jakiś czas później położył się do łóżka, po raz kolejny pożałował, że nie może oderwać swoich myśli od wydarzeń minionego dnia, zatracając się w dobrej lekturze. Okulary pomagały mu czytać, gdy było to konieczne, ale musiał co pewien czas odwracać wzrok i ten wysiłek szybko przyprawiał go o ból głowy.

Dzisiaj wieczorem miał natomiast istną gonitwę myśli. Nie dość, że jego umysł pracował od tygodni, dostarczając nowych pomysłów na jego kampanię edukacyjną, teraz musiał jeszcze zmierzyć się z nieoczekiwanym dreszczem emocji wywołanym ponownym spotkaniem z Lark Linwood. Choć bardzo się starał przekonać samego siebie, że jego zainteresowanie jej osobą to nic poza przyjacielską troską, nie mógł zaprzeczyć, że przyjęcie zaproszenia na Święto Dziękczynienia było bardzo kuszące.

Ale jeśli zacznie rzeczywiście rozważać tę propozycję, wiedział, że docinkom ze strony Irwina nie będzie końca.

Może nie należało angażować przyjaciela przy podejmowaniu decyzji. Anson odrzucił kołdrę na bok i zapalił lampkę nocną. Zanim zdrowy rozsądek zdołałby dojść do głosu i go powstrzymać, podniósł słuchawkę telefonu.

- Halo, czy mógłbym prosić o połączenie rozmowy miejscowej? Na nazwisko O'Neill.

W ciągu kilku minut telefonistka połączyła go. Gdy usłyszał głos Lark na linii, miał wrażenie, że jest zmartwiona.

- Pan Schafer? Czy coś się stało?

- Nie, wszystko w porządku. Ja, eee... hm, myślałem nad twoim zaproszeniem na Święto Dziękczynienia...

- Och, jeśli zachowałam się zbyt zuchwale...
 - Nic z tych rzeczy. Chciałem tylko powiedzieć, że ja... to znaczy, Irwin i ja, chętnie skorzystamy, o ile oczywiście jesteś pewna, że twoja rodzina nie będzie miała nic przeciwko.
 - Na pewno nie będzie. Zatem proszę, przyjedźcie. Podaj mi twój adres, to wyślę ci wskazówki, gdy tylko wrócę do Edenu.
- Anson podyktował adres Irwina w Little Rock, a potem szybko pożegnał się, życząc dobrej nocy, zanim znów zacząłby się jąkać i pleść głupoty. Miał nadzieję, że Irwin nie będzie wyrażał sprzeciwu, gdy zdrzemnie się w aucie jutro podczas drogi powrotnej, bo wiedział, że tej nocy wiele nie pośpi.

6.

Od kiedy Bryony wyszła za Michaela, święta już nigdy nie były takie same. Rozumiała, że musi dzielić czas pomiędzy rodzinę męża i swoją, ale to w ogóle nie ułatwiało sprawy. Heathowie żyli w zupełnie innym stylu od tego, który знаła Bryony i jej siostry. Nawet w chwilach słabości gospodarczej kraju ojcu Michaela udawało się znaleźć sposób, by utrzymać godne podziwu standardy życia. Sebastian Heath był sprytnym przedsiębiorcą pomimo skromnego pochodzenia. Jego córka, Miranda Heath Vargas, odziedziczyła po nim głowę do interesów i ich wspólne rozważne strategie finansowe pomagały utrzymać plantację i jednocześnie zapewniać pomoc zmagającym się z trudnościami dzierżawcom Brookbirch.

W przeddzień Święta Dziękczynienia Bryony i Michael pojechali na farmę, by zawieźć upieczone przez nią tarty z batatami.

- Ale nie wolno wam wszystkiego zjeść, żeby coś dla nas zostało na jutrzejszy wieczór - przykazywała Bryony, gdy razem z Lark układały wypieki na półkach w spiżarni.

Lark przewróciła oczami.

- Tylko nie najedz się za bardzo u Heathów, żebyś miała miejsce na obiad, który przygotowujemy razem z Rose.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić, biorąc pod uwagę ucztę, którą kucharka Heathów, Odette, miała już zapewne prawie gotową. Bryony ściągnęła brwi i otoczywszy Lark ramieniem w pasie, rzekła:

- Szkoda, że nie udało mi się was wszystkich namówić, żebyście przyjęli zaproszenie Mirandy na kolację z nami w rezydencji.

Lark zacisnęła mocno wargi.

- Słyszałam twoje opowiadania o tamtejszych spotkaniach rodzinnych. Sebastian na jednym końcu stołu, a Miranda ze swoją rodziną na drugim...

- Przynajmniej się starają.

Nikt nie oczekiwał, że Sebastian Heath przyjmie z otwartymi ramionami zięcia, który był meksykańskim imigrantem, zwłaszcza po tym, gdy wiele lat temu wydziedziczył Mirandę za ucieczkę z Danielem Vargasem. Ale od kiedy córka wróciła do domu dwa lata temu, Sebastian przebył długą drogę ku pojednaniu i przyjęciu ich. Od ubiegłego roku Daniel i jego rodzina, w skład której wchodziła ich nastoletnia córka, Callie, oraz ich szesnastomiesięczny synek, George, żyli nieopodal rezydencji w przytulnym ceglany domku, który Sebastian dla nich wybudował.

- A co z tobą, Bry? - Gorycz w głosie Lark sprawiła, że siostra wzdrygnęła się. - Nadal nie rozumiem, jak możesz zadawać się z Heathami po tych wszystkich miesiącach, gdy pracowałaś jako ich pokojówka.

Bryony cieszyła się, że Michael wyszedł do obory, by przywitać się z dziadkiem i Rose.

- Czasem nadal czuję się dziwnie, gdy wchodzę głównym wejściem zamiast tylnym, ale nie wstydzę się tego, że zamiatalam podłogi i sprzątałam toalety u Heathów. A już na pewno nie jest mi przykro z powodu tej niewielkiej roli, jaką odegrałam w leczeniu zranień, których doświadczyła ta rodzina.

Przyciskając dłoń do czoła, Lark opadła na jedno z kuchennych krzeseł.

- Przepraszam, Bry. To chyba moja własna frustracja przemawia przeze mnie. Ten krótki czas spędzony w Afryce i rozmyślanie teraz o nowej fundacji edukacyjnej, którą ma nadzieję rozpocząć Anson Schafer, sprawiły, że w dwójnasób uświadamiam sobie straszne uprzedzenia istniejące na tym świecie. Bogaci kontra biedni, biali, którym wydaje się, że są lepsi od innych... kiedy to się wreszcie skończy?

- Wiem, skarbie. Wiem. - Bryony stanęła za krzesłem siostry i zaczęła delikatnie rozmasowywać jej ramiona. - To się nie skończy od razu, ale wraz z każdym pojedynczym człowiekiem, który zmieni swoje nastawienie, i właśnie dlatego jestem taka dumna z ciebie, że chcesz czynić świat lepszym tam, gdzie tylko możesz.

- Gdyby tylko... - Lark westchnęła głęboko. - Czuję, że tak bardzo zawiodłam, Bryony. Może poddałam się zbyt łatwo. Wielokrotnie pytałam samą siebie, czy nie powinnam była zostać w Kenii i starać się tam pracować najlepiej, jak umiałam.

- Nie zaczynaj gdybać. - Bryony zajęła miejsce na krześle obok Lark i sięgnęła po jej dłonie. - Skarbie, czy ty wiesz, jak ja się za ciebie modliłam? Prosiłam o Bożą wolę na twoje życie każdego dnia i wierzę, że On stawia cię dokładnie tam,

gdzie chce ciebie mieć.

Właśnie wtedy wrócił Michael. Jego kręcone brązowe włosy zmierzwił wiatr, a na ustach malował się radosny uśmiech. Widok męża zawsze sprawiał, że serce Bryony biło żywiej.

- Powinniśmy już iść, kochanie - rzekł i stanął blisko jej boku.

- Muszę wrócić do szkicowania kruszyny, którą wczoraj znalazłem, i skończyć rysunek, zanim stracimy światło.

Puszczając oko do Lark, Bryony westchnęła z egzaltacją.

- I tak to jest być żoną artysty. Chodzi tylko o światło. Raz za mało, raz za dużo... nigdy nie jest szczęśliwy.

- Wręcz przeciwnie, najdroższa. - Michael pomógł założyć Bryony wierzchnie okrycie. - Światło twojej miłości czyni mnie najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

- Ty to masz gadane. - Pacnąwszy go żartobliwie w ramię, Bryony odwróciła się i uścisnęła Lark na pożegnanie. - Do zobaczenia jutro, kochana. Nie mogę się już doczekać, aż poznam tego twojego pana Schafera i jego przyjaciela. I wierz mi - dorzuciła, zniżając głos do szeptu - Dobry Pan zadba o twoją przyszłość, jestem przekonana, że ma w zanadrzu wspaniałe rzeczy.

Lark chciała wierzyć Bryony, ale nie mogła przestać się głowić, jak Bóg zamierzał uczynić coś dobrego ze zmarnowanego lata i jesieni. Była do tyłu z zaliczeniami w college'u i to dużo bardziej, niż planowała, więc teraz będzie musiała czekać o wiele dłużej na ukończenie studiów i dyplom nauczycielski.

Jednak niewiele mogła zrobić w tej kwestii przed rozpoczęciem wiosennego trymestru. Zdecydowała już, że weźmie tyle fakultetów, ile tylko będzie możliwe, nawet jeśli będzie musiała poświęcać własny sen na naukę i pracę. Przeżyje... jakoś.

Przynajmniej ten pobyt w domu w ciągu ostatnich kilku tygodni oznaczał więcej czasu spędzonego z rodziną. W czwartkowy poranek krzątała się, pomagając Rose przygotować wszystko na kolację z okazji Święta Dziękczynienia i na przyjazd ich gości. Lark żałowała, że nie mogą urządzić choćby w połowie tak wystawnego posiłku, jaki poda Odette w rezydencji Heathów. Zamiast tego będzie musiała im wystarczyć niewielka pieczeń wieprzowa z prosiaka, którego dziadek ubił parę tygodni temu. Heathowie zeszłej wiosny dali każdemu dzierżawcy młodego tuczniaka, żeby mogli zrobić sobie zapasy mięsa na nadchodzącą zimę. Lark zamierzała doprawić pieczeń cebulą i czosnkiem, a następnie wykorzystać tłuszcz z pieczonego mięsa i przyrządzić sos do puree ziemniaczanego. Posiłek dopełnią fasolka szparagowa z letnich zbiorów oraz bochenek chleba z mąki kukurydzianej. A na deser podadzą ciasta od Bryony.

Gdy tak rozmyślała nad tym mizernym menu, przypomniało jej się, w o ile lepszej sytuacji byli w porównaniu z wieloma innymi rodzinami rolniczymi w kraju. Chociaż strumienie wysychały i poziom wody w rzece był wyjątkowo niski, dziadkowi udało się zdobyć wystarczająco dużo wody, żeby ocalić ogródek warzywny przed suszą.

Później, gdy kuchnię wypełniały już apetyczne aromaty z pieca, Lark i Rose nakryły do stołu najlepszym białym obrusem babci i porcelanową zastawą. Lark znalazła dwie

świece woskowe i postawiła je na kryształowych lichtarzach w kształcie gwiazdy, które jej rodzice dostali w prezencie ślubnym w 1906 roku. Następnie znalazła kilka różnokolorowych jesiennych liści i poukładała je pomiędzy świecznikami.

- Wygląda po królewsku - zauważyła Rose. - Czuję, że powinnam włożyć najlepszą niedzielną sukienkę na przyjęcie naszych gości.

Lark rzuciła krytycznym okiem na płócienną koszulę siostry i jej džinsowe ogrodniczki.

- O ile nie chcesz jeść świątecznej kolacji w kurniku, uważam, że to *doskonały* pomysł.

Stwierdziwszy, że jej również przydałoby się odświeżyć, Lark odwiesiła swój fartuszek i dołączyła do Rose w sypialni. Stojąc przed szafą, żałowała, że nie ma nic nowego i ładnego, co by mogła na siebie włożyć. A potem sama chciała się kopnąć za to, że pozwala sobie na równie błahe pragnienia, gdy tak wielu nie miało nawet zapasowej koszuli i uczciwej pary butów.

Po drugiej stronie pokoju Rose chrząknęła znacząco. Widząc zdziwione spojrzenie Lark, rzekła:

- Proszę, nie mów mi nawet, że zamierzasz ubrać się w ten obrzydliwy brązowy wór, który masz od pradawnych czasów. Jeszcze tylko zepnij sobie włosy w mały koczek i pożycz od dziadka okulary do czytania. Wtedy już na pewno będziesz pomnikiem nudnej, starej belferki.

Lark podparła się pod boki, próbując przybrać poirytowany wyraz twarzy.

- Doskonale, panno wszechwiedząca, w takim razie w co *ty* sugerujesz, żebym się ubrała?

Rose spacerkiem podeszła do szafy i chwilę przerzucała wieszaki w tę i we w tę.

- To - oświadczyła, wyciągając jasnoniebieską sukienkę w kropki, którą Lark upchnęła w najdalszym kącie.

Ze ściśniętym żołądkiem Lark pokręciła przecząco głową.

- Zbyt wyletniona. - Sięgnęła ponownie po luźną brązową sukienkę. - Ta będzie w porządku. Lepiej nadaje się na tę porę roku.

- Niech będzie, ale... - Rose zmrużyła oczy, zbliżyła się do komody i zaczęła grzebać w górnej szufladzie. Wyciągnęła apaszkę w tureckie wzory, która niegdyś należała do ich matki.

- Zawiąż to wokół szyi, tak jak te gwiazdy hollywoodzkie. Doda ci trochę koloru i stylu.

Trzymając sukienkę i apaszkę przed sobą, Lark przeglądała się w lustrze z zaciśniętymi ustami. Zerknęła na Rose.

- A od kiedy to moja siostra-chłopczyca tak się interesuje modą?

- To, że się nie stroję, wcale nie oznacza, że nie doceniam dobrego wyglądu.

Kiedy Lark się ubrała, musiała przyznać, że jej siostra ma dobry gust. Mimo to Rose nie udało się przekonać Lark, by zostawiła włosy rozpuszczone na ramionach. Nie była jakąś pierwszą naiwną i nie chciała być postrzegana jako taka. Pozwoliła jednak siostrze, żeby podkręciła lekko palcem jej włosy ponad skroniami i zebrała resztę w luźnym upięciu.

Kilka minut przed trzecią od drogi dobiegł warkot samochodu. Przez okno w salonie Lark rozpoznała pojazd, który doktor Young prowadził w Arkadelphii. Poczowała, że jej nogi ściśnięte w niedzielnych bucikach zrobiły się ciężkie

jak z ołowiu i posłała dziadkowi ponad ramieniem pełne popłochu spojrzenie.

- Już są!

- Widzim. - Dziadek wytoczył się z głębokiego fotela, w którym uciął sobie krótką drzemkę. - Hm, to ty może nie stój tu tak, gapiąc się jak dzikus. Zaproś gości do środka.

Tak rzadko używali drzwi frontowych, iż ostry stukot kołatki sprawił, że Lark podskoczyła nieomal pod sam sufit. Poprawiła apaszkę i wygładziła suknię, a następnie otworzyła drzwi Ansonowi Schaferowi i doktorowi Youngowi.

- Dzień dobry, proszę. Widzę, że udało się wam trafić.

- Mieliśmy doskonale wskazówki - powiedział doktor Young i zdejmując kapelusz, wszedł do środka. - I idealny dzień na jazdę.

Dziadek pojawił się w niewielkim korytarzu.

- Witam. Jestem George Rigby, dziadek Lark.

Lark przedstawiła doktora Younga i pana Schafera, którzy ściskając dłoń krzepkiego staruszka, nalegali, by zwracać się do nich po imieniu.

Kiedy dziadek zaprowadził ich do salonu, Lark zabrała ich kapelusze i płaszcze do jego sypialni i położyła je na łóżku.

Zanim wróciła do salonu, Rose zdążyła już zajrzeć z kuchni i również się przywitać. Jej długie rude włosy splecione w warkocz na plecach i starannie wyprasowana zielona spódnica oraz kraciasta bluzka z marynarskim kołnierzem sprawiały, że wyglądała tak pięknie jak jeszcze nigdy. Naprawdę szkoda, że częściej nie nosiła sukienek.

Gdy tylko Rose przeprosiła, tłumacząc, że musi doglądać kolacji, Lark nie mogła się powstrzymać i zażartowała pod nosem:

- Jaka szkoda, że nie zaprosiliśmy Wielandów, żeby Caleb dla odmiany mógł cię zobaczyć taką wystrojoną.

Rose spiorunowała ją wzrokiem, który mówił dokładnie, co myślała o tym pomysle.

Kiedy Lark skierowała uwagę z powrotem na rozmowę, którą prowadzili panowie, Anson właśnie dzielił się swoją wizją, by dać szansę edukacji pokrzywdzonym przez los dzieciom z Arkansas.

- Nazwę ją, dla uczczenia pamięci moich zmarłych rodziców, Fundacją Edukacyjną Charlesa i Loreny Schäfer. Już zacząłem się ubiegać o subwencję i otrzymaliśmy też datki od kilku zainteresowanych filantropów. - Zerknął przelotnie w stronę Lark, która siedziała w fotelu bujanym naprzeciw kanapy. - Kolejnym krokiem będzie znalezienie wykwalifikowanych nauczycieli, którzy zechcieliby pracować w niezbyt dobrych warunkach i za niewielkie pieniądze.

- Toż to chyba trudne zadanie. - Dziadek się zamyślił. On również spojrzał na Lark. - Skąd wogle chcecie wziąć takich nauczycieli?

- Razem z Irwinem objeżdżamy wspólnoty kościelne, bractwa i uczelnie w całym stanie. - Anson wyprostował się na oparciu. Widać było wyraźnie jego entuzjizm. - Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, jakiej odpowiedzi się spodziewać, ale jestem mile zaskoczony pierwszymi spływającymi wyrazami poparcia. Widać, że jest to potrzeba, na którą należy odpowiedzieć i to w najbliższym czasie.

Słyszając silnik kolejnego samochodu, Lark odwróciła się i ujrzała zielonego chevroleta Michaela, akurat w chwili, gdy przejeżdżał przed oknem. Zerwała się z fotela, oznajmiając:

- To moja siostra Bryony z mężem.

Jakiś czas później dokonano kolejnych prezentacji i gdy Bryony pomagała siostrze podać kolację na stół, Lark słyszała, że Michael rozmawia z Ansonem. Obaj mężczyźni różnili się pod wieloma względami - Anson miał tytuł magistra pedagogiki, tymczasem Michael dołączył do armii i spędził lata, lecząc skutki zagazowania podczas wielkiej wojny. A jednak wiele ich łączyło - obu cechował spokojny intelekt i miłość do uczenia się.

Jeszcze bardziej pociągający był fakt, że obaj byli nieświadomi swojego naturalnego wdzięku, a była to cecha, którą Lark obiecała sobie wysoce cenić na swojej liście wartości.

To znaczy, jeśli oczywiście kiedykolwiek miałyby się zdecydować, by ponownie zaryzykować i otworzyć przed kimś serce.

Pierwsze od czasu studiów Święto Dziękczynienia, które Anson spędził w Stanach po powrocie z misji, okazało się dużo miłsze, niż się spodziewał. Żałował jedynie, że tak mało miał okazji do rozmowy z Lark. Kręciła się gdzieś w tle przez większość popołudnia, podczas gdy jej towarzyska rodzina zarzucała go różnorodnymi pytaniami o życie w Kenii i jego obecne działania związane z gromadzeniem funduszy.

W tym czasie on odnalazł pokrewną duszę w Michaelu Heacie - małomównym mężczyźnie o bystrym umyśle i hojnym sercu. Michael obiecał, że pomówi z ojcem i siostrą o dotacji na potrzeby Ansona.

Kiedy panie podały deser po prostym, aczkolwiek smaczkowym posiłku, odgłos uderzenia o dach ostrzegł ich, że

zaczął padać lekki deszcz. George Rigby i jego wnuczka, Rose, skoczyli do kuchennego okna, a ich twarze przepełnione były oczekiwaniem.

- Od dawna panuje susza - mruknęła Lark, nalewając Ansonowi kawę zaprawioną cykorią.

Przelotny deszcz skończył się, zanim zdążyli zjeść deser, i Anson wyczuł rosnące wokół rozczarowanie.

- Tyleż tylko mamy od dwóch lat. - George Rigby walnął otwartą dłonią w stół. - Kapka tu, ciupka tam, za mało i za rzadko, żeby zrobić cosik dobrego.

Anson był zszokowany spustoszeniem, jakie widział podczas ostatnich wypraw po okolicznych miejscowościach. Suche, jałowe pola stanowiły ostry kontrast dla piękna bujnych, zielonych zboczy masywu Kenia, choć ciężki los najbiedniejszych był niepokojąco podobny tu i tam. Brytyjski kolonializm przyniósł w Kenii podobne skutki co system dzierżawienia ziemi w Arkansas.

Wróciwszy z kuchni po odłożeniu brudnych naczyń do zlewu, Bryony pochyliła się i ucałowała dziadka w czoło.

- Nie zapominajmy, że jest Święto Dziękczynienia i starajmy się wspominać tylko te dobre rzeczy w naszym życiu. - Uśmiechnęła się ponad stołem do Ansona i Irwina. - Takie jak na przykład nowi przyjaciele, których Lark zaprosiła na nasz wspólny posiłek.

Skinąwszy z wdzięcznością, Irwin odsunął krzesło i rzekł:

- To była dla nas prawdziwa przyjemność, ale powinniśmy już jechać. Nie chciałbym się zgubić na tych wiejskich drogach po zmroku.

- Macie jeszcze jakąś godzinę. - Bryony, ruszając do kuchni, wyrwała ścierkę do naczyń z rąk Lark. - Dokończymy

to z Rose. Powinniście iść na spacer, aby przetrwać trochę ciasto.

Lark uśmiechnęła się niepewnie, gdy podchodząc do stołu, zapytała:

- Kto byłby zainteresowany? Anson rzucił okiem na Irwina.

- Co o tym myślisz?

- Idź, mój chłopcze. Ja się lepiej poczęstuję jeszcze jedną filiżanką kawy przed drogą.

Koniec końców, George, Michael, Lark oraz Anson wcisnęli się w płaszcze, by udać się na szybki obchód ich farmy. Niedługo po wyruszeniu George wziął Michaela na bok, by zapytać go, co sądzi o niezwykłym krzewie, który napotkał za kurnikiem.

- Chwilę im to zajmie - orzekła Lark. - Gdy tylko Michael zacznie rozmawiać o botanice, trudno go zatrzymać.

Anson zrównał krok z Lark i dalej szli drogą sami.

- Michael to bardzo interesujący człowiek. Polubiłem go.

- Ja także. - Lark zamilkła i słysząc było tylko odgłos ich kroków na utwardzonej drodze.

Po kilku minutach Anson zaczął:

- A więc od dawna żyjesz tu z dziadkiem?

- Odkąd skończyłam siedem lat. Memphis, miasto, w którym się urodziłam, wydaje mi się tak odległe, jakby to było w innym życiu.

Westchnęła tęsknie i Anson zbliżył się tak, że jego łokieć ocierał się o jej rękę.

- To podobnie, jak ja się czuję po powrocie do Stanów po tylu latach poza krajem. Kenia o wiele bardziej wydaje mi się moim domem niż Arkansas.

Lark przechyliła głowę, by spojrzeć mu prosto w twarz.

- Jest ci przykro, że wróciłeś? To znaczy rozumiem, że nie miałeś wyboru ze względu na oczy, ale to musiało być wyjątkowo trudne.

- Są chwile, gdy użalam się nad sobą. - Anson stłumił cyniczny śmiech. - Ale nauczyłem się, że walka z Bogiem nie przynosi nic dobrego. I tak stanie się po Jego myśli, niezależnie od okoliczności.

- W takim razie zapewne modliłeś się o wskazówki Boga, jeśli chodzi o twoją nową fundację.

Powiedziała to takim tonem, jakby stwierdzała fakt, aż Anson poczuł wyrzuty sumienia. Czy rzeczywiście prosił o Boże prowadzenie w tym kolejnym rozdziale jego życia? A może po prostu parł naprzód jedyną drogą, która wydawała się dla niego dostępna? Prawdę mówiąc, zazwyczaj zostawiał modlenie się w intencji ich spraw Irwinowi.

Nie zauważył nawet, że się zatrzymał, do momentu, gdy Lark przystanąła kilka kroków przed nim i spojrzała na niego przez ramię.

- Przepraszam. Chcesz już wracać?

- Nie, tylko... uciekły mi myśli. - Anson dołączył do niej i szli dalej nieśpiesznie.

- Jesteś jak Michael i jego szkice przyrodnicze - zauważyła Lark z lekkim śmiechem. - Umysł jednotorowy.

W tym momencie jednak Anson cieszył się po prostu towarzystwem Lark Linwood. Przez całe popołudnie miał nadzieję na taką okazję jak teraz, gdy będą mogli porozmawiać razem, bez skupiania się na prowadzeniu uprzejmej rozmowy ze wszystkimi innymi.

- Lark, chcę... chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo jestem ci

wdzięczny za dzisiaj. Masz wspaniałą rodzinę i jestem pewien, że mogę powiedzieć to też w imieniu Irwina: poczuliśmy się tu szczególnie mile widziani.

- Cieszę się. Czym byłyby święta bez rodziny i przyjaciół? Jej uwaga sprawiła, że wróciły mu wspomnienia z czasu

dorastania w Kenii. Nie miał braci ani siostr i bez charakterystycznej otoczki amerykańskiego świętowania ten czas był zupełnie inny.

- Masz rację. Można by się spierać, że są różne rodzaje rodzin i związków, ale nie sądzę, by jakakolwiek relacja była bardziej wyjątkowa niż więzy krwi.

Oboje zamilkli i nie przerywali tej ciszy, aż dotarli do głównej drogi. Lark raptownie zatrzymała się i skrzyżowała ręce na piersiach, wyprostowała się. Spojrzała w lewo, a potem w prawo, jakby zastanawiając się, w którą stronę iść. Następnie westchnąwszy długo ze zmęczeniem, odwróciła się z powrotem w stronę farmy.

- Jest już późno. Nie chciałabym, żebyście się zgubili z doktorem Youngiem.

Zgubili? Od czasu powrotu z Kenii Anson jeszcze nigdy nie czuł się tak zagubiony w życiu. Fundacja Edukacyjna Schaferów obierała nowy kierunek, ale Anson najwyraźniej potrzebował kierunku, w jakim miało podążać jego własne życie. W przeciwnym razie nie rozważałby aż tak tego, co miał właśnie powiedzieć.

- Lark...

Zerknęła na niego, a na jej ustach zagościł uśmiech.

- Tak?

- Czy myślisz, że moglibyśmy spotkać się jeszcze czasem po dzisiejszym dniu?

Uśmiech zbladł. Anson nie potrzebował idealnego wzroku, żeby zauważyć rezerwę, która spowiła jej oblicze. Przyspieszając kroku, odparła lakonicznie:

- Za niewiele ponad miesiąc w Henderson zaczyna się trymestr wiosenny. Gdy tylko ruszą wykłady, będę miała mało czasu na inne rzeczy.

- Lark - wymówił jej imię tym razem z większą stanowczością, a potem ująwszy jej dłoń, zatrzymał ją. Kiedy niepewnie uniosła brodę, by na niego spojrzeć, powiedział łagodnie: - Nie jestem Franklinem Keeneem. Ani trochę go nie przypominam.

Mrugnęła kilka razy.

- W-wiem. Wierz mi, wiem o tym.

- W takim razie uwierz mi, kiedy mówię, że bardzo się cieszę z twojego towarzystwa. - Lekki wiatr bawił się jej włosami i Anson nie mógł się powstrzymać, by nie poprawić ich, zakładając je za jej uchem. Poczuł mrowienie w palcach na dotyk tych jedwabistych kosmyków. Gdy ona zeszywniała, gwałtownie cofnął rękę i opuścił. - Zachowałem się zbyt zuchwale. Proszę, wybacz mi.

- Nie... nie - wyszeptała, wpatrując się uporczywie w dal. - Ale to nie zmienia faktu, że wkrótce będę w Arkadelphii, a ty będziesz objeżdżać całe Arkansas w poszukiwaniu wsparcia dla swojej fundacji.

Zagryzł wewnętrzną stronę wargi.

- To by dla mnie znaczyło bardzo wiele, gdybym mógł liczyć także na twoje zaangażowanie.

Teraz wiedział już, że powiedział coś złego. Broda Lark uniosła się jeszcze wyżej i dziewczyna ruszyła przed siebie.

- Wiem, że wyraziłam swoje zainteresowanie pomocą po twoim wykładzie w Henderson, ale ponieważ nie jestem jeszcze nauczycielką i nie mam pieniędzy, które mogłabym przekazać na ten cel, z pewnością widzisz, jak bardzo ograniczone byłoby moje wsparcie.

Anson nie wiedział, co irytowało go bardziej - mur, który Lark Linwood wznosiła wokół swojej kruchej godności, czy może jego własna nieudolność w kwestii wysłowienia prawdziwych uczuć. Pomogłoby mu ogromnie, gdyby w ogóle umiał określić te uczucia. Wiedział jedynie, że im więcej czasu spędza z Lark, tym droższa staje się ona jego sercu.

Kiedy maszerowali w kierunku domu, spróbował po raz ostatni.

- Proszę, Lark. Wiem, że musisz skończyć szkołę, ale jest tyle rzeczy, które mogłabyś zrobić. Widziałem cię w Kenii... to, jak łagodnie obchodziłaś się z dziećmi, radość na twojej twarzy, gdy pomagałaś Jacie w nauce czytania.

Lark zwolniła kroku.

- Te chwile przypominały mi, dlaczego tak bardzo chciałam zostać nauczycielką.

- I wiesz, że potrzeba jest równie nagląca tutaj. - Anson stanął przed nią, zmuszając ją ponownie, by się zatrzymała. - Ale nie chcę, byś wzięła to za kolejną próbę zwerbowania cię. Proszę cię... *ciebie*, Lark Linwood, nie przez czcze pochlebstwa, ale dlatego, że cię szanuję i podziwiam, i bardzo chcę, żebyś dołączyła do mnie w tym ważnym dziele.

Złożywszy razem dłonie, odwróciła wzrok.

- Czuję się uhonorowana, że mnie o to prosisz, naprawdę, ale nie widzę, jak...

- Wiem, że są pewne komplikacje - wtrącił Anson. - Ale jestem pewien, że uda nam się je pokonać. Obiecuj mi, że przynajmniej nad tym pomyślisz.

7.

Przez kolejne tygodnie po Świącie Dziękczynienia Lark nie myślała o niczym innym niż propozycja Ansona, aby wziąć aktywny udział w tworzeniu jego fundacji. Pisał prawie każdego dnia, by opowiadać jej o swoich podróżach i przemówieniach, a stemple pocztowe pochodziły z najróżniejszych zakątków Arkansas - od Forth Smith, Fayetteville i Jonesboro na północy, po Texarkana i El Dorado na południu. Utrzymywał listy w optymistycznym tonie, relacjonując, że dotacje zaczynają spływać pomimo trudnej sytuacji gospodarczej. Dodatkowo pomocnym okazał się fakt, że Roosevelt wygrał wybory i obiecywał nowe programy, by zwiększyć zatrudnienie i postawić kraj z powrotem na nogi.

Obietnice Roosevelta nie mogły jednak zmienić pogody. Susza nie odpuszczała, a burze piaskowe wciąż nadciągały z nad środkowego Zachodu, co powodowało, że dziadek coraz bardziej martwił się o przyszłoroczne uprawy. Te nieustanne komplikacje postarzały go szybciej, niż Lark i jej siostry były skłonne przyznać.

Lark dręczyły rozterki. Każdy cent, który wydawała na kształcenie w college'u pomniejszała pulę, którą mogłaby przeznaczyć na zaspokojenie potrzeb rodziny. A nawet jeśli wzięłaby na siebie maksymalną liczbę fakultetów, czekało ją jeszcze co najmniej dwa lata, zanim ukończy studia. Praca w fundacji Ansona oznaczałaby niewielki, ale stały przychód już teraz, kiedy jej rodzina najbardziej tego potrzebowała. Co ważniejsze, liczyła, że tak jak w Kenii, mogłaby wspierać rozwój dzieci, które rozpaczliwie potrzebowały kształcenia.

Termin zapisów na trymestr wiosenny zbliżał się wielkimi krokami i być może był to najwyższy czas, żeby wreszcie poszła za własną radą i pomodliła się o Bożą pomoc w podjęciu decyzji - bo, choć niechętnie, musiała przyznać, że zbyt rzadko to czyniła podczas pierwszej fali entuzjazmu w związku z wyjazdem do Kenii.

„O Boże, nie chcę popełnić kolejnego błędu” - pomyślała.

To samo właśnie powiedziała do Bryony w niedzielne popołudnie w połowie grudnia, gdy razem z Michaeliem przyjechali w odwiedziny po nabożeństwie.

- I muszę zdecydować się dzisiaj, bo jeśli mam się zapisać na wiosenne zajęcia, powinnam jutro z samego rana złapać autobus do Arkadelphii, w przeciwnym razie minie ostateczny termin.

Siedziały razem na łóżku Lark, opierając się plecami o ścianę i stykając głowami.

- A co ci mówi serce? - zapytała Bryony.

- Nic. Zupełnie *nici* - Lark warknęła w desperacji i zacisnęła dłonie w pięści. - Przez całe życie miałam jasną i konkretną wizję swojej przyszłości. *Chciałam* iść do college'u.

Chciałam zostać nauczycielką. Najbardziej na świecie zależało mi na tym, żeby robić coś ważnego i zmieniać rzeczywistość. To było moją siłą napędową i nieważne, ile wokół było smutku czy beznadziei, ta pasja zawsze pchała mnie do przodu.

- A teraz? Lark otarła łzę.

- Wydaje mi się, jakby wszystko prysło i została mi tylko ciemność i zamęt.

- Ale nie mogłaś się doczekać, żeby wysłuchać przemówienia Ansona, gdy przyjechał do Henderson.

- To prawda. Po tym, jak doświadczyłam od niego tyle życzliwości w Kenii, naprawdę chciałam się z nim ponownie zobaczyć. Muszę jednak być realistką. Muszę zacząć myśleć bardziej głową, a nie sercem.

Westchnąwszy z zadumą, Bryony wygładziła spódnicę wokół kostek.

- Domyślam się, że prawdziwym problemem jest to, że boisz się zaufać temu, co czujesz. Duch Święty często przemawia do nas przez dotknięcie serca, ale nie może dotrzeć do serca, które zamknięte jest strachem.

- Tak, boję się - potwierdziła Lark drżącym głosem. - A ty się nie bałaś tego dnia, gdy zdecydowałaś się spotkać z Sebastianem Heathem w sprawie zadłużenia dziadka? Albo wtedy, gdy po raz pierwszy uświadomiłaś sobie, że zaczyna ci się podobać Michael?

Bryony zaśmiała się łagodnie.

- O, tak. Byłam przerażona aż do szpiku kości.

- W takim razie skąd byłaś pewna, że idziesz za głosem Bożym?

- Nie zawsze byłam. Och, kochanie, miałam takie dni, że czułam się równie głucha na Jego głos jak ty teraz. - Splótłszy palce z palcami Lark, Bryony uścisnęła ją delikatnie. - Ale gdy uświadomisz sobie, że twój strach krzyczy głośniejszy niż słowa Boga, masz tylko jedno wyjście. Musisz założyć strachowi kaganiec i jeszcze mocniej oprzeć się na Bogu.

Lark odnalazła wzrokiem twarz siostry. -1 co wtedy?

- Wtedy robisz następną rzecz, którą należy zrobić, i zostawiasz resztę Bogu.

Następna rzecz. To brzmiało tak łatwo. Ale jak uciszyć troski o własną rodzinę, rozwiać wątpliwości na temat powrotu do college'u i teraz jeszcze poradzić sobie z przerażeniem, że poświęci swoją przyszłość nowej sprawie, a jej nadzieje mogą znowu zostać zniweczone? To ani trochę nie było łatwe.

Jednego tylko była pewna, niezależnie od tego, jaką decyzję by podjęła - Anson Schafer był dobrym człowiekiem, kimś, komu mogła zaufać, że nigdy nie wprowadzi jej w błąd ani nie zdradzi.

I kolejna rzecz. Nie mając jasnego wskazania, wiedziała, że może zrobić tylko jedno - wsiąść następnego dnia rano w autobus do Arkadelphii i zapisać się na zajęcia. Jeśli Bóg chciał dla niej czegoś innego, będzie musiał jej to pokazać, zanim opłaci wpisowe w dziekanacie.

Lark zajechała do Arkadelphii w poniedziałek niewiele przed południem i miała nieodparte wrażenie, że powinna

wstąpić do sklepu pana O'Neilla jeszcze przed zapisaniem się na zajęcia.

W chwili, kiedy pojawiła się na głównej ulicy miasteczka i dostrzegła pasiastą markizę zaciągniętą ponad witryną, wiedziała, że coś jest nie w porządku. Nigdzie nie było widać koszy z towarami, które pan O'Neill prawie codziennie rano wystawiał na chodniku przed sklepem. Kiedy podeszła jeszcze bliżej, zobaczyła, że żaluzje były spuszczone, a na pustym oknie z przodu, gdzie normalnie pan O'Neill wystawiał świeże wypieki, widniała ręcznie wypisana wywieszka.

- „Likwidacja sklepu” - przeczytała powoli na głos. Ścisnął jej się żołądek. To przecież niemożliwe! Pan O'Neill obiecał, że będzie trzymał dla niej pracę. Jak miała bez zatrudnienia opłacić uczelnię i akademik?

Przytknęła drżącą dłoń do skroni i zajrzała przez szparę w żaluzji. Połowa półek była pusta. Stojaki i witryny po-przesuwano pod dziwnymi kątami pod ściany. Tablica, na której wypisywano promocje, nie została zmieniona od końca listopada. Słyszając jakieś odgłosy z tyłu sklepu, Lark zastukała w szybę.

- Halo? Panie O'Neill?

Jakiś cień przemknął za kontuarem z kasą i Lark rozpoznała przysadzistą sylwetkę żony sklepikarza. Kobieta podeszła do okna i uniosła żaluzję.

- Och, Lark, to ty! - Przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi. - Wejdz, skarbie. Tak mi przykro, że dowiedziałaś się o tym w ten sposób.

Lark potknąwszy się na progu, weszła do środka.

- Kiedy - „albo raczej jak” - to się stało?

- Straciliśmy wielu klientów, a jeszcze inni nie byli w stanie spłacić swoich rachunków. Wtedy Benjamin... - Głos pani O'Neill zaczął się łamać. - Wiesz, jaki on jest hojny... I martwił się nie tylko o naszych klientów, ale też o młodych, takich jak ty, którzy polegali na tej dorywczej pracy, żeby utrzymać się w szkole, więc o mało co nie dostał zawału serca...

- Och, nie! Czy wszystko z nim w porządku?

- Jesteśmy dobrej myśli, o ile tylko będzie przestrzegał zaleceń lekarza. - Pulchna kobieta z wyraźnym zmęczeniem wypuściła powietrze z płuc i znalazłszy chusteczkę w kieszeni fartucha, osuszyła łzę w kącie oka. - Nie powinien nic dźwigać do czasu, aż lekarz da mu pozwolenie. A tymczasem...

- Objęła wzrokiem wnętrze sklepu. - Robię, co mogę, by wyprzedać towar i wyposażenie, żebyśmy mogli pozbyć się tego garbu.

Lark nie wiedziała, co powiedzieć. Jej własne troski zdawały się tak błahe w porównaniu z tym, przez co musieli przechodzić państwo O'Neill. Ten sklep był całym ich życiem.

- Tak mi przykro. Żałuję, że nie mam jak pomóc.

- Damy sobie radę. Benjamin odkładał pieniądze na emeryturę. Tylko nigdy nie oczekiwał, że to nadejdzie tak szybko. - Odgarniając pasemko siwych włosów z czoła, pani O'Neill przeglądała jakieś konserwy na pobliskiej półce. Przysunęła sobie bliżej pusty karton i zaczęła przekładać do niego puszki.

- Skoro tu jestem, może na coś się przydam. - Lark położyła torebkę na stole i zsunęła z siebie płaszcz, a potem dołączyła do pani O'Neill, pakując puszki do pudła.

Pełen wdzięczności uśmiech rozjaśnił krągłą twarz kobiety.

- Benjamin zawsze powtarzał, że jesteś najlepszą pracownicą, zawsze gotowa zakasać rękawy do pracy, gdy tylko zachodzi potrzeba. - Odłożyła kolejną konserwę do pudełka, a potem wyprostowała się. W jej oczach widać było zatroskanie. - Przyjechałaś do miasta, żeby zapisać się na uczelnię, prawda? Och, skarbie, teraz jest mi jeszcze bardziej przykro, że nie możemy dać ci pracy. Co zrobisz w takiej sytuacji?

Czując rosnącą gorycz rozczarowania, Lark złapała kurczowo za wgniecioną puszkę zielonego groszku. Decyzja, nad którą tak się zadreślała, została nagle podjęta za nią. Bo bez zarobków ze sklepu pana O'Neilla uzupełniających te niewielkie pieniądze, na których oddanie dziadek ledwo mógł sobie pozwolić, ale nalegał, by je wzięła, Lark nie miała z czego pokryć kosztów edukacji.

- Lark?

Nagle uświadomiła sobie, że pani O'Neill trzyma dłoń na jej ramieniu. Zmusiła się do uśmiechu i odłożyła groszek do pudełka.

- Wygląda na to, że Bóg ma dla mnie inne plany niż szkoła. Modliłam się o znak i myślę, że właśnie dzisiaj go dostałam.

Tylko nigdy nie spodziewała się, że to będzie znak wywieszony w zasłoniętym oknie sklepu pana O'Neilla.

- Jest poczta.

Anson zerknął znad biurka w gabinecie Irwina.

- Mam nadzieję, że znajdziemy tam co najmniej jeden albo dwa czeki.

Zagłębiając się w fotel po drugiej stronie biurka, Irwin zaczął przeglądać koperty.

- Jest coś z Kościoła baptystów, który odwiedziliśmy w Hot Springs. - Przerzucił list przez biurko, w stronę Ansona. - I jeszcze jeden od kogoś z Fayetteville.

Anson zdążył już rozedrzeć pierwszą kopertę. W środku, w napisany na kościelnej papeterii list, włożony był czek. Poprawił okulary i mrużąc oczy, odczytał kwotę - dwadzieścia dolarów. „Cenimy sobie pańską inicjatywę i zorganizowaliśmy zbiórkę - tłumaczono w liście. - Jednakże, jak sam pan wie, ludzie ostatnio niechętnie otwierają portfele. Liczymy, że ten datek choć w jakimś drobnym stopniu przyczyni się, by pomóc w pańskich chwalebnych wysiłkach”.

- Nie za wiele, co? - Irwin musiał wyczytać rozczarowanie w twarzy Ansona. - Wiedzieliśmy dobrze, że zaczynamy w trudnym czasie.

- Tak, ale ten *trudny czas* stanowi właśnie powód, dla którego nasze dzieło jest tak istotne. - Anson złożył z powrotem list i przycisnął go dłonią do blatu biurka. - Co jeszcze tam masz?

- Tu jest dziesięć dolarów od pana z Fayetteville, nauczyciela szkoły ogólnokształcącej, który słyszał twoje przemówienie w klubie biznesowym. - Irwin przekazał Ansonowi list i czek, a sam sięgnął po kolejną kopertę. - Hm, a tu mamy coś z Edenu w Arkansas.

Anson poderwał głowę.

- Zobaczmy to.

- Hola, hola, nie śpiesz się tak. - Uśmiechając się szeroko, Irwin zaczął wymachiwać listem w powietrzu. - Może powinienem ci przeczytać. Nie nadwyreżowałaś już dziś wystarczająco wzroku?

Jednym płynnym ruchem Anson zerwał się z fotela, rozciągnął się na biurku i wyrwał kopertę z ręki przyjaciela.

- A może byś poszedł zrobić kawy albo coś... I zamknij drzwi, kiedy będziesz wychodził.

Irwin parsknął, ale wstał i rzekł:

- Ktoś mógłby pomyśleć...

- Że najbliższy przyjaciel wie wystarczająco dużo, żeby pilnować swojego interesu.

Wykonując gest, jakby zamykał usta na kluczyk, Irwin cicho wyszedł z pokoju. Nie zamknął jednak drzwi i Anson słyszał, jak podśmiechiwał się w drodze do kuchni.

Żarty żartami, ale to jakiś obłąd, żeby aż tak dać po sobie poznać zainteresowanie kolejnym listem od Lark Linwood. To był dopiero drugi, który otrzymał po Dniu Dziękczynienia, o czym nie mógł zapominać, szczególnie biorąc pod uwagę, jak często sam do niej pisał. Może trochę przesadzał, posyłając jej te wszystkie relacje z postępów w gromadzeniu funduszy. Starał się zachowywać platoniczny ton - jak znajomy, który informuje o czymś, co ich wspólnie interesuje. Ale mogła z łatwością wyczytać między wierszami jego rosnące uczucia, choćby na podstawie irytującej częstotliwości, z jaką przesyłał jej listy.

- Skończony głupiec - wymamrotał sam do siebie, gapiąc się na nieotwartą jeszcze kopertę. W swoim pierwszym liście Lark podziękowała mu za to, że myślał o niej podczas swoich podróży, i wyraziła nadzieję, iż uda mu się osiągnąć sukces.

Po krótkich nowinach dotyczących jej rodziny i przypomnieniu o własnych planach, by kontynuować naukę w college'u, zakończyła list uprzejmym „Z poważaniem”.

Powinien już wtedy wszystko pojąć. W tym liście zapewne dawała mu wyraźnie do zrozumienia, że co za dużo, to niezdrowo. Może nie tak wprost, oczywiście, bo Lark była zbyt grzeczna na takie bezpośrednie słowa.

- A niech to! - rzekł, otwierając kopertę. Nie było sensu zamęczać się gdybaniem.

Tak jak wcześniej, Lark pisała dużymi, wyraźnymi literami, co było życzliwym wyjściem naprzeciw jego problemom ze wzrokiem. Mrugnął kilka razy, wziął głęboki wdech i skupił się na słowach.

Drogi Ansonie,

mam nadzieję, że Twoje przemówienia są nadal owocne i jesteś cały i zdrowy, podróżując przez różne części stanu. Nikt nie zasługuje na sukces bardziej niż Ty i żadna sprawa nie jest tego bardziej warta.

Jeśli o mnie chodzi, nieprzewidziane okoliczności zmieniły moje plany co do powrotu do Henderson na wiosnę. Jeżeli oferta posady, jaka by ona nie była, w Twojej fundacji jest nadal aktualna, z wielką nadzieją liczę, że nie będziesz miał nic przeciwko, bym zmieniła zdanie i ją przyjęła.

Anson zacisnął dłoń w pięść i powstrzymał okrzyk, który z pewnością ściągnąłby z powrotem Irwina z kuchni. Pomijając fakt, że takie wybuchy szalonej radości zupełnie nie były w jego stylu, a w tonie listu Lark nie było nic osobistego. Zacisnął usta i czytał dalej.

Mam jednak pewne obawy co do mieszkania, gdyż, jak zakładam, nadal przebywasz w Little Rock. Nie będę miała żadnego przychodu poza tym, o którym wspominałeś, że mogłabym otrzymać ze środków fundacji. Dlatego będę potrzebowała możliwie najtańszego zakwaterowania i oczywiście takiego, które będzie odpowiednie dla niezamężnej, wierzącej kobiety.

Anson już zaczął łamać sobie głowę nad miejscem, gdzie mogłaby się zatrzymać Lark. Irwin miał tutaj wolną sypialnię, ale Anson nie mógłby nawet proponować jej pokoju w domu, w którym mieszkało dwóch panów wolnego stanu.

Słyszając, że Irwin nieśmiało zastukał we framugę, Anson westchnął i dał mu znać, by wszedł.

- A więc? Co to za nowiny? Bo na pewno nie zgadnę, sądząc po tym twoim uśmiechu - powiedział Irwin, opadając na krzesło.

- Masz, sam przeczytaj. - Anson przesunął list po biurku, usiadł i oparł się, składając luźno ręce na brzuchu. - Nie martw się, nie ma tam nic poufnego.

Podnosząc kartkę, Irwin uniósł brwi.

- Co też tłumaczy wyraźne rozczarowanie w twoim głosie. Anson odczekał, aż Irwin zapozna się z treścią, a potem zapytał: -1 co myślisz?

- Pierwsze, co sobie pomyślałem, to że panna Linwood jest jeszcze lepsza w ukrywaniu własnych uczuć niż ty.

- Ukrywaniu? Nie wydaje mi się, żeby cokolwiek ukrywała. - Anson zerknął ze znużeniem w stronę sufitu. - Chodziło mi o to, czy masz jakieś pomysły, gdzie mogłaby zamieszkać, kiedy przybędzie do Little Rock.

- Oczywiście, że to miałeś na myśli. - Postukując palcem w usta, Irwin zapatrzył się w jakiś punkt na ścianie ponad głowę Ansona. - W zasadzie miałem inny pomysł, który zamierzałem ci przedstawić, i list Lark daje mi właśnie świetny pretekst, by zacząć ten temat. Skoro masz zamiar umożliwić edukację najuboższym dzieciom w stanie, czy nie powinieneś przenieść się tam, gdzie one są? Zdaję sobie sprawę, że nie możesz być wszędzie na raz. Uwzględniając to, że fundusze napływają dość powoli, mógłbyś zacząć na jakimś małym obszarze, gdzie jest duże zapotrzebowanie... taki, powiedzmy, Eden - społeczność składająca się z rodzin dzierżawców i połówników...

Anson powoli rozciągnął usta w uśmiechu.

- Zawsze wiedziałem, że nie na darmo jesteście przyjaciółmi. Mądry z ciebie człowiek, Irwinie Young. Bardzo mądry i spostrzegawczy.

- Istotnie. - Irwin dźwignął się z krzesła. - A teraz pójdę po kawę, którą dopiero co zaparzyłem, i dam ci kilka minut, żebyś ułożył stosowną odpowiedź dla naszej drogiej panny Linwood.

Wyjmując papeterię i pióro wieczne z szuflady, Anson rozmyślał nad doborem słów. Czy powinien zachować formalny i obojętny ton, tak jak Lark, czy po prostu trysnąć potokiem słów, zapewniając, jak bardzo uszczęśliwił go jej list i że nie może doczekać się, by ją ponownie zobaczyć?

Irwin dał mu wystarczająco dużo czasu swoim wyjściem po kawę, tak iż gdy przyszedł z tacą, Anson zdążył już spisać to, co, miał nadzieję, było serdeczną, acz odpowiednio formalną odpowiedzią.

Gdyby tak udało mu się stworzyć z Edenu główną bazę

działania, miałby szeroki wachlarz możliwości, by przekuć znajomość z Lark z serdecznej na...

Na co? Na *miłosną*?⁷ Czy on naprawdę wierzył, że taka piękna, młoda kobieta jak Lark Linwood mogłaby kiedykolwiek zakochać się w nudnym, niedowidzącym nauczycielu? Kiedy mówił Lark, że nie jest taki jak Franklin Keene, chodziło mu o te wszystkie negatywne aspekty.

Ale prawdą było też, że Anson nie miał ani ujmującej osobowości Franklina Keenea, ani jego czarującego stylu bycia i pociągających rysów.

Irwin postawił kubek z kawą obok ręki Ansona.

- Ale masz posępną minę. Co się stało z całym entuzjazmem, który wykazywałeś, zanim wyszedłem?

- Po prostu docierają do mnie realia. - Anson złożył list i wetknął go w kopertę. Wypisał adres Lark z przodu i znalazł znaczek w szufladzie.

Irwin popijał kawę, opierając ramiona na podłokietnikach fotela.

- Widzę, co ci chodzi po głowie, i musisz wiedzieć, że zupełnie się mylisz. To, że ze względu na pracę w Kenii pozostawałeś poza rynkiem matrymonialnym przez te wszystkie lata, wcale nie oznacza, że jest dla ciebie za późno.

- Rynkiem matrymonialnym? - prychnął Anson. - Mówisz tak, jakby to była aukcja bydła, a ja miałbym być jałówką, która ma już za sobą najlepsze lata.

- Nie powinieneś powiedzieć „bykiem”? O ile się nie mylę, jałówka określa żeńską przedstawicielkę bydła.

- Jałówką, nie jałówką. Ta rozmowa i tak jest jałowa. - Anson podniósł się z fotela. - A teraz, jeśli mi wybaczysz, mam list do wysłania.

Po ponad tygodniu ujemnych temperatur, w środę przed świętami Bożego Narodzenia, Lark nie musiała już tłuc pokrywy lodowej, która tworzyła się codziennie rano w zbiornikach z wodą dla zwierząt. Postawiła wiadro pod wymionami Hermiony, usiadła na stołku i z ociąganiem zdjęła z dłoni wełniane rękawiczki. Dojenie nie było jej ulubionym zajęciem, ale nieustannie przypominała sobie dwie rzeczy: po pierwsze i najważniejsze - wszyscy byli wdzięczni, że stara krowa mleczna znowu zaczęła dawać mleko po tym, gdy ociełiła się zeszłej wiosny, a po drugie, dopóki Lark przebywała w domu, musiała odciążyc dziadka i Rose, by mogli zająć się cięższymi pracami.

Oparła czoło o ciepły bok Hermiony i teraz docierały do niej tylko zapachy obory i rytmiczne odgłosy mleka ściekającego do wiadra. Gdy wróciła z Arkadelphii z wiadomością o losie sklepu pana O'Neilla oraz o swojej decyzji, aby nie zapisywać się na zajęcia, dostała burę zarówno od Rose, jak i od dziadka. Jak tylko Bryony dowiedziała się

O wszystkim, jeszcze śmieiej wyraziła swoją dezaprobatę

I biorąc pod uwagę wszystko, co poświęciła, żeby wysłać młodszą siostrę do college'u, Lark nie dziwiła się jej. Bryony nawet zaproponowała, że poprosi rodzinę Michaela o pomoc w opłaceniu studiów Lark, ale ona nie chciała jeszcze bardziej zadłużać się u Heathów, którym i tak winni byli już wiele.

- Cześć, Lark. - Rose zagładnęła przez wejście do boksu. - Jak tylko dziadek skończy rąbać drewno, spakujemy kilka bel paszy do skupu, żeby zobaczyć, ile za nie dostaniemy.

Potrzebujesz czegoś z miasta?

- Może trochę mąki kukurydzianej. Zauważyłam wczoraj, że już się kończy. - Lark wyprostowała się i rozciągnęła przykurczone palce. Hermionie i tak już powinno wystarczyć jak na poranne dojenie. - I nie zapomnij odebrać poczty.

Rose znacząco poruszyła brwiami i uśmiechnęła się.

- Wszyscy święci, ratujcie ją! Jakby nie mogła wytrzymać jednego dnia bez wiadomości od swego ukochanego.

Lark skoczyła na nogi tak gwałtownie, że o mało co nie przewróciła wiadra z mlekiem. Szybko przesunęła je na bok, zanim Hermiona zrobiłaby to za nią.

- Anson Schafer to nie jest mój ukochany.

- Naprawdę? No wiesz, bo sądząc po tym, że pisze do ciebie praktycznie każdego dnia, od kiedy był u nas na Święcie Dziękczynienia... - Rose oblizwała górną wargę, wznosząc z zamyśleniem wzrok ku sklepieniu obory. - Taaa... Dla mnie to brzmi jak u-ko-cha-ny.

- Idź pakuj te bele siana i daj mi spokój. - Lark chwyciła za wiadro z mlekiem, przepchnęła się obok Rose i ciężko człapiąc, ruszyła w stronę domu.

Akurat gdy skończyła rozlewać świeże mleko do czystych szklanych słoików, dziadek wrócił z naręczem drewna i rzucił je do metalowego pojemnika obok pieca.

- Rose mówiła, że jedziem do miasta?

- Mhm. - Lark zakręciła wieczko słoika. - Powodzenia w skupie.

- Wrócim do południa.

Dziadek zawsze był oszczędny w słowach, ale ostatnio to już w ogóle. Najwyraźniej, gdy powiedział już wszystko,

co zamierzał, na temat rzucenia szkoły przez Lark, niewiele wydawało się warte werbalnych wysiłków.

Musiała jeszcze jakoś oznajmić rodzinie, że pewnie będzie się przeprowadzać do Little Rock, żeby pracować dla fundacji Ansona. Ale nie było co puszczać farby, zanim nie będzie miała pewności, czy w ogóle jest jakaś farba.

Dzisiejsze mleko chłodziło się już na werandzie, kiedy Lark wniosła to z wczorajszego udoju do środka i zaczęła zbierać śmietankę. Ramiona miała już zmęczone od dojenia, a teraz musiała ubić masło. Może i zmywanie tablic w szkole Matumaini było nużące, ale w tym momencie i tak wydawało się dużo ciekawsze niż monotonne prace na farmie. Nie po raz pierwszy Lark zastanawiała się, jakby się to wszystko potoczyło, gdyby została w Kenii.

Jednego była pewna - tutaj wcale nie przybliżała się do bycia prawdziwą nauczycielką bardziej niż tam, w Afryce.

Kiedy wreszcie uzbierała z trudem skromną porcję masła i przełożyła ją na ceramiczny półmisek, wyczyściła i odłożyła maselnice, a potem postawiła na kuchni wczorajszą zupę fasolową i zabrała się za przygotowywanie chleba kukurydzianego. Zanim skończyła, dziadek i Rose wrócili już z miasteczka. Wyglądając przez okno, Lark zauważyła, że przywieźli z powrotem co najmniej dwie bele siana. Ani dziadek, ani jej siostra nie wyglądali na szczęśliwych, kiedy wtoczyli się do kuchni.

- Złe nowiny w skupie? - zapytała Lark, rozkładając miski i sztućce na stole.

- Każdy jeden, co miał jakie siano, próbuje sprzedać zapasy.
- Dziadek, poruszając się sztywno, zawiesił swój zakurzony brązowy kapelusz na wieszaku i zrzucił z siebie

płaszcz, po czym kontynuował: - Stary Ned wziął kilka bel w zamian za ziarno, więc przynajmniej będziemy mieli czym wykarmić zwierzęta.

- To już coś, chyba. - Lark przez ścierkę do naczyń wyjęła gorący chleb z pieca. - Rose, możesz nałożyć zupę?

Uśmiechając się szeroko, Rose pomachała przed nosem Lark niezbyt grubym plikiem kopert.

- Jesteś pewna, że nie chcesz przeczytać listu od swego ukochanego... przepraszam, swojego przystojnego, czarującego, uczonego *przyjaciela*⁷

Lark odłożyła raptownie formę z chlebem na podstawkę, a następnie wydarła pocztę z ręki Rose. Nie przyznawała się przed nikim, a tym bardziej przed sobą, że za każdym razem, gdy przychodził list od Ansona, przeszywał ją lekki dreszcz. Trochę go lubiła i szanowała również, ale dostała już nauczkę, że należy zachowywać odpowiednie granice.

Rzuciwszy pocztę na blat, zawołała wszystkich do stołu.

- Jedzmy, póki ciepłe.

Potrzeba było niemało silnej woli, by zostawić wiadomość Ansona i czekać, aż skończą obiad i pozmywają naczynia. Lark widziała ukradkowe spojrzenia Rose i ledwo skrywane uśmieški. Gdy tylko jej siostra i dziadek wyszli, żeby naprawić coś przy pick-upie, Lark chwyciła list, przysunęła sobie krzesło bliżej ciepłego pieca i rozerwała kopertę. Był datowany na zeszły piątek. Przeszył ją dreszcz zniecierpliwienia, gdy tylko zaczęła czytać.

*Moja droga Lark,
dzisiaj otrzymałem Twój list i z przykrością przyjąłem wiadomość o zamknięciu sklepu pana O'Neilla oraz o Twojej decyzji,*

żeby zrezygnować z zapisania się na wiosenne zajęcia. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak bardzo musiałaś być rozczarowana.

Jednakże wybac mi moją osobistą radość związaną z tym, że jesteś zainteresowana pracą w mojej fundacji. Tak, propozycja jest jak najbardziej aktualna! Żałuję tylko, że nie mogę pochwalić się dobrymi nowinami dotyczącymi wyników pozyskiwania funduszy. Jak sama dobrze wiesz, wszystkim jest obecnie ciężko i mało kto może dać tyle pieniędzy, ile by chciał.

W związku z tym razem z Irwinem omawiamy zasadność ograniczenia zasięgu naszych działań w stosunku do tego, co zakładaliśmy początkowo. Co sądzisz o tym, byśmy wystartowali z naszą inicjatywą edukacyjną właśnie w Edenie?

Serce podeszło jej do gardła. Przerwała i przeczytała ten ustęp jeszcze raz. „Właśnie w Edenie”. O, tak, zapotrzebowanie było tu ogromne! Lark знаła wiele rodzin, które nie mogły sobie pozwolić, by zwolnić dzieci z prac na farmie i wysłać je do szkoły. Sama byłaby w podobnej sytuacji, gdyby Bryony nie zrezygnowała z liceum, dzięki czemu Lark mogła ukończyć edukację.

Anson pisał dalej, prosząc o jakieś sugestie, z kim mogliby się skontaktować w kwestii znalezienia lokalu na mieszkanie i placówkę. Któż mógłby się w tym lepiej orientować niż pastor Unsworth.

Lark chwyciła za płaszcz i wybiegła na zewnątrz. Zastała Rose i dziadka z głowami pod maską pick-upa, mamroczących coś o wężykach i ciśnieniu oleju.

- Już wiecie, co się zepsuło?

Rose cofnęła się i ocierając ręce starą szmatą, rzekła:

- Luźny zacisk. Teraz już powinno dobrze trzymać.

- Świetnie. Muszę jechać do miasteczka.

- Ale my właśnie stamtąd wróciliśmy.

- A teraz ja jadę z powrotem.

Dziadek z trzaskiem zamknął maskę samochodu i rzucił klucz do skrzynki stojącej u jego stóp.

- To coś wspólnego z tym listem? - zapytał.

Po tych wszystkich docinkach na temat Ansona, które musiała znosić, Lark nie miała ochoty tłumaczyć.

- Nakarmiłam kury, wydoiłam krowę, ubiłam masło, ugotowałam wam obiad i teraz jadę do miasteczka. Jeżeli wam się to nie podoba, to może spróbujcie sobie sami ugotować kolację i zobaczymy, czy wam będzie smakować.

Dziadek i Rose wymienili spojrzenia spod uniesionych brwi, a potem podnieśli dłonie w geście obronnym, jakby się wycofywali. Skinąwszy z zadowoleniem, Lark wsiadła za kierownicę. Dopiero gdy skierowała starego pick-upa na wąską drogę, uświadomiła sobie, że naprawdę źle zrobiła, zostawiając na stole kuchennym otwarty list od Ansona.

8.

Anson był tak pochłonięty organizowaniem fundacji, że prawie nie zauważył nadejścia Bożego Narodzenia. Pewnie w ogóle nie dotarłoby to do niego, gdyby Irwin nie nalegał na uczestnictwo w pasterce w Katedrze Świętego Andrzeja w Little Rock. W zasadzie to Kościół przeznaczył znaczne datki na fundację Ansona wraz z obietnicą comiesięcznego wsparcia przez okres co najmniej roku, dlatego też Anson poczuł się zobligowany, by się tam pojawić w zewnętrznym wyrazie wdzięczności.

Jednakże jego doświadczenia z Afryki trochę ostudziły zapał do religii. Miał wrażenie, że misjonarze, którzy - zamiast współodczuwać - osądzali, zupełnie zapomnieli o słowach Chrystusa z Ewangelii świętego Łukasza, w rozdziale 6, wersecie 37: „Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni; nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni; odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczone”.

Mimo to dostojna liturgia, światło świec i pieśni - wszystko to razem wzięte dotknęło go do głębi i przypomniało mu, że ofiarna miłość Chrystusa jest ponad wszelkimi podziałami.

Gdy zakończyły się modlitwy, nie wstał od razu, by skierować się do wyjścia, ale siedział w ławce i trwał w milczącej kontemplacji, choć katedra zaczynała pustoszeć. Wyczuł zaintrygowanie Irwina, ale przyjaciel mądrze nic nie powiedział.

Kiedy prawie wszyscy wyszli, Irwin położył delikatnie dłoń na rękę Ansona.

- Popatrz tam... Czy to nie siostra Lark i jej mąż? Anson spojrział w stronę bocznej nawy, gdzie migotały

rzędy wotywnych świec. Zauważył stojących tam mężczyznę i kobietę, ale z tej odległości i w tak słabym świetle nie był w stanie rozpoznać twarzy.

- Nie widzę. Ale czy to możliwe, żeby jechali tu tak daleko z Brinkley?

- Zaraz się dowiem. - Irwin ruszył boczną nawą i podszedł do pary.

Kiedy Anson zauważył, że początkowe zaskoczenie zmienia się w miłe powitanie, wstał i dołączył do nich. Michael uściśnął mu serdecznie dłoń, a Bryony chwyciła go w pełnym entuzjazmu uścisku.

- Już się nie mogę doczekać, aż zobaczę jutro Lark i powiem jej o tym, że was tu spotkaliśmy - wybuchnęła radośnie. - Teraz jeszcze bardziej żałuję, że nie wzięliśmy jej ze sobą.

Irwin popatrzył na nią z konsternacją.

- Z pewnością nie wracacie dzisiaj w nocy?

- Och, nie, mamy pokój w hotelu. - Ujmując Michaela pod ramię, Bryony posłała w jego kierunku uśmiech. - Odświeżamy tradycje rodzinne Heathów. Kiedy Michael był małym chłopcem, rodzice zawsze zabierali jego i Mirandę

do Little Rock na pasterkę, potem nocowali w hotelu, gdzie rankiem świętowali wspólnie przy wystawnym śniadaniu, a następnie wracali do domu.

- To musi być bardzo miły zwyczaj. - Anson przerzucił płaszcz do drugiej ręki. - A tak przy okazji, wiecie może, czy Lark otrzymała ode mnie list w tym tygodniu?

Bryony zerknęła przelotnie na Michaela, a potem odparła:

- Nie wiem, czy powinnam cokolwiek mówić, ale... tak, i wydaje mi się, że już wysłała odpowiedź.

- Och? - W głosie Ansona dało się słyszeć podenerwowanie. Nagle poczuł się zupełnie nieprzygotowany na odpowiedź Lark.

- Myślę, że uznasz to za dobre wiadomości... Michael pociągnął lekko ramię Bryony.

- Jak sama stwierdziłaś, chyba nie powinnaś nic mówić. Uśmiechając się z zakłopotaniem, Bryony wzruszyła ramionami.

- Przepraszam, Ansonie. Wytrzymasz do końca świąt?

- Chyba nie mam wyjścia. - Anson skinął głową w kierunku drzwi. - Jest już późno. Nie powinniśmy was zatrzymywać.

- Miło było znów was spotkać. Radosnych Świąt! - powiedział Michael, ściskając kolejno dłonie Irwina i Ansona.

- Dla was również radosnych Świąt. - Anson przyjął pożegnalny pocałunek Bryony i zaczął się zastanawiać, czemu ona traktuje go tak kordialnie, skoro listy Lark brzmiały coraz bardziej powściągliwie.

Najwyraźniej Bryony, podobnie jak Irwin, uważała, że pomiędzy Lark a Ansonem jest jakaś bliskość, która w rzeczywistości nie istniała, przynajmniej nie na takim poziomie,

na jaki liczył Anson.

Było już dobrze po drugiej w nocy, gdy wrócili do domu i Anson wczuł się do łóżka. Spał do wpół do dwunastej w pierwszy dzień świąt i pewnie wylegiwałby się dłużej, gdyby nie obudziło go jakieś poruszenie w kuchni i piskliwy kobiecy głos. Ubrał się w pośpiechu, nie tracąc czasu na golenie, ale i tak, zanim zszedł na dół, odwiedzająca już zniknęła.

- Mam nadzieję, że jesteś głodny - przywitał go Irwin, podnosząc pokrywę wiklinowego kosza piknikowego i uwalniając tym samym kuszące aromaty pieczonej szynki, kandyzowanych batatów i sosu żurawinowego. - Z pozdrowieniami od pani Herndale ze stowarzyszenia misyjnego. Obawiała się, że my, dwójka biednych, bezradnych samotników, pomrzemy z głodu.

Anson szarpnięciem oderwał sobie kawałek szynki, wepchnął do ust i jęknął z rozkoszą.

- Czy moglibyśmy pominąć śniadanie i od razu przejść do obiadu?

- Biorąc pod uwagę, że obaj i tak przespaliśmy pół dnia, przychyliam się do twojej propozycji. Nakryj do stołu, a ja zrobię kawę.

Gdy usiedli już do posiłku, myśli Ansona nieustannie biegły w stronę Lark. Zastanawiał się, jak spędza święta i czy w ogóle o nim myśli. Poniedziałkowa dostawa poczty wydawała się bardzo odległa. Miasteczko Eden było oddalone tylko o jakieś sto kilometrów, ale ponieważ na farmie Rigbyego nie było telefonu, kontakt Ansona z Lark zależał od kaprysów poczty.

Przystrojenie domu w wydaniu Irwina ograniczało się do zaledwie kilku zielonych girland zawieszonych na gzymsie

kominka i świątecznego wieńca na drzwiach. Z Ansonem uzgodnili, że nie będą sobie wręczać prezentów, więc reszta popołudnia minęła im na grze w szachy, picciu kawy, podjadaniu ciasta dyniowego od pani Herndale i drzemce.

W poniedziałek Anson kursował od gabinetu do skrzynki na listy w drzwiach wyjściowych więcej razy, niż był w stanie zliczyć. Kpiąc z niego, Irwin oskarżył go o ścieranie lakieru z dębowej podłogi i groził, że zażąda od niego zwrotu kosztów remontu.

Kiedy w końcu nadeszła poczta, Irwin doskoczył do niej pierwszy i odtańczył jakiś dziki taniec, przeglądając stosik listów, który trzymał poza zasięgiem Ansona. Nagły triumfalny śmiech zdradził jego odkrycie. Z rozmachem położył kopertę na wyciągniętej dłoni Ansona.

Anson skierował się na schody i usiadł na drugim stopniu. Szybko otworzył kopertę i zaczął mocować się z kartką, która nie chciała się rozłożyć, dopóki nie uspokoił zarówno oddechu, jak i nerwowego drżenia dłoni.

- I co? Nie trzymaj mnie w takiej niepewności, chłopcze. - Irwin stał nad nim z rękami na biodrach.

- Czekaj, czekaj... - odparł. Uśmiech Ansona rósł w miarę czytania.

W typowym dla siebie formalnym tonie Lark opisywała rozmowę z miejscowym pastorem w kwestii jakiegoś miejsca w Edenie, gdzie Anson mógłby założyć swoją placówkę edukacyjną. Jak się okazało, jakaś starsza wdowa, która mieszkała na skraju miasteczka, podjęła decyzję o przeprowadzce do syna i synowej w Stuttgarcie. Liczyła, że sprzeda swój pięćdziesięcioletni wiejski dom, ale byłaby też chętna na wynajem po obniżonej cenie, jeśli najemca

zgodziłby się dokonać koniecznych napraw. Lark dodała od razu, że uwzględniając wiek tego domu, były one liczne.

„Ale mój dziadek chętnie pomoże - pisała dalej - a pastor Unsworth jest przekonany, że możemy liczyć na wiele wsparcia od lokalnej społeczności”.

To my nie mogło umknąć uwadze Ansona. Wziął długi, powolny wdech i wręczył list Irwinowi.

- Przeczytaj i zabieramy się do pakowania.

Po chłodnym poranku pierwszy dzień po świętach szybko się ocieplił, dochodząc do miłych piętnastu stopni. Lark wykorzystała to niemal wiosenne popołudnie, zabierając na werandę swój kosz z robótkami i stertę rzeczy, które zamierzała zacerować w trakcie oczekiwania, aż wywieszzone wcześniej pranie wyschnie.

Dzień Bożego Narodzenia upłynął bardzo spokojnie - rano kościół, a potem Lark musiała sobie szukać zajęcia do czasu, gdy Bryony i Michael wstąpili do nich w drodze powrotnej z Little Rock. Jakoś nie czuła, że są święta, dopóki nie miała wokół siebie całej rodziny w komplecie.

Oprócz prezentów, to jest nowego filcowego kapelusza dla dziadka oraz puszystych swetrów dla Rose i Lark, Bryony przywiozła też bostońskie ciasto z kremem z hotelu Marion, gdzie razem z Michaelem zatrzymali się po pastercie. Później Bryony i Michael pojechali do domu Heathów świętować Boże Narodzenie z jego rodziną. Mieli też tam przenocować i Bryony obiecała, że odwiedzą ich jeszcze na farmie po południu kolejnego dnia, w drodze powrotnej do Brinkley

Słońce przyjemnie ogrzewało ramiona Lark. Podniosła wzrok znad robótek, żeby sprawdzić, jak idzie dziadkowi. Od rana zabrał się do naprawy starego traktora, którego w zeszłym tygodniu przywiózł Daniel, mąż Mirandy. Ten przejął go od rodziny farmerów, którzy zrezygnowali z rolnictwa i wyprzedawali wszystko, co mogli. Daniel powiedział, że jeśli dziadkowi uda się uruchomić maszynę, może ją sobie zatrzymać. Nadchodził czas wiosennej orki, a ich biednej, starej mulicy, Daisy, przydałaby się pomoc. Poza tym dobry humor dziadka wynikał też z faktu, że w Wigilię spadł całkiem przyzwoity deszcz.

Uwagę Lark przykuło nagłe mignięcie zieleni oraz zgrzyt opon na nieutwardzonej drodze. Wetknęła igłę w poduszeczkę do szpilek i zdjęła z palca napałek, a następnie wyszła na zewnątrz werandy, aby przywitać się z Bryony i Michaeliem.

Wysiadłszy z samochodu, Bryony podbiegła i zarzuciła ramiona na szyję Lark.

- Czyż to nie wspaniały dzień?

- Owszem. - Lark odsunęła się nieco i posłała siostrze badawcze spojrzenie. - Na Boga, Bry, skąd u ciebie taka radość? Święta były wczoraj!

- Co w tym złego, żeby przedłużyć trochę świętowanie? - Uśmiechając się jak kotka, Bryony ujęła Lark za dłoń i pociągnęła ją w stronę wejścia.

Lark rzuciła okiem za siebie na Michaela, który uśmiechając się, wolnym krokiem poszedł w stronę dziadka i starej planeki, gdzie leżały porozkładane części od traktora.

- Widzę, że coś jest na rzeczy - stwierdziła, patrząc spod przymrużonych oczu na Bryony. - Skoro już mi wyjawiaś,

że widziałaś Ansona i doktora Younga w kościele na Wigilię, musi być coś jeszcze, o czym mi nie powiedziałaś.

Siostry usiadły na werandzie obok siebie w drewnianych fotelach na biegunach, które dziadek zrobił wiele lat temu. Bryony omiotła wzrokiem podwórko.

- Gdzie Rose?

- W sklepie. Dziadek posłał ją, żeby zamówiła części do traktora. - Lark zaczęła się huśtać w fotelu. - Wyczerpujesz moją cierpliwość do granic możliwości, pani Heath.

Dopiero gdy to powiedziała, Lark domyśliła się, jaką radosną tajemnicę kryje Bryony. Przechyliwszy się w bok, złapała siostrę za rękę i zapytała:

- Bryony... czy ty...?

Pojedyncza łza spłynęła po policzku Bryony, gdy uśmiechnęła się tak promiennie, jak już od dłuższego czasu Lark nie widziała.

- Nie byłam całkiem pewna, aż do dzisiaj, gdy porozmawiałam rano z Dancy. - Dancy była pokojówką Heathów, ale kiedyś pracowała jako akuszerka. - Powiedziała, że widzi wszystkie oznaki i jeśli dobrze policzyliśmy, dzidzius powinien przyjść na świat pod koniec lipca.

- Och, Bry! Tak się cieszę! - Lark wygramoliła się z fotela i rzuciła się, by uściskać siostrę. Płakały razem, aż ich łzy zmieniły się w śmiech. Brakowało jej już tchu, gdy opadła z powrotem na fotel, nie puszczając ani na chwilę dłoni Bryony.

- Kto jeszcze wie?

- Hmm, Michael oczywiście i Dancy. No i teraz ty, bo *musiałam* ci powiedzieć, inaczej bym nie wytrzymała. - Twarz Bryony nagle spoważniała. Zerknęła szybko w stronę podwórka. - Ale nie mów ani słowa nikomu innemu. Nawet

Rose ani dziadkowi. Dopiero po wizycie u lekarza w Brinkley będę się czuła na tyle pewna, by podzielić się tą nowiną. Niepokój ścisnął serce Lark.

- Chyba nie myślisz, że coś mogłoby być źle?

- Nie. Nie! - odparła, ale w jej oczach dało się odczytać niepokój. - Tylko po prostu tak długo nam to zajęło, że muszę się upewnić, czy wszystko jest w porządku z dzieckiem.

- Oczywiście, że tak, skarbie. I wiem, że będzie. - Lark otarła kolejną łzę. - To będzie najpiękniejsze, najdoskonalsze dziecko na świecie!

Bryony przytaknęła zapamiętale.

- Jeśli to jest dziewczynka, chciałabym, żeby miała na imię Iris, po mamie. Teraz brakuje mi jej bardziej niż kiedykolwiek indziej.

- Z pewnością byłaby zachwycona. A ja tym bardziej cieszę się, że nie wróciłam do szkoły i będę na miejscu, aby pomóc przy mojej nowo narodzonej siostrzenicy lub sio-strzeńcu.

Na twarzy Bryony zagościł wyraz dezaprobaty, którą mogła okazać tylko starsza siostra.

- Cóż, z tego się akurat *nie cieszę*. Tak bardzo chciałam, żebyś ukończyła college.

- Ukończę... kiedyś. - Przynajmniej bardzo tego pragnęła. Choć te kilka ostatnich lat nauczyło ją, że nic w życiu nie jest pewne. - W międzyczasie postaram się chłonać, jak najwięcej się da, na temat nauczania, gdy będę pomagać Ansonowi przy jego fundacji. - Patrząc w stronę Edenu, Lark wyszeptała: - Nie mogę się doczekać, aż dostanę od niego odpowiedź w sprawie tego domu, który znalazłam. Teraz żałuję, że nie pojechałam z tobą do Little Rock, bo mogłabym mu o tym

wszystkim opowiedzieć. - Lark westchnęła, gdy tylko rozpoznała znaczący błysk w oczach Bryony. - Nawet nie zaczynaj. Wystarczy, że Rose nie przestaje mi dokuczać od Święta Dziękczynienia. Zapewniam cię, zupełnie nie interesuję się Ansonem Schaferem w innym wymiarze niż pomoc w kształceniu biednych dzieci z Arkansas.

Uśmiechając się smutno, Bryony odgarnęła na bok pojedynczy kosmyk włosów Lark.

- To, że raz się sparzyłaś, nie znaczy, że sytuacja musi się powtórzyć.

- Nie, z pewnością nie. - Lark założyła ręce i spoglądając przed siebie, odepchnęła się, wprawiając fotel w ruch. - Bo teraz wchodzę w to z szeroko otwartymi oczami.

Anson nie zamierzał tym razem czekać i polegać na usługach pocztowych, by przekazać Lark swoją odpowiedź. Jeszcze tego samego popołudnia zamówił rozmowę do sklepu w Edenie. Mężczyzna o imieniu Joe powiedział, że z przyjemnością przekaże wiadomość na farmę Rigbyego zaraz po zamknięciu sklepu. W wiadomości Anson potwierdził, że z chęcią zobaczy dom, o którym pisała Lark, i zapytał, czy czwartek będzie jej odpowiadał. Kolejnego ranka zadzwonił ponownie do Joego, by dowiedzieć się, jaką odpowiedź dała Lark, a było to radosne „tak”.

Co prawda ani razu podczas rozmowy Joe nie użył słowa „radosna” w odniesieniu do reakcji Lark, ale Anson z zadowoleniem wyobrażał sobie pogodny uśmiech i to, że może ona naprawdę czeka, żeby się z nim zobaczyć. Prawdziwe

uczucia można łatwo ukryć pod zasłoną krótkich słów w liście, ale spotkanie twarzą w twarz, subtelne przechylenie głowy, mrugnięcie powiekami albo drgnięcie warg mogło ujawnić wiele niewypowiedzianych spraw.

Miało to swoje dobre i złe strony. Czy Lark przejrzy jego powściągliwość i dostrzeże coraz głębsze uczucie, jakim ją darzył? A może było już za późno? Jak miał pracować u jej boku dzień w dzień, jeśli ona powie mu wprost, by nie oczekiwał od niej niczego poza współpracą w kształceniu dzieci pokrzywdzonych przez los? Wciąż sobie przypominał, że przecież jego niezliczone wady sprawiały, iż nie był idealną partią dla kobiet.

Tylko dlaczego sama myśl o uśmiechniętych błękitnych oczach Lark, a także jej jedwabistych, słonecznych, falujących włosach sprawiała, że serce biło mu jak u zakochanego uczniaka?

- Ansonie, przestań bujać w obłokach. Jesteśmy już prawie na miejscu. - Cień uśmiechu przebijał z ostrego tonu Irwina.

Anson z pewnością nie potrafił ukryć swoich uczuć przed przyjacielem. Poprawiając się na miejscu pasażera w fordzie Irwina, zamrugał kilka razy i popatrzył przed siebie, w oddali widząc już miasteczko Eden. Lark przekazała im, aby spotkali się na plebanii obok kościoła - jedynej w miasteczku, więc będzie łatwo go znaleźć - i stamtąd pastor Unsworth zabierze ich na oględziny domu.

Kiedy skręcali w podjazd pomiędzy kościołem a plebanią, Anson dostrzegł smukłą sylwetkę Lark na werandzie przed brązowym domkiem obłożonym cedrowymi deskami. Miała na sobie szarą sukienkę i jasnoniebieski sweterek.

Pomachała w jego kierunku i ruszyła w dół schodów razem z okrągłym, łysiejącym mężczyzną w czarnym garniturze i pod koloratką.

Anson miał rację... Nawet przez swoje przyciemniane okulary dostrzegł radosny błysk w jej oczach, gdy czekała, aż on wysiadzie z pojazdu. Szybko przedstawiła sobie mężczyzn i dodała, że dom wdowy znajduje się niedaleko stąd, w bocznej uliczce. Pastor Unsworth miał ich tam zaprowadzić.

Anson zrównał krok z Lark.

- Mam wrażenie, że jesteś tak samo ciekawa jak ja, co z tego wyniknie.

- Dlaczegoż by nie? Nic mnie bardziej nie pociąga niż pomaganie swojej społeczności. - Jej rzeczowy dystans zdecydowanie powrócił. - Jeżeli zdecydujesz się na ten dom, w jakim czasie będziemy gotowi zacząć?

Ależ on uwielbiał to „my"! Uśmiechając się do siebie samego, Anson udawał, że namyśla się nad jej pytaniem i to nawet dłużej, niż było trzeba, bo od kiedy dostali list Lark w poniedziałek, nie robili z Irwinem nic poza przygotowywaniem się.

- To zależy od tego, jak szybko będziemy mogli przejąć dom. Nie powinno to zająć więcej niż tydzień albo dwa, żeby się tu wprowadzić i założyć placówkę. W międzyczasie możemy zacząć rozpuszczać wici, przy czym szczególnie polegamy na twojej pomocy.

- Już zaczęłam sporządzać listę rodzin, z którymi moglibyśmy się skontaktować. Miranda i Daniel, szwagierka i szwagier Bryony, także pomogą. - Lark zamilkła na chwilę, a potem dodała z wahaniem: - Czy wspominałam, że Daniel Vargas pochodzi z Meksyku?

Anson zwolnił kroku, próbując zinterpretować, co miała na myśli, ale w jej tonie nie było ani entuzjazmu, ani potępienia.

- Nie, wydaje mi się, że nie mówiłaś.

- Bardzo go wszyscy lubimy - pośpieszyła z wyjaśnieniem i Anson westchnął z ulgą. - Ale niektórzy ludzie nie są zbyt przychylni wobec innych niż biali. Zapewne potrafisz sobie wyobrazić, jak trudne to jest dla niego i dla Mirandy, nie wspominając już o dzieciach.

- Bez wątpienia. - Dotarli do podupadłego dwupiętrowego domu z elewacją z desek. Irwin i pastor Unsworth podeszli do drzwi frontowych, ale Anson zatrzymał się jeszcze obok rozpadającego się ogrodzenia porośniętego zaroślami. - Pamiętaj, Lark, że ja dorastałem w Afryce. Wszyscy moi koledzy z dzieciństwa byli kolorowi, ale szczerze mówiąc, nawet na to nie zwracałem uwagi. Gdyby nie dominujące tu, na Południu, uprzedzenia, z którymi stykam się na co dzień od chwili powrotu, pewnie nadal nie zastanawiałbym się nad kolorem skóry otaczających mnie osób. Więc jeśli chodzi ci o moją otwartość względem twojego przyjaciela Daniela, nie masz się czym martwić. Chętnie go poznam.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, a potem kąciki jej ust uniosły się w nieśmiałym uśmiechu. Następnie, zerkając w stronę domu, stwierdziła:

- Jest i pani Jenkins. Chodźmy się rozejrzeć. Zgarbiona kobieta o stalowoszarych włosach zaprosiła ich do środka.

- Ni ma wiele co patrzeć, ale ni miałam tu nikogo do pomocy, odkąd Jenkins odszedł po niebieską nagrodę, a rychło będzie już dziewięć lat.

- Bardzo nam przykro z powodu pani straty - zapewnił Irwin. Przeciągnął kciukiem po łuszczącej się farbie na ościeżnicy drzwi prowadzących do salonu, ale poza krótkim prychnięciem nic nie skomentował.

Anson przeszedł obok Irwina i wszedł do salonu, zauważając, że deski podłogowe uginają się pod jego nogami. Na pewno zmurszałe. A może korniki. Tak, dom bez wątpienia miał wiele mankamentów. Rozejrzał się po pokoju. Pod ścianami stały różne pudła, a większość mebli była poprzy-krywana muślinowymi prześcieradłami. Chociaż nie było to olbrzymie pomieszczenie, jedna ze ścian na końcu nadawałaby się na miejsce pod tablicę i tę przestrzeń można było z łatwością przerobić na klasopracownię.

- Jadalnia jest po drugiej stronie korytarza - powiedziała pani Jenkins, a potem wskazała gdzieś za plecami. - Kuchnia tam. A na górze są cztery sypialnie. Rok przed śmiercią męża zamontowali nam w domu wodę. - Sięgnęła w stronę przełącznika na ścianie i w pokoju zrobiło się jasno. - Jest też światło. Wszystkie nowoczesne wygody.

- Rzeczywiście. - Irwin się uśmiechnął, choć zmartwione spojrzenie, które posłał w kierunku Ansona, zanim wyszli na korytarz, przeczyło wyrazowi twarzy. - Możemy zobaczyć górę?

Cała czwórka weszła za panią Jenkins na piętro. Skrzypiące stopnie i rozchwiana balustrada z pewnością wymagały ostrożności, gdyż w przeciwnym razie mogłoby się to dla kogoś skończyć skreconym karkiem.

Kiedy kobieta otworzyła drzwi do jednej z sypialni, gałka odpadła i została jej w dłoni. Uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Jużem wam mówiła, że trza tu zrobić remont.

Anson zaglądał do wszystkich pokoi, które były raczej puste, bez mebli, oprócz sypialni używanej przez panią Jenkins. Wszystkie pomieszczenia potrzebowały gruntownych porządków i odmalowania. Gdy tylko pani Jenkins się odwróciła, posłał pytające spojrzenie w kierunku Irwina.

Przyjaciel uniósł brwi i wzruszył ramionami. A na głos powiedział:

- Obejrzyjmy jeszcze raz dół, a potem porozmawiamy, dobrze?

Po przejrzaniu jadalni, kuchni i małego warsztatu z tyłu domu pani Jenkins zaprowadziła ich z powrotem do salonu. Zdjęła prześcieradła z dwóch krzeseł i wzięła jedno dla siebie, a drugie podała pastorowi Unsworthowi. Anson ostrożnie przysiadł na zakurzonej kanapie, na której na środku usadowiła się również Lark, a z drugiej strony - Irwin.

Pastor Unsworth pocierał nerwowo dłońmi wzdłuż kantów spodni.

- Widzę, że martwi was, jak wiele trzeba tu zrobić. Jednakże pani Jenkins jest bardzo otwarta na negocjacje, by osiągnąć uczciwe porozumienie.

Anson i Irwin uzgodnili wcześniej, że z uwagi na większe zdolności administracyjne Irwina, to on podejmie ostateczną decyzję. Tak, ten stary dom wymagał porządnego remontu, ale - być może ze względu na słaby wzrok - Ansonowi łatwiej było dostrzec to, co kryło się poza wyglądem zewnętrznym, i skupić się na tym, czym to miejsce *mogłoby* być. Klasopracownia w salonie, sekretariat fundacji w jadalni i kwatery mieszkalne na piętrze oraz zielone przestrzenie za domem, gdzie dzieci mogłyby biegać i bawić

się pomiędzy lekcjami. Mógł niemal poczuć zapach kredy i usłyszeć głosy dzieci recytujących tabliczkę mnożenia albo *Pieśń o Hajawacie*⁴ Longfellowa.

Rzucił okiem na Lark. Siedziała nieruchomo z rękami splecionymi na kolanach i słuchała negocjacji, prawie w ogóle nie oddychając, jakby to, co się tu dzisiaj zdarzy, miało zadecydować nie tylko o jego przyszłości, ale także jej własnej. Oddałby wszystko za odwagę, by sięgnąć i ująć jej dłoń w swoją.

Zaraz potem usłyszał, jak Irwin mówi:

- Myślę, że doszliśmy do porozumienia. Czy nie byłoby to zbyt poganianiem, gdyby mogła się pani wyprowadzić do końca przyszłego tygodnia?

- Nie, skądże - odparła pani Jenkins, unosząc brodę. - Mój syn przyjeżdża w ten weekend samochodem z przyczepą. Wszystko, co zostanie, możecie wykorzystać lub wyrzucić, jak wam się widzi. Dobry Bóg wie, że nie będziem tego już potrzebować.

Wstali i wymienili uściski dłoni, a starsza pani odprowadziła ich do wyjścia. Wydawało się, że pastorowi ulżyło tak samo jak i jej, być może dlatego, że gdyby się nie dogadali, musiałby zająć się utrzymaniem tego miejsca pod nieobecność pani Jenkins. W drodze powrotnej na plebanię pastor rozprawiał o różnych ludziach z miasteczka, którzy byliby skorzy, żeby się nająć do remontu.

Tym razem to Lark prowadziła rozmowę.

- Wielu ludzi potrzebuje pracy, pastarze, więc będziemy pamiętać o tutejszych mieszkańcach. Najpierw jednak

4 Poemat epicki amerykańskiego poety Henry'ego Wadswortha Longfellowa napisany w 1885 roku, będący opracowaniem legend rdzennych mieszkańców Ameryki.

chciałabym, żeby dziadek rzucił okiem na dom. Wtedy dopiero zadecydujemy, co możemy zrobić sami, a do czego będziemy potrzebowali robotników. Irwin skinął z aprobatą.

- Doskonały pomysł, Lark. - Następnie podziękował pastorowi za poświęcony czas i zaproponował Lark, że odwiezie ją na farmę.

- Dziękuję, ale przyjechałam tu pick-upem dziadka. Czujcie się zaproszeni, żeby nas odwiedzić i dołączyć na kolację, jeśli tylko macie czas.

Bez uzgadniania tego z Irwinem Anson od razu odpowiedział:

- Z przyjemnością.

9.

Rose ściągała właśnie pajęczyny spod zapadającego się dachu werandy, gdy pod dom pani Jenkins zajechał Caleb. Oparła miotłę o poręcz i wyszła mu na spotkanie.

- Cześć. Cieszę się, że miałeś chwilę, żeby tu wpaść.

- Wszystko dla pieniędzy. - Caleb puścił oko. - I dla ciebie.

Rose poczuła oblewające ją ciepło. Marszcząc brwi, wycelowała miazdzące spojrzenie w stronę chłopaka, który był jej najlepszym przyjacielem od czasu szkoły podstawowej.

- To nie ja ci płacę. To działka pana Schafera.

- Mhm. Ale to ty jechałaś taki kawał drogi do nas, żeby zapytać, czy chcę pracę. - Caleb przebiegł wzrokiem, oceniając dom z przodu. - Taaa, trzeba będzie podeprzeć fundamenty. I wymienić niektóre okiennice.

- Przecież toż samo mówił już dziadek. - W głosie Rose dało się słyszeć irytację, bo czuła się dużo bezpieczniej, gdy się denerwowała na Caleba Wielanda, niż gdy musiała przyznać, że go podziwia. Kiedy nastąpiła susza, Caleb rzucił college w poszukiwaniu pracy, by jego rodzina nie zginęła z głodu. Potem z sercem jego taty robiło się coraz gorzej i jakiś

rok temu pochowali Nelsa Wielanda. Teraz to Caleb zajmował się matką i dzierzawioną przez nich farmą, która również należała do plantacji Brookbirch, będącej w posiadaniu Heathów.

- Znasz mnie, więc powinnaś dobrze wiedzieć, że lubię wszystko sam sprawdzać. - Caleb kopnął kawałek spróchniałego drewna u dołu jednego ze stopni prowadzących na werandę, a potem uśmiechnął się serdecznie w stronę Rose, najwyraźniej ją także sprawdzając. - Nie wiesz, że „toż” toż nie jest słowo.

Rose odchrząknęła.

- Będę mówić „toż”, kiedy tylko będzie mi pasować, dziękuję ci bardzo. Może powinieneś zająć się robieniem listy rzeczy, których będziesz potrzebował, zamiast dodawać mi zmartwień.

Powstrzymując się, żeby nie parsknąć śmiechem, Caleb zarzucił czupryną miodowozłocistych włosów i wyciągnął ogryzek ołówka oraz zeszyt ze śladami wilgoci z kieszeni swoich ogrodniczek. Z innej kieszeni z kolei dobył składaną metrówkę.

- Byłoby mi łatwiej, gdybyś zapisywała, kiedy ja będę mierzyć.

- Dobrze. - Rose wyciągnęła rękę po ołówek i zeszyt. Udawała, że się złości, ale nie mogła zaprzeczyć, że patrzenie, jak Caleb Wieland pracuje, sprawiało jej przyjemność. Nie licząc chyba jedynie Lark, nigdy nie знаła nikogo tak bystrego. Do czego tylko Caleb przyłożył rękę, świetnie mu się udawało. Zanim rzucił college, Rose zawsze uważała, że zostanie doktorem albo prawnikiem, a może któregoś dnia nawet prezydentem. Pewnie lepiej by sobie poradził niż stary Hoover.

Jakie to smutne, że przez trudne czasy najpierw Caleb, a teraz Lark czuli się w obowiązku odłożyć na bok swoje marzenia. Świat był czasem taki okrutny... Wojna, która zabrała im tatę, tornado, które zabiło ich matkę, niszczycielskie powodzie w 1927 roku, a teraz ta niekończąca się susza. Rose zastanawiała się czasami, czy jeszcze kiedykolwiek doczekają lepszych dni.

Ale ona, tak samo jak jej siostry, była waleczna. A co ważniejsze, wierzyła w Boga, który kocha swoje dzieci tak bardzo, że poszedł dla nich na krzyż, Boga, który kroczył u ich boku albo niósł ich, gdy trzeba było, zarówno przez czas próby, jak i zwycięstwa.

Caleb wykrzyczał, co mu wyszło z pomiarów i Rose zanotowała liczby w zeszycie. Posuwając się w głąb werandy, zerknął za siebie.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, jak Schafer chce przekonać okoliczne rodziny, żeby posłały tu swoje dzieciaki, skoro nie dają rady chodzić nawet na lekcje do okręgowej szkoły.

- Ma jakiś plan, tyle wiem. - Rose zapisała kolejne wartości, które podał jej Caleb. - Lark mówi, że zorganizuje lekcje tak, aby dzieci mogły zrobić, co trzeba, w domu i pogodzić to z nauką.

Caleb prychnął.

- Jak tylko będą miały jeszcze siły po całym dniu pracy w polu.

- Taaa, ale jak nie skończą szkoły, nie będą mogły liczyć na nic więcej poza pracą w polu przez całe życie.

- Ktoś musi uprawiać ziemię i hodować bydło, żebyśmy mieli jedzenie na stołach. - Nagłe spięcie ramion Caleba mówiło Rose, że trafiła w czuły punkt. Zrobił powoli długi

wydech i zmierzył pękniętą szybę w oknie. - Zapisz, że będę potrzebował kawałka szyby o wymiarach dwadzieścia pięć na trzydzieści centymetrów.

Notując kolejne liczby, Rose przeszła za nim do końca werandy i na drugą stronę domu. Po kilku minutach milczenia powiedziała:

- Nie chodziło mi o ciebie, Calebie. Nawet nie umiem wyrazić, jak bardzo cię szanuję za to, że zajmujesz się mamą i farmą. I wiem, że pewnego dnia, gdy wyjdziemy na prostą, ty i Lark będziecie mogli wrócić na studia. Otrzymacie swoje dyplomy i zrobicie w życiu coś wspaniałego...

- Przestań. Po prostu przestań, Rosie. - Caleb wyprostował się i wstrzymał jej dalsze uwagi zmęczonym uśmiechem. - To teraz jest moje życie i na razie nie widzę możliwości, żeby w najbliższym czasie miało się coś zmienić. Czasem musimy po prostu przyjąć to, co jest, i starać się wykorzystać to jak najlepiej.

- Więc... uważasz, że szkoła pana Schafera to niepotrzebny wysiłek?

- Tego nie powiedziałem. - Westchnął jeszcze raz i przeczesał włosy palcami. - Tu chodzi o nadzieję, tak? Nigdy nie będę stawał na drodze czemukolwiek, co mogłoby dać ludziom choćby małą szansę na marzenia.

Szkoda tylko, że Caleb sam wydawał się porzucić swoje własne.

Paskudna brązowa tapeta musiała stąd zniknąć. Balansując na najwyższym stopniu rozkładanej drabiny dziadka,

Lark pracowicie wsuwała wypłaszczonej część skrobaka pod łączenie papieru, odklejając go na tyle, żeby dało się go zrywać szerokimi pasami. Tynk pod tapetą będzie wymagał naprawienia, zanim zaczną malować, ale Lark już widziała oczami wyobraźni, o ile jaśniej będzie w tym pokoju, gdy przemalują go na ecru albo żółty słoneczny.

Zeszła z drabiny i przesunęła stanowisko pracy przed kolejny fragment ściany. Było przyjemne popołudnie, więc miała otwarte okna. Z zewnątrz dobiegały urywki rozmowy Rose i Caleba. Kiedy jej siostra wyjawiała swą nadzieję, że Lark i Caleb będą mogli jeszcze kiedyś wrócić na studia, poczuła, jak wzbiera w niej chęć do uzalania się nad sobą. Dyplom nauczycielski, o którym od zawsze marzyła, teraz wydawał się bardziej nieosiągalny niż najodleglejsza gwiazda.

Nie mogła temu ulec, chociaż... Nie, po prostu *nie mogła*. A plany Ansona na szkołę imienia Schaferów sprawiały, że właśnie zaczynał w niej kiełkować nowy pomysł. Być może udałoby jej się pożyczyć jakieś podręczniki uniwersyteckie i nadrobić zaległości. Co więcej, mogłaby napisać do dziekana w Henderson i zapytać, czy istniałaby możliwość studiowania w domu...

Usłyszała za sobą skrzypnięcie podłogi, więc natychmiast starła strużkę, która popłynęła po jej policzku. Po chwili odwróciła się i zobaczyła w wejściu Ansona. Miał podwinięte rękawy koszuli i zmierzwił włosy, a jego przedramiona i twarz poznaczone były ziemistymi śladami. Jego widok, tak odmienny od tego zwykle starannego, zepchnął w zapomnienie jej dręczące rozważania i przywiódł na usta uśmiech.

- Co ty robiłeś? - zapytała, unosząc brwi. - Tarzałeś się w koszu na śmieci?

- Na to samo by wyszło. Wygląda na to, że pani Jenkins nie czyściła pieca od miesięcy - odparł z drwiną w głosie. Zmrużył oczy i lustrował wzrokiem salon, w którym teraz nie było nic poza drabiną Lark i rosnącym stosem skrawków tapety. - Widzę, że masz zajęcie.

- Wolę patrzeć całymi dniami na podziurawiony tynk niż na to szpetne *coś*. - Lark obdarzyła pogardliwym spojrzeniem postrzępioną część tapety, z którą właśnie toczyła bój. Dopiero wtedy tknęło ją poczucie winy. - Ale chyba farba nie będzie bardzo droga?

Ostrożnie ująwszy w palce kawałek odrzuconego papieru, Anson przyjrzał mu się dokładniej.

- Nieważne, ile będzie kosztować pozbycie się tych odrażających brązowych... czymkolwiek te zawijasy miały być... to będzie dobry wydatek.

- W takim razie lepiej zabiorę się za zdrapywanie. - Nieco uspokojona, Lark poprawiła drabinę i zaczęła się wspinać po stopniach.

- Właśnie miałem się umyć i napić kawy, przegryzając ciasteczkami owsianym od pani Unsworth. - Anson położył jedną rękę na drabinie, stabilizując ją. - Zrób sobie przerwę i dołącz do mnie. Zaslugujesz na odpoczynek.

Spoglądając w dół, Lark uświadomiła sobie, że Anson był bardzo blisko. Wzięła krótki wdech i zachwiała się.

- Powolutku! - zawołał i wolną ręką otoczył ją w talii. Była na tyle wytracona z równowagi, że musiała się oprzeć na nim.

- Już dobrze. Dziękuję. - Śmiejąc się nerwowo, otrząsnęła

się z jego objęcia i pomału zeszła po drabinie. - Tak, myślę... myślę, że kawa i ciasteczka dobrze mi zrobią.

Kiedy Anson mył się nad zlewem, Lark napełniła dwa kubki z termosu i postawiła je na podniszczonym blacie stołu, który zostawiła im pani Jenkins. Kiedy odsłoniła serwetkę przykrywającą talerz z ciastkami, widać było wyraźnie, że ktoś już się nimi wcześniej zajadał.

Doktor Young pojawił się w wejściu. Miał brudne na kolanach ogrodniczki i winę wypisaną na twarzy.

- Obawiam się, że pokusa wygrała.

Z szerokim uśmiechem Anson przyjął kubek kawy, który wręczyła mu Lark.

- Zachowałeś przynajmniej na tyle samokontroli, żeby dla nas zostawić coś jeszcze. - Przesunął talerz z dala od zasięgu doktora Younga. - Powiedz, Irwin, co tam ci się udało zdziałać na piętrze?

- Wyszorowałem całą łazienkę z góry na dół. Pozamiatałem sypialnie i pościągałem trochę pajęczyn z sufitów - odpowiedział doktor Young, również częstując się kawą. - Czy zdecydowałeś już, kiedy chcesz się wprowadzić?

Anson ugryzł ciastko i przeżuwał je w zamyśleniu.

- Im szybciej, tym lepiej. W domu da się żyć, więc możemy odnawiać go, gdy będziemy już tu mieszkać.

- A lekcje? - zapytała Lark, bo jej niecierpliwość rosła. - Ile czasu potrzeba, żebyśmy mogli otworzyć drzwi dla uczniów?

- Najważniejsze jest dokończenie klasopracowni. Zamówiłem już tablicę z Little Rock. Twój dziadek wykona dla nas kilka prostych biurków i krzeseł, więc mam nadzieję, że moglibyśmy zacząć lekcje pierwszego lutego.

Doktor Young wziął swój kubek, podszedł do okna i wyjrzał na podwórko.

- Stawiasz wszystko na głowie, Ansonie. Szkoła bez uczniów jest nic niewarta.

I przynajmniej tutaj Lark mogła okazać się przydatna nie tylko do zdzierania tapety i szorowania podłogi.

- Rozmawiałam już z Danielem i Mirandą Vargas o tym, by rozpowiadać o szkole wśród rolników dzierzawiących ziemię na plantacji Brookbirch. W tym tygodniu zaczynają się też po przerwie świątecznej lekcje w szkole okręgowej i zamierzam złożyć wizytę dyrektorowi i wyjaśnić, co będziemy tu robić - oznajmiła.

- W takim razie powinienem się tam z tobą udać. - Anson dopił kawę i odstawił kubek do zlewu. - Myślisz, że mógłby się z nami zobaczyć jutro rano?

Jego zamiar towarzyszenia jej nagle ją zabolął. Czyżby sądził, że nie poradzi sobie sama z taką rozmową?

- Dyrektor Thornton chodzi do kościoła w Edenie i zna mnie od dawna. Uważam, że mam dużo większe szanse, by pozyskać jego wsparcie, niż ty jako nowa osoba w miasteczku.

Anson zdjął okulary i w milczeniu zaczął je czyścić ściereczką.

- Oczywiście, masz rację - powiedział po chwili, a Lark skrzywiła się na wybrzmiewające w jego głosie poczucie krzywdy. - Irwin da ci nasze referencje i inne informacje, które będziesz uważała za przydatne.

- Chodziło mi tylko o to, że może lepiej, żeby to ja skontaktowała się z nim na początku - wyjaśniła Lark. - Później z pewnością dyrektor Thornton będzie zainteresowany

spotkaniem z tobą.

- W takim razie będę czekać na wiadomość, jak ci poszło. - Uśmiech Ansona wydawał się wymuszony. - A teraz chyba muszę zobaczyć, co tam u twojego znajomego, Caleba, i dowiedzieć się, o ile ten remont uszczupli nasz budżet. - Włożywszy okulary na nos, skinął grzecznie w jej stronę i wyszedł tylnymi drzwiami.

Zostawszy sam na sam z doktorem Youngiem, gapiąc się na niedojedzone ciastko, Lark stwierdziła:

- Obraziłam go.

- Widzę, że to odwzajemnione uczucie. - Doktor Young poklepał ją z życzliwością po ramieniu. - Macie dużo więcej wspólnego, niż mogłoby się wam wydawać.

- Co przez to rozumiesz?

- Po pierwsze, oboje jesteście idealistami. Po drugie... - Uśmiechając się tajemniczo, doktor Young sięgnął po kolejne ciastko. Skubał je powoli, a Lark starała się poskromić rosnącą ciekawość. W końcu puścił do niej oko i oświadczył po prostu: - Chyba powinienem wam pozwolić dojść do tego samodzielnie.

- Czekaj, nie możesz tego tak zostawić. - Lark stanęła mu na drodze, gdy próbował wyjść z pokoju. - W ciągu kilku ubiegłych miesięcy zmieniłam bieg mojego życia nie raz, ale dwa razy. Z jakichś powodów, które są znane tylko Bogu, Anson Schafer stanął w centrum tych zmian, a teraz...

- A teraz kwestionujesz wpływ, jaki Anson miał na twoje wybory.

- A nie powinnam? To znaczy... - zaczęła i zamknęła oczy. To prawda, urzekł ją pełen łagodności sposób bycia i zdecydowanie Ansona. Skąd w ogóle miała mieć pewność, że

wybiera jakąś drogę z *właściwego* powodu, a nie tylko ze względu na wpływ innych?

- Moja droga - wyszeptał doktor Young, delikatnie dotykając jej ręki. Podniosła wzrok i spotkała się z jego pełnym ciepła spojrzeniem. - Bóg zna powód, dla którego jesteś tu dzisiaj i pracujesz u boku Ansona dla tej szlachetnej sprawy. Nasz Pan nigdy nie trwoni doświadczenia, ale wykorzystuje je, byśmy mogli wejść głębiej w Jego plan. Zaufaj Mu i pozwól, by pokazał ci swoje zamysły w sobie wiadomym, właściwym czasie.

Jedyną odpowiedzią, na którą potrafiła się teraz zdobyć Lark, było krótkie skinienie. Odsunęła się na bok i pozwoliła, by doktor Young przeszedł. Sama w cichej kuchni musiała się zastanowić, jak to możliwe, że jej wiara tak bardzo osłabła. Mama wychowała Lark i jej siostry w wierze w bezgraniczną miłość Bożą i wpoila im, że Jego plany i zamysły stoją ponad ich własnymi, a rozum ludzki nigdy nie zdoła ich pojąć.

Ale mama teraz nie żyła, była w niebie z tatą i babcią i Lark z pewnością nie potrafiła pojąć planu zabierającego z jej życia ludzi, zwłaszcza tych, których szczególnie by teraz potrzebowała.

Po niespokojnej nocy spędzonej na jednym z wyrobionych materacy, zostawionych przez panią Jenkins, Anson postanowił, że dokończy to, co Lark zaczęła w salonie. Poprzedniego dnia do późna zdzierła okropną brązową tapetę z dwóch ścian i częściowo z trzeciej. Jeżeli uda mu się skończyć to w czasie jej porannego spotkania z dyrektorem

lokalnej szkoły, będą mogli po lunchu przygotować ściany pod malowanie.

I może kiedy Lark zobaczy kremowożółtą farbę, po którą Anson posłał Irwina do Brinkley, to napięcie między nimi złagodnieje.

Nadal do końca nie wiedział, w którym momencie wczoraj to wszystko poszło w złą stronę. W jednej chwili śmiali się razem z tapety, a zaraz potem Lark wydawała się urażona jego propozycją, by towarzyszyć jej podczas spotkania z dyrektorem.

A potem *on* obraził się, że nie chciała z nim iść.

I to chyba go najbardziej zastanawiało, że ta dzielna, ujmująca kobieta była w stanie zmienić jego - dorosłego mężczyznę po trzydziestce - w nieprzewidywalny kłębek nastrojów jak jakiegoś wyrostka.

- Widzę postęp. - Irwin postawił dwie puszkę z farbą za drzwiami salonu.

- Już wróciłeś? Nie słyszałem samochodu. - Anson zszedł po drabinie i rzucił kolejną porcję tapety na rosnącą kupkę na środku pokoju. Zerknął w stronę frontowego okna. - Lark chyba jeszcze nie wraca?

- Jeszcze nie. Ale co byś powiedział na to, żebyś pomógł ci pozbyć się reszty tej koszmarnej tapety? Z pewnością sprawi to niezmierną przyjemność naszej młodziutkiej pannie Linwood.

Godzinę później zerwali ostatni kawałek papieru. Nawet z tym podziurawionym tynkiem na ścianach pokój wyglądał sto razy jaśniej. Anson zgarnął bałagan i poszedł go wynieść, podczas gdy Irwin mieszał gips, by uzupełnić spękania i dziury

Wracając do domu, Anson dostrzegł smukłą, jasnowłosą postać idącą podjazdem i gwałtownie skoczyło mu ciśnienie. Zmusił się, by uspokoić oddech. Nadszedł czas, by w końcu zaakceptować, że Lark nie postrzegала ich relacji jako czegoś innego poza zwykłym związkiem dwojga ludzi pracujących dla tej samej sprawy.

Mimo to, kiedy pomachała mu i zawołała go po imieniu, poczuł się lżejszy od powietrza, jej radosny uśmiech zapowiadał, że spotkanie przebiegło pomyślnie, i nie mógł się doczekać, aż usłyszy szczegóły.

- Irwin kupił trochę jedzenia dzisiaj rano - oznajmił, wychodząc jej naprzeciw. - Może zrobimy jakieś kanapki i porozmawiamy podczas lunchu.

Obeszli dom i skierowali się w stronę tylnych drzwi, ale Lark zaraz zwolniła kroku.

- Ansonie, bardzo mi przykro za moje zachowanie wczoraj. To twoja fundacja i nie mam prawa dochodzić swego, tak jak to wczoraj zrobiłam.

- Nie masz za co przeproszać. Twoja logika była jak najbardziej uzasadniona.

- To jednak nie tłumaczy mojej nadwrażliwości.

- Ani mojej. - Anson zatrzymał się przed nią i wyciągnął w jej stronę dłoń. - To co, zgoda?

- Tak. - Uścisnęła mocno wyciągniętą rękę. - Zgoda.

W jej oczach pojawił się jeszcze jakiś inny błysk i po raz kolejny Anson przeklinał swój słaby wzrok. Czego by nie dał, żeby móc wpatrzeć się w te chabrowe oczy i wyraźniej zobaczyć, co w sobie kryją.

Wszedłszy do kuchni, Anson zawołał Irwina. Gdy tylko się umyli i przygotowali kanapki z pieczenią wieprzową,

wszyscy w trójkę zasiedli nad lunchem. Kiedy jedli, Lark zrelacjonowała swoje spotkanie z dyrektorem.

- Na początku był sceptyczny, ponieważ nie rozumiał, dlaczego Eden miałyby potrzebować jeszcze jednej szkoły. - Lark oderwała kawałek skórki z chleba i skubała ją, mówiąc: - Ale jak tylko wyjaśniłam cel, stwierdził, że to wspaniały pomysł. Nawet zaproponował, że może wysłać wiadomość do tych rodzin, żeby poinformować je o twojej inicjatywie.

- *Naszej* inicjatywie - poprawił ją Anson. - Nie dotarlibyśmy tak daleko bez ciebie, Lark.

Irwin odkaszlnął, a następnie zapytał:

- Przepraszam, a czy szkoła w Edenie nie jest tylko dla białych? Te dzieci reprezentują tylko jakiś odsetek rodzin, którym chcielibyśmy służyć.

- To prawda. - Przełknąwszy, Anson przepił kęs kanapki wodą, po czym mówił dalej: - Stawiałem to jasno od samego początku, że nie chcę zamykać drzwi przed żadnymi dziećmi, które będą okazywały chęć i zdolność do nauki. Musimy zwiększyć zasięg.

Lark otarła usta serwetką, a potem odparła ostrożnie:

- Rozumiem to i zgadzam się. Ale wciąż zapominasz, że jesteśmy w Arkansas, nie w Kenii. Tu nie znajdziesz wiele tolerancji w stosunku do mieszania ras.

- *Mieszania*⁷ - Anson odsunął gwałtownie krzesło. - Mówimy tu o kształceniu dzieci. Kogo to obchodzi, jakiego koloru...

Irwin szybko wyciągnął dłoń w jego stronę.

- Ansonie, uspokój się. Przecież wiedzieliśmy, że mogą się pojawić takie problemy.

- Mnie się to również nie podoba - rzekła Lark. - Sądzę, że dyskryminacja to coś wstrętnego i każdy w mojej rodzinie czuje podobnie. Ale jest ryzyko, że spotkasz się z wrogością, jeśli spróbujesz umieścić białych i czarnych w tej samej klasie.

Anson nie umiał już się pohamować i skoczył na równe nogi. Był świadomy problemów rasowych na Południu, ale najwyraźniej nie doceniał powagi tego zjawiska. Przeszedł szybko do kuchni.

- Zatem będziemy mieć oddzielne klasy, dwa wieczory w tygodniu dla białych dzieci i dwa dla czarnych.

Irwin i Lark wymienili między sobą nerwowe spojrzenia.

- To może być za mało - stwierdziła Lark. - Niektórzy biali będą się sprzeciwiać korzystaniu ich dzieci z tej samej klasopracowni, a co gorsza, z tych samych biurek, co kolorowe dzieci.

Anson poczuł, jak wybucha w nim gniew.

- Przecież wszyscy jesteśmy ludźmi! Różni nas tylko kolor skóry!

- Nam to mówisz? - Irwin wstał i położył na chwilę dłoń na ramieniu Ansona. - Nas troje nie zdoła zmienić stulecia uprzedzeń tu, na Południu. Zostaje nam wprowadzać drobne zmiany tam, gdzie się da.

Anson zgrzytnął zębami.

- W takim razie proponuję, żebyśmy zaczęli. Jeśli nie wystarczy jedna klasopracownia, zrobimy dwie. - Otworzył drzwi do małego warsztatu obok kuchni i zmierzył wzrokiem zagraconą przestrzeń. - To wystarczy na sekretariat. Będzie tu ciasno, ale w ten sposób będziemy mogli przerobić jadalnię na drugą klasopracownię.

Zadowolony albo przynajmniej udobruchany, obrócił się i ruszył na drugą stronę domu. Jeśli chciał powitać uczniów w ciągu kilku najbliższych tygodni, mieli jeszcze wiele do zrobienia. Nie planował większych zmian w jadalni poza wprowadzeniem kilku biurek i dużego stołu. Teraz musiał na nowo przekalkulować to pomieszczenie. Było o połowę mniejsze od salonu, ale mogło pomieścić cztery małe ławki szkolne i jedno, nieco większe, biurko dla nauczyciela. Będzie musiał też zamówić dodatkową tablicę.

Układając w głowie kolejne plany, Anson złapał za puszkę z gipsem oraz szpachlę i zaczął wypełniać ubytki w ścianach salonu. Nie wiedział, ile czasu minęło, zanim Lark przyszła i zajęła miejsce obok niego z własnymi narzędziami. Założyła płócienny fartuch, a włosy przewiązała chustką.

Nałożyła trochę gipsu na ścianę i wygładziła, mówiąc:

- Doktor Young pokazał mi farbę, którą kupił. Kolor jest idealny.

- Cieszę się, że ci się podoba. - Musiał ze wszystkich sił walczyć, żeby skoncentrować się na ścianie przed nim, a nie na jej bliskości.

Pracowali razem - on łątał szpary w górnej części ściany, a ona zajmowała się tymi na dole. Po kilku minutach Lark powiedziała:

- Caleb mówił, że od jutra zacznie naprawiać fundamenty.

- Tak, słyszałem. - Anson zrobił kolejny krok i deski zatrzeszczały pod nim złowieszczo. - Odetchnę z ulgą, gdy tylko będzie to zrobione.

Znowu zapanowała cisza. Doszli do narożnika i zaczęli kolejną ścianę. Kiedy byli blisko okna, Lark przerwała i zgarnęła opadające jej na czoło pasmo włosów.

- Mam nadzieję, że nasza rozmowa podczas lunchu zbytnio cię nie zniechęciła.

Już jakiś czas wysilał słabe oczy, by dostrzec spękania oraz ubytki w ścianie, i teraz zaczęła go boleć głowa. A może to efekt mierzenia się ze wszystkimi spękaniem i ubytkami w jego marzeniach. Dusząc w sobie jęk, Anson odsunął się i odstawił puszkę z gipsem. Sytuacja w Kenii była skomplikowana, ale tam przynajmniej wiedział, jak sobie z tym poradzić. Ameryka niosła ze sobą cały zbiór nowych wyzwań i takie sytuacje jak ta dzisiaj powodowały, że zaczynał wątpić, czy w ogóle jest na to wszystko gotowy.

- Może powinienem po prostu wrócić do Kenii.

Nie był świadomy, że powiedział to na głos, dopóki nie poczuł na ramieniu niepewnego dotyku Lark.

- Powiedz, że tak nie myślisz... Nie po tym wszystkim, co zrobiłeś, żeby ta szkoła zaistniała.

Kiedy podniósł wzrok i spotkał się z jej spojrzeniem, dostrzegł konsternację. Rozczarowanie. Lęk.

- Nie, nie - odpowiedział, uciskając dwoma palcami nasadę nosa pod okularami. - Jestem po prostu zdenerwowany. Już i tak sytuacja zmusiła mnie, bym przyznał, że początkowe założenia co do Fundacji Schaferów były zbyt ambitne. Kiedy postanowiłem ograniczyć zakres, wydawało mi się, że Eden będzie kamieniem milowym, dzięki któremu zdołamy rozszerzyć działalność na inne społeczności. Ale teraz stoję wobec obawy, że być może nawet tutaj nie uda nam się dotrzeć do wszystkich dzieci, które bardzo potrzebują wykształcenia.

- Nie możesz myśleć w ten sposób. - Lark ucisnęła mocniej jego rękę. - Nieważne, jak wiele dzieci przejdzie przez

te drzwi, albo jak niewiele. Każde dziecko, któremu pomożesz, będzie kolejnym, które otrzyma szansę na lepsze życie.

Słyszał jej słowa i wyjątkowo je cenił. Ale w tym momencie, gdy patrzył w jej oczy i czuł ciepło jej dłoni na ramieniu, tylko jedna jasna myśl wybrzmiała w jego głowie: „Zakochałem się w tej kobiecie”.

10.

Po całym tygodniu pracy Lark mocno czuła, że czas na niedzielny wypoczynek. Anson i doktor Young wysprzątała warsztat przeznaczony na sekretariat. Caleb zrobił znaczne postępy w pracach zewnętrznych, a klasopracownia lśniła teraz miłym jasnożółtym odcieniem.

Lark nie była jednak zadowolona, że zniszczyła farbą całkiem dobrą sukienkę po domu.

Bryony i Michael byli w niedzielę rano na mszy w Edenie, a potem Lark zabrała rodzinę do domu pani Jenkins, żeby pokazać im, co udało się zrobić. Przechodząc przez frontowe drzwi, czuła jednak niewy tłumaczalną pustkę i wtedy uświadomiła sobie, że czekała na witający ją głos Ansona.

Ale on i doktor Young wyjechali wczoraj po południu do Little Rock i mieli wrócić dopiero pod koniec tygodnia, bo planowali przewieźć meble i rzeczy osobiste. Doktor Young postanowił zatrzymać swoje mieszkanie, jednak zamierzał oddać je w użytkowanie dla stowarzyszenia misyjnego jako tymczasowe zakwaterowanie dla misjonarzy, którzy przebywali na urlopie.

Bryony przesunęła dłonią po świeżo wypolerowanej balustradzie.

- Ten dom wygląda teraz znacznie lepiej niż ostatnim razem, gdy tu byłam. Pani Jenkins z pewnością nie dałaby rady tego sama dokonać.

Kiedy dziadek, Michael i Rose spacerowali po pokojach, Lark została przy wejściu z Bryony.

- Wiesz... promieniejesz. Nigdy nie widziałam cię szczęśliwszej.

Kładąc dłoń na brzuchu, Bryony drgnęła lekko.

- Nie wiem, jak ja dam radę czekać jeszcze te siedem miesięcy, żeby zobaczyć nasze dzieciątko!

- Hm, nie wydaje mi się, żebyś miała zbyt wiele do powiedzenia w tej sprawie. - Lark chwyciła dłoń Bryony i poprowadziła siostrę do salonu. - Jestem teraz malarką z doświadczeniem, więc jak będziesz chciała pomalować pokój dziecięcy...

Okrażając powoli pomieszczenie, Bryony skinęła z podziwem.

- Coś mi się wydaje, że to nie była taka straszna męka pracować u boku Ansona przez ten miniony tydzień.

- Proszę, nie zmieniaj tematu. - Lark poczuła, że przeszły ją ciarki. Uwaga Bryony wzbudziła to niepokojące uczucie, którego doświadczyła, patrząc w oczy Ansona, właśnie tu w ubiegłym tygodniu. Znów opanowało ją mrowienie, gdy wspomniała, jak trzymała jego rękę, próbując go pocieszyć w tych trudnych chwilach. Przez kilka kolejnych dni zachowywała wobec niego uprzejmy dystans, a teraz już go jej brakowało.

Tak okropnie brakowało...

- Dlaczego z tym walczysz, Lark? - Ledwie słyszalny szept Bryony przeciął ciszę. - Jak ma być z tego miłość, to będzie. Zaufaj mi, ja wiem.

- Nie bądź niemądra! - Obejmując się w pasie ramionami, Lark przeszła w stronę frontowych okien. - Pracuję dla fundacji Ansona, bo zależy mi na tej inicjatywie. Jesteśmy przyjaciółmi i współpracownikami, i tyle.

- Jedyłą niemądrą istotą jesteś tutaj ty, siostrzyczko. Gdybyś tylko...

Od strony schodów rozległy się echem kroki i zaraz dobiegł je głos dziadka.

- Tak, zaiste, ten Clyde Barrow to nikczemnik. Tera gdzieś koło Dallas zabił jakiego strażnika prawa.

- Nigdzie nie jest bezpiecznie, dziadku - stwierdziła Rose. Doszli do podnóży schodów i weszli do salonu. - Tak czy siak, nie musisz opowiadać takich strasznych historii. Napędziłeś mi strachu.

- Mnie również - powiedziała Bryony z drzeniem. - Nawet nie chcę słyszeć o jakimś napadającym na banki rabusiu, który wystrzelał połowę Teksasu. - Przeszła wolnym krokiem i ujęła Lark pod ramię. - Ja już mam ochotę na niedzielny obiad. A wy?

Lark miała jeszcze większą ochotę, żeby zostawić za sobą ten pusty dom pani Jenkins. Razem z Michaeliem i Bryony pojechała z powrotem na farmę ich autem, co okazało się złym pomysłem, gdyż Bryony nie przestawała sypać aluzjami, jak to Lark powinna otworzyć się na coś więcej niż tylko przyjaźń z Ansonem. Michael, bardzo rozsądnie, zachował swoje zdanie dla siebie i skupił się na drodze.

Na szczęście jej siostra odpuściła, kiedy tylko zajęły się

podawaniem obiadu do stołu. Gdy wszyscy posilali się już smażoną szynką z purée ziemniaczanym i rzepą, Bryony namawiała Michaela, żeby opowiedział o swoim ostatnim przedsięwzięciu.

- To nic takiego, naprawdę - odparł z typową dla siebie rezerwą. - Po prostu kolejne ilustracje przyrodnicze.

- Nie *tak po prostu* - upierała się Bryony. - Redaktor pisma, z którym współpracuje Michael, chce opublikować jego rysunki w książce.

- Brzmi pasjonująco. - Lark podniosła się, by wziąć dzban z wodą. Zawsze czuła się trochę dumna z tego, że mogła odegrać małą rolę w nawiązaniu kontaktu pomiędzy Michaeliem a wydawnictwem akademickim.

- To jest pasjonujące... i jednocześnie onieśmielające - ocenił Michael, gdy Lark nalewała mu wody do szklanki. - Nigdy nie wyobrażałem sobie, że moje rysunki mogą być ważne dla kogoś innego poza mną.

Bryony uścisnęła jego dłoń, a jej wzrok wypełnił się wyrazem pełnym podziwu i miłości.

- Ja zawsze wiedziałam.

- Nie wątpię. - Gdy Michael zbliżył się do żony i ucałował ją, Lark spuściła wzrok.

- Nie obściskiwać mi się tutaj przy stole - warknął dziadek, ale śmiech w jego głosie przeczył szorstkim słowom.

Wyjątkowo złagodniał w stosunku do męża Bryony. Może i Michael oraz jego siostra byli dziedzicami na plantacji Brookbirch, ale z pewnością nigdy nie będą zadzierać nosa jak ich ojciec, Sebastian Heath.

Przypomniawszy sobie o Mirandzie Vargas, Lark zanotowała w pamięci, żeby ją później odwiedzić. Byłoby świetnie,

gdyby udało jej się dostać jakieś odpowiedzi ze strony rodzin dzierżawców w Brookburch i mogłaby się tym podzielić z Ansonem po jego powrocie.

Był wtorek i Anson z Irwinem poczynili już znaczne postępy w pakowaniu się do przeprowadzki. Pozbawiony tchu Anson położył na stertę w wejściowym holu kolejne pudło. Brzęknęły garnki, rondle i inne sprzęty kuchenne.

- Uwaga tam na dole! - Doszedł go krzyk Irwina z piętra.

Zaraz potem wypchana po brzegi brązowa walizka przechyliła się ponad krawędzią schodów i ruszyła w dół niczym bobslej. Anson musiał odskoczyć na bok, żeby nie zostać staranowany.

Podparł się pod boki zaciśniętymi w pięści dłońmi i spiorunował przyjaciela wzrokiem.

- Miałeś znosić rzeczy na dół, a nie rzucać je gdzie popadnie, narażając przy tym życie innych.

- Jesteś młody i zwinny. Nic się nie stało. - Irwin przyciągnął kolejną walizkę na brzeg schodów. - Poza tym te stare nogi mogą wytrzymać tylko ograniczoną ilość wycieczek z góry na dół. Według mnie ta metoda wymaga znacznie mniej wysiłku.

Anson wybuchnął śmiechem, robiąc unik przed następnym atakiem. Skierował bagaż Irwina na miejsce obok sterty pudeł, a potem wrócił do kuchni, żeby napełnić kolejny karton. Z godziny na godzinę spiżarnia i szafki pustoszały coraz bardziej. Irwin odłożył kilka sprzętów kuchennych, które chciał zostawić dla przyjeżdżających na urlopy

misjonarzy. Pozostałych rzeczy będą potrzebowali, żeby zamieszkać się w Edenie.

Nie mógł się doczekać powrotu. Caleb już pewnie kończył prace, a Lark mówiła, że będzie chciała odmalować warsztat, zanim przerobią go na sekretariat.

Zastanawiał się, czy ona tęskni za nim choćby w połowie tak, jak on za nią. Czy chodził, czy spał... zawsze była w jego myślach. Poczł dotyk na ramieniu, który sprawił, że niemal skoczył pod sam sufit.

- Na miłość boską, Irwinie, nie skradaj się tak do mnie!

- Znowu śnisz na jawie? Oj, wstydziliś się! - Irwin wyciągnął łopatkę z ręki Ansona i wrzucił ją do pudła. - Chyba już pora na podwieczorek. Nastaw czajnik. Ja przygotuję trochę sera i krakersy.

- Ty myślisz tylko o jedzeniu.

- A ty tylko o pewnej młodej damie, więc jesteście kwita.

- Ani trochę. - Anson nie mógł się pogodzić z tym, że tak łatwo go przejrzeć. Niestety jego najlepszy przyjaciel i mentor znał go na wylot. Napelnił czajnik i postawił na kuchni, a potem ruszył w stronę drzwi wejściowych. - Wydaje mi się, że słyszałem listonosza.

Lawirując pomiędzy spakowanymi pudłami, dotarł do otworu na listy w drzwiach. Na podłodze leżało kilka przesyłek. Zebrał je razem, zatrzymując się na chwilę nad wysłużoną kopertą z kenijskim stemplem pocztowym. Rozpoznał pismo siostry Mary John i oznajmił Irwinowi tę nowinę.

- I co pisze? - Irwin postawił na stole talerz z plasterkami sera i słonymi krakersami.

Anson wręczył mu list, mówiąc:

- Ty masz lepsze oczy niż ja.

Gdy Irwin czytał na głos, Anson przygotował kubki i robił herbatę. Z ulgą przyjął fakt, że szkoła Matumaini trzyma się pomimo zmian w Kenii. Franklin Keene nawiązał dobre relacje z lokalną ludnością i program szkolenia nauczycieli zapowiadał się obiecująco.

- Widzisz? Zostawiłeś wszystko w dobrych rękach - powiedział Irwin, po czym odłożył list na bok i podał przyjacielowi kawałek sera. - Teraz możesz już poświęcić całą uwagę uruchomieniu szkoły Schaferów.

Całą uwagę? jak to możliwe, skoro jakaś jego część na zawsze pozostała w Kenii?

A teraz była jeszcze Lark. Odwracała jego uwagę w taki sposób, o jaki nigdy by siebie nie podejrzewał.

Z samego rana w piątek niewielka ciężarówka zajęchała na podjazd przed domem Irwina i do wczesnego popołudnia trzech umięśnionych mężczyzn najętych do pomocy przy przeprowadzce zapakowało na auto meble i przygotowane skrzynie. Anson zajął miejsce pasażera w samochodzie Irwina, również wypakowanego po brzegi bagażami i osobistymi rzeczami. Taka składająca się z dwóch pojazdów karawana wyruszyła w kierunku Edenu.

Kiedy tylko Irwin zaparkował przed domem pani Jenkins - nie, teraz już domu Fundacji Schaferów - Anson ledwie był w stanie poznać to miejsce. Podwórko z przodu było zadbane, weranda już nie tak zapadnięta i widać było, że ktoś zaczął odmalowywać elewację, bo wzdłuż zewnętrznej, zachodniej ściany stało rusztowanie.

- Robi wrażenie - mruknął Irwin, otwierając drzwi w aucie. - Nasi przyjaciele nie próżnowali.

- Bez dwóch zdań. - Anson wyszedł na podjazd.

Wtedy ktoś pojawił się w drzwiach wejściowych i pomachał do nich. Anson nie potrzebował dobrego wzroku, by wiedzieć, że to Lark, i od razu poczuł drgnięcie serca.

Zanim zdążył dojść do werandy, z tyłu domu nadszedł Caleb Wieland razem z dwójką tyczkowatych, ciemnoskórych mężczyzn w poplamionych farbą ogrodniczkach.

- Dobry, panie Schafer. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko, że wziąłem kilku pomocników. - Caleb ściszył nieco głos. - Mówiłem im, że nie może pan wiele zapłacić, ale ucieszyli się, że mogą zapracować na wyżywienie i wsparcie rodziny gotówką.

Anson nie był pewien, czy dodatkowa pomoc mieściła się w ich budżecie, ale skinął z łagodnym uśmiechem. Mężczyźni zawahali się, gdy wyciągnął do nich rękę na powitanie, jakby myśleli, że to jakiś sprawdzian. Musiał sobie znów przypomnieć, że jest w Arkansas, nie w Kenii. Przedstawił się i zapytał, jak się nazywają.

- Mnie zwą Zeke Jackson - oświadczył wyższy mężczyzna. - A to mój brat, Noah. Jesteśmy połownikami na farmie starego Pocketta. Najmocniej dziękuję za pracę, panie Schafer.

- Dobrze, że jesteście. - Anson popatrzył w stronę domu i dostrzegł, że Irwin i Lark pokazują ekipie od przeprowadzek, gdzie złożyć bagaże. Znów spojrzął na braci Jackson i zapytał:

- Macie rodziny? Dzieci w wieku szkolnym?

- U mnie trójka młodych - odparł Zeke, drapiąc się po brodzie.

- Mają jakie dwanaście, dziesięć i siedem lat, ale

nie mają czasu na szkoły. W każdym razie lekcje dla kolorowych za daleko. Anson pokiwał głową w zamyśleniu.

- A ty, Noah? Masz dzieci?

- Dwu synów, oba kawał chłopca, niedługo będą z nich dorośle. Oba pracują ze mną na roli. I jeszcze ładniejsza dziewczeczka, mała jak robaczek. - Noah błysnął zębami w szerokim uśmiechu. - Jużci naumiała się piec chleb kukurydziany, taki dobry jak mama. Może kiedy będzie jaką kucharką dla bogatej rodziny.

Duma w głosie Noaha nie mogła ukryć głębokiego poczucia beznadziejności... tego, co nieuniknione. Anson skinął w stronę domu.

- Czy pan Wieland powiedział wam, co tu robimy?

- Ano powiedział, sir. - Zeke przestąpił z nogi na nogę. - Lepiej, cobyśmy dalej malowali, jeśli nie ma pan nic przeciw.

- Oczywiście. - Ale gdy oddalali się chyłkiem, Anson zawołał jeszcze za nimi: - Mam nadzieję, że zastanowicie się nad posłaniem tu swoich dzieci. Jestem pewien, że uda się nam tak zorganizować lekcje, żeby dostosować je do potrzeb rodziny.

Mężczyźni w odpowiedzi uchyłili kapeluszy i poszli na tył domu, zostawiając Ansona z neodpartym przeczuciem, że nieprędko zobaczy ich pociechy.

Liczył, że może Lark będzie miała jakieś lepsze wiadomości od dzierżawców z plantacji Brookbirch.

Zaraz potem pojawił się Caleb, mówiąc:

- Muszę pojechać teraz na farmę, by pomóc Georgebwi z regałami na książki i biurkami, ale może pan polegać na braciach Jackson. Powinni skończyć z malowaniem domu

w ciągu kilku najbliższych dni, a potem, jak pan będzie miał jeszcze jakąś pracę do wykonania, myślę, że będą bardzo wdzięczni.

- Zapamiętam sobie. Dziękuję, Calebie. Za wszystko.

- Do jutra w takim razie. I proszę nie zrażać się ich rezerwą, jeśli chodzi o wysłanie tu swoich dzieciaków. Po prostu są nieufni. Biali nie zawsze traktują ich tak życzliwie.

Anson zacisnął mocniej usta.

- Nie trzeba mi tłumaczyć.

Caleb ruszył w swoją stronę, a Anson, westchnąwszy ze znużeniem, przeszedł powoli na wejściową werandę. Pracownicy od przeprowadzki dźwigali właśnie biurko z gabinetu Irwina. Anson poczekał, aż przeniosą je przez drzwi, a potem wszedł za nimi do warsztatu. Po raz kolejny poczuł miłe zaskoczenie. Pomieszczenie wydawało się teraz dużo jaśniejsze po tym, jak na ścianach znalazła się świeża warstwa tej samej żółtej farby, którą użyli w salonie przerobionym na klasopracownię.

- I co myślisz? - Lark pojawiła się u jego boku.

- Wydaje się dużo większe przez te jasne ściany i porządek. - Ich łokcie stykały się i Anson napawał się tą chwilą.

Jeden z pracowników przeklął głośno, gdy noga biurka wylądowała na jego palcu u stopy.

- Uważaj, Clyde! Mam tylko dziesięć palców i tyle mi ich trza!

Anson skrzywił się, słysząc ten rynsztokowy język, ale to dało mu idealny pretekst, by ująć Lark pod ramię i wyprowadzić ją tam, gdzie nie będzie już ich słychać.

Możliwe, że jadalnia była najlepszym miejscem, z którego można było mieć oko na wszystko. Pracownicy zdążyli już

przerzucić kilka pudeł pod ściany, więc Anson starł kurz z jednego kartonu i zaproponował Lark, by usiadła.

Kiedy jeden z mężczyzn przechodził, niosąc przywiązaną pasami na plecach małą komodę, Lark podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- Jak widzę te meble, to wszystko wydaje mi się coraz bardziej rzeczywiste.

Zerknąwszy na nią, czuł, jak oddech więźnie mu w gardle. Teraz potrafił myśleć wyłącznie o tym, jak zupełnie *nierzeczywiste* wydaje mu się to, że jakaś kobieta jest w stanie tak całkowicie go urzec. Wyprostował się gwałtownie.

- Powinienem znaleźć Irwina. Na pewno będzie miał coś do powiedzenia, jeśli chodzi o urządzenie sekretariatu.

- Chyba wnosił jakieś rzeczy na górę. - Lark wstała. - Mam zacząć rozpakowywać te pudła?

- Dobry pomysł. Nie przejmuj się jednak książkami. Poczekamy z nimi do czasu, gdy twój dziadek przywiezie półki, które robi.

Kolejny uśmiech rozjaśnił twarz Lark.

- Już się nie mogę doczekać, aż zobaczysz meble, nad którymi pracuje z Calebem. Są o wiele ładniejsze niż te stare kościelne ławki, w których siedzieliśmy w szkole okręgowej. Wszystko, co najlepsze, dla uczniów Fundacji Schaferów.

Gdy Anson przypomniał sobie rozmowę z braćmi Jackson i Calebem, zaczął mieć kolejne wątpliwości. Bardziej do siebie niż do Lark rzekł:

- Gdybym tylko umiał przekonać te rodziny, że jesteśmy tu, by im pomóc.

- Przyjdą, Ansonie. Może trzeba będzie czasu, ale gdy tylko rozniesie się wieść, przyjdą.

Modlił się w duchu, by miała rację.

To był kolejny niedzielny obiad z rodziną Heathów i choć minęło już półtora roku od jej ślubu z Michaelem, Bryony nadal czuła się skrępowana.

Odette, kucharka Heathów, stanęła koło krzesła Bryony z wazą i chochlą.

- Jeszcze zupy, Bry... to znaczy pani Heath?

- Wystarczy, dziękuję. - Bryony wiedziała, że Odette poprawiła się tylko po to, żeby się z nią podroczyć. Zawiązała się między nimi silna relacja dwa lata temu, gdy Miranda, wydziedziczona przez ojca za to, że poślubiła Daniela, służącego Heathów, przybyła do rezydencji brzemienna i bliska zagłodzenia. Bryony zaproponowała, że da Mirandzie schronienie na farmie dziadka, i tym samym zyskała szacunek i wdzięczność pozostałych służących państwa Heath.

A teraz, pomimo wszystkich osobliwości, cała rodzina zasiadała regularnie do wspólnego stołu. Sebastian przywrócił Mirandę w testamencie i z czasem zyskał nieco szacunku dla Daniela. I mimo że pieczołowicie to ukrywał, Bryony podejrzewała, że bardzo polubił swoje wnuki, Callie i małego Georgea, który otrzymał imię po jej dziadku.

Bryony przełknęła kolejną porcję przepysznej zupy pomidorowej Odette, a następnie odłożyła łyżkę na bok. Poranne mdłości jak dotąd nie dawały jej się aż tak we znaki, a dzisiejsze nudności wynikały z czegoś innego. Umówili się z Michaelem, że tego dnia powiedzą rodzinom o tym, że Bryony jest brzemienna.

No, może nie do końca umówili. Bryony błagała Michaela, żeby poczekać jeszcze parę tygodni.

- Tak na wszelki wypadek - przekonywała. Bardzo długo czekali i mieli nadzieję na to dzieciątko, i Bryony niemal nie mogła uwierzyć, iż to się dzieje naprawdę. Nie potrafiła też otrząsnąć się z narastającego w niej przeczucia, że może wydarzyć się coś, co zabierze ich szczęście.

Jednakże Michael naciskał, twierdząc, że nie ma podstawy do takich obaw.

- Gdzie twoja wiara, Bry? Popatrz na to, co już przeszliśmy. - Poza tym, jak sam jej często przypominał, to ona zawsze trwała mocno w wierze, podczas gdy on walczył o swoją po zgorzknieniu, które prawie całkiem zniszczyło jego rodzinę, i po wojnie, która o mało nie odebrała mu życia.

Odette sprzątnęła talerze po zupie i wniosła drugie danie - pieczonego kurczaka z ryżem i fasolą „czarne oczko”. Z drugiej strony siedziała Callie, która wydawała się równie skrepowana co Bryony tym, że podawano im do stołu. Wymieniły bezsilne spojrzenia, jakby obie walczyły z chęcią, aby podnieść się z miejsca i pomóc Odette. Bryony podejrzewała, że ona i Callie zawsze będą miały trudności z dostosowaniem się do swojego nowego miejsca w rodzinie Heathów.

Michael musiał wyczuć niepokój żony, bo pod stołem sięgnął po jej dłoń. Kochała tego mężczyznę każdą cząstką swojego jestestwa i zaczęła kochać także rodzinę Michaela, chociaż być może słowo „kochać” to trochę zbyt wiele, by opisać jej stosunek do Sebastiana - chyba że w kontekście chrześcijańskim. Gdy dawniej marzyła o przyszłości, nigdy nie wyobrażała sobie takiego życia - skomplikowanej mieszanki prostoty i dostojeństwa, otwartości i rezerwy.

Bryony była tak zagubiona w myślach, że ledwie do niej dotarło, iż rozmowa zeszła na jej temat. Odette pojawiła się z powrotem, by podać deser i kawę, a Bryony jeszcze prawie w ogóle nie tknęła obiadu. Unosząc brwi, Odette zabrała talerz i uśmiechnęła się znacząco, ale Bryony szybko zaprzeczyła ruchem głowy. Usta Odette rozciągnęły się w cienką linię, ale nie mogła ukryć błysku w oczach.

Po raz kolejny Michael uścisnął dłoń Bryony i zaczął:

- Chciałbym prosić wszystkich o uwagę...

Z drugiego krańca stołu rozległ się stłumiony okrzyk, kiedy matka Michaela, Fenella, potrąciła kieliszek z wodą.

- Ojej - wymamrotała. - Ojej, ojej, ale narobiłam bałaganu.

Sebastian skoczył szybko, by zebrać rozlany płyn przy pomocy swojej serwetki oraz tej należącej do Fenelli.

- W porządku, kochanie. Nic się nie stało.

- Ale rozlało się wszędzie. Na obrus, dywan, moją suknię... - Łzy płynęły po jej twarzy i widać było rosnące w niej poruszenie, będące wynikiem postępującej demencji.

Bryony odsunęła krzesło, a następnie przywołała gestem Callie. One we dwie zawsze radziły sobie najlepiej z uspokajaniem Fenelli podczas takich ataków.

- Weźmiemy ją na górę - powiedziała Sebastianowi. -Przejdzie jej.

Tylko że nie przejdzie, nie do końca. Serce Bryony ścisnęło się na widok wielkiej miłości i rozpacz, które wypełniały spojrzenie Sebastiana. Gdy zerknęła w stronę Michaela, dostrzegła równie głębokie cierpienie. Chciał już wstać, a jego twarz wykrzywił bezradny wyraz, ale Miranda sięgnęła ponad stołem, żeby go zatrzymać. Żadne z nich i tak nie

mogło wiele zrobić, poza pozwoleniem, by z czasem życie wróciło na dawne tory.

Choć fakt, że stan Fenelli się pogarszał, niepokoił Bryony, nie mogła zaprzeczyć, że poczuła ulgę, gdy oświadczenie Michaela zostało przerwane.

Już od pierwszej chwili, kiedy dostrzegła Bryony wysiadającą z auta, Lark wiedziała, że coś jest nie tak. Myślami uciekła od razu do błogosławionego stanu siostry i ruszyła szybko do wejścia, by ją przywitać.

- Och, Bry, co się stało?

- Przestań się zamartwiać. Czuję się dobrze. - Bryony posłała w jej stronę wąty uśmiech, gdy Michael otworzył przed nimi drzwi na werandę. - Fenella miała gorszy czas, kiedy kończyliśmy obiad. Trochę nam to zajęło, by ją uspokoić.

- Tak mi przykro. - Lark popatrzyła na Michaela z wyrazem współczucia.

Wzruszył ramionami.

- Mieliśmy właśnie powiedzieć mojej rodzinie dobrą nowinę, ale przy tym całym zamieszaniu to nie był najlepszy moment.

- Hmm, wciąż możecie powiedzieć wszystkim tutaj. - Lark splotła ręce z Bryony, gdy przechodziły przez drzwi. - Rose i dziadek grają właśnie w wista z Ansonem i doktorem Youngiem i srogo przegrywają. Myślę, że są już gotowi, żeby wywiesić białą flagę.

Bryony ociągała się. Obróciła głowę w stronę Michaela i rzekła:

- Poczekajmy. Proszę. Nie jestem jeszcze gotowa. Popatrzył na nią rozpaczliwie - trochę z konsternacji, trochę z frustracji.

- Czym ty się tak martwisz? Lekarz powiedział, że jesteś okazem zdrowia. Z dzieckiem wszystko jest w porządku.

- Nie umiem tego wyjaśnić. Proszę, czy możesz po prostu zaakceptować to, że potrzebuję więcej czasu?

Lark poczuła, że powinna ich zostawić, by mogli razem omówić tę kwestię, więc cicho przeszła do kuchni i zamknęła za sobą drzwi. Nie było w stylu Bryony tak się niepokoić i samo to już sprawiło, że Lark się martwiła. Od czasu śmierci mamy Bryony była ostoją dla rodziny - tą, która mocno ich trzymała, gdy nadchodziły ciężkie czasy i nikt nie miał nadzieji.

Od stołu dobiegł ją wybuch triumfalnego śmiechu, a Rose z jękiem rzuciła karty na stół.

- To moja ostatnia gra. Wystarczająco nas upokorzyli, dziadku. - Odsunęła krzesło. - A gdzie jest Bry? Wydawało mi się, że już przyjechali.

- Zaraz będą. - Lark podeszła do kuchenki. - Zaparzę świeżą kawę.

Anson dołączył do niej.

- Pozwól, że ci pomogę. - Zniżając głos, zapytał: - Czy wszystko w porządku?

- Tak, z pewnością będzie. - Była zaskoczona, że zauważył jej zaniepokojenie, i to ją ujęło. Wahała się, czy powinna zaprosić Ansona i doktora Younga na niedzielny obiad na farmie, ale że nie mieli żadnych innych znajomych w Edenie, wydawało jej się to formą grzeczności. Poza tym mężczyźni wciąż musieli wiele zrobić, żeby przygotować i zaopatrzyć

własną kuchnię. Lark starała się pomóc, ale te pudła, które zdążyła rozpakować po odjeździe ekipy od przeprowadzek, to był tylko wierzchołek góry lodowej.

Nastawiła kolejną porcję kawy z cykorią, żeby się parzyła, i zaproponowała reszcie, by przeszli do salonu. Gdy kuchnia opustoszała, podeszła na palcach do tylnych drzwi i zerknęła przez szybkę. Serce ścisnęło się jej na widok Bryony cicho popłakującej na piersi Michaela. On dostrzegł wzrok Lark i pokręcił przecząco głową. Widać było, że był tak samo oszołomiony jak Lark.

- Zabieram ją do domu - powiedział bezgłośnie, a następnie zaprowadził Bryony do auta.

Zasłoniwszy dłonią usta, Lark obserwowała, jak odjeżdżają. Kiedy wróciła do kuchni, zastała tam Ansona.

- Nie udawaj przede mną - rzekł. - Coś się stało.

- Nie... nie mogę o tym mówić. - Przemknęła obok niego, żeby sprawdzić kawę.

- Chodzi o twoją siostrę? Jest chora?

- Nie, nie chora - odparła Lark. Zaczynała żałować, że Bryony w ogóle jej powiedziała o tym, że jest brzemienna, ale w przeciwnym wypadku martwiłaby się jeszcze bardziej takim dziwnym zachowaniem siostry. To z pewnością nic poważnego, tylko obawy przyszłej matki.

Stwierdziła, że musi komuś powiedzieć, bo inaczej wybuchnie. Zerkając nerwowo w stronę salonu, Lark skinęła na Ansona, by wyszedł z nią na werandę. Było ciepłe popołudnie, a mimo to Lark drżała.

Anson ujął jej ramiona. Jego dotyk był jednocześnie delikatny i stanowczy.

- Przerażasz mnie, Lark. Powiedz mi, o co chodzi.

Westchnąwszy krótko, wyrzuciła to wreszcie z siebie:

- Bryony spodziewa się dziecka i z jakiegoś głupiego powodu obawia się, że... - Otuliła się ramionami, a po policzkach popłynęły jej łzy frustracji. - Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, czego ona się tak boi. To zupełnie nie leży w naturze mojej siostry.

Nie wiedziała, czego oczekuje po Ansonie - co miałyby powiedzieć albo zrobić - ale jego reakcja tak ją zaskoczyła, że w pierwszej chwili nie mogła złapać tchu. Powoli, z czułością, przygarnął ją w uścisku i ucałował w czubek głowy.

- Tak mi przykro - wyszeptał. Otaczające ją ramiona niosły ciepłe pocieszenie, schronienie od burzy jej uczuć. -Chciałbym umieć ci pomóc.

Odsunęła się gwałtownie, zażenowana własnym brakiem powściągliwości.

- Jestem przekonana, że Bryony nie ma się czym martwić, tak samo jak ja. - Podeszła do drzwi kuchennych. - Przepraszam, ale powinnam sprawdzić, co z kawą.

11.

Do połowy tygodnia Lark zdołała już uporządkować sekretariat szkoły Schaferów - regały z książkami, szafa na dokumenty i jej własne, małe, ale wygodnie urządzone biurko w kącie, a na nim przenośna maszyna do pisania. Praca w roli szkolnej sekretarki była chyba zajęciem najbardziej zbliżonym uczeniu i zamierzała wykonywać ją najlepiej, jak umiała.

Jej nastrój poprawiała też obiecująca informacja, która nadeszła z Henderson, dotycząca możliwości studiowania w domu. W którymś momencie będzie musiała wrócić na uniwersytet, żeby skończyć studia i otrzymać dyplom, ale jej kierownik studiów zgodził się na zaliczenie części podstawowych przedmiotów korespondencyjnie.

W czwartek przed południem do uszu Lark dotarł głos Ansona, który w głównej klasopracowni dyrygował ustawianiem tablicy.

- Trochę na lewo i jakieś trzydzieści centymetrów wyżej, proszę. Nie chcę, żeby biurko nauczyciela zasłaniało dzieciom widok.

Caleb Wieland i Daniel Vargas wzięli na siebie noszenie ciężarów. Bracia Jackson skończyli wczoraj malowanie elewacji i teraz zajmowali się ostatnimi porządkami na podwórku. Wydawali się bardzo wdzięczni za to niewielkie wynagrodzenie, które wypłacał im Anson, głównie w formie mąki, mąki kukurydzianej i konserw ze sklepu wielobranżowego.

Jednakże Anson nie potrafił całkowicie ukryć swojego rozczarowania, zwłaszcza wobec Lark i doktora Younga. Wynikało ono z faktu, że bracia nie byli zainteresowani posłaniem swoich dzieci na lekcje.

Rozległa się seria kolejnych łomotów i trzasków, po których można było wnioskować, że mężczyznom udało się zamocować tablicę. Kilka minut później Daniel Vargas zapukał do drzwi sekretariatu.

- Czy mógłbym przeszkodzić, panno Linwood?

- Oczywiście, Danielu. - Podniosła się z krzesła i z oskarżycielskim uśmiechem dodała: - Już nie raz cię prosiłam, mów mi Lark. W końcu jesteśmy rodziną.

- Przepraszam. - Zerkając z ukosa, wszedł do pomieszczenia. - Niestety moi teściowie wciąż zdają się być dla mnie rodziną w mniejszym stopniu niż ty.

- Bryony czuje się tak samo. Wiem, że to trudne. - Wskazując na puste krzesło, Lark zaproponowała Danielowi, by usiadł. - Dziękuję, że przyszedłeś dzisiaj, żeby pomóc.

- To nie jedyny powód. Rozmawiałem z większością dzierżawców w Brookbirch. Trzy rodziny wyraziły zainteresowanie waszymi lekcjami. - Daniel wyciągnął kartkę z kieszeni na piersi i podał ją Lark. - Pan Schafer kazał dać tobie te nazwiska.

- Wspaniale... Dziękuję ci! - Lark przejrzała listę dzieci w wieku między sześć a trzynaście lat. Dwie z wypisanych na kartce rodzin znała z kościoła. Trzecia musiała być nowa w okolicy. - A inni dzierżawcy? Jest szansa, że kolejni zdecydują się później?

- Nie umiem powiedzieć. Ale jak będę odwiedzał farmy, postaram się ich zachęcić.

- O więcej nie śmiem prosić.

Daniel chciał już się podnieść, ale jeszcze usiadł.

- Czy mógłbym poradzić się ciebie w jednej sprawie?

- Oczywiście. Co tylko chcesz. - Odkładając listę na bok, Lark spojrzała na niego wyczekująco.

- Callie, moja córka... jest bardzo bystra i chętnie się uczy. Chciałbym, żeby mogła któregoś dnia iść do college'u, tak jak ty.

Lark westchnęła z zaskoczeniem.

- Jestem pewna, że Callie byłaby świetną studentką. Czy już gdzieś aplikowała?

Twarz Daniela spoważniała.

- Ona nosi nazwisko Vargas. Nie wiem, która szkoła chciałaby ją przyjąć.

- To niesprawiedliwe. - A jednak, niestety, zbyt prawdziwe i ta świadomość ją zmroziła.

- Sprawiedliwe czy niesprawiedliwe, dla Anglosasów jesteśmy nikim. - Daniel zacisnął dłonie na rondzie słomkowego kapelusza, który trzymał na kolanach. - Tylko dzięki Bożej pomocy do tej pory nie zostałem deportowany. W zeszłym roku moi krewni w San Antonio zostali zmuszeni do powrotu do Meksyku.

- Och, Danielu, bardzo mi przykro... Ale jak mogliby cię

deportować? Jesteś teraz legalnym obywatelem.

- Oni nie patrzą na to, czy mam obywatelstwo, tylko na śniadą cerę. - Westchnął z bólem. - W Teksasie to się dzieje każdego dnia. Anglosasi boją się, że Meksykanie zabiorą im pracę, która im się należy. Nawet gdy dwa lata temu wyjechałem na północ za pracę, spotkałem tylko jednego pracodawcę, który chciał mnie zatrudnić, a i tak płacił tyle co nic.

Lark zazgrzytała zębami. Spojrzała znowu na listę z nazwiskami, którą dał jej Daniel - wszystkie dzieci były białe. Anson będzie zadowolony, że ma uczniów, ale jednocześnie rozczarowany, że nie udało się pokonać bariery rasowej.

Przypominając sobie o pytaniu Daniela, z którego wyszła ta dyskusja, Lark uniosła brodę i powiedziała:

- Pytałeś mnie o radę, jeśli chodzi o Callie i college. Zrobię, co tylko w mojej mocy, żeby pomóc, gdy tylko będę wiedziała jak, ale...

- Pomyślałem, że może mogłabyś ją uczyć... - Daniel wyprostował się i dotknął jej ręki. - Przynajmniej na początek, a może w ciągu kilku najbliższych lat coś w tym świecie się zmieni.

Lark popatrzyła na jego spracowaną, smagłą dłoń spoczywającą na jej białym rękawie i poczuła w sercu tęsknotę za tym dniem, kiedy jego wizja bardziej otwartego świata stanie się rzeczywistością.

- W porządku - wyszeptała. - Powiedz Callie, że z radością przekażę jej, co tylko wiem.

Daniel wstał i ujął obie dłonie Lark.

- Dziękuję ci bardziej, niż jestem w stanie wyrazić.

Kiedy Daniel się pożegnał, Lark została jeszcze chwilę, by się opanować. Czy dobrze zrobiła, że zgodziła się kształcić Callie? Zachowała wszystkie swoje podręczniki z college'u, bo była zbyt przywiązana, by się z nimi rozstać, nawet w zamian za pieniądze, które mogłaby dostać ze sprzedaży. Byłoby cudownie, jeśli mogłaby w nie znowu zaglądnąć razem z taką inteligentną młodą kobietą jak Callie. Nie wspominając już o tym, że byłaby to okazja, by pogłębić własne studia.

O tak, jej marzenie, by zostać nauczycielką, mogło naprawdę stać się rzeczywistością.

Pokiwała głową z satysfakcją, po chwili otworzyła księgę, którą przeznaczyła na szkolny dziennik, a potem zaczęła zapisywać nazwiska dzieci. Gdy doszła do ostatniego, do pokoju wszedł Anson. Miał podwinięte rękawy koszuli i zmierzwione włosy. Sprawiał wrażenie zgrzanego i niechlujnego. Lark zamknęła dziennik i wstała.

- Wyglądasz, jakbyś miał ochotę na coś zimnego do picia.

- To samo sobie pomyślałem. Jest gorąco jak na połowę stycznia.

- Całe Arkansas. Zupełnie nieprzewidywalne. - Przechodząc obok niego do kuchni, Lark zapytała: - Jak tam nowa tablica?

- Wygląda dobrze. Nie ma to jak czysta tablica na początek nowego semestru. - Podeszedł do niej, a następnie wyjął szklanki z szafki.

Lark sięgnęła do lodówki po pojemnik z kostkami lodu. To był luksus, którego nie miała na farmie, gdzie bez elektryczności nadal trzymali żywność schłodzoną w staromodnej lodowni. Stara pani Jenkins również używała lodowni,

ale w poniedziałek na zamówienie doktora Younga dostarczono z Brinkley elektryczną chłodziarkę. Elektryczne urządzenia, światło elektryczne, a nawet telefon. Takie udogodnienia sprawiały, że trudno było wracać na farmę codziennie wieczorem.

Napełniwszy szklanki wodą, Lark przemknęła w stronę sekretariatu ze swoim napojem.

- Powinnam wracać do pracy.

- Nie odstępujesz od niej cały dzień, zdołałaś się oderwać jedynie na dziesięć minut podczas lunchu - stwierdził Anson, odsuwając dwa krzesła przy kuchennym stole. - Proszę, usiądź tu i odpocznij chwilę, tak jak ja. - Klapnął na siedzenie i wyciągnął jedną nogę.

Zerkając na puste krzesło tak blisko Ansona, Lark zaprzeczyła ruchem głowy.

- Jeszcze mam parę rzeczy, które chciałabym skończyć, zanim pójdę do domu.

- Oczywiście. - Miły ton odpowiedzi Ansona zupełnie nie pasował do rozczarowania, które błysnęło na jego twarzy. Sącząc wodę, przeniósł wzrok w stronę okna. - Ir win powinien niedługo wrócić z Brinkley z kolejnymi materiałami do klasopracowni. Daj mu znać, kiedy będziesz chciała, żeby cię odwiózł do domu.

- Ależ nie musi. Mogę iść na nogach.

Anson odstawił szklankę z hukiem i wstał. Popatrzył surowo na Lark, wykrzywiając usta, a ona czekała, aż coś powie, ale nie nadeszły żadne słowa. Chwilę później przeszedł ostentacyjnie obok niej i opuścił kuchnię, zostawiając ją w domysłach, co takiego powiedziała lub zrobiła, że tak się zdenrowował.

Nie mogła się tym przejmować. Miała dużo ważniejsze sprawy, którymi powinna się zająć. Jak na przykład praca w sekretariacie. Obowiązki na farmie. Nauka Callie. I przede wszystkim decyzja, jaki przedmiot wybrać w ramach pierwszego kursu studiów korespondencyjnych. Nie mogła pozwolić sobie na to, żeby zmarnować choćby krztynę energii na cokolwiek innego niż jej najpilniejsze cele.

Anson stał na werandzie z rękami w kieszeniach i ciężkim sercem. Lark chyba nie mogła się jaśniej wyrazić... Nie czuła do niego nic poza szacunkiem i koleżeńskimi uczuciami. Dlaczego w ogóle wyobrażał sobie, że może być inaczej?

Zamknął na chwilę oczy, ganiąc się w duchu za to, że pragnął czegoś więcej, a potem otworzył je i spostrzegł, że przed nim, na szczycie schodów, stoi jeden z braci Jacksonów. Mrużąc oczy w ostrym zimowym słońcu, Anson nie potrafił nawet wyraźnie dostrzec rysów twarzy mężczyzny.

- Noah?

- Tak, sir. Zrobiłem, co trza, więc jest wypielone i poprzcynane, sir. Czy tera podoba się panu podwórko?

Schodząc po stopniach, Anson omiół wzrokiem trawnik przed domem. Ledwie był w stanie dostrzec starannie wypielęgowany kamienny chodniczek prowadzący do ulicy. Wzdłuż ogrodzenia nie było chwastów, a sztachety były odmalowane na biało. Puste rabaty czekały na wiosnę, a ziemia pachniała miło po wczorajszym przelotnym deszczu.

- Wygląda świetnie - stwierdził Anson. - Doceniam waszą pracę - dodał, wyciągając dłoń. Trzymał ją tak, póki

Noah - choć niechętnie - jej nie ujął i nie uściskał. - Proszę, zejdź z tyłu do kuchni po zapłatę. Och, a pani Unsworth przyniosła dzisiaj rano dwie tarty z batatów. To dużo więcej, niż jesteśmy w stanie przejeść, więc mam nadzieję, że weźmiesz jedną dla rodziny.

- Będę panu bardzo wdzięczny, panie Schafer. Traktuje nas pan naprawdę dobrze. - Noah przeszedł z Ansonem na tył domu. - Jakby jeszcze kiedy miał pan pracę dla mnie i Zekea, proszę po prostu powiedzieć.

- Tak zrobię. - Anson wszedł na chwilę do środka, żeby wziąć ciasto, a potem wyjął kilka banknotów z portfela. Przekazując pieniądze i blaszkę z ciastem Noahowi, przypomniał mu, że niedługo zaczną się lekcje. - To nic nie kosztuje, a plan lekcji nie będzie zakłócał obowiązków dzieci w domu. Proszę tylko, żebyście się nad tym zastanowili.

Noah, zamyślony, skinął głową, wtykając pieniądze w kieszeń koszuli.

- Jużem o tern myślał i po prawdzie widzę, że to może być dobre. - Zawiesił wzrok gdzieś w oddali. - Tylko nie wiem, czy to mundre.

Na samo wspomnienie tych cholernych praw Jima Crowa⁵ Anson zacisnął zęby.

- Zrobimy wszystko, co trzeba, żeby uniknąć problemów. Będziemy mieć oddzielne... - Czuł, że coś ściska go w gardle już na sam fakt, że musi o tym mówić. - Oddzielne klasopracownie dla waszych dzieci i lekcje będą prowadzone w inne dni niż zajęcia dla białych. Wszystko odbędzie się bardzo dyskretnie.

⁵ Regulacje ograniczające prawa byłych czarnoskórych niewolników, wprowadzające separację pomiędzy białą a czarną ludnością, obowiązujące w niektórych stanach.

- Nie umim wyrazić, co to dla mnie znaczy, panie Schafer. - Noah zaśmiał się chrapliwie. - Może i ja powinien przyjść do takiej szkoły.

- Będziesz mile widziany. - Anson od razu zapalił się na myśl, że można by pomagać w walce z analfabetyzmem także wśród rodziców. - „Dyskretnie” oznacza, że chcemy postępować mądrze i ostrożnie. Nie zamierzamy ryzykować dobrem waszych dzieci.

- Dobrze wiedzieć. Jeszcze pomyślím o tym trochu i niech Bóg panu błogosławi za życzliwość, sir.

Kiedy Noah wyszedł z ocienionej werandy na pełne słońce, Anson musiał odwrócić wzrok. Tępy ból przeszył jego oczy i męczyzna ucisnął dwoma palcami głęboko w oczodołach. Powinien bardziej uważać, by mieć zawsze pod ręką ciemne okulary na takie wyjścia.

Odwrócił się, by wejść do środka, ale myśl o ponownym spotkaniu z Lark sprawiła, że się zawahał. Co oczywiście było niedorzeczne, bo przez wspólną pracę w szkole Schaferów wciąż będą się spotykać. Cóż dobrego zrobił, pozwalając tej kobiecie wkroczyć do swojego życia, a potem licząc, że może ich przyjaźń i wspólne oddanie edukacji przerodzi się w coś więcej? Czy będzie umiał być blisko niej każdego dnia i zachować platoniczne uczucie, kiedy będą zdarzały się takie sytuacje? Ostatnio wręcz było ich coraz więcej. Czasami jedynie, o czym potrafił myśleć, to to, jaki smak miałyby jej usta, gdyby ją całował.

To by było na tyle jego zapewnień i planów, jeśli chodzi o wytrwanie w stanie kawalerskim. Wydawało mu się, że jest odporny na takie uczucia albo że przynajmniej osiągnął taki wiek, gdy marzenia o miłości, ślubie i rodzinie mogą

zostać już na zawsze pogrzebane. O Boże, teraz miał naprawdę poważny problem!

Udało mu się już prawie opanować na tyle, by zaryzykować wejście do środka i powrót do pracy, kiedy na drodze rozległ się warkot samochodu Irwina.

Wysiadając z auta, Irwin zawołał:

- Ansonie, mój chłopcze, pomożesz staremu człowiekowi?

- Staremu? Jak starożytnie piramidy? - Anson podszedł, zadowolony z tego, że coś odrywa go od jego myśli. - Znalazłeś wszystko, czego potrzebujemy?

Irwin stał teraz przy otwartym bagażniku i wymieniał:

- Ołówki, papier, linijki, po dwie sztuki elementarza i podręcznika do matematyki, o które prosiłeś. Powinno wystarczyć na dobry początek.

Po raz kolejny Anson zaczął żałować, że nie ma przyciemnianych okularów. Jasność niemal uniemożliwiała mu przejście, co znajduje się w pudłach. Wyjął jedno z bagażnika, mówiąc:

- Może gdy dostaniemy kolejne datki, będziemy mogli kupić więcej podręczników.

Irwin wziął drugie pudło i poszedł za Ansonem do domu. Zanieśli wszystko do większej klasopracowni. Starszy mężczyzna zrzucił z siebie marynarkę, a następnie zabrał się za sortowanie zakupów i układanie książek na regale, który dostarczył im wczoraj George Rigby.

Podnosząc jeden z podręczników, Anson z trudem próbował skupić się na okładce, ale słowa rozmazywały mu się przed oczami. W jego piersi wezbrała irytacja. Nawet okulary nic dzisiaj nie pomagały.

Wyczuł, że Irwin przygląda mu się badawczo.

- Masz przekrwione oczy - zauważył przyjaciel. - Idź się położyć i zrób sobie chłodny okład. Ja tutaj dokończę.

- Dam sobie radę. Wolę pracować. - Anson wyjął kolejną książkę z pudła, ale jej tytuł wcale nie był wyraźniejszy od poprzedniej pozycji, którą oglądał. Mięśnie jego twarzy spięły się.

Irwin delikatnie wysunął książki z jego rąk i odłożył je na półkę.

- Co się dzieje, Ansonie?

Opadł na pobliskie krzesło i szarpnięciem zdjął okulary, a potem zasłonił dłońmi oczy. Nie chciał przyznać, że jego wzrok może się pogarszać. Nie mógł sobie pozwolić na dalszą utratę ostrości widzenia, nie teraz. Nie, kiedy od otwarcia szkoły dzieliło ich zaledwie kilka dni. Został zmuszony, by rzec się prowadzenia szkoły Matumaini i oddać ją komuś innemu. Czy znowu będzie konieczne, by odłożyć na bok swoje nadzieje i plany, jakie wiązał z Fundacją Schaferów?

Nie chciał. Nie umiał...

- To nic takiego - powiedział, wstając. - Ale masz rację... Walczę z bólem głowy cały dzień. Odpoczynek i chłodny okład to właśnie to, czego mi potrzeba.

- Dobry pomysł. Idź na górę. - Trzymając dłoń na ramieniu Ansona, Irwin wyprowadził go do wejściowego holu.

Anson sięgnął do poręczy, ale jeszcze na chwilę zatrzymał się i rzekł:

- Mówiłem Lark, że odwieziesz ją do domu, jak skończy pracę.

- Z przyjemnością. Zaraz do niej zajrzę. - Irwin wpatrywał się w Ansona na tyle długo, że przyjaciel poczuł się niekomfortowo, a potem pokiwał głową w zadumie i wrócił

do klasopracowni.

W łazience na górze Anson poszukał sobie czystej chusteczki i namoczył ją pod kranem. Zasłonił żaluzje i położył się w poprzek łóżka, a oczy osłonił złożoną tkaniną, pozwalając, by chłód przenikał jego powieki.

Jakby to było być niewidomym, nie widzieć nic poza przyćmionymi, niewyraźnymi cieniami lub, jeszcze gorzej, nieprzeniknioną ciemnością? Czy potrafiłby nadal być pożyteczny dla społeczeństwa, czy też raczej stałby się całkowicie zależny od innych? Już i tak bardzo polegał na Irwinie. Co by zrobił bez swojego starego, ukochanego przyjaciela?

Ale Lark... och, Lark! Nawet gdyby odwzajemniła kiedykolwiek jego uczucia, nie mógł przecież obciążać jej swoim kalectwem. Zasługiwała na coś lepszego, dużo lepszego.

O czwartej trzydzieści Lark skończyła pisanie ostatniego listu z podziękowaniem dla nowych darczyńców fundacji. Kiedy przyklejała znaczki na koperty, do sekretariatu wszedł doktor Young.

- Właśnie mi się wydawało, że słyszałam, jak wróciłaś - powiedziała. - Potrzebujesz pomocy z rozkładaniem materiałów szkolnych?

- Wszystko już zrobione. - Obszedł większe biurko i usiadł ciężko na krześle. Jego wyraz twarzy wyrażał konsternację, gdy przeglądał teczkę z dokumentami.

Lark podeszła do biurka.

- To listy, które przygotowałam dla Ansona do podpisu. Czy on...

- Podpiszę za niego. - Sięgając po pióro, doktor Young popatrzył na nią i uśmiechnął się blado. - Boli go głowa. Wysłałem go na górę, żeby się położył.

Wymknęło jej się lekkie westchnienie ulgi. Lark nie wyobrażała sobie, że miałyby go znów dziś spotkać. Nie w sytuacji, gdy między nimi było tak wiele niedomówień. Podała doktorowi Youngowi listy i ten nagryzmolił na dole każdej strony nazwisko Ansona. Łatwość, z jaką naśladował podpis przyjaciela, skłaniała do podejrzeń, że robił to już wcześniej wiele razy.

Doktor Young oddał jej kartki i gdy ona składała każdą i wkładała do koperty, rzekł:

- Możemy podrzucić je na pocztę po drodze do twojego domu.
- Ale mówiłam już Ansonowi, że się przejdę. Nie ma potrzeby...

Jego ojcowskie spojrzenie, pełne naturalnego dobrego humoru, uciszyło ją.

- Jest potrzeba, bo w przeciwnym razie rano dostanę po uchu od Ansona. A teraz spakuj się i możemy jechać. Nie wiem jak ty, ale moje stare kości mają dosyć na dzisiaj.

Kilka minut później zatrzymali się przed sklepem wielobranżowym i Lark wyskoczyła z listami. Wręczyła je Joemu i poczekała jeszcze, żeby sprawdził jej skrzynkę pocztową.

- O tak, jest kilka rzeczy dla dziadka i coś dla ciebie też, panienko Larkspur. - Joe przepchnął koperty przez okienko pocztowe. - Och, jest też coś w skrzynce szkoły Schaferów, jeśli nie miałabyś nic przeciwko, żeby to wziąć.

- Z chęcią. Doktor Young czeka w aucie. - Lark podziękowała sprzedawcy i ruszyła do drzwi, przeglądając adresy

zwrotne na przesyłkach dziadka i swojej.

Gdy zobaczyła nazwisko pani O'Neill na jednym z listów, stanęła w miejscu. Nie miała żadnych wiadomości od dawnego pracodawcy od dnia, gdy dowiedziała się, że państwo O'Neill zamykają sklep. Byłoby wspaniale, gdyby okazało się, że zdrowie pana O'Neilla poprawiło się i jest na prostej drodze, by znów otworzyć interes.

W samochodzie przekazała pocztę zaadresowaną na szkołę doktorowi Youngowi, a potem rozerwała kopertę listu od pani O'Neill. Ruszyli w stronę farmy, a Lark z niecierpliwością zaczęła lekturę. W połowie strony westchnęła gwałtownie.

Doktor Young zerknął na nią przelotnie.

- Mam nadzieję, że to żadne złe wiadomości?

To były gorsze wiadomości, niż Lark była w stanie sobie wyobrazić. Przytknęła roztrzęsioną dłoń do ust.

- Pan O'Neill umarł w Nowy Rok.

- Ogromnie mi przykro - powiedział. - To był twój przyjaciel w Arkadelphii, prawda?

- Tak, najbardziej życzliwy człowiek. Dał mi pracę w swoim sklepie, gdy studiowałam w college'u. - Próbowала powstrzymać łzy, ale nie była w stanie skończyć czytać listu. - Nie mogę uwierzyć, że odszedł!

Doktor Young czule poklepał ją po ramieniu, a potem jechał dalej w milczeniu. Gdy zatrzymali się obok jej domu, Lark po prostu siedziała, a łzy płynęły jej po twarzy.

Doktor Young podał jej swoją chusteczkę.

- Jest czysta, zapewniam. Proszę, trzymaj, moja droga, wypłacz się.

Pociągnęła nosem i wręczyła mu list.

- Proszę, przeczytaj mi do końca.

- Tak, tak, oczywiście. - Doktor Young przebiegł wzrokiem kartkę. - „...odszedł cicho... nie cierpiał...” I jeszcze pisze: „Benjamin zawsze lubił cię najbardziej ze wszystkich studentów pracujących w sklepie. Kochał cię jak córkę”.

Z piersi Lark dobył się szloch i kiwając żywiłowo głową, rzekła:

- Ja też go kochałam. Doktor Young czytał dalej:

- „Z całego serca pragnął, żebyś ukończyła college, więc kiedy zaczął nie domagać na zdrowiu, kazał mi obiecać, że spieniężę obligacje wojenne, które kupił podczas wielkiej wojny i że oddam tobie połowę tych środków”.

- Co? - Lark wyrwała list z rąk doktora Younga i czytała sama.

- Dlaczego? Dlaczego miałyby zrobić coś takiego?

- Jego żona chyba to jasno wyjaśniła... Bo bardzo sobie ciebie cenił. - Doktor Young powoli zrobił wydech i położył dłoń na ramieniu Lark. Gdy ich spojrzenia się spotkały, rzekł: - Moja droga, chyba musisz podjąć pewną decyzję.

Z uchem nastawionym w kierunku tylnych drzwi Rose przekładała resztkę masła z maselnicy do ceramicznego naczynia. Widziała, że samochód doktora Younga podjechał pod dom kilka minut temu i zastanawiała się, dlaczego Lark jeszcze nie wysiadła. Nadchodził czas, że trzeba było zacząć przygotowywać kolację, a Rose była zupełnie wykończona domowymi obowiązkami. Z pewnością Lark nie zmęczyła się aż tak, pracując w swoim przytulnym sekretariacie.

Zresztą i tak była jej kolej na gotowanie.

Weszła do domu dopiero po kolejnych dziesięciu minutach. Rose od razu poznała, że jej siostra płakała. Wrzuciła elementy z wnętrza maselnicy do glinianego gara do mycia i szybko podeszła do niej.

- Co się dzieje? Coś się stało w szkole?

Ze łzami w oczach Lark opowiedziała jej nowinę o znajomym sklepikarzu.

- Och, Lark, dobrze wiem, jak bardzo go ceniłaś.

- Jest jeszcze coś. Przeczytaj. - Podała Rose list, a sama usiadła przy kuchennym stole.

Chwilę potem, w zupełnej rozterce, Rose dołączyła do niej.

- Ojej. To jest... - Przełknęła. Jakaś część w niej cieszyła się, że Lark miała teraz okazję skończyć college, ale jeszcze większa część obawiała się kolejnych dwóch lat, podczas których na farmie zostałyby tylko ona i dziadek. Albo i dłużej, jeśli Lark po otrzymaniu dyplomu wyjechałaby uczyć gdzieś poza Edenem.

- Co teraz zamierzasz?

- Nie wiem. Ledwie miałam czas, żeby to do mnie dotarło. - Lark wytarła policzki ogromną białą chusteczką, która wyglądała na tak przemoczoną, że można było ją wyżymać nad zlewem. - Poradzisz sobie z kolacją beze mnie? Nie jestem głodna i potrzebuję chwili samotności, żeby pomyśleć.

- Jasne, idź - odparła. - Rose patrzyła, jak jej siostra wlecze się w stronę sypialni.

Sama przyniosła z ziemianki kilka wyschniętych ziemniaków oraz słoje fasoli i wtedy właśnie z obory wrócił dziadek.

- Widział ja odjeżdżającego doktora Younga. Gdzie Lark?
- Odpoczywa. Dostała smutne wiadomości. - Obierając ziemniaki, Rose opowiedziała mu o liście pani O'Neill
- Obligacje wojenne... Pomyślałby kto! - Dziadek umył ręce nad zlewem. - Może Lark mogłaby się zapisać z opóźnieniem i jeszcze załapać na jakie zajęcia z wiosennego trymestru.

Rose zacisnęła usta.

- Ale co z panem Schaferem i doktorem Youngiem? Właśnie mają otwierać szkołę.

- Zrozumią. Zresztą przecie na dłuższą metę większy pożytek z Lark będą mieli, jak będzie prawdziwą nauczycielką, nie tylko zwykłą sekretarką.

- Ale to dopiero za kilka lat, a do tego czasu będzie im trudno poradzić sobie bez niej.

Dziadek stał tuż obok Rose krojącej ziemniaki w kostkę.

- Pewnaś, że się martwisz, jak sobie dadzą radę w szkole, czy po prostu boisz się, że utkniesz tu ze starym dziadkiem i znów całe gotowanie spadnie na ciebie?

Zmarszczyła brwi.

- Może po trochu tego i tego. Wiesz, że chcę jak najlepiej dla Larkspur, ale bardzo za nią tęsknię, gdy wyjeżdża. Niewiele brakło, a nie dałabym rady jej puścić do Afryki, gdy sobie pomyślałam, że mogłabym jej nie widzieć dobry rok albo i dłużej.

- Ale nie chodzi o ciebie, co, mała Rosie? Co by nie mówić, tyż będę za nią tęsknił, ale w głębi serca wiem, że każda z moich dziewczynek musi znaleźć swoją drogę na tym świecie.

- Jęknął nisko, masując się po krzyżach. - Przyjdzie czas, że mnie tutaj nie będzie, więc najbardziej to chcę

widzieć, że każda jedna z was będzie szczęśliwa w życiu.

- Nie mów tak, dziadku. - Głos Rose stawał się coraz bardziej szorstki. Przeszyła go ostrym spojrzeniem, ledwie powstrzymując łzy, które nagle zaczęły napływać jej do oczu. - Będziemy razem, ty i ja, pracować na farmie przez lata. Obiecuj mi, dobrze?

Kiedy uśmiechnął się smutno, w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.

- Oczywiście, Rosie. Ty i ja, i niech się dzieje, co chce.

W głębi serca wiedziała, że to pusta obietnica, ale musiała się jej trzymać, dopóki mogła.

12.

Siedząc kolejnego dnia na miejscu pasażera w samochodzie Irwina, Anson kipiał ze złości.

- Dobrze wiesz, że nie mam na to czasu.

- Ale masz czas, żeby zupełnie oślepnąć, mam rację? -Byli w pół drogi do Little Rock, dokąd kierowali się na wizytę u okulisty, na którą nalegał Irwin. - Lark dopilnuje dzisiaj wszystkiego w szkole.

- I nie zdradziłeś jej prawdziwego celu naszej podróży? Jesteś pewien, że ona nie wie?

- Byłem dyskretny, tak jak mi poleciłeś.

Mimo słabego wzroku Anson nie miał wątpliwości co do marsowej miny, jaka odmalowała się na twarzy przyjaciela. Założywszy ręce, obserwował rozmazane obrazy przesuwające się za oknem.

- Po prostu nie wydaje mi się słuszne, żeby miała się martwić, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej.

- To znaczy, dopóki lekarz nie potwierdzi, że przemęczasz oczy i nie zmusi cię, żebyś zaczął o nie dbać.

Anson sapnął ostro przez nos.

- Dyrygujesz mną jeszcze bardziej niż siostra Mary John. Dlaczego ja w ogóle jeszcze z tobą wytrzymuję?

- Bo nikt inny na tym Bożym świecie nie wytrzymałby tego, co ja muszę znosić od *ciebie!*

Godzinę później dotarli do gabinetu okulisty. Gdy doktor dokładnie przebadął go i przejrzał wyniki, które Anson przywiózł od lekarza, u którego był w Norfolk, mężczyzna zrobił ponurą minę i przedstawił swoje wnioski:

- Bliznowacenie rogówki postępuje, choć nieznacznie. Jednak pańskie oczy osłabiły się na tyle, że dotychczasowe zalecenia nie są w stanie już pomóc.

- A więc... mocniejsze okulary załatwią sprawę, tak?

- Na krótką metę być może. - Okulista podrapał się po brodzie. - Podejrzewam jednak, że ta wada będzie postępować. Czy zakłada pan przyciemniane okulary na wyjścia na zewnątrz?

- O ile tylko pamiętam.

- Proszę zatem pamiętać częściej. Każde wysiłanie wzroku, czy to od czytania, czy ekspozycji na ostre światło, niesie ryzyko dla pańskich oczu. A kiedy przekroczy pan pewien próg, nawet okulary nie pomogą.

Gdy wychodzili z gabinetu, Irwin stwierdził:

- Dostałeś ostrzeżenie. I co teraz z tym zrobisz? Zatrzymując się na środku chodnika, Anson zwrócił się

twarzą w stronę przyjaciela, którego przez przyciemniane szkła widział tylko jako cień.

- Co byś chciał, żebym zrobił...? Porzucił fundację i wszystko, co chciałem osiągnąć? Poza tym to chyba ty wmawiałeś mi, że nawet jako niewidomy, mogę nadal mieć cenny wkład w społeczeństwo. Dlatego nie zamierzam wycofać się do

głębokiej, ciemnej jaskini, by już więcej nie przeczytać dobrej książki ani nie oglądać bezchmurnego nieba.

- Nikt tego od ciebie nie oczekuje. - Irwin ujął go pod ramię i poprowadził ulicą tam, gdzie zostawili samochód. - Ale może powinieneś się wycofać, troszeczkę, nie całkiem, i przekazać więcej ciężaru prowadzenia szkoły komuś innemu.

- To nie jest ciężar, to moje powołanie. Moja życiowa misja. - Dotarli do auta. Anson opadł ciężko na siedzenie pasażera. Zmęczenie i frustracja były jak ołowiane obciążniki nałożone na jego ramiona.

Irwin wsiadł za kierownicę, ale nie zapalał silnika.

- Tak, to twoja misja. Ale nie jesteś sam. Wiesz, że masz moje całkowite i pełne wsparcie. Być może najwyższy czas, żeby wpuścić na pokład jeszcze kilka innych osób. Jakichś nauczycieli wolontariuszy, sekretarkę...

- Przyznaję, że mógłby nam się przydać jakiś nauczyciel, ale jeśli chodzi o sekretariat, Lark świetnie sobie radzi. Jest też w stanie pomagać młodszym uczniom w nauce.

Irwin nic nie odpowiedział. Przeciągająca się cisza wręcz krzyczała. Anson zerknął na niego nerwowo.

- Co? Co takiego przede mną ukrywasz?

- Przykro mi, Ansonie, ale mam zamknięte usta. Jeżeli chcesz, żeby Lark została, sam musisz ją o to poprosić. - Zapalił silnik i wyjechał na ulicę.

Kiedy Anson zrozumiał, że przyjaciel nie powie ani słowa więcej na ten temat, nie próbował już nic z niego wyciągnąć. Zatrzymali się przed domem Irwina, żeby skontrolować sytuację, a następnie zadzwonili do pastora, który organizował dla nich zbiórkę pieniędzy i materiałów szkolnych. Zaabsorbowany innymi sprawami, Anson walczył,

by skupić się na rozmowie.

Wrócili do Edenu długo po tym, jak Lark wyszła do domu po skończonym dniu. Widać było ogrom jej pracy. Sześć uczniowskich ławek, które jej dziadek zrobił razem z Calebem, stało teraz w dwóch równych rzędach na wprost tablicy. Na każdym biurku Lark ułożyła dwa zaostrzone ołówki i zeszyt do lekcji. Na górze tablicy dużym, starannym pismem wykalgrowała alfabet, zarówno wielkie, jak i małe litery. Globus, który Irwin zakupił w Brinkley, ustawiony był w rogu biurka nauczyciela.

Na ten widok Anson poczuł przyływ emocji. Już mógł wyobrazić sobie gorliwych uczniów, którzy zajmują miejsca w tych ławkach z elementarzami gotowymi do nauki. Widział dumę w ich oczach, gdy uda im się rozwiązać jakieś zadanie z arytmetyki albo poprawnie zapisać nowe trudne słowo. Potrafił zobaczyć ich po wielu latach, kiedy to, co robili tutaj, da im szansę na lepsze życie, o którym dotąd mogli tylko marzyć.

Nie umiał sobie tylko wyobrazić, że on nie będzie mógł w tym uczestniczyć. Albo że wycofa się jedynie do roli doradcy lub, co gorsza, da tylko imię tej placówce.

Irwin stanął obok niego w wejściu.

- Nasza droga panienska napracowała się dzisiaj. Poczekaj, aż zobaczysz, co zostawiła nam w kuchni.

Okazało się, że Lark wcześniej ugotowała garnek zupy z łuskanego grochu i teraz musieli tylko odgrzać swoją kolację. Zostawiła też na kuchennym stole liścik, który Irwin odczytał na głos:

„Zupa jest dla was. Smacznego. Nie będzie mnie jutro. Muszę przez weekend nadrobić obowiązki na farmie”.

Zupa była przepyszna, ale perspektywa całego dnia bez spotkania z Lark odebrała Ansonowi apetyt. Jakby mało było tych wszystkich przeżyć związanych z wyjazdem... Irwin stwierdził, że trzeba poprosić Lark, żeby została... Tylko dlaczego? Wczoraj nie zamieniła z Ansonem ani słowa, bo była zajęta pisaniem listów, przeglądaniem materiałów i układaniem ich na półkach i w szafkach. Czyjej rosnąca oziębłość wobec niego oznaczała, że zastanawia się nad rezygnacją? Czyżby uczynił lub powiedział coś, co sprawiło jej przykrość albo ją obraziło?

Co miał zrobić, żeby odzyskać jej przychylność? A nawet jeśli mógłby to zrobić, po tym, co dziś powiedział mu lekarz, czy w ogóle się ośmieli?

Po serii ciepłych dni nadszedł równie pogodny weekend i Lark zamierzała dobrze go wykorzystać, zwłaszcza sobotę. Niedługo po ślubie Michael podarował im kłącza irysów i cebulki żonkili z ogrodu matki. Ze względu na wciąż utrzymującą się suszę bardzo oszczędnie podlewali rośliny. Kiedy jednak na wiosnę pojawiły się pierwsze kwiaty, te kolorowe plamy po raz pierwszy od dawna rozweseliły wzrok dziadka.

- Wygląda niczym w ogródku babci - powiedział wtedy ze łzami w oczach. - To takie miłe wspomnienia.

Lark chciała się upewnić, że ziemia była gotowa na wczesnowiosenny wschód roślin, dlatego gdy tylko wysprzątała w domu i wywiesiła pranie, założyła rękawiczki ogrodnicze i przyklękała, by spulchnić glebę i wypielić rabaty.

Miała też w trakcie tej pracy trochę czasu, żeby rozmyślać, choć w zasadzie od dnia otrzymania listu od pani O'Neill nie robiła praktycznie nic innego. Powinna wkrótce odesłać odpowiedź, ale jak miała się zachować wobec tak hojnego daru, skoro nawet nie była pewna, czy powinna go przyjąć? Bardzo pragnęła porozmawiać o tym wszystkim z Bryony, ale ze względu na zmartwienia siostry związane z ciążą, Lark nie chciała jej jeszcze dokładać trosk.

Ulżyło jej w niedzielę, kiedy z Rose i dziadkiem przyjechała do kościoła i zobaczyła, że Bryony jest dużo spokojniejsza. Michael najwyraźniej też odczuwał ulgę. Wziął Lark na bok, żeby powiedzieć jej, że Bryony miała kolejną wizytę lekarską i zapewnienia doktora oraz wsparcie ze strony Dancy, pokojówki pani Heath, wydawały się wreszcie do niej dotrzeć.

- To tylko takie niepokoje przyszłej mamy - stwierdziła Bryony z drżącym śmiechem, dołączając do rozmowy. - Staram się najlepiej, jak umiem, przerzucić wszystkie swoje troski na Pana.

- Zatem jesteś już gotowa, żeby powiedzieć reszcie rodziny? - zapytała Lark.

- Po kościele, kiedy przyjedziemy na niedzielny obiad. - Wtedy w jej oczach pojawił się błysk niepokoju. - Czy Anson i doktor Young też będą?

Lark ze ściśniętym gardłem odparła:

- Nie zapraszałam ich tym razem, ponieważ uznałam, że zadamowili się na tyle, iż wrócili do swoich dawnych zwyczajów.

Mimika Bryony mówiła, że nie przekonują jej argumenty Lark. Ponad ich głowami rozległo się bicie kościelnego

dzwonu i Lark ruszyła szybko w stronę drzwi. Zanim dotarła na szczyt schodów, Bryony złapała ją za ramię i wyszeptała nad uchem:

- Po niedzielnym obiedzie będziemy musiały pogadać, siostrzyczko.

Lark prawie pożałowała, że wcześniej tęskniła za rozmową z Bryony.

Podczas nabożeństwa pastor Unsworth wygłosił kazanie na temat fragmentu z Pierwszego Listu do Koryntian, rozdziału 13, wersetu 12, o widzeniu jakby w zwierciadle, niejasno. Słowa te dotknęły ją głęboko, docierając prosto do jej udręczonego serca: „Teraz poznaję po części, wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany”.

Potrzebowała mądrości. Potrzebowała jasności. Potrzebowała nadziei.

Później, podczas obiadu na farmie, Michael i Bryony ogłosili swoją nowinę i Lark, tak jak oczekiwała, zebrała naganę za to, że wcześniej wiedziała i nic nie powiedziała.

- A co miałam zrobić? - zawołała z udawanym grymasem. - Bry zobowiązała mnie do zachowania tajemnicy. I mówię wam, *niemówienie* było dla mnie jedną z najtrudniejszych rzeczy.

Rose niemal udusiła Lark, obejmując ją za szyję.

- Dobra, już wybaczone, bo będziemy ciotkami... Chwała Panu!

Dziadek był tak szczęśliwy, że nie mógł ukryć drżenia ust ani tego, że oczy mu zwilgotniały. Lark podejrzewała, że tak jak ona i jej siostry, przeniósł się myślami nad groby mamy, taty i babci - ich ukochanych, których obecności zawsze trochę bardziej im brakowało w takich chwilach jak ta.

Kiedy tylko ucichł nieco gwar i sprzątnięto ze stołu, Bryony pociągnęła Lark na bok, mówiąc:

- Czas na rozmowę, którą mi obiecałaś.

Lark wytarła talerz po myciu i odłożyła go do szafki.

- Nic ci nie *obiecowałam*. To ty nastawałaś.

Ale nawet mimo to nie opierała się, gdy Bryony wyprowadziła ją na werandę i skierowała w stronę jednego z podniszczonych drewnianych foteli na biegunach. Bryony przysunęła sobie bliżej drugi.

- No dobra, co się dzieje z tobą i Ansonem?

- Co to w ogóle za pytanie?

- Takie, z którego wynika, że dobrze wiem, iż darzysz go uczuciem. A jednak, gdy tylko zapytałam cię o niego wcześniej, zamknęłaś się szybciej niż drzwiczki w dziadkowej pułapce na króliki.

Skrzyżowawszy ręce, Lark wpatrywała się uparcie przed siebie.

- Cóż, ostatnio nie byłaś zbyt skora do rozmów, moja droga siostró.

- Masz rację. Przepraszam. - Głos Bryony nieco złagodniał. - Ale jestem tu teraz, więc porozmawiajmy.

- Jestem po prostu... zdeorientowana. I tyle. - Kołysząc się na fotelu, Lark pociągnęła nosem, walcząc z nadciągającą falą emocji. - Mam możliwość wrócić do college'u i...

- Naprawdę? - Tłumiąc okrzyk zaskoczenia, Bryony obróciła się na siedzeniu i przyciągnęła do siebie dłoń Lark. - Kochana, to cudownie! Dostałaś stypendium? Czy może to fundacja Ansona cię posyła?

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. - Lark opowiedziała wszystko o zapisie pana O'Neill.

Teraz w oczach Bryony błysnęły łzy i uścisnęła dłoń Lark jeszcze mocniej.

- Ależ cudownego, życzliwego i przewidującego człowieka zesłał ci Bóg.

- Wiem. Bardzo go kochałam. - Lark wpatrywała się siostrze prosto w oczy. - Ale czy to właśnie należy uczynić?

- Wrócić do college'u? To twoje marzenie. Czekalaś na to całe życie. Dlaczego miałabyś... - I wtedy Bryony zrozumiała, a na jej twarzy pojawiła się posępna mina. Przygryzła wargę i rzekła: - Anson.

- Podjęłam się zobowiązania wobec niego... to znaczy wobec fundacji. - Lark opowiedziała jej też o możliwości, którą uzyskała, by kontynuować część studiów zaocznie, w formie korespondencyjnej. - Skoro mam teraz taką szansę, jak mogłabym tak po prostu odejść ze szkoły Schaferów?

- A nie wydaje ci się, że Anson wolałby, żebyś raczej w miarę szybko skończyła college? On wie, ile to dla ciebie znaczy... ile to będzie znaczyć dla szkoły na dłuższą metę.

Lark pokręciła głową.

- Pieniądze nie znikną, więc może za rok, kiedy szkoła się rozkręci...

Puszczając dłoń Lark, Bryony odchyliła się na oparciu i rozkołysała fotel, powoli i ostrożnie. Nie odpowiedziała nic i wydawało się, że mija wieczność. Lark zaczynała się już martwić, co też takiego dzieje się w głowie jej siostry. Bryony miała tę zdolność, że potrafiła dotrzeć do sedna i zobaczyć prawdę. Tak jak rozumiała, że Michael musi wrócić do malowania po tym, gdy Sebastian Heath zniszczył jego szkice. Tak jak wiedziała dokładnie, w jaki sposób stworzyć więzy pomiędzy panią Heath i jej wnuczką, prosząc Callie, żeby

jej czytała.

- Lark, wydaje mi się, że jesteś zakochana w Ansonie - Bryony powiedziała to tak rzeczowo, że Lark aż się wzdrygnęła. - Dlatego tak trudno podjąć ci tę decyzję.

- Nie bądź niemądra. Nie mam ani czasu, ani chęci na amory. - Lark wczepiła się palcami w podłokietniki i trzymała się sztywno.

- Jediną niemądrą osobą jesteś tutaj ty. - Bryony znów zwróciła się twarzą na wprost Lark. - Och, kochanie, dobrze wiem, jak to jest obawiać się tego, co podpowiada ci serce! Ale to jest mężczyzna, który troszczy się o ciebie, który *chce*, żebyś spełniła swoje marzenia. Jeżeli będziesz go wciąż odsuwać od siebie, możesz go stracić na zawsze, a jeśli do tego dojdzie, będziesz żałować tego do końca życia.

Pohamowując drżenie, Lark spojrzała w dal na wysuszone, bezbarwne podwórko, a potem na rabaty kwiatowe, które przekopywała poprzedniego dnia. Z zachwytem dostrzegła pomiędzy grudkami ziemi drobniutki ślad zieleni przebijającej się z cebulek żonkili -. zapowiedź piękna, które wkrótce rozkwitnie.

Zerknęła na Bryony.

- Skąd to wiedziałaś? Skąd wiedziałaś, że to, co czułaś do Michaela to miłość?

W oczach Bryony błysnęły łzy i uśmiechnęła się z czułością.

- Wiedziałam, że to miłość, kiedy uświadomiłam sobie, że jego szczęście jest dla mnie ważniejsze niż moje własne życie. Wiedziałam, że to miłość, kiedy każda chwila z dala od niego wydawała się niczym setki lat.

Lark poczuła w piersi jakiś promieniujący ból. Czowała to już kiedyś i przypisała to niestrawności albo zmęczeniu lub też wybujałej wyobraźni. Ale teraz wiedziała, że to się dzieje naprawdę i zrozumiała, że to było właśnie to.

Pragnienie, by znów ujrzeć Ansona.

Kiedy dziadek podrzucił ją do szkoły Schaferów w poniedziałek rano, Lark stała przed bramą wejściową co najmniej minutę. Nie mogła podjąć decyzji o pełnym powrocie do college'u, dopóki nie poukładała w swojej głowie, na czym stoją sprawy pomiędzy nią a Ansonem.

Przeszył ją dreszcz. Nie można iść tak po prostu do kogoś i powiedzieć: „Chyba cię kocham. A ty mnie?”.

Nie, musiała zrobić to taktownie i potrzebowała wiele mądrości i jasności umysłu jak Bryony.

Wznosząc krótką modlitwę ku niebu, ruszyła podjazdem. Anson i doktor Young powiedzieli jej, że nie musi pukać codziennie rano, ale może korzystać z kuchennego wejścia, by dostać się do sekretariatu.

W chwili, gdy znalazła się w środku, wiedziała, że coś jest nie tak. Na podłodze przed zlewem leżało potłuczone szkło, a na blat rzucona była zakrwawiona ścierka.

Z gwałtownie bijącym sercem rzuciła torebkę na stół i pobiegła przez dom, wołając:

- Ansonie? Doktorze Young?

- Tutaj, moja droga. - Doktor Young wyszedł jej na spotkanie u stóp schodów, a jego dłonie były czerwone. Krwawe plamy znaczyły także mankiety oraz przód koszuli.

Lark skoczyła ku niemu.

- Co się stało? Jesteś ranny?

- Ja nie. Anson. - Skrzywił twarz. - Obawiam się, że porządnie się skaleczył. Oczyszczyłem ranę i zabandażowałem. Powinien mieć założone szwy, ale nie chce pozwolić, bym zawiózł go do lekarza w Brinkley.

- Gdzie on jest? Może będę mogła pomóc.

- Leży na górze. Mówi, że musi po prostu odpocząć. - Mamrocząc pod nosem jakieś przekleństwo, doktor Young potrząsnął głową. - Wybacz mój język, ale czasami mam ochotę go udusić.

Czując, że nogi pod nią miękły, Lark chwyciła się mocno balustrady i wzięła kilka głębszych wdechów.

- Kiedy zobaczyłam krew, nie wiedziałam, co mam o tym sądzić. Jak to się stało?

Doktor Young wskazał ręką na klasopracownię i stojące przy jednym z biurek krzesło. Sam nie wyglądał zbyt pewnie, więc wyciągnął sobie drugie krzesło i usiadł. Patrzył na swoje otwarte dłonie, jakby badał ślady krwi.

- Przygotowywaliśmy śniadanie i on sięgnął po szklankę z szafki. Chyba nie widział jej zbyt dokładnie i stracił ją z półki. Próbował ją złapać, ale szklanka rozbiła się o blat. Odłamki rozcięły mu dłoń, a jeden odprysk uderzył go w twarz.

Lark zakryła dłonią usta, próbując powstrzymać uczucie przerażenia.

- Tam było tyle krwi. Jesteś pewien, że nic mu nie będzie?

- Ani trochę. Powinien być bardziej ostrożny, bo inaczej... - Doktor Young westchnął ciężko i odwrócił wzrok. Lark jeszcze nigdy nie widziała go tak zasmuconego.

I wtedy zrozumiała.

- Chodzi o jego wzrok, prawda? Pogarsza się. Doktor Young skinął ponuro.

- Ale jeśli powiesz, że dowiedziałaś się tego ode mnie, wyprę się. Chłopak ma swoją dumę, jakkolwiek by ona nie była chybiona. - Muszę iść się obmyć, a potem posprzątam w kuchni.

- Nie, pozwól, że ja to zrobię. Już i tak wiele przeszedłeś.

Nie oponował, tylko uśmiechnął się z wdzięcznością. Poczłapał na górę, a Lark wróciła do kuchni, ostrożnie obchodząc potłuczoną szklankę. Odwiesiła swoje okrycie wierzchnie w sekretariacie i przy pomocy miotły i szufelki zebrała wszelkie odłamki szkła, które była w stanie dostrzec. Aby mieć pewność, że zbierze te najdrobniejsze fragmenty, namoczyła stary ręcznik i przetrła nim blat, a potem podłogę i wszystkie kąty. Zabrała ręcznik i zakrwawioną ścierkę, żeby wyrzucić je do pieca do spalania.

Stojąc pośrodku podwórka, skierowała wzrok na okno pokoju Ansona i serce ścisnęło się jej w piersi. Teraz już wiedziała. Było to dokładnie to, o czym mówiła Bryony. To rosnące w niej uczucie, wypierające i rozpychające się, i zmieniające jej rozumienie każdego najdrobniejszego aspektu jej życia... to uczucie, które nakazywało jej dostosować każdą nadzieję i każde marzenie do nadziei i marzeń tego szlachetnego mężczyzny...

To nie była przyjaźń.

To nie była fascynacja.

To była miłość.

JŁ

13.

Bryony przytuliła się do Michaela, a ich najdroższe dzieciątko w jej łonie spoczywało w gnieździe ich splecionych ciał.

- Lark się zakochała - powiedziała.

Zaśmiał się, jakby dobrze o tym wiedział, i ucałował ją w czoło.

- Jeszcze jakieś nowiny?

- Ty wiedziałeś? - Odchyliła głowę, żeby zobaczyć go lepiej w blasku poranka. Słońce weszło już ponad godzinę temu, ale ostatnio Bryony chętnie sypiała dłużej.

Mimo to wcale nie przeszkadzało jej, gdy Michael budził ją czułymi pocałunkami i delikatnym, przekonującym dotykiem. Łaskocząc ją nosem po szyi, odparł:

- Co więcej, nie ona jedna. Anson też jest zadurzony.

- Powiedział ci to?

- Nie musiał. Jako że sam nie tak dawno temu zakochałem się po uszy, dobrze poznaję te objawy. - Jedną ręką przygarnął Bryony, a drugą wetknął pod głowę i teraz wpatrywał się w sufit. - Chociaż wydaje mi się, że obawia się jej to wyznać.

- W takim razie być może Lark będzie musiała się pierwsza odkryć. - Bryony przekręciła się na plecy obok Michaela i teraz stykali się głowami. - Oczywiście Lark może wstrzymać decyzję o ślubie na kilka lat, do czasu ukończenia college'u. Potem, jak już uzyska dyplom, razem z Ansonem będą mogli prowadzić szkołę Schaferów, która stanie się znana jak kraj długi i szeroki jako placówka, do której warto posłać dzieci, jeśli chce się dobrego wykształcenia.

- To niezła wizja, ale myślałem, że Lark odłożyła kontynuację studiów na czas bliżej nieokreślony.

Bryony opowiedziała mu o panu O'Neillu i jego obligacjach wojennych, konkludując:

- Jeśli Ansonowi naprawdę na niej zależy, będzie chciał, żeby mogła podążać za swoim marzeniem i skończyć studia najszybciej, jak to możliwe.

Michael nic nie odpowiedział, więc Bryony, unosząc się na łokciu, spojrzała na niego.

- Nie wydaje ci się, że tak powinna zrobić?

- To nie chodzi o to. - Michael usiadł i sięgnął po swój flanelowy szlafrok. Zarzucił go na siebie, wstał i zwrócił się twarzą w stronę Bryony. - Chciałem powiedzieć, że jeśli to prawdziwa miłość, powinni tę decyzję podjąć razem, bo kiedy angażujesz się tak głęboko i trwale, twoje życie nie jest już *tylko* twoje.

Coś w środku Bryony drgnęło - jakiś nagły, irracjonalny lęk o poświęcenia, które jej mąż podjął dla niej. Był dziedzicem plantacji Brookbirch. Mógł żyć w luksusach, otoczony służbą na każde zawołanie, a nie mieszkać w tym małym domku z używanymi meblami, humorzastą, ciężarną żoną i kapryśnym kotem, którego nigdy nie chciał.

Pochylił się, by ucałować jej czoło.

- Umieram z głodu. Zabiorę się za śniadanie.

- Michaelu. - Pochwyciła jego dłoń, zanim wstał. - A z jakich marzeń ty zrezygnowałeś dla mnie?

- Zrezygnowałem? - Jego uśmiechnięte oblicze posmutniało w niedowierzaniu. - Jak możesz pytać o coś takiego, skoro wniosłaś w moje życie dużo więcej, niż byłem w stanie sobie wymarzyć? - Uszczypnął ją delikatnie w nos. - Ubieraj się już, bo robię jajecznicę, a potem jedziemy do mojej rodziny podzielić się z nimi naszą radosną nowiną.

Jej mąż gotował - to był kolejny znak tego, o ile jego życie zmieniło się od ich ślubu, a w dodatku jeszcze sprawiał wrażenie, że cieszy się każdą minutą takiej rzeczywistości.

- Ty głupia kobieto - Bryony sama się zganiła na głos. To pewnie przez tę ciążę miała głowę pełną zmartwień i wątpliwości.

Zmartwień i wątpliwości, których nie umiała się pozbyć, pomimo pozorów, które przywdziewała na potrzeby rodziny. Michael był tak zasmucony jej zachowaniem w niedzielę tydzień temu, gdy nie potrafiła się zdecydować, by powiedzieć o dziecku. Kiedy tylko wrócili do domu, rozmawiali długo, aż do wieczora... albo raczej to Michael mówił, co było niezwykle dla niego, gdyż to on raczej był tą milczącą stroną.

Dwoił się i troił, starając się ją przekonać, że nie miała powodu tak się lękać, aż w końcu uległa i zgodziła na kolejną wizytę lekarską tylko po to, by upewnić się, iż wszystko jest dobrze.

Czy nikt tego nie rozumiał? Lekarze nie mogli przewidzieć przyszłości. Nie mogli wiedzieć na pewno, czy z dzieckiem

Bryony wszystko będzie w porządku, czy nie wydarzy się nic, co mogłoby ograbić ją i Michaela z tego szczęścia.

Więc kłamała. Udawała, że pokonała ten strach. Przybierała na twarz uśmiech i ze wszystkich sił starała się okazywać pozytywny nastrój. Czasem to działało, zazwyczaj jednak nie. To było *jej* poświęcenie dla tych, których kochała. Nie było sensu dawać im poznać, jakimi zakazanymi torami biegły jej myśli, ukazując widma krzywd i nieszczęść, które nieustannie kładły się cieniem na każdym jej kroku.

Wpatrywała się w Michaela i to było jej ratunkiem. Jego miłość, jego wiara były w stanie powstrzymać lęki.

Wygrzebała się z łóżka, narzuciła na siebie sukienkę po domu i przemknęła do kuchni.

- Pomóc ci w czymś, kochanie?

<~^®<-^

Dłoń pulsowała przenikliwie. Anson zacisnął zęby z bólu. Wszystko przez jego głupotę i nieostrożność. Wszystko przez bezlitosną infekcję, która niemal pozbawiła go wzroku i stała się przyczyną tych wszystkich nieszczęść.

Zawsze z pogardą patrzył na uzalanie się nad sobą, zwłaszcza w swoim przypadku, ale teraz czuł, że czas na wyjątek. Chciał zatopić się w przygnębieniu, biadolić, jęczeć i lamentować nad ogromem niesprawiedliwości swego losu. Chciał...

- Ansonie, nie śpisz? - Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i Irwin wśliznął się do sypialni.

- Oczywiście, że nie. Zbyt mocno boli, żebym mógł zasnąć. - Anson przekręcił się ostrożnie na bok i usiadł. - Domyślam się, że mamy niezły bałagan do posprzątania.

- Wszystko już pod kontrolą. Jesteś pewien, że nie chcesz, żebym zabrał cię na założenie szwów? Rana otworzy się, jak będziesz ruszał ręką.

- Dam sobie radę. Po prostu okropnie boli. Podchodząc bliżej, Irwin palcem dotknął delikatnie miejsca, gdzie szkło rozcięło skroń. Prychnął i stwierdził:

- Jeszcze kawałek i...

- I nie miałbym jednego oka. Żadna wielka strata, jeśli o to ci chodzi. - Anson odtrącił dłoń Irwina. - Przestań się mną martwić, na litość boską. Jeżeli mamy wkrótce przyjąć uczniów, muszę wracać do pracy.

- Chyba powinieneś dzisiaj nieco zwolnić. Razem z Lark zajmiemy się wszystkim.

Na samo wspomnienie imienia Lark żołądek Ansona zawiązał się w supeł. Wcale nie chciał, żeby ona widziała go w takim stanie.

- Czy ona już przyszła?

- Niedługo po twoim drobnym incydencie. W zasadzie to ona uprzątnęła ten bałagan, którego narobiłeś, niech będą dzięki jej życzliwemu i szlachetnemu sercu.

Anson zwiesił głowę. Myśl o tym, że Lark musiała poradzić sobie z tym szkłem i krwią sprawiała, że nie chciał już nigdy schodzić na dół.

- Daj spokój, ona wcale nie będzie o tobie gorzej myśleć. - Irwin pomaszerował do biurka i zaczął grzebać w szufladach.

- I tak już gorzej się nie da - wymamrotał Anson. - Za czym, do licha, tak szperasz? Łapy precz od moich rzeczy.

- Oj, przestań psioczyć. Szukam po prostu... - Wyciągnąwszy coś długiego i bezkształtnego z drugiej szuflady,

Irwin odwrócił się triumfalnie. - O, to będzie idealne. Stój chwilę nieruchomo, zrobię ci temblak.

- Czekaj! Czy to mój porządny, wełniany szalik? - Anson próbował wyszarpnąć rękę, ale Irwin mocno go trzymał. Nie mówiąc już o tym, że nagły ruch przeszył go na nowo bólem promieniującym aż do ramienia.

- Mówiłem, nie ruszaj się! - Zawiązawszy supeł z szalika na karku Ansona, Irwin delikatnie uchwycił ramię przyjaciela i wsunął w prowizoryczny temblak. - Masz, to pomoże trochę unieruchomić twoją rękę. Będzie ci też przypominać, żebyś jej nie używał, jak nie trzeba, dzięki czemu szybciej się zagoi.

Jedynym, co zostało teraz Ansonowi wobec nieustępliwości Irwina, był stoicki spokój.

- Pamiętasz, że jesteś doktorem nauk, a nie medycyny, prawda? - zapytał uszczypliwie.

- Wszystko zostaje między nami - odparł tamten i ujmując Ansona za zdrowe ramię, pomógł mu wstać. - Skoro nie chcesz wypoczywać, możesz równie dobrze zejść na dół i przydać się na coś.

- Co takiego miałbym dokładnie robić jako zasadniczo jednoręki ślepiec?

Irwin wycharczał coś niegrzecznie i odparł:

- Największym ślepcem jest ten, kto nie chce widzieć. Anson nie był w nastroju na wysłuchiwanie kazań, więc

nawet nie śmiał pytać, co jego przyjaciel chciał osiągnąć, cytując Matthew Henryego. Zamiast tego pozwolił się poprowadzić na dół, mając nadzieję, że Lark nie dołoży mu upokorzeń, dopytując go o wszystko lub okazując mu współczucie.

Wyszła z sekretariatu, akurat gdy Anson i Irwin dotarli do kuchni. Anson nie potrzebował sokolego wzroku, żeby dostrzec, jak jej spojrzenie kieruje się od razu w stronę jego zabandażowanej dłoni.

Zaśmiał się sztucznie.

- Nie przejmuj się nadgorliwością Irwina, jeśli chodzi o te bandaże i ten... - Uniósł łokieć trochę do góry. - Ten ekstrawagancki temblak, na który się uparł.

- Nie, oczywiście, że nie. Skaleczenia dłoni potrafią mocno krwawić. - Lark przeszła w stronę kuchenki, gdzie coś skwierczało na patelni. - Zdaje się, że nie jedliście śniadania, więc znalazłam jakiś bekon w lodówce i pomyślałam, że przygotuję coś dla was. Wolicie jajka mocno ścięte czy nie?

Już sama życzliwość Lark poprawiła mu humor, a zapach wypełniający kuchnię wyganiał z jego głowy wszelkie myśli związane z wypadkiem. Oblizując się ze smakiem, odparł:

- I tak, i tak.

Zarzekając się, że jadła już w domu, Lark nie przyjęła zaproszenia, by dzielić z nimi posiłek, ale tylko podała im na talerzach idealnie kruchy bekon i najbardziej puszystą jajecznicę, jakiej kiedykolwiek Anson próbował. Nalawszy kawy obu mężczyznom, napełniła też swój kubek i zabrała ze sobą do sekretariatu.

Dobrze chociaż, że jajka i bekon wymagały tylko jednej ręki i widelca. Anson powinien się cieszyć, że skaleczył lewą dłoń, a nie prawą, bo w przeciwnym razie byłby jeszcze bardziej niezdarny do czasu zagojenia rany.

Kiedy skończyli jeść, Irwin podniósł się, by posprzątać ze stołu. Skinąwszy stanowczo głową w stronę biura Lark, zasugerował, żeby Anson zobaczył, co u ich sekretarki.

- I możesz jeszcze powiedzieć Lark, jak bardzo jesteś jej wdzięczny i jak ją cenisz.

Ciekawe, że Irwin powiedział wyraźnie „ty”, a nie „my”. Spojrzawszy z ukosa na tajemniczego przyjaciela, Anson zebrał się w sobie i przeszedł do sekretariatu.

Chwilę później za jego plecami stanął Irwin, mówiąc:

- Zamknę tu, żeby wam nie przeszkadzał, jak się będę tłukł garnkami w zlewie.

Drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem. Anson przełknął.

Lark odwróciła się od biurka z maszyną do pisania i przyglądała mu się uważnie. Chyba miał skrzywioną minę, bo zapytała:

- Bardzo boli?

- Teraz już nie. - Spojrzał w stronę zamkniętych drzwi. - Ja, hm... chciałem podziękować ci za... za wszystko.

- Nie ma za co. - Nie mogła przestać na niego patrzeć. Potarł dłonią kark i poruszył niechcący supeł z szalika, szarpiąc tym samym za chorą rękę. Skrzywił się z bólu. Lark podskoczyła.

- Jesteś pewien, że nie powinieneś...

- Naprawdę, to tylko draśnięcie. - Nagle czuł, że zaczyna się dusić, jakby brakowało powietrza, a może to było z powodu bliskości Lark? W tym małym pomieszczeniu, przy tylu meblach, nie było zbyt wielkiego pola manewru.

- Kiedy zobaczyłam potłuczone szkło, tyle krwi... - Z na wpół otwartych ust dobyło się drżące westchnięcie.

W tym momencie błogosławił swoją krótkowzroczność. Oddech uwiązał mu w gardle, gdy patrzył na te jakże słodkie usta.

- Lark...

-Tak?

- Jesteś tutaj, pracujesz ze mną... Myślę, że powinnaś wiedzieć, że bez ciebie nic bym nie zrobił.

- Ansonie, muszę ci coś powiedzieć. - Ona płakała? Czyżby zepsuł doszczętnie tę chwilę?

- Cokolwiek... Możesz mi powiedzieć, co tylko chcesz. -Musiał się powstrzymać ze wszystkich sił, żeby nie otrzeć łez z jej policzka. - Czy prosiłem cię o zbyt wiele? Liczyłem na twoją pomoc zbyt mocno?

- Nie, wcale nie.

- W takim razie o co chodzi? - Całe jej ciało było spięte, tak jak głos, i nie zapowiadało to nic dobrego. Zdrowa ręka powędrowała wyżej. Tak bardzo pragnął ująć w dłoń jej policzek, ale zatrzymał się na wysokości ramienia, które było miękkie pod jego dotykiem, że czuł przenikające go, pulsujące fale tęsknoty. - Proszę cię, Lark, powiedz, o co chodzi?

- Ja... chodzi o to, że... - Wzięła powoli wdech i zamknęła oczy. Gdy otworzyła je ponownie, stała trochę pewniej, a jej twarz zdawała się bardziej opanowana. - Muszę jechać do Arkadelphii. Trudno mi nawet o to prosić po twoim wypadku, ale to tylko na kilka dni. Czy możesz mnie puścić na tyle czasu?

Westchnienie ulgi uleciało z jego piersi. Oczekiwał czegoś dużo gorszego! Poklepał ją z zakłopotaniem po ramieniu, a potem niechętnie opuścił dłoń wzdłuż boku. Teraz był raczej po prostu ciekawy powodu tego wyjazdu.

- Oczywiście, że możesz jechać. Coś się stało? Mogę jakoś pomóc?

- W czwartek otrzymałam list. Pan O'Neill zmarł w Nowy Rok. - Pociągnęła nosem, ale trzymała głowę wysoko. - Chciałabym... chciałabym osobiście wyrazić moje kondolencje pani O'Neill.

- Tak bardzo mi przykro, Lark. - Tym razem nie umiał się już powstrzymać, by nie pogłodzić jej wilgotnego od łez policzka. Wtuliła się w jego dłoń, choć trwało to taki ułamek sekundy, że nie był pewien, czy sobie tego nie wymyślił. - Dlaczego nie powiedziałaś nic wcześniej?

- Nie mieliśmy okazji tak naprawdę porozmawiać od czasu, gdy się o tym dowiedziałam. Poza tym to było dla mnie ogromne zaskoczenie. Ty i Irwin wyjechaliście w piątek, a ja potrzebowałam weekendu, żeby to we mnie jakoś ostygło, a potem okazało się, że... - Na jej ustach rozciągnął się znużony uśmiech, gdy skinęła w stronę jego zranionej dłoni.

Chciał przyciągnąć ją bliżej siebie, trzymać w objęciach, pocieszać. Jego palce wsunęły się głębiej w jej jedwabiste włosy na karku.

- Powinnaś wrócić do domu. Przekażę wszystko Irwinowi i poproszę, żeby cię odwiózł.

Uciekła wzrokiem na bok, ale dzięki Bogu nie odsunęła się. Zniżyła głos i niepewnie wyszeptała:

- Doktor Young już wie. Był ze mną, kiedy odczytałam list.

- Rozumiem.

- Ansonie... - W jej głosie był jednocześnie smutek i nadzieja, i wołanie. Zakryła dłonią jego rękę.

Teraz już nie potrafił się powstrzymać. Ujmując mocno jej głowę od tyłu, musnął ustami jej wargi i zakosztował delikatnie ich kuszącej słodyczy. Jęknęła cicho i zadrżała, ale

nadal się nie cofnęła. Wziął to za przyzwolenie, by pocałować ją ponownie, tym razem jeszcze pełniej. Miał tylko nadzieję, że jej westchnięcie było jękiem rozkoszy, a nie przykrości.

„Co ja zrobiłam?”

Gdy Lark została sama w sekretariacie, opadła na krzesło i przytknęła dwa palce do lekko opuchniętych warg. Pragnęła pocałunku Ansona... wręcz rozpaczliwie tego pragnęła! Ale oddanie się temu uczuciu przerażało ją bardziej niż cokolwiek innego w życiu, nawet bardziej niż nierozsądny wyjazd do Kenii.

Z drugiej strony drzwi usłyszała, jak Anson rozmawiał z doktorem Youngiem, najprawdopodobniej organizując dla niej podróż powrotną na farmę. Doktor Young wiedział o obligacjach wojennych pana O'Neilla, ale Lark nie powiedziała o tym Ansonowi i nie zamierzała tego uczynić. Gdyby dowiedział się, że przepuściła dla niego okazję powrotu na studia stacjonarne, nigdy by jej nie wybaczył.

Jednak po porannym wypadku i tym, co doktor Young powiedział jej o pogarszającym się wzroku Ansona, Lark była przekonana jak nigdy dotąd, że jej miejsce póki co było tutaj.

To nie była litość... przynajmniej niezupełnie, bo czuła też ogromny smutek, a nawet złość w związku z utratą wzroku Ansona.

I nie chodziło tylko o jej zaangażowanie w szkole, choć całym sercem wierzyła w wizję Ansona, by nieść wykształcenie najbiedniejszym dzieciom z Arkansas.

Nie, nadszedł czas, by wreszcie była szczerą sama ze sobą. Podczas tych miesięcy, odkąd poznała Ansona i pracowała u jego boku, najpierw w Afryce, a teraz tutaj, w Stanach, zaczęła go postrzegać jako kogoś więcej niż mentora. Zależało jej na nim bardziej niż na przyjacielu.

Bryony miała rację. Miłość spadła na nią z zaskoczenia i zupełnie ją porwała.

Skuliła się, chowając twarz w dłoniach. Całe jej ciało drżało od mieszaniny śmiechu i płaczu, które ledwie była w stanie opanować. Jeszcze nigdy w życiu nie miała wrażenia, że jej uczucia są tak niekontrolowane... a jednocześnie jest to tak *właściwe*.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Wyprostowała się i otarła oczy szybkim ruchem ręki. Doktor Young uśmiechnął się z życzliwością.

- Czy chciałabyś, żebym odwiózł cię teraz do domu?

- Dziękuję - odparła, podnosząc się, by wziąć swoje rzeczy - ale chyba wolę się przejść. Muszę... muszę... - Czknęła i wzruszyła ramionami z bezsilności.

- Rozumiem. - Przytrzymał dla niej drzwi i był pewny, że widział więcej, niż mu powiedziano.

Anson opierał się o blat w kuchni ze zdrową ręką w kieszeni.

- Uważaj na siebie, Lark. Proszę, przekazaj pani O'Neill wyrazy współczucia.

- Przekażę. - Skinęła niezdarnie i wyszła tylnymi drzwiami. - Do zobaczenia za parę dni.

Opuszczając miasteczko, zatrzymała się jeszcze w sklepie wielobranżowym i kupiła bilet autobusowy na następny dzień rano. Miała tak wiele do przemyślenia i przemodlenia,

więc nie śpieszyła się. Dochodziło już południe, gdy wreszcie krętą drogą dotarła na farmę. Dziadek i Rose zastanawiali się nad jej wczesnym powrotem, więc opowiedziała im wszystko o wypadku Ansona i poinformowała o ponownej zmianie planów, jeśli chodziło o college.

Pominęła tylko część o tym, jak swawolnie całowała się z Ansonem.

Odgrzewając resztki cykorii ze śniadania, dziadek wystękał:

- Pewnaś, że tego chcesz?

- Tak. Czuję to w głębi duszy, że tak właśnie powinnam zrobić. - Pokazała mu informacje od kierownika studiów w Henderson na temat kursu korespondencyjnego. - Widzisz? Posuwam się do przodu, jeśli chodzi o dyplom nauczycielski. Po prostu tylko trochę dłużej mi to zajmie.

Dziadek wydawał się niezbyt przekonany, ale to był jego problem, nie jej. Spędziła resztę popołudnia, pomagając Rose przy ogródku warzywnym, gdzie siały fasolę, cebulę, marchew i buraki na wczesne zbiory. Nadal musieli nosić wodę z pompy na podwórku albo ze strumienia, ale przynajmniej łagodna zima przyniosła parę razy drobne deszcze, dzięki którym mogli mieć nikłą nadzieję, że początek lata nie spali ogrodu na wiór, jak to bywało w ciągu kilku ubiegłych lat.

Rose nie miała wiele do powiedzenia po wysłuchaniu siostry, ale kiedy odrzuciła kolejny chwast na rosnący stosik, spojrzała na nią ze zmarszczonym czołem i rzekła:

- Nie żałuję ani trochę, że tu zostajesz, ale powiedz, dlaczego? To znaczy, dlaczego *naprawdę*?

Pytanie siostry przywiodło od razu jasne wspomnienie tego uniesienia, którego doświadczyła podczas pocałunku

Ansona i przez krótką chwilę Lark była w stanie tylko zamknąć powieki i wspominać. Ledwie słyszalnym szeptem odparła:

- Chyba się w nim zakochałam.

- W panu Schaferze? - Rose sapnęła i wyszarpnęła kolejny chwast z ziemi. - Powinnam była się domyślić. Zaraz potem uciekniesz i wyjdiesz za mąż jak Bry.

Ta sugestia trafiła Lark jak cios w serce. Usiadła na piętach.

- Nie zapowiada się na żaden ślub, gwarantuję ci. Ja wciąż jeszcze... - Cóż, nie mogła przyznać, że nadal kręciło jej się w głowie od tego pocałunku, nie wspominając nawet o poczuciu przytłoczenia ogromem nowych uczuć, które od tak dawna odsuwała od siebie.

Dopiero wtedy dotarło do niej prawdziwe znaczenie słów Rose. Lark, przechyliwszy się ponad grządką, pochwyciła siostrę w uścisku.

- Och, kochana Rosie, nie wiesz, że zawsze będę twoją starszą siostrą? Nic nie zmieni tego, jak bardzo cię Kocham czy tego, jak zawzięcie będę walczyć, żebyś była bezpieczna i szczęśliwa.

Rose wiała się trochę w jej objęciach, ale odwzajemniła uścisk.

- Uważaj, bo z każdym dniem brzmisz coraz bardziej jak Bry.

Co wcale nie było znowu takie złe, przynajmniej według Lark. Mogła nareszcie przestać chodzić z głową w chmurach i trochę dorosnąć. Już dawno nadszedł czas, żeby zacząć przedkładać potrzeby innych ponad własne plany i marzenia.

Może poza tym jednym, konkretnym marzeniem, bo miała nadzieję, że któregoś dnia to coś między nią a Ansonem rozkwitnie w trwały związek. Już widziała ich w przyszłości jako męża i żonę... O tak, z pewnością któregoś dnia tak będzie, jak już wszystko się poukłada. Będą pracować ramię w ramię w szkole Schaferów, klasy pełne będą gorliwych do nauki uczniów, a oni będą mogli być dumni z każdego chłopaka i dziewczyny, którym udało się wyjść z trudnej sytuacji i ku lepszemu życiu.

- Lark? Lark! - Rose dźgnęła ją rączką rydla ogrodniczego. - Znowu zniknęłaś w swojej krainie marzeń. Tak w ogóle to dokąd tak uciekasz myślami?

- Donikąd - ucięła Lark, zawstydzona tym, z jaką łatwością jej rozmyślania ją zdradzały. Trzepnęła dłonią kolejny chwast, mówiąc: - Lepiej weźmy się do pracy, skoro mamy skończyć do kolacji.

Odwiedziny Lark u pani O'Neill rzeczywiście okazały się tak rozdzierające, jak się spodziewała. Dziwnie się czuła, mówiąc o panu O'Neillu w czasie przeszłym albo przechodząc obok starego warzywniaka, którego okna były zabite deskami, a na drzwiach widniał znak „DO WYNAJĘCIA”. Niemniej smuciło ją to, że tak wiele innych firm musiało zostać zamkniętych w wyniku kryzysu. Lark współczuła wszystkim studentom Henderson State, którzy liczyli na te niepełne etaty w mieście, żeby móc opłacić swoją edukację.

Pani O'Neill z wyrozumiałością słuchała, gdy Lark opowiadała o swojej pracy w szkole Schaferów i decyzji, aby

kontynuować przez jakiś czas edukację w formie korespondencyjnej.

- Robisz, co trzeba, moja droga - powiedziała starsza pani. - Niezależnie od tego, czy będziesz tu w Henderson, czy będziesz studiować w domu, te pieniądze należą do ciebie, byś mogła je wykorzystać do opłacenia college'u.

Poszły razem do banku, żeby dodać nazwisko Lark do rachunku oszczędnościowego, który otworzyła pani O'Neill i Lark niejednokrotnie zapewniała ją, że wykorzysta te środki jedynie na studia.

- I kiedy pewnego dnia otrzymam dyplom - oświadczyła ze łzami w oczach - to tylko dzięki dobrym ludziom, takim jak pan O'Neill, który tak we mnie wierzył.

Została u pani O'Neill na dwie noce, słuchając opowieści kobiety o życiu jej zmarłego męża i wspominając radości i trudy pracy w sklepie spożywczym pana O'Neilla.

W czwartek przed odjazdem do domu Lark złożyła wizytę kierownikowi studiów, z którym korespondowała, i poczyniła odpowiednie ustalenia, żeby rozpocząć zaocznie kurs z historii Ameryki. Po tej rozmowie przespacerowała się z nostalgią po kampusie college'u. Zatrzymała się dłuższą chwilę pod oknem byłego gabinetu profesora Keenea i wspomniała z rozgoryczeniem, jak łatwo uległa jego urokowi, podczas gdy on był już potajemnie żonaty z Debrą McCarrick!

W końcu odwróciła się i stwierdziła, że woli wspominać pocałunek z Ansonem. Nie chciała jednak zbyt szybko się spieszyć. Koniec z uganianiem się za pałacami w chmurach, jak to jej rodzina często określała, śmiejąc się z niej. Z otwartymi oczami będzie twardo stąpać po ziemi.

14.

Przez cały weekend pracowali nad ostatnimi elementami wyposażenia w salach lekcyjnych i teraz Anson z coraz większą niecierpliwością oczekiwał na otwarcie szkoły dla pierwszych uczniów. Lark wróciła do pracy w piątek po powrocie z Arkadelphii i nie mógł nie zauważyć jakiejś... *stałości* w jej zachowaniu, pewności siebie, której wcześniej nie dostrzegał.

Nie rozmawiali o tamtym pocałunku, choć Ansonowi nie raz przychodziły do głowy nierozważne myśli, by wziąć ją gdzieś na bok i to powtórzyć. Ale z uporem powstrzymywał się, by nie działać tak impulsywnie, przede wszystkim z obawy, żeby nie popsuć tamtego wspomnienia, na wypadek gdyby się okazało, że zupełnie źle odczytał reakcję Lark.

W niedzielę Anson i Irwin byli na mszy w Brinkley. Potem pojechali spotkać się z Danielem Vargasem, razem z którym odwiedzali różne rodziny z plantacji Brookbirch. Pod koniec dnia mogli dopisać czwórkę kolejnych uczniów do dziennika szkolnego i planowali zacząć lekcje w przyszłym tygodniu. Ponieważ większość zapisanych dzieci musiała

pracować na farmie w ciągu dnia, lekcje miały odbywać się między szóstą a ósmą wieczorem w poniedziałki i środy. Anson wyjaśnił rodzicom, że wciąż oczekują na państwową akredytację, jednakże lekcje w szkole Schaferów dadzą dzieciom możliwość pewnych postępów, do czasu, gdy będą mogli wrócić do publicznej szkoły.

Kiedy Lark przyszła do pracy w poniedziałek rano, Anson pokazał jej nazwiska, które dopisał.

- Całkiem nieźle jak na początek, prawda? Przejrzała listę.

- Jak najbardziej. Znam część z tych rodzin. Z pewnością nie było łatwo ich przekonać.

- To w dużej mierze zasługa Daniela. - Podnosząc kolejną listę, Anson zamrugał kilka razy. Jego oczy nie przyzwyczyły się jeszcze do nowych, mocniejszych szkielek, które otrzymał w sobotę w przesyłce. - Spodziewamy się też dwójki dzieci na wtorkowo-czwartkowe lekcje i wciąż liczę, że Noah Jackson z bratem mogą zmienić zdanie.

- Mam nadzieję, że masz rację.

Anson zauważył wahanie w głosie Lark i nie mógł powstrzymać rozdrażnienia.

- Ostrzegano mnie setki razy, że to ryzykowne, ale jestem przekonany, że tak należy zrobić. Przeznaczaliśmy już mniejszą salę na te lekcje i organizujemy zajęcia w oddzielne dni, więc uczniowie nie będą się ze sobą stykać. Nie ma powodu, żeby się burzyć.

Lark wstała i stanęła przed biurkiem Ansona, opierając się na knykcjach o krawędź blatu.

- Rozumiem, co czujesz, Ansonie, i wiem, że to, co robisz, jest naprawdę dobre. Ludzie to dostrzegą... kiedyś w końcu.

Zmarszczył brwi i odparł:

- A do tego czasu?

- Do tego czasu musimy bardzo się starać, żeby nie dać przeciwnikom powodu do ataku.

- Mówisz, jakbyśmy walczyli na wojnie. Lark westchnęła.

- Dla niektórych to *jest* wojna. Ku Klux Klan nie jest już tak silny, jak dawniej, ale wciąż ma w tych okolicach trochę zagorzałych zwolenników, którzy najbardziej chcieliby, żeby żadne czarne dziecko nie otrzymało nigdy wykształcenia.

Anson wstał, obszedł biurko i stanął koło niej. Oparł się o blat, przysuwając dłonie blisko jej dłoni.

- Ja nie chcę z nikim walczyć. Chcę tylko, żeby każdy miał równy dostęp do edukacji.

- I dzięki tobie wiele z nich będzie miało.

- Lark... - Przesunął dłonią w górę jej ręki. Wzbierał w nim taki głód, którego nie dało się już powstrzymać. - Lark, ja...

- Nic nie mów. - Dotknęła palcem jego ust, a jej głos przeszedł w drżący szept: - Nie mów tego, bo inaczej nigdy już nie będę mogła wykonywać mojej pracy tutaj tak, jak powinnam. To, co mamy zrobić, jest zbyt ważne.

Ujął jej dłoń i przycisnął do piersi.

- W takim razie powiedz mi tylko, czy ja sobie to wymyślałam? Bo jeśli tak, to już nigdy więcej nie będę o tym wspominała.

- Nie, nie. - Lark uwolniła rękę i odsunęła się. - Ja tylko po prostu staram się być pragmatyczna. Mamy ważne dzieło do wypełnienia i potrzeba nam przejrzystego umysłu. Niestety, ja najczęściej widzę to, co chcę zobaczyć, i nie zawsze patrzę realistycznie.

- Jedynie realne... jedynie prawdziwe - zaczął Anson, coraz bardziej pragnąc ją wziąć w ramiona - jest to, że zdaję sobie sprawę, jak bardzo wyjątkowa stałaś się dla mnie od pierwszej chwili, gdy się poznaliśmy.

Z jej gardła dobył się zdławiony śmiech.

- Myślisz o tej głupiutkiej, chodzącej z głową w chmurach dziewczynie, która stanęła na frontowej werandzie szkoły Matumaini wiele miesięcy temu?

- Chodzącej z głową w chmurach? To tak. - Ponownie wziął jej dłoń, tuląc jej smukłe, delikatne palce. - Ale nie głupiutkiej. Po prostu młodej i naiwnej oraz niezwykle optymistycznej.

- Cóż, nie jestem teraz jakoś dużo starsza i wciąż mam zamiar patrzeć pozytywnie na życie. - Westchnąwszy głęboko, Lark wyprostowała się. - A jednak chcę wierzyć, że zostawiłam tę naiwną dziewczynę w Kenii.

- A ja chcę wierzyć, że to, co w niej najlepsze, jest wciąż tutaj. Lark zawahała się, a potem uśmiechnęła się nieśmiało.

- Mam nadzieję, że masz rację, bo jest coś, o czym chcę ci powiedzieć.

Ton jej głosu sprawiał, że Anson był jednocześnie zaintrygowany i pełen obaw.

- Mogę zapytać, co to takiego?

Powiedziała mu najpierw o zapisie pana O'Neilla i kiedy już w sercu przygotował się, by usłyszeć najlepszą dla niej wiadomość - a najgorszą zapewne dla niego - zaczęła mu mówić o możliwości kontynuacji studiów w formie korespondencyjnej.

- A więc rozumiesz? Mogę dalej pomagać ci tutaj przy

szkole i jednocześnie zbliżyć się do otrzymania swojego dyplomu.

Anson ściągnął okulary i odłożył je na biurko, a potem wpatrzył się głęboko w błyszczące, niebieskie oczy Lark.

- Jesteś pewna, Lark? Bo jeśli okazałoby się, że zostajesz tu z poczucia obowiązku... albo, co gorsza, litości...

- Nigdy! Zostaję, bo szkoła Schaferów stała się dla mnie tak samo ważna, jak dla ciebie. Wierzę w to, co tu robimy.

-Przycisnęła jego dłoń do swojego policzka. - Wierzę w *ciebie*.

Zaschło mu w gardle tak, że ledwie był w stanie przełknąć ślinę.

- Lark, czy byłoby możliwe, choć trochę...

Uchylone drzwi do sekretariatu otworzyły się nagle na oścież.

- Ansonie, czy mógłbyś... - Irwin zrobił gwałtowny wdech i odkaszlnął z zażenowaniem. - Wybaczcie, że przeszkadzam.

Anson po omacku zaczął szukać okularów, a Lark szybko przeskoczyła za swoje biurko z maszyną do pisania.

- O co chodzi, Irwinie?

- Bracia Jackson chcieli się z tobą widzieć. Czekają na zewnątrz.

Wychodząc za Irwinem do kuchni, Anson nawet nie śmiał się odwrócić i spojrzeć na Lark. Był tak blisko ponownego pocałunku, że wciąż miał jeszcze przyśpieszone tętno. Starając się oderwać myśli od tamtej sytuacji, musiał skupić się całkowicie na tym, by robić krok za krokiem.

Noah i Zeke Jacksonowie czekali na werandzie z tyłu. Kiedy Anson wyszedł, Noah zdjął kapelusz i uśmiechnął się szeroko.

- Zdecydowaliśmy się. Może pan wziąć nasze dzieciaki na lekcje?

- Jak najbardziej, będą tu mile widziane. - Anson wyciągnął rękę w ich kierunku i tym razem żaden z mężczyzn nie wahał się, by uścisnąć jego dłoń. - Zaczynamy za tydzień od jutra. Możecie przyprowadzić tu dzieci około szóstej wieczorem?

Dobrze, że biurko Lark stało przodem do ściany, bo nie chciała, żeby doktor Young zauważył, jak się rumieniła. Jeszcze nigdy nie skoczyła tak szybko, jak przed chwilą, gdy wpadł do sekretariatu.

Z drugiej strony, nie mógł wybrać lepszego momentu. Jeszcze chwila i Anson zadałby to pytanie, na które Lark nie była gotowa odpowiedzieć. Jedną rzeczą to przyznać przed sobą, a nawet wobec sióstr, że to uczucie może być miłością, ale zupełnie inną, odkryć się przed prawdziwym obiektem swych uczuć, bo gdy tylko wypowie się to na głos, nie da się już cofnąć słów.

Przynajmniej nie bez wielkiego cierpienia.

Kiedy Anson razem z doktorem Youngiem wrócili do gabinetu, Lark westchnęła cichutko z ulgą. Ani jej, ani Ansonowi nie trzeba było teraz spotkania.

- Dobre nowiny - zapowiedział Anson, wręczając Lark skrawek papieru. - Jacksonowie przyślą nam swoje dzieci.

Rzuciła okiem na sześć imion wypisanych przez Ansona dużymi literami, a potem podniosła wzrok i uśmiechnęła się niepewnie.

- Wszystkie ich dzieci przychodzą?

- Co do jednego. - Doktor Young przeszedł obok większego biurka i wziął książkę z półki. - Muszę odświeżyć program z liceum. Chłopcy od Noaha powinni kończyć szkołę za rok lub dwa, ale podejrzewam, że mają duże braki.

Anson zsunął się na jedno z krzeseł z wysokim oparciem, stojące przy biurku Lark. Złożywszy dłonie przed sobą, przechylił się i rzekł:

- Lark, jeśli jesteś zupełnie pewna tego, co powiedziałaś mi wcześniej...

- Oczywiście, że jestem.

- W takim razie... może powinniśmy omówić zakres twoich obowiązków od chwili, gdy zaczną się lekcje.

Musiała włożyć wiele wysiłku w to, by patrzeć mu w oczy i uśmiechać się pogodnie, bo w sytuacji, gdy on siedział tak blisko, jej uczucia dalekie były od tego, co można by określić mianem „pogodny”.

- Wiesz, że pomogę, w czym tylko będziesz mnie potrzebował.

- Praca, którą wykonałaś przy prowadzeniu sekretariatu, okazała się nieoceniona - oświadczył Anson. - Jednakże od początku przyszłego tygodnia chciałbym, żebyś zaczęła też pracę jako nauczycielka. Uwzględniając t wój poziom wykształcenia, masz wystarczające kwalifikacje, by uczyć te dzieci. - Wyprostował się na siedzeniu i zaciskając szczęki tak, jakby następne słowa nie chciały przyjść łatwo, dodał: - I prawdę mówiąc, ja... to znaczy Irwin i ja będziemy cię potrzebować.

To przez jego wzrok, oczywiście. Lark starała się nie dać po sobie znać, że robi, co może, by nie urazić jego dumy

w ciągu tych ostatnich kilku tygodni, gdy było widać, że jego wzrok się pogorszył. Od razu zauważyła, kiedy tylko pojawił się tego poranka z nowymi okularami. Oprawki były prawie identyczne jak te wcześniejsze, ale szkła były zauważalnie grubsze. Pokiwała ze zdecydowaniem głową i odparła:

- Z radością pomogę, jak tylko będę umiała.

- Jestem ci bardzo wdzięczny. - Anson podniósł się z krzesła. - Możemy przejść do opracowywania konspektów lekcji?

Pozostałą część dnia Lark spędziła z Ansonem i doktorem Youngiem przy kuchennym stole, ślęcząc nad podręcznikami z arytmetyki, języka oraz historii, żeby opracować program nauczania odpowiedni dla różnych uczniów, których spodziewali się w szkole. Lark dobrze pamiętała, jakie są wady i zalety nauczania w klasach mieszanych wiekowo. Ona i jej siostry skończyły ósmą klasę w szkole, która mieściła się w małej salce przy kościele. Ich nauczycielka, pruderyjna, siwowłosa kobieta, która uczyła we wszystkich klasach, z ogromną stanowczością zabiegała o zapewnienie swoim uczniom możliwie najobszerniejszego wykształcenia. Zarówno Lark, jak i jej siostry celująco zdały egzaminy na koniec ósmej klasy.

Chociaż ani Bryony, ani Rose nie poszły dalej do szkoły, dziadek odwoził Lark na przystanek autobusowy w każdy szkolny dzień przez kolejne cztery lata, dzięki czemu mogła z wyróżnieniem ukończyć liceum w Brinkley. Była mołem książkowym, więc nie interesowały jej żadne pozaszkolne zajęcia. A oprócz nauki zawsze miała mnóstwo obowiązków, które czekały na nią na farmie.

Chciała pójść do college'u i zostać nauczycielką, bo to miało jej pomóc wyrwać się z Edenu. Teraz, przynajmniej na jakiś czas, zobowiązała się do pozostania w tej miejscowości, dzieląc obowiązki pomiędzy szkołę Schaferów, farmę i studia korespondencyjne. Nie tak sobie wyobrażała zdobywanie dyplomu, ale nie żałowała.

Podczas weekendu nieco się ochłodziło, więc Lark nie odmówiła, gdy doktor Young tradycyjnie zaproponował jej, że odwiezie ją do domu na koniec dnia. Ledwie wyjechali z miasta, gdy, odchrząknawszy znacząco, powiedział:

- Jeszcze raz przepraszam za dzisiaj rano.

- Za cóż takiego? - Jakby w ogóle trzeba było pytać. Lark wbiła wzrok w słupki ogrodzenia przemykające za oknem.

Doktor Young, dzięki Bogu, nie rozwijał tematu, tylko jechał w milczeniu jakiś czas, a potem wyszemrał:

- Chciałem ci też podziękować.

Lark przekreśliła się i spojrzała w jego stronę. Po raz kolejny nie było potrzeby, żeby tłumaczył cokolwiek.

- Zrobiłabym, co w mojej mocy, byle tylko nie urazić dumy Ansona. Jest dla mnie taki dobry.

Nastąpiła znowu cisza, a samochód podskakiwał na wyboistej, gruntowej drodze. Doktor Young zwolnił, by skrócić w ścieżkę prowadzącą na farmę.

- Anson jest dumny - powiedział. - Tu nie chodzi o nieposkromioną pychę, ale o ludzką godność, potrzebę udowodnienia, że jest się wartościowym i potrzebnym.

- Taki właśnie jest. Nawet nie umiem wysławić, jak bardzo go podziwiam.

Doktor Young spojrzał na nią z ojcowskim uśmiechem, gdy zahamował koło domu.

- Podziw? Czy takie właśnie uczucia żywisz do niego?

Lark poczuła, że coś ściska ją w gardle. Sięgnęła do klamki w drzwiach, a potem puściła ją, złożyła razem dłonie na kolanach i odrzekła pełnym napięcia szeptem:

- Tyle ośmielałam się na razie przyznać.

- Rozumiem. Wybacz mi jednak, gdy powiem, iż mam nadzieję, że wkrótce zmienisz zdanie.

„Ja też mam taką nadzieję” - chciałyby powiedzieć.

- Muszę już iść. Dziękuję za podwiezienie... - Dopiero wtedy zauważyła puste miejsce tam, gdzie powinien stać stary, czarny pick-up dziadka i zmarszczyła brwi. - Mam nadzieję, że dziadek i Rose nie pojechali do miasta, żeby mnie przywieźć.

- Z pewnością minęlibyśmy ich po drodze.

Wtedy Lark dostrzegła traktor i pług przechylony pod dziwnym kątem na skraju pola i przesyły ją dreszcze.

- Coś się stało. Możesz poczekać tu, aż sprawdzę, co to takiego?

- Albo jeszcze lepiej, pójdę z tobą. - Doktor Young zgasił silnik i otworzył drzwi samochodu.

Lark wbiegła przez werandę do kuchni, wołając:

- Dziadku? Rose?

Nikt jej nie odpowiedział.

Biegała po domu, wołając ich na zmianę. Wróciła do kuchni i zastała tam doktora Younga, który właśnie podnosił spod stołu kawałek kartki.

- Czy to... pozostawiona wiadomość?

- Na to wygląda. - Podał jej liścik.

„Zabrałam dziadka do lekarza w Brinkley” - przeczytała w ciszy Lark. - „Postaram się dać znać, jak będziemy już

coś wiedzieć".

- To dziadek - powiedziała, a jej nogi zaczęły odmawiać posłuszeństwa.

Doktor Young rzucił okiem na wiadomość, a potem otoczył ramieniem Lark.

- Wiesz, do którego lekarza mogli pojechać?

- Na pewno do tego, u którego zawsze się leczył, doktora Eddingtona.

- Pozwól, że odwiozę cię z powrotem do miasta. Możesz wykonać telefon ze szkoły. A jeśli zajdzie taka potrzeba, zawiozę cię aż do Brinkley.

- Dziękuję ci. - Czuła, że wypełnia ją wielki strach i pozwoliła, by doktor Young poprowadził ją do auta. - Jeśli cokolwiek się stanie dziadkowi...

- Bądź dobrej myśli, moja droga. Bądź dobrej myśli.

Rose przemierzała poczekalnię i gorąco pragnęła, żeby doktor albo pielęgniarka, albo ktokolwiek, wyszedł i powiedział jej, co się dzieje. Razem z dziadkiem doczepili właśnie pług do traktora, żeby sprawdzić, czy wszystko dobrze działa przed wiosennym zasiewem. I wtedy nagle dziadek złapał się za bok i upadł na kolana, krzycząc z bólu. Rose śmiertelnie przestraszona podbiegła do niego, mocując się z nim, wepchnęła go do pick-upa i pojechała tak szybko, jak mogła, żeby zawieźć go do lekarza.

Dzwonek nad drzwiami przychodni zabrzączał i Rose, obróciwszy się, dostrzegła wbiegających Bryony i Michaela. Rose wpadła w objęcia starszej siostry.

- Chwała Bogu, że już jesteście! Bryony potarła drżącą dłonią plecy Rose.

- Co powiedzieli? Wszystko będzie dobrze?

- Nic nie wiem, od chwili, gdy wzięli go na salę. - Rose wzdrygnęła się. - Bry, jestem taka przerażona.

- Wiem, kochanie. Ja też.

Michael poprowadził je obie w stronę krzeseł.

- Usiądźcie i spróbujcie się uspokoić. Zobaczę, czy uda mi się czegoś dowiedzieć.

Splatając dłonie, Bryony i Rose siedziały sztywno, a w tym czasie Michael zapukał w szybę oddzielającą go od okienka recepcji, wołając:

- Halo? Jest tam kto?

- Ledwie udało nam się zdążyć - powiedziała Rose. - Już mieli zamykać. Tutaj chyba jest tylko doktor Eddington i pielęgniarka.

- A co z Lark? - zapytała Bryony. - Już wie?

- Zostawiłam jej wiadomość. Tylko na tyle miałam czas.

Po kilku minutach otworzyły się wewnętrzne drzwi i pojawiła się pielęgniarka. Rose i Bryony skoczyły na nogi i jedynie szybka interwencja Michaela powstrzymała je przed jednoczesnym zarzuceniem kobiety lawiną pytań.

Oślonił je obie w objęciu i rzekł:

- Co może nam pani powiedzieć, pani Finch?

Kobieta o surowym obliczu wydawała się doceniać spokojne podejście Michaela, postawę, która dla Rose wydawała się w tym momencie nieosiągalna.

- Staraliśmy się doprowadzić do takiego stanu, by pan Rigby poczuł się lepiej. Tylko tyle jestem w stanie powiedzieć w tej chwili.

Z gardła Rose dobył się szloch. Odwróciła się i schowała twarz w kołnierzu płaszcza Bryony.

- Czy to coś poważnego? Czy on wyzdrowieje? - Bryony ścisnęła ją tak mocno, że krew niemal nie dopływała do palców Rose.

- Doktor Eddington chce go zatrzymać na noc w klinice, żebyśmy mogli przeprowadzić badania. - Pani Finch wycofała się w stronę drzwi. - Będziemy mogli powiedzieć wam coś więcej dopiero rano.

Rose uniosła gwałtownie głowę.

- I tylko tyle? Mogę się z nim zobaczyć?

- Raczej nie teraz. - Z ręką na klamce pielęgniarka zaprzeczyła ruchem głowy. - Proszę wrócić do domu i trochę odpocząć. To wskazane zwłaszcza w pani przypadku, pani Heath, ze względu na dobro dziecka. Proszę zadzwonić jutro z samego rana i powiemy państwu, jak się czuje pan Rigby.

- Ale...

Drzwi zamknęły się za pielęgniarką ze stanowczym trzaskiem.

Bryony odwróciła się do Michaela.

- Nie możemy tak po prostu wyjść. Tam jest nasz dziadek.

- Wygląda na to, że nie mamy wyboru. - Popychając je delikatnie, Michael skierował siostry w stronę wyjścia. - Zostaniesz z nami na noc, Rose. Doktor wie, jak się z nami skontaktować, jakby się coś zmieniło.

- Ale Lark... będzie się zamartwiać na śmierć.

W recepcji rozdzwonił się telefon. Siostra Finch odebrała, odpowiedziała coś, a potem przywołała ich gestem i podała słuchawkę przez okienko.

- Pani siostra na linii. Już jej powiedziałam to, co mogłam, ale może będzie pani chciała ją uspokoić.

Rose chwyciła za telefon.

- Lark, tak mi przykro. Gdzie jesteś?

- W szkole. Doktor Young przywiózł mnie tu, żebym mogła zatelefonować. - Głos Lark drżał. - Czy z dziadkiem wszystko będzie dobrze?

- Nie... nie wiem... - Przejęta kolejną falą płaczu, Rose podała słuchawkę Michaelowi. Kiedy on odpowiadał uspokajającym tonem na kolejne pytania, którymi zarzucała go Lark, Rose przyłgnęła ze wszystkich sił do Bryony.

- Nie chcę, żeby dziadek umarł. Proszę, Panie, ja go tak potrzebuję! Nie daj mu umrzeć!

Anson bał się, że Lark może się przewrócić, więc stał blisko niej. Kiedy odłożyła słuchawkę na widełki, objął ją mocno w tali.

-1 co mówią?

- Jeszcze sami nie wiedzą. - Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Lekarz zatrzyma dziadka w klinice na noc. Rose zostanie w mieście z Bryony i Michaelem.

- W takim razie ty musisz zostać z nami.

Z drugiej strony biurka doktor Young pokiwał na niego palcem.

- Niezbyt mądry pomysł, Ansonie. Jesteśmy dwójką samotnych mężczyzn, pamiętasz? Pomysł o reputacji tej młodej damy.

Lark wtuliła się w bok Ansona, a z oczu płynęły jej łzy.

Wydawało się, że nie zważa w ogóle na ich dylemat.

- Nie możemy jej odesłać samej na farmę - wyszeptał Anson. - Mamy pokoje w świetnym stanie na piętrze...

- I całe miasteczko pełne plotkarzy, którzy rozpoviedzą o tym na cztery strony świata, zanim jeszcze wzejdzie słońce. - Irwin szczyptał się po policzku. - Może mogłaby zostać u pastora i pani Unsworth. Albo u Mirandy Vargas.

- Nie, nie mogę. - Pociągając nosem, wyprostowała się, choć wciąż mocno trzymała się ramienia Ansona. - Muszę wrócić do domu. Ktoś musi zająć się bydłem, a skoro dziadek i Rose... - Dławiący szloch uniemożliwił jej dokończenie zdania.

- W takim razie pojedziemy z tobą i pomożemy. - Przyciągając ją bliżej siebie, Anson ośmielił się, by złożyć pocałunek na jej głowie. - Wszystko będzie dobrze, Lark. Obiecuję.

Irwin ruszył w stronę kuchni.

- To ja w tym czasie zajmę się przyziemnym aspektem i przygotuję kolację. Będzie nam się lepiej myśleć, gdy nasze brzuchy nie będą puste.

Anson poprowadził Lark przez drzwi i usadowił ją na krześle przy kuchennym stole. Pamiętając nazbyt dobrze o wciąż gojącej się dłoni, ostrożnie wziął szklankę z szafki i napełnił ją wodą.

- Proszę, Lark. Czy mogę ci jeszcze jakoś pomóc? Trzymając szklankę w drżących rękach, upiła łyczek.

- Muszę po prostu wrócić do domu.

- Oczywiście, oczywiście. - Anson delikatnie uścisnął jej ramię, a potem podszedł do kuchenki, gdzie Irwin podgrzewał jakąś zupę z puszki. Ścisząc głos do szeptu, powiedział:

- Zabierzemy ją do jej domu, ale nie zostawię jej tam samej. Nie obchodzi mnie, co będą gadać.

- Zgadzam się z pierwszą częścią. - Irwin zamieszał zupę w garnku. - Co do drugiej, to jeśli zależy ci na dobrej reputacji szkoły oraz panny Linwood, lepiej, żebyś bardziej trzymał plotkarzy na dystans.

- Co w takim razie proponujesz? Lark podeszła do nich.

- Nie rozmawiajcie o mnie tak, jakby mnie tu w ogóle nie było. I nie traktujcie mnie jak jakąś słabowitą roślinkę szklarniową, którą trzeba chronić.

Widząc jej drżące usta i zaczerwienione oczy, Anson przygryzł mocniej wargę od środka, by powstrzymać swoje rycerskie zapędy, bo teraz najbardziej na świecie pragnął wziąć ją w objęcia i uchronić od wszelkich cierpień i zmartwień. Zamiast tego trzymał ręce opuszczone wzdłuż boków i patrzył wprost na nią.

- Wcale nie jesteś słabowita i jeśli według ciebie tak zasugerowaliśmy, to tylko dlatego, że martwimy się o ciebie i chcemy pomóc, jak tylko możemy.

Obejmując się rękami w pasie, patrzyła przez dłuższy czas na Ansona, a potem starła łzę, która popłynęła jej po policzku.

- Wiem. Przepraszam.

- Nie masz za co przepraszać. - Anson wziął ją za ramiona i poprowadził w stronę krzesła. - Ale może pozwoliłabyś parze nieudolnych samotników zrobić dobry uczynek i zatroszczyć się o ciebie. - Nakierowując ją, by spoczęła, dodał: - A teraz usiądź wygodnie, a my razem z Irwinem podamy kolację na stół.

Namawiając Lark nieustannie, Anson i Irwin przekonali ją w końcu, by zjadła choć trochę zupy jarzynowej i bułeczek odgrzanych ze śniadania. Następnie Irwin przyniósł ich płaszcze.

Kiedy Anson pomagał Lark założyć okrycie, obróciła się przodem do niego, a w jej oczach błysnął strach.

- Jeśli coś by się stało w nocy, to jak ktoś będzie mógł mi dać znać?

- Mam pomysł - powiedział Irwin. - Państwo Vargas mają telefon, prawda? Wstąpimy do nich po drodze i będziesz mogła zadzwonić do swojej siostry. Powiesz jej, żeby w nagłej sytuacji kontaktować się z Mirandą. Ona będzie mogła posłać na farmę Daniela z wiadomością dla ciebie.

Najwyraźniej to ją uspokoiło i pozwoliła, by Anson pomógł jej wsiąść do samochodu. Pojechali na plantację Brookbirch i minęli główną rezydencję, kierując się w stronę mniejszego, ceglanego domu w kolonialnym stylu, w którym mieszkali Miranda i Daniel. Po śpiesznych wyjaśnieniach i wyrazach zatroskania ze strony państwa Vargas, Lark weszła do holu, żeby zadzwonić do Bryony.

W pokoju dziennym Anson wziął Daniela na bok.

- Chciałbym uniknąć niestosownej sytuacji i zastanawiałem się, czy pozwolisz, by Callie towarzyszyła nam na farmie i została z Lark, aż... - Zerkając w stronę holu, wzruszył bezradnie ramionami. - Aż dowiemy się, co się dalej stanie.

Daniel zgodził się od razu i posłał Callie, by spakowała swoje rzeczy. Kilka minut później jechali już razem dalej.

Gdy Irwin zaparkował, zza domu, z obory, słychać było uporczywy odgłos uderzania. Lark otworzyła szybko drzwi z tylnego siedzenia.

- To Daisy i Hermiona. Pewnie umierają już z głodu. Anson pobiegł za nią.

- Jak mogę pomóc?

Lark nabrała ziarna z płóciennego worka.

- Możesz napełnić wiadra wodą. Pompa jest tam, obok warzywniaka.

Noszenie wiader nie wymagało dobrego wzroku i Anson cieszył się, że może się na coś przydać. Idąc w stronę pompy, minął Callie, która instruowała Irwina, jak zająć się kurami.

- Ale kury dziobią - stwierdził Irwin i Anson o mało co nie roześmiał się w głos na widok zatrwożonego oblicza przyjaciela.

- Ruszaj się szybko i nie dawaj im powodu, żeby musiały za tobą iść. - Callie podała Irwinowi puszkę z jedzeniem dla kur i otworzyła zagrodę. - Idź już, nie ma się czego bać. Będę tuż za tobą.

- *Tego* właśnie się boję. Wolałbym, żebyś weszła przede mną i zapoznała nas.

Callie potrząsnęła tylko głową.

Pracowali we czworo, więc wkrótce wszystkie zwierzęta były nakarmione, napojone i przygotowane na nocny odpoczynek. Anson miał wrażenie, że Lark działa raczej z rozpacz niż z konieczności. Nawet po tym, gdy już udali się do domu, krzątała się po kuchni, dwukrotnie myjąc i opłukując te same kubki na kawę, niepotrzebnie ścierając blaty, sprawdzając spizarnię i lodówkę, jakby chciała się upewnić, że nic nie zniknęło w ciągu ostatnich pięciu minut.

- Lark. - Anson stanął jej na drodze, gdy chciała po raz kolejny obejść kuchnię, i przytrzymał ją za ramiona. - Nic ci to

nie pomoże, że tak się miotasz. Będzie ci tylko gorzej.

Jej twarz posmutniała. Opierając na piersi Ansona dłonie zaciśnięte w pięści, pozwoliła, by przyciągnął ją bliżej w uścisku.

- A co ja mam robić? Co jeśli...

- Nie ma co gdybać, słyszysz? - Tak dobrze było czuć ją w ramionach, tak cudownie. Gdyby tylko okoliczności były inne. Gdyby tylko sytuacja, w której ona pozwalała mu się tak trzymać, nie była podyktowana koniecznością. Odchylił lekko do tyłu jej głowę, trzymając w dłoniach jej potargany koczek i marząc, by miał prawo wyciągnąć wsuwki i zanurzyć się w tych jedwabistych, złotych puklach.

Przełknąwszy z bólem, mając świadomość, że Irwin i Callie byli w pokojach obok i ścielili łóżka, ucałował Lark w czoło, a nie w wilgotne usta, których tak bardzo pragnął.

- Oddałbym wszystko, by móc obiecać ci, że twój dziadek wyzdrowieje i że wszystko będzie dobrze, ale nie mogę.

Skinęła i ścisnęła mocniej poły jego marynarki, a z jej oczu płynęły kolejne łzy.

- Ale mogę ci obiecać jedno - powiedział, a w piersi czuł ogień miłości do tej kobiety. - Cokolwiek się wydarzy, będę się tobą opiekować. Zawsze, słyszysz? Zawsze.

15.

Lark nie sądziła, że będzie w stanie tak mocno spać. Jeszcze długo po tym, gdy Callie położyła się w starym łóżku Bryony, a doktor Young ulotnił się do sypialni dziadka, Lark siedziała razem z Ansonem w salonie. Czuła się bezpieczna w jego ramionach, gdy wsłuchiwała się w kojący dźwięk jego głosu. Opowiadał jej o swoim dorastaniu w Kenii. Lark nawet nie pamiętała, kiedy w końcu odpłynęła.

Zbudziła się następnego dnia rano i spostrzegła, że jest okryta kocem, z głową wspartą na poduszce na kolanach Ansona.

Uśmiechnął się do niej.

- Chciałem ci powiedzieć, że byłaś bardzo zmęczona.

Lark zerwała się i usiadła raptownie, a koc spadł na podłogę. Wygładziła spódnicę jedną ręką, drugą próbowała ugładzić potargane włosy.

- Spałam tu całą noc?

- Właściwie gdzieś od pierwszej. - Anson wstał i podniósł koc. - Nie można tego nazwać całą nocą, ale przynajmniej

trochę wypoczęłaś.

Lark nie wiedziała, czy powinna być wdzięczna, czy zmieszana. Ujęła drugi koniec koca i pomogła Ansonowi go złożyć.

- A ty? - zapytała. - Spałeś trochę?

- Drzemałem. - Wziął od niej złożony koc i położył go na kanapie. Jego okulary leżały jeszcze na małym stoliku obok i teraz nic nie oddzielało nieśmiałego spojrzenia Lark i miłości bijącej z jego ciepłych, brązowych oczu.

Dzisiaj nie miała nawet sił, by walczyć z tymi uczuciami. Wtuliła się w jego ramiona i poczuła, jak on z zaskoczenia bierze głęboki wdech.

- Dziękuję, że tutaj jesteś. Dziękuję, że się o mnie troszczysz.

- Nie mógłbym być nigdzie indziej.

Z korytarza rozległo się wymuszone odkaszlnięcie doktora Younga.

- Widzę, że mam przedziwny talent do przeszkadzania wam.

- Istotnie, masz. - W głosie Ansona było jednocześnie rozbawienie i rozdrażnienie. Pewnie otulał Lark ramionami, a ona nie oponowała. - Zapewniam cię, że nie zaszło nic niestosownego.

- Nawet przez chwilę w to nie wątpiłem. - W oczach starszego mężczyzny błysnęło rozbawienie. - To może ja pójde zobaczyć, co się da upichcić na śniadanie.

- Dobry pomysł. A, i nie śpiesz się.

Jakiś ryk z oddali przykuł uwagę Lark do okna. Westchnęła z niechęcią.

- To Hermiona, prosi się o dojenie.

- Może pomogę. Zdarzyło mi się już kiedyś doić krowę.

- O, naprawdę? - Lark zwróciła uwagę, że żadne z nich nie ruszyło się w stronę kuchni i płaszczy. Podobało jej się to poczucie schronienia w objęciach Ansona. Podobał jej się zapach jego wykrochmalonej koszuli, pomiętej trochę po całym długim dniu i jeszcze dłuższej nocy.

A potem spłynęło na nią wspomnienie ostatnich wydarzeń - to, dlaczego tu został, dlaczego trzymał ją w objęciach całą noc - i odczuła dławiące poczucie winy. Powinna myśleć o dziadku, a nie oddawać się afektom, które do niedawna tak bardzo starała się okiełznać.

Odetchnęła kilka razy nerwowo i odsunęła się od niego, a potem ruszyła na korytarz.

- Im szybciej uporamy się z obowiązkami, tym szybciej pojedę zatelefonować i dowiem się, co z dziadkiem.

Teraz już także Callie była na nogach i pomagała doktorowi Youngowi odmierzyć owsiankę do garnka z gotującą się wodą. Cykoria parzyła się na kuchence i wypełniała pomieszczenie ostrym zapachem. Lark rzuciła lapidarne „dzień dobry” i chwyciła swój płaszcz z wieszaka. Nie czekała, aż Anson dołączy do niej, ale on zrobił to, dogoniwszy ją przy boksie Hermiony.

- Mówiłem, że mogę pomóc. - jego głos zdradzał nutkę podenerwowania.

- Dobrze, ale twoja ręka wciąż się goi, więc ja się zajmę dojeniem. Możesz wypuścić Daisy na pastwisko. - Lark skupiła się na ustawieniu stołka do dojenia i umieszczeniu wiadra pod wymionami Hermiony. Nie odważyła się spojrzeć teraz na Ansona. - Przerzuć jej kostkę siana przez ogrodzenie i sprawdź, czy ma wodę.

Wiadro wypełniało się i słodki zapach ciepłego, krowiego mleka koił jej zmysły. Lark oparła czoło o bok Hermiony i powoli głęboko oddychała. Nie mogła oderwać myśli od dziadka. Co, jeśli mu się nie poprawi? Rose z pewnością nie była w stanie sama utrzymać farmy. Lark mogła poradzić sobie z prostszymi obowiązkami, takimi jak dojenie, ubijanie masła i doglądanie warzywniaka. Mogła też zbierać bawełnę razem z siostrami.

Ale oranie i siew? Naprawianie maszyn rolniczych? Zajmowanie się takimi rzeczami jak plony i płodozmian albo irygacja? Zupełnie się do tego nie nadawała.

- Przestań - zganiała się cicho. - Przestań natychmiast. - Dziadek wyjdzie z tego. Musi, bo co one by bez niego poczęły? „Proszę, Panie. Proszę!” - błagała w myślach.

Kiedy Anson skończył z mulicą, poszedł z powrotem do boksu Hermiony. Stał w milczeniu, gdy Lark kończyła napełniać wiadro, a potem zaniósł je do domu. Kiedy wrócili, doktor Young i Callie czekali już ze śniadaniem.

Zeszłego wieczoru Lark jadła niewiele i teraz poczuła się porządnie głodna. Gęsta, gorąca owsianka i parujący kubek cykorii przywróciły jej siły i kiedy tylko sprzątnęli ze stołu, nie mogła się już doczekać, by jak najszybciej pojechać do miasta i zatelefonować.

- Zajmę się wszystkim - oświadczyła Callie. - Jedź i niczym się nie martw.

Lark przytuliła ją z wdzięcznością i kilka minut później poszła do samochodu, gdzie czekali na nią Anson i doktor Young. Kiedy dotarli do szkoły Schaferów, Lark, wyprzedzając mężczyzn, pognąła prosto do telefonu w sekretariacie i zadzwoniła do Bryony.

- Właśnie się zbieramy, żeby jechać do kliniki - rzekła Bryony podniesionym i rozedrganym głosem. - Spotkajmy się tam jak najszybciej. I... Lark?

-Tak?

- Módl się ze wszystkich sił!

Nie trzeba jej było tego nawet mówić. Odłożyła słuchawkę i obróciwszy się, dostrzegła, że tuż obok stoi Anson, gotów by nieść jej pocieszenie.

- Muszę jechać do Brinkley - powiedziała. - Przepraszam, że w ogóle proszę, ale...

- Oczywiście, że cię zawieziemy. - Anson otoczył ją ramieniem. - Wyjeżdżamy od razu.

Doktor Young jechał naprawdę szybko, a Lark siedziała wtulona w bok Ansona z zamkniętymi oczami i nieustanną modlitwą na ustach. Kiedy dojechali pod klinikę, Irwin zaparkował obok zielonego chevroleta Michaela i cała trójka ruszyła do środka.

Już na wejściu Lark rzuciła się w ramiona Bryony.

- Powiedzieli coś? Cokolwiek?

- Czekaliśmy na ciebie. Och, skarbie, tak się boję, tak bardzo się boję! - Bryony otworzyła ramiona, by objąć też Rose i siostry przyłgnęły do siebie wzajemnie, a ich łzy mieszały się ze sobą.

Otworzyły się wewnętrzne drzwi i kobiety rozdzieliły się, gdy doktor Eddington wszedł do poczekalni.

- Dobrze, że wszyscy tu jesteście. Proszę, by najbliższa rodzina weszła do mojego gabinetu.

Kiedy Bryony wyciągnęła rękę w stronę Michaela, wspierając się na jego ramieniu, Lark żałowała, że nie może uczynić tak samo wobec Ansona. Był dla niej oparciem w ciągu

tych ostatnich godzin i teraz, drepcząc za siostrami w stronę gabinetu doktora, czuła jakąś pustkę przez to, że musiała zostawić Ansona za sobą.

Przed biurkiem były tylko dwa krzesła. Michael usadził Bryony na jednym z nich i stanął za nią, kładąc dłonie na jej ramionach. Rose, tak blada i przerażona jak jeszcze nigdy, złapała rękę Lark i zaraz opadła na drugie krzesło. Lark stała sztywno w wąskiej szczelinie między siostrami.

Kiedy lekarz zajął swoje miejsce za biurkiem, podniósł wzrok i uśmiechnął się smętnie ze współczuciem.

- Wiem, że wszyscy się bardzo martwicie i chciałbym mieć lepsze wiadomości.

Bryony zdusiła płacz. Rose jeszcze mocniej zacisnęła palce na rękę Lark, która postanowiła, że dzisiaj musi być tą silną.

- Proszę nam powiedzieć, panie doktorze.

Wokół oczu doktora Eddingtona widać było zmarszczki ze zmęczenia, świadczące o długiej nocy, jaką miał za sobą i o tym, jak trudno było mu teraz przekazać wiadomości, których oni nie chcieli usłyszeć.

- W jamie brzusznej państwa dziadka rozwinął się nowotwór. Wygląda na to, że szybko rośnie. Gdyby tak nie było, widać byłoby już wcześniej pewne objawy.

Bryony złapała za drugą rękę Lark, a Rose łkała cicho. Lark pociągnęła nosem, przełykając łzy, a potem zadała pytanie, na które i tak już знаła odpowiedź:

- Czy da się coś zrobić?

Lekarz powoli zaprzeczył ruchem głowy.

- Obawiam się, że w tym stadium nawet operacja nic nie da. Jedyne, na co możemy liczyć, to zminimalizowanie bólu, aż do...

- Nie! - Rose zerwała się na równe nogi. Waliała obiema pięściami w biurko, wykrzykując doktorowi w twarz: - Proszę zreperować mojego dziadka, słyszy mnie pan? Nie może pan pozwolić mu umrzeć!

- Tak mi przykro. Tak bardzo, bardzo przykro. - Doktor Eddington położył swoje duże dłonie na pięściach Rose i łagodnie zatrzymał jej uderzanie.

Lark przełknęła.

- Ile... czasu?

- Tygodnie. Być może trzy miesiące w najlepszym wypadku. - Lekarz podniósł się i obszedł biurko. - Zalecałbym przeniesienie państwa dziadka do zakładu opiekuńczego. Mam pewne znajomości w Hot Springs.

Bryony gwałtownie uniosła głowę.

- Dlaczego tak daleko? Dlaczego nie możemy go zatrzymać tutaj? Opiekowałabym się nim...

- To wykluczone, droga pani. - Doktor Eddington położył dłoń na ramieniu Bryony. - Teraz musi pani troszczyć się o swoje zdrowie i zdrowie dziecka. W Hot Springs mają możliwości, by dobrze radzić sobie z bólem pani dziadka, doglądać jego osobistych potrzeb i będzie mu tam wygodnie aż do samego końca.

- Ale... ale będzie tam zupełnie samotny - zaprotestowała Rose. - Nie ma gdzieś bliżej jakiegoś miejsca?

- Jediną inną opcją byłoby Little Rock. Jeśli wolicie tam, mogę sprawdzić, czy są dostępne miejsca.

Lark zagryzła wargę.

- Na pewno jest jakiś powód, dla którego chce pan go posłać do Hot Springs.

- Tak. Do tego ośrodka zabrałem mamę, gdy podupadła

na zdrowiu. Mają tam wyśmienitą opiekę i piękne otoczenie.
- W takim razie też go tam pošlemy. - Lark nie wiedziała jeszcze, jak to zrobią, ale dziadek zasługiwał na to, co najlepsze. Zaraz potem zmartwiła się kolejną kwestią. - Czy to będzie duzo kosztować?

Michael dotknął jej ręki.

- Nie martw się kosztami. Ja się tym zajmę. Skinąwszy z wdzięcznością, Lark skupiła się na doktorze

Eddingtonie, który teraz opisywał, co dalej. Dziadek zostanie przetransportowany karetką do sanatorium w Hot Springs jeszcze tego samego popołudnia. Ponieważ będzie pod wpływem mocnych środków przeciwbólowych na czas podróży, nie ma sensu, żeby ktokolwiek z rodziny mu towarzyszył. Jednakże doktor podpowiedział, że mogą go odwiedzić naza-jutrz. Poleciał jakieś hotele w okolicy, gdzie mogą spędzić noc.

Gdy ustalono już wszystkie szczegóły, lekarz wezwał panią Finch, która przeprowadziła rodzinę korytarzem do małego pokoiku, w którym przebywał dziadek. Wyglądał bardzo słabowicie. Był śmiertelnie blady. Łzy płynęły im strumieniami, gdy stanęli wokół jego łóżka. Rose błagała go, by się obudził. Bryony atakowała niebiosa szeptanymi modlitwami, a Michael przyciągał ją blisko do siebie.

Lark drżała, bo była jednocześnie wstrząśnięta i pogrążona w smutku i zagubieniu, ale też pewna, że po raz kolejny zmienia się kierunek, w jakim podąża jej życie.

Gdy tylko Lark i jej rodzina pojawili się ponownie, Anson dostrzegł wstrząśnięcie na jej pokrytej łzami twarzy i nie

miał bladego pojęcia, jak pomóc, oprócz tego, że mógł ją przytulić. Stała sztywno w jego ramionach. Jej broda drżała, a ona wodziła wokół nieprzytomnym wzrokiem. Zerknął na drugą stronę poczekalni, gdzie Michael pocieszał Bryony i Rose, które również wydawały się tak załamane jak Lark.

Przeprosiwszy na chwilę żonę i szwagierkę, Michael podszedł do Ansona i szeptem przekazał mu wszystko, co powiedział doktor. Kiedy mówił, Lark zaczęła spazmatycznie drżeć.

- Siostry są w szoku - wyjaśnił Michael. - Nic więcej nie da się zrobić. Jedźmy do naszego domu.

Jakimś cudem udało im się usadzić wszystkich w samochodach. Lark nie chciała jechać bez Ansona, więc wsiedli razem do auta Irwina i jechali za Michaeliem przez miasto do małego, białego, jednopiętrowego domku, w którym mieszkał z Bryony.

Przed drzwiami powitała ich, mruczając, trójkolorowa kotka. Bryony podniosła ją i wzięła do salonu. Lark i Rose poszły za nią i cała trójka usiadła, tuląc się, na kanapie, a Bryony ścisnęła wielkooką kotkę, jakby nigdy nie zamierzała jej wypuścić.

Michael zaproponował mężczyznom, by poszli z nim do kuchni, gdzie nastawił kawę. Gdy kawiarka zaczęła bulgotać, usiedli dookoła stołu i patrzyli na siebie... a może po prostu przed siebie.

W końcu Michael odezwał się:

- Nie musicie zostawać. Jestem pewien, że macie mnóstwo pracy w szkole.

- Nic takiego, co nie mogłoby poczekać - odparł Anson. - Zresztą nie sądzę, żebym był w stanie myśleć o czymś

innym poza Lark i jej rodziną. Irwin postukał palcem o stół.

- Musimy pamiętać jeszcze o młodej panie Vargas. Zostawiliśmy ją samą na farmie Rigbyego, pamiętasz?

- Ojej... Callie. - Michael wstał, żeby nalać kawy. - Zadzwoń do Daniela. Na pewno chętnie przyjdzie i pomoże w domowych obowiązkach.

Kiedy Anson i Irwin pili kawę, Michael wyszedł do holu, żeby zatelefonować. Wrócił kilka minut później.

- Wszystko załatwione. Rose i Lark mogą zostać tu na noc. Pojedziemy do Hot Springs jutro z samego rana.

Kiedy już wyglądało na to, że nie ma dłużej powodu, by zostawali, Irwin subtelnie zasugerował Ansonowi, żeby się pożegnać. On nie mógł znieść myśli, że ma zostawić Lark, ale miała teraz siostry i wydawało się, że wszystkie zapadły w jakiś rodzaj melancholii, będącej wyrazem pogodzenia z losem. Bryony odnalazła album ze starymi fotografiami i siostry śmiały się i płakały, przeglądając obrazy z dzieciństwa.

Gdy Michael podawał płaszcze Ansonowi i Irwinowi, Lark spojrzała na nich z kanapy, podbiegła i spochmurniałym, a zarazem zaniepokojonym tonem zapytała:

- Wychodzicie? Anson wziął ją na bok.

- Jeśli potrzebujesz czegoś... czegokolwiek... - Serce podeszło mu do gardła, gdy pogładził dłonią jej policzek. - Wiesz, gdzie mnie szukać.

Zamrugła kilka razy.

- Szkoła... Czuję się, jakbym zdezerterowała.

- Nonsens. Musisz być z twoim dziadkiem i siostrami. Nie przejmuj się teraz szkołą.

Otoczyła go ramionami, a jedwabista miękkość jej włosów muskała jego podbródek. Pomyślał, że nie mógłby być tu na ziemi szczęśliwszy. Wtedy Lark cofnęła się, jakby nagle do niej dotarło, że inni mogą patrzeć.

- Dziękuję ci jeszcze raz, tak bardzo. Za wszystko.

Wracając do Edenu, Anson i Irwin prawie w ogóle nie rozmawiali. W trakcie popołudnia wypełnionego pracą w papierach i przygotowaniem szkolnymi Anson dotkliwie odczuł nieobecność Lark. Co oni bez niej zrobią i jak długo będą musieli radzić sobie sami? To było bardzo egoistyczne myślenie. Anson zganił się za skupienie na własnych potrzebach, podczas gdy Lark i jej siostry musiały się mierzyć z nieuchronnie zbliżającą się stratą ich dziadka.

Przeżył ten dzień i następny, i jeszcze kolejny tylko dzięki sile woli. Ale bez Lark entuzjazm i oczekiwanie towarzyszące mu na myśl o pierwszych wieczorowych lekcjach, do których było coraz bliżej, zupełnie zniknęły.

W piątek po południu Irwin oświadczył, że są już gotowi.

- Teraz pozostaje nam mieć nadzieję, że w najbliższy poniedziałek wszystkie rodziny, z którymi rozmawialiśmy, rzeczywiście przyślą swoje dzieci.

Anson odłożył na bok książkę do historii, którą z trudem usiłował czytać.

- Wcale nie brzmi to tak, jakbyś był o tym przekonany.

- Chyba zbyt wiele lat pracowałem na misjach. - Siedząc za biurkiem, Irwin bawił się w palcach wiecznym piórem. - Nie widziałeś, ile czasu potrzebowali twoi rodzice, żeby zdobyć zaufanie Kenijczyków, gdy zakładali szkołę Matumaini.

- Nie myślałem o tym, ale zapewne masz rację. - Oczy piekły go nieznośnie. Zdjął okulary i rozmasował nasadę

nosa. - W tym momencie będę się cieszył nawet z małej frekwencji. Tak naprawdę nie wiem, jak ja sobie poradzę z lekcjami.

Na zewnątrz, na podjeździe dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi. Irwin wyjrzał przez okno.

- Chyba mamy gości.

Podeszli do tylnych drzwi w chwili, gdy Miranda Vargas wchodziła na werandę. Trzymała na biodrze swojego synka, George'a.

- Dzień dobry, panowie. Czy możemy na chwilkę?

- Ależ oczywiście. - Anson zaprosił ją do środka i zaproponował krzesło koło kuchennego stołu. - Co panią tu sprowadza?

- Kilka rzeczy. Przede wszystkim na pewno jesteście ciekawi wiadomości o Lark i jej rodzinie.

Anson przysiadł na krzesło na lewo od Mirandy.

- Bardzo. Co nowego?

- Na litość boską, gdzie twoje maniery? - złątał go Irwin. - Powinniśmy zaproponować naszym gościom coś do picia. Pani Vargas, ma pani ochotę na herbatę albo kawę? I czy pozwoli pani, żeby ugościć tego młodego panicza ciasteczkami?

- Ja dziękuję. - Zmierwiła ciemne włosy George'a. - Ale jestem pewna, że mój mały mężczyzna będzie niezmiernie wdzięczny za ciastko... ale tylko jedno, bardzo proszę, już prawie pora kolacji.

Niecierpliwie czekając, aż skończą świadczyć uprzejmości, Anson w milczeniu stukał obcasem o podłogę, podczas gdy Irwin poszedł po puszkę kruchych ciasteczek, które żona pastora Unswortha przyniosła im kilka dni temu.

Kiedy chłopczyk już przeżuwał smakołyk, Miranda przeszła do tematu.

- Michael i Bryony wrócili dzisiaj do domu z Hot Springs. Przywieźli też Rose, która wróciła na farmę.

- A Lark?

Miranda posłała w stronę Ansona pełen żalu uśmiech.

- Na razie zostaje z dziadkiem. W obecnej sytuacji... gdy Bryony jest w takim stanie, a Rose potrzebna na farmie... Lark czuła, że tylko ona ma taką możliwość.

- Tak, to logiczne. - Przynajmniej z punktu widzenia rodziny. Anson nadal nie miał pojęcia, jak będzie sobie bez niej radzić.

- To też sprowadza mnie tutaj. - Zbierając okruszki po ciastku Georgea, Miranda zsyłała je na serwetkę. - Chciałabym zaproponować pomoc. Nie mam wykształcenia Lark, ale byłam całkiem dobra w liceum... siostry w szkole z internatem zadbały o to... więc jeśli potrzebuje pan pomocy w nauczaniu, jestem do pana dyspozycji.

Nie tego oczekiwał Anson. Z rozdziawionymi ustami patrzył na Ir wina. Przyjaciel zaśmiał się i rzekł:

- Wydaje mi się, że słowo, którego właśnie szukasz, to „dziękuję”.

- Tak, tak. - Odzyskawszy panowanie nad sobą, Anson zwrócił się do Mirandy: - W rzeczy samej, bardzo dziękuję. Bez Lark nie wiemy, co ze sobą począć. Ona jest... ona jest nieoceniona. - Wyjątkowo niewłaściwe słowo, by opisać to, co znaczyła dla niego Lark.

- W takim razie do zobaczenia w poniedziałek. - Miranda wzięła synka i ruszyła w stronę drzwi. - O której godzinie mam przyjść?

Anson wyszedł za nią na werandę.

- Czy o piątej po południu nie będzie za wcześnie? Chcemy zacząć lekcje o szóstej, ale będziemy potrzebować trochę czasu, żeby wspólnie przejrzeć konspekty lekcji.

- Przyjdę. - W połowie drogi do samochodu Miranda przystanęła i oglądając się za siebie, dodała: - I proszę się nie martwić - rzekła łagodniej. - Lark wróci. Tęskni za panem tak bardzo, jak pan za nią.

Pokój dziadka, choć niewielki, był wygodny. Ledwie mieściło się tam szpitalne łóżko, masywna podręczna szafka i dwa krzesła dla gości. Zakład opiekuńczy wydawał się dobrze zarządzany, a personel był wyjątkowo uprzejmy, życzliwy i pomocny.

Mimo to Lark jeszcze nigdy nie czuła się tak osamotniona, kiedy Bryony i Rose wyjechały z Michaeliem tego dnia rano. Początkowo siostry upierały się, by zostać, ale Michael w końcu przemówił Bryony do rozsądku, że powinna zatroszczyć się o siebie i dziecko. Rose nie trzeba było aż tak przekonywać, bo zaraz po dziadku to ona znała najlepiej farmę i nie mogła pozwolić, żeby wszystko, na co pracowali przez te ostatnie lata, popadło w ruinę. Którą i tak już prawie było po tych szkodach, jakie wyrządziła susza i burze piaskowe.

Dziadek drgnął.

- Toś ty, Larkspur?

- Tak, jestem tutaj. - Przysunęła krzesło bliżej i ujęła kościstą dłoń dziadka. Dostawał tak dużo morfiny, by ukoić ból,

że ciągle odpływał w drzemki. Każda chwila, gdy był przytomny i świadomy stanowiła bezcenny dar. Wskazał z trudem na dzban z wodą.

- Pić.

Napełniła szklankę i pomogła mu pociągnąć trochę wody, a potem on zamknął ponownie oczy. Kiedy już myślała, że znów zapadł w sen, dziadek wyszeptał:

- Powinnaś była wrócić do domu z siostrami.

- Nie, nie zostawię cię. - Z trudem utrzymywała stanowczy i pewny głos.

- Moje dziewczynki... moje najdroższe, kochane dziewczynki - westchnął szeptem, a potem znów zasnął.

Lark już prawie drzemała na swoim krześle, kiedy do środka zajrzała pielęgniarka. To była ta sama rudowłosa siostra, która tak im pomogła, gdy pierwszy raz przyszli odwiedzić dziadka w środę. Lark wyprostowała się.

- Pani Ballard, zgadza się?

- Jestem zaskoczona, że pani pamięta - kobieta mówiła z lekkim irlandzkim akcentem, a jej pełne życzliwości oczy błyszczały. Podeszła z drugiej strony łóżka i bez słowa sprawdziła stan dziadka, a potem zanotowała je w karcie.

- Stabilnie i ból jest pod kontrolą. To naprawdę szczęście. Lark stała przy łóżku i czuła, jak wzbierają w niej emocje.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

- Rozumiem panią. - Pielęgniarka obeszła łóżko i stanęła obok Lark. - Rozmawiałam przedtem krótko z pani rodziną, gdy odjeżdżali. Czy zostaje tu pani sama?

- Nie mogłabym zostawić dziadka. - Westchnąwszy z drżeniem, Lark spojrzała w stronę okna na rozpościerający się

widok na góry Ouachita. Doktor Eddington miał rację. Piękne otoczenie przynosiło spokój i ukojenie. - Powinnam jednak poszukać jakiegoś tańszego miejsca na nocleg. Nie chciałabym, żeby mój szwagier musiał opłacać hotelowe ceny za pokój w Arlington. Pani Ballard zacisnęła usta.

- Być może będę mogła pomóc. Za godzinę kończę dyżur. Spotkajmy się przy recepcji, dobrze?

Lark zgodziła się, niepewna, czego ma oczekiwać. Kiedy wymknęła się później z pokoju, dziadek wciąż odpoczywał. Zastała panią Ballard na rozmowie z wysokim, jasnowłosym kapelanem, którego spotkali z rodziną pierwszego dnia po przyjeździe. Lark dokładnie pamiętała zaskoczenie i zachwyty na twarzy Michaela, gdy okazało się, że to jest pastor Vickary, który był niegdyś kapelanem wojskowym i opiekował się nim, gdy leczył rany odniesione na wojnie. Teraz emerytowany już duchowny pracował w małym kościele w Hot Springs i posługiwał jako kapelan chorych w tym czy innym zakładzie opieki.

Pielęgniarka pomachała do Lark.

- Panno Linwood, pamięta pani pastora Vickaryego. To jego żona, Annemarie. Będzie im miło, jeśli zgodzi się pani zostać u nich na czas pobytu w mieście.

Lark nabrała gwałtownie powietrza.

- To bardzo miłe z państwa strony, ale nie chciałabym się narzucać.

- Ależ prosimy. - Pani Vickary ujęła dłoń Lark. - Pewnie chce pani zabrać swoje rzeczy z hotelu?

Zanim naprawdę do niej dotarło, co się stało, Lark wymeldowała się z hotelu Arlington i wprowadziła się już do

pokoju gościnnego państwa Vickary. Pewnie bardziej by się wahała, gdyby nie to, że wiedziała, jak bardzo Michael cenił pastora. I nie знаła nikogo bardziej przyjacielskiego i serdecznego od jego żony. Jeszcze zanim dotarli do uroczego, dwupiętrowego domku w stylu wiktoriańskim, oboje nalegali, by Lark mówiła im po imieniu.

Kiedy zeszła na dół, by zaproponować pomoc przy kolacji, spotkała dwójkę dzieci Vickarych - dziewczynkę około dwunastu, trzynastu lat z hebanowymi, falującymi włosami jak matka, i młodszego chłopca, który bardzo przypominał swojego tatę.

Kuchnię wypełniał zapach pieczeni wołowej, aż ślinka ciekła. Lark z rodziną nie musiała jakoś szczególnie zaciskać pasa podczas ostatnich miesięcy życia na farmie, ale mimo to od wielu lat nie pachniało u nich tak smakowicie. Zaburczało jej w brzuchu.

Annemarie odwróciła się od kuchenki, a ciepły uśmiech ukazywał dołeczki w jej policzkach.

- Zanim zapytasz, odpowiadam: „nie”. Jesteś naszym gościem. Nie pozwolę, żebyś nawet kiwnęła palcem.

Nie było sensu się kłócić. Lark została wygnana do salonu, a Annemarie z córką kończyły przygotowywać posiłek.

Niedługo potem dołączył do niej pastor Vickary - a raczej, poprawiła się sama - Samuel.

- Masz za sobą kilka ciężkich dni. Jak sobie radzisz? Poczula, że zaczął jej drzeć podbródek, gdy zmęczenie połączyło się z całym wachlarzem emocji.

- Chyba wciąż jestem w szoku.

- To jak najbardziej normalne. Dobrze, że możesz zostać

ze swoim dziadkiem, ale to na pewno nie jest łatwe, znaleźć się w obcym miejscu, tak daleko od rodziny.

Ta uwaga przypomniła Lark o jej przygodzie w Kenii, co z kolei przywiodło na myśl Ansona. Nie mogła przestać się martwić, jak sobie radzą w szkole i pozbyć się poczucia winy, że nie ma jej tam, by pomóc.

Zaraz potem wyrzuciła z siebie pośpiesznie praktycznie całą historię swojego życia, a Samuel Vickary słuchał cierpliwie. Kiedy zalała się łzami, podał jej chusteczkę, a gdy zabrakło jej już słów, pocieszał ją cytatami z Pisma Świętego mówiącymi o nieustającej miłości Bożej i nawiązał do swojej własnej drogi przez mroczne chwile. Pomagała jej świadomość, że inni też zmagali się z cierpieniem i żalem i potrafili z tego wyjść.

Po kolacji Lark skorzystała z telefonu Vickarych i zadzwoniła do Bryony, żeby powiedzieć jej, gdzie się zatrzymała.

- Nie mogłam uwierzyć w ich miłą propozycję. Są tacy serdeczni...

- Michael bardzo ceni sobie kapelana. Wiem, że jesteś tam w dobrych rękach. - Bryony pociągnęła nosem. - Szkoda, że Michael tak nalegał, byśmy wrócili. Za bardzo się martwi.

Lark niemal roześmiała się wobec ironii tego, co właśnie powiedziała jej siostra.

- Zdaje się, że jeszcze niedawno to *ty* przyjmowałeś na siebie całe zamartwianie się.

- Cóż, wiem... wiem, że to było głupie, ale... - Bryony jękała się i Lark zaczęła się zastanawiać, czyjej siostra rzeczywiście odrzuciła od siebie te lęki o dziecko.

- Nie ma co się rozwodzić nad tym, co by mogło być, Bry. Pastor Vickary przypomni mi o tym, czego nauczał Jezus,

że nie trzeba się martwić o jutro, bo jutrzejszy dzień sam o siebie troszczyć się będzie.

- „Dosyć ma dzień swojej biedy”¹. - Bryony westchnęła z drżeniem. - Wiem, że to prawda. Po prostu... - Jej głos się łamał. - Och, Lark, czy myślisz, że te moje lęki to było przecucie związane z chorobą dziadka?

- Skąd miałaś o tym wiedzieć? Albo ktokolwiek z nas? -Lark chciałaby móc się teraz precyzyjnie przez telefon i przytulić siostrę. - Nawet Rose nic nie podejrzewała, a przecież ona pracowała u jego boku dzień w dzień. Taki po prostu jest dziadek, robi swoje i się nie uskarża. Poza tym, jak to sam lekarz stwierdził, to musiało postępować bardzo szybko.

- Nie chcę, żeby on umarł, ale... - Bryony zdusiła płacz. -Modłę się, żeby nie cierpiał długo.

- Wiem, wiem. - Po policzku Lark popłynęła łza, którą szybko otarła. - Muszę już iść. Dasz znać Ansonowi, że jestem u państwa Vickary? Nie chciałabym nabijać tu rachunków za rozmowy pozamiejscowe.

- Powiem mu. I następnym razem to ja zadzwonię do ciebie. Może w niedzielę wieczorem?

- Może być. - Lark obiecała, że da znać Bryony wcześniej, jak tylko coś się zmieni w sytuacji dziadka, a jeśli nie, Bryony i Michael przyjadą w odwiedziny do Hot Springs na początku przyszłego tygodnia.

Jeszcze nigdy przyszły tydzień nie wydawał się tak odległy.

¹Por. Mt 6,34.

16.

W niedzielę rano, przed mszą nie mówiło się o niczym innym poza faktem, że Adolf Hitler został mianowany kanclerzem Niemiec. Bryony nawet nie chciała o tym myśleć - nazizm, komunizm, socjalizm. W ogóle nie poświęcała zbyt wiele uwagi polityce. Z jednym wyjątkiem - wyczekiwała tylko na dzień czwartego marca, gdy nowo wybrany Franklin Delano Roosevelt obejmie fotel prezydencki i wreszcie pozbędą się Hoovera oraz jego nietrafionych prób zakończenia kryzysu.

Bryony modliła się też mocno, żeby wszystkie te wstrząsy, które przetaczały się przez cały świat, nie doprowadziły wkrótce do kolejnej wojny na taką skalę jak ta, z której ledwo ocalał Michael.

Tak, znów się zamartwiała, ale nie potrafiła się powstrzymać. Jak tylko wielebny Dempsey zaczął liturgię, wsunęła dłoń w dłoń Michaela, a drugą położyła troskliwie na brzuchu.

Uściskał jej rękę, dodając otuchy.

- Po mszy zapalimy świeczkę w intencji twojego dziadka.

Skinąwszy krótko, Bryony rozciągnęła usta w uśmiechu. Lepiej, żeby mąż myślał, że jej niepokoje związane są z dziadkiem, a nie z niezliczonymi innymi możliwościami, jakie jawiły jej się w głowie.

Po nabożeństwie razem podeszli do nawy, gdzie były świece wotywnie. Gdy Michael zapalał świeczkę, Bryony uklękła, żeby się pomodlić, lecz nie potrafiła skupić myśli. Jej głowę zajmowało teraz nowe zmartwienie - czyżby, tak jak jej teściowa Fenella, traciła powoli rozum?

- Skarbie? - Michael otoczył ją ramieniem i delikatnie pomógł jej wstać. - Chodźmy, wracajmy do domu.

- Ale mieliśmy jechać do twoich rodziców na obiad.

- Zrozumieją.

Bryony przyłgnęła do Michaela i wyszli razem w jasny, lutowy poranek. Po krótkiej wymianie zdań z wielebnym Dempseyem dogonili Mirandę i Daniela przy ich samochodzie.

- Chyba tym razem odpuścimy niedzielny obiad - oświadczył Michael. - Bryony jest wciąż trochę zmęczona po naszym wyjeździe do Hot Springs.

Miranda posłała Bryony pełne współczucia spojrzenie.

- Mama też dziś nie czuje się najlepiej. Tata został z nią w domu. - Wygięła usta w podkówkę. - Jej pamięć pogarsza się z dnia na dzień. Wczoraj wieczorem nawet mnie nie poznała.

- Tak mi przykro, Mirando. - Wyrzuty sumienia przygniotły Bryony. Zamiast tkwić w swoich niepokojach, powinna spędzać więcej czasu z Fenellą, zrobić coś, by pomóc. Ta kobieta była dla niej tak dobra, nawet w tamtych czasach, gdy pracowała jako pokojówka Heathów. Już wtedy

Fenella często myliła Bryony z jej babcią, Violetą. Ale teraz, skoro nie rozpoznała nawet własnej córki...

Na samą myśl o tym Bryony nagle przejęło cierpienie. Westchnąwszy boleśnie, zakryła dłonią usta i odwróciła się. Gdyby Michael nie złapał jej, pewnie upadłaby na drogę.

- Czy wszystko z nią w porządku? - zapytała Miranda, ale w uszach Bryony tak dźwięczało, że to pytanie dobiegało jakby z zaświatów.

Chwyciła się mocno ramienia męża.

- Zabierz mnie po prostu do domu - powiedziała. - Chcę wrócić do domu.

- To nie wygląda zbyt dobrze. - Z odległości kilku samochodów Anson patrzył, jak mąż Bryony pomaga jej przejść przez parking.

Irwin cmoknął, zmierzając razem z Ansonem w stronę auta.

- Biedactwo. Musi się strasznie martwić o dziadka.

- Szkoda, że nie możemy zrobić nic więcej. Szkoda...

- Że Lark jest tak daleko, w Hot Springs? - Irwin chwycił Ansona za ramię. - Może powinniśmy pomyśleć o przejażdżce, żeby ją odwiedzić pod koniec tygodnia?

- Może tak. - Anson ujął rondo kapelusza. - Zobaczymy, jak nam pójdzie z lekcjami.

- Jestem pewien, że Lark będzie czekać na pełną relację. - Niezbyt subtelny chichot Irwina sugerował, że przyjaciel podejrzewał, iż Anson wcale nie pragnie się z nią spotkać z powodu szkoły.

Miranda pomachała do nich i zaraz podeszła.

- Potwierdzam gotowość przyjscia jutro wieczorem. Callie też może przyjść, jeśli potrzeba będzie dodatkowej pomocy. Odette popilnuje nam George'a.

- Będziemy niezmiernie wdzięczni. - Anson miał nadzieję, że jego uśmiech wyglądał szczerze. Nie chciał, żeby ktokolwiek widział, jak bardzo był zdenerwowany otwarciem szkoły. Poza tym, bez Lark u boku, cały jego entuzjazm przygasał.

Irwin podszedł bliżej.

- Byliśmy świadkami wyjścia państwa Heath przed chwilą, jak Bryony sobie radzi?

Miranda zerknęła w stronę ulicy, akurat w momencie, gdy zielony Chevrolet Michaela zniknął za zakrętem.

- Martwię się o nią. Ostatnio nie jest sobą. Irwin skinął.

- Cały ten stres pewnie nie służy ani jej zdrowiu, ani dziecku.

Daniel i Callie dołączyli do nich, trzymając między sobą za pulchne rączki George'a i jeszcze raz omówili pokrótce plany na następny dzień. Ponieważ część dzieci z farmerskich rodzin mieszkało wiele kilometrów od miasteczka, Daniel zaproponował, że aby ułatwić im uczestnictwo w lekcjach, przywiezie je do szkoły, a po lekcjach odwiezie z powrotem do ich domów. Miranda i Callie będą na miejscu, by przywitać przyjezdnych i pomóc ocenić ich potrzeby edukacyjne. Ansonowi trochę ulżyło.

Mimo to, kiedy nadszedł poniedziałkowy wieczór, złapał się na tym, że po raz setny sprawdza każde biurko, krzesło, zeszyt i podręcznik. Za dziesięć szósta, ubrany w odprasowaną białą koszulę, w najlepszym brązowym tweedowym

garniturze z niebieską muchą w kropki, stał na przedniej werandzie i wysilał wzrok, wpatrując się w ulicę, gdzie miał się pojawić samochód Daniela. Miranda dołączyła do niego.

- Stresuje się pan, prawda? Zakołysał się na piętach i odparł:

- Jestem tak zdenerwowany, jak kiedyś, gdy nauczycielka wywołała mnie do tablicy, żebym zaprezentował swoje streszczenie lektury Charlesa Dickensa.

- Naprawdę, taki bystry człowiek jak pan? - Miranda zerknęła na niego z ukosa. - Wydawało mi się, że jest pan biegły w ustnych odpowiedziach.

- Zazwyczaj tak, ale w tamtym przypadku... szczerze mówiąc... nie przeczytałem tej lektury - wykrztusił urwanym głosem, a potem dodał: - Żeby było jeszcze gorzej, tą nauczycielką była moja mama.

Miranda roześmiała się, a jej śmiech odbił się echem od sklepienia werandy.

- Cóż, w takim razie na pewno jest pan dużo lepiej przygotowany na dzisiejszy wieczór, więc wszystko... - przerwała i przechyliła się przez balustradę. - Słyszę samochód Daniela. Już prawie tu są!

Anson wziął gwałtowny wdech i wygładził marynarkę. Nagle przypomniało mu się, co Lark kiedyś powiedziała na temat jego erudycyjnej prezencji i uśmiechnął się. Choć cieszył się z budującej obecności Mirandy, oddałby wiele, by na jej miejscu była tu Lark.

Błysk przednich świateł auta zwiastował przyjazd Daniela. Zanim Anson i Miranda przeszli przez trawnik w stronę podjazdu, Daniel już wysiadał z szoferki. Nawet w słabym

świetle zmierzchu Anson zauważył przepaszający wyraz twarzy mężczyzny. Patrząc ponad jego ramieniem, Anson doliczył się tylko trójki dzieci. W środku siedziała dziewczynka, a na platformie pick-upa było dwóch chłopców. Uśmiechając się do nich, Anson wziął Daniela na bok.

- Spodziewaliśmy się więcej uczniów. Gdzie reszta?

- Ludzie wciąż nie są przekonani. Poza tym... - Daniel rozłożył ręce. - Niektórym nie podoba się, że stworzyliście szkołę dla... innych.

Anson poczuł, że w nim zawrzało. Odwrócił się tyłem do dzieci wysiadających z samochodu i wychrypiał:

- Sądziłem, że wymienne godziny i oddzielne klasopracownie zamkną usta bigotom.

- Niektórzy nigdy nie będą umieli zaakceptować mieszania się ras - wtrąciła Miranda. Skinęła w stronę nowych uczniów, którzy stali teraz z zakłopotaniem na trawniku. - Powinien być pan wdzięczny za te dzieciaki. Inne rodziny same sobie tylko wyrządzają krzywdę.

Anson wiedział, że miała rację. Zebrawszy się w sobie, odwrócił się do dzieci i posłał w ich stronę serdeczny uśmiech.

- Dobrze, że przyjechaliście. Wejdźmy do środka, żeby się poznać.

Kiedy Miranda i Callie usadzały dzieci w ławkach, Anson przyglądał się ich poszarpanym ubraniom i butom o prawie całkiem zdartych podeszwach. Dwaj nastoletni bracia byli bardzo wymizerowani. Dziewczynka, która przedstawiła się jako ośmiolatka, miała proste jak strąki włosy, sprawiające wrażenie niemytych od tygodni. Anson przypomniał sobie, jak rozmawiał z rodzicami przyszłych uczniów i widział ich nadzieję, że w końcu uda im się przełamać błędne koło

biedy i analfabetyzmu.

Mając w pamięci odwiedziny u tych rodzin kilka tygodni temu, Anson i Irwin domyślali się, że dzieci mogą przyjechać głodne, więc nagotowali wielki gar zupy. Pierwszym krokiem było nakarmienie dzieci, bo z pustymi brzuchami nie będą chętne do nauki.

A gdy wśród pozostałych mieszkańców rozniesie się wieść o tym, że oprócz lekcji jest tu jeszcze ciepły posiłek, być może uda się choć częściowo pokonać barierę ludzkiego uprzedzenia.

Callie zaczęła przerabiać z dziewczynką materiał z pierwszej klasy - czytanie i arytmetykę, a tymczasem Irwin sprawdzał chłopców, żeby dowiedzieć się, jakie mieli braki. Zauważył, że wymagali porządnego przypomnienia zasad gramatyki i ortografii, zanim zaczną naukę kolejnych rzeczy, więc Irwin i Miranda pracowali z nimi indywidualnie, dzięki czemu Anson nie musiał się trudzić, udając, że jego wzrok jest lepszy niż w rzeczywistości. Mógł więc chodzić i przysłuchiwać się lekcjom dzieci, dorzucając czasem jakąś uwagę na temat innego sposobu rozwiązania konkretnego problemu.

Gdy nadszedł czas, by Daniel odwiózł dzieci do domów, Anson czuł satysfakcję z udanego pierwszego wieczoru. To prawda, zaczęli skromnie, ale widać było gorliwość do nauki u tych dzieci. A przecież właśnie to się naprawdę liczyło - zrobić coś, co zmieni przyszłość choćby jednego z nich.

- Dobrze sobie poradziłeś - zauważył Irwin, kiedy skończyli porządkować pustą salę lekcyjną. - Powinieneś zadzwonić do Lark. Na pewno jest ciekawa, jak nam tu poszło.

Anson myślał tylko o tym od czasu, gdy Vargasowie wyszli z dziećmi.

- A nie jest za późno? Nie chciałbym przeszkadzać jej albo jej gospodarzom.

- Dochodzi dopiero dziewiąta. Zadzwoń.

Anson poszedł lekkim krokiem do sekretariatu. Siedząc przy biurku, otworzył szufladę i znalazł tam kawałek kartki, na którym zapisał numer telefonu państwa Vickary. Wziął głęboki wdech i podniósł słuchawkę.

Chwilę później odebrał pastor. Anson zapytał, czy Lark może podejść do telefonu.

- Jest tutaj. Już ją daję.

Zaraz potem w słuchawce rozległ się słodki głos Lark:

- Miałam nadzieję, że zadzwonisz. Jak poszło?

Kiedy powiedział o małej frekwencji, usłyszał rozczarowanie w jej długim westchnięciu. Starał się oddać w słowach, jak gorliwość do nauki wśród dzieci podniosła go na duchu i umocniła jego wiarę w to, co robili.

- Przyznaję, że cieszyłbym się bardziej, gdybyśmy mieli więcej uczniów, ale koniec końców, jedyne, co mogłoby uczynić ten wieczór lepszym, to gdybyś dzieliła tę radość ze mną.

- Ja też żałuję, że nie mogłam tam być. Czuję się okropnie, że nie uczestniczyłam w otwarciu szkoły Schaferów.

Anson odłożył okulary na biurko.

- Wybacz mi, Lark. Ja tu opowiadam o szkole, a powinienem zapytać o ciebie. Jak się czuje dziadek?

- Jest bardzo słaby. Śpi przez większość czasu, ale przynajmniej, gdy się budzi, wie, że nie jest sam.

- Szkoda, że nie mogę tam być, żeby jakoś pomóc. Jeśli

nic się nie zmieni do końca tygodnia, Irwin powiedział, że zawiezie mnie, żebyśmy mogli się zobaczyć.

- Naprawdę? Byłoby wspaniale. Będziesz mógł mi opowiedzieć wszystko o tym, jak minęła reszta tygodnia. Jestem pewna, że frekwencja wzrośnie. Ludzie rozumieją, jak dobre jest to, co robisz.

- Mam nadzieję, że masz rację. - Oboje umilkli na chwilę. - Lark?

-Tak?

- Kocham cię.

Nie odpowiedziała od razu i serce zaczęło mu łomotać. Czyżby powiedział to za wcześnie? Ale potem usłyszał:

- Ja ciebie też kocham, Ansonie.

Reszta tygodnia ciągnęła się dla Lark z przygnębiającą monotonią, rozświetlaną jedynie wspomnieniem czułych słów Ansona, które wciąż wybrzmiewały w jej uszach: „Kocham cię”. Czuła się tak lekko, że mogła mu odpłacić tym samym, otwarcie przyznać się do tej miłości w sercu, do tego uczucia, które czasem sprawiało, że miała ochotę krzyczeć z radości.

Ale obiecała sobie, że nie będzie już więcej chodzić z głową w chmurach. Koniec z wyobrażaniem sobie przyszłości w nierealnym kontekście. Koniec wszystkiego, o czym wcześniej marzyła w życiu, do czego dążyła, co próbowała osiągnąć tylko dlatego, że sama tego chciała... Dlaczego musiała uczyć się od nowa pokładać ufność w Bogu, a nie we własnych wysiłkach? Cokolwiek wyniknie z tej miłości,

która rodziła się pomiędzy nią a Ansonem, to będzie Boże dzieło i tylko Jego.

Po tygodniu w Hot Springs Lark знаła już każdą zapadniętą płytkę w chodniku pomiędzy domem Vickarych a zakładem opiekuńczym. Policzyła wszystkie pęknięcia na suficie w pokoju dziadka i znała po imieniu prawie cały personel, czy to z dziennej, czy nocnej zmiany. Odkryła wszystkie spokojne ścieżki na spacery dookoła budynku, najwygodniejsze ławki w małej kaplicy i najlepsze miejsca do studiowania materiałów z kursu korespondencyjnego, które wzięła ze sobą, choć w tych okolicznościach zastanawiała się, ile z tego zostanie jej w głowie.

W sobotni poranek, gdy siedziała koło łóżka dziadka, czytając mu psalmy, staruszek uniósł dłoń w stronę czegoś, co tylko on widział. Lark odłożyła Biblię na bok.

- Co tam, dziadku? Potrzebujesz czegoś?

- Czekaj na mnie, Violetto - powiedział ledwie słyszalnym szeptem, a na jego twarzy rozciągnął się ledwo dostrzegalny uśmiech. Oczy zaszyły mu mgłą, gdy tak wpatrywał się w przestrzeń. - Wkrótce będę w domu, kochanie. Wkrótce będę w domu.

- Nie, dziadku, jeszcze nie. - W oczach Lark wezbrały łzy. Zacisnęła rękę na jego dłoni, pocierając cienką jak papier skórę. - Proszę, zostań z nami jeszcze trochę.

Kiedy poczuła dotyk dłoni na ramieniu, uniosła wzrok i zobaczyła, że obok stoi pani Ballard.

- Wygląda na to, że on widzi już to, co jest po Drugiej Stronie. Chyba nie chcesz, żeby dłużej cierpiał, prawda?

Lark potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale to wszystko dzieje się tak

szybko. Jak w ogóle mamy się z nim pożegnać?

- Czasem tak jest. Ale pomyśl o tym w ten sposób...
-Pielęgniarka poprawiła koc na chudych nogach Georgea.
-Pożegnania są dla żyjących. Na waszego dziadka czeka niebiańskie przywitanie, gdzie nie będzie już bólu i łez, pragnień i zmartwień, tylko niedająca się wysłować miłość.

- To piękne, co pani mówi. Dziękuję. - Pociągając nosem, Lark zbliżyła się tak, żeby położyć głowę koło dziadka.

Pani Ballard po cichu wykonała zwykłe badania, sprawdzając puls pacjenta i osłuchując go. Kiedy skończyła, zapytała łagodnie:

- Czy pani rodzina zamierza przyjechać niedługo w odwiedziny?

Lark wyprostowała się i otarła łzy.

- To nie takie proste, żeby zostawili wszystko i przyjechali.
- Hm, jeśli chcą z nim spędzić jeszcze trochę czasu... - Na twarzy pielęgniarki pojawiło się współczucie. - Powinni się raczej pośpieszyć.

Lark zrobiło się ciężko na sercu. Zacisnęła powieki i odparła:

- Dam im znać.

Pielęgniarka przeprosiła i wyszła z pokoju, zostawiając Lark wśród rozmyślań na temat ostatniej rozmowy z Bryony. Spodziewała się, że jej siostra i Michael przyjadą na początku tygodnia, ale rano we wtorek Michael zadzwonił do Lark na telefon państwa Vickary, żeby powiedzieć, że Bryony nie czuje się zbyt dobrze, i on podjął decyzję, że nie powinni jechać. Lark słyszała w jego głosie niepokój. Zanim dał jej do słuchawki swoją żonę, ostrzegł Lark, żeby nie zadawała za dużo pytań, tylko powiedziała jej coś krzepiącego.

Teraz Lark obawiała się, że jeśli przekaże Bryony, jak szybko postępuje choroba dziadka, to może zagrozić zdrowiu Bryony albo jej dziecka. A jednak, jeśli jej siostra nie będzie miała możliwości, aby pożegnać się z dziadkiem, czy nie będzie miała jej tego za złe?

Postanowiła, że odnajdzie pastora Vickary'ego i zapyta go o radę. Akurat w tym momencie do pokoju po raz kolejny weszła pani Ballard.

- Ma pani gości. Czekają w holu. Lark poderwała się z miejsca.

- Siostry?

- Nie, dwóch dżentelmenów. - Pielęgniarka puściła do niej oko. - A jeden z nich wydaje się szczególnie oczekiwać spotkania z panią.

Anson!

Czując, jak serce jej wali, Lark ruszyła szybko korytarzem. Gdy wyszła z za rogu i zobaczyła wypatrującego ją Ansona, praktycznie rzuciła mu się w ramiona. Żadne z nich nic nie mówiło przez dłuższy czas. Lark wystarczyło zatopienie się w cudownym pocieszeniu, jakie ze sobą niósł. Wdychała lekko stęchły zapach jego wełnianego płaszcza. Zastąpił jej teraz szpitalną woń i był najcudowniejszym aromatem na świecie.

Odchyliwszy głowę, rzekła:

- Tak się cieszę, że przyjechałeś. Mimo że wszyscy są tu bardzo życzliwi, jeszcze nigdy nie czułam się taka samotna.

Uśmiechnąwszy się półgębkiem, Anson starł kciukiem mokre ślady pod jej oczami.

- Nigdy? Nawet podczas tych trudnych czasów w Kenii ?

- To co innego. Tam przynajmniej odnosiłam wrażenie,

że kontroluję swoje życie. Choć pobłądziłam, byłam tam wskutek własnych wyborów. - Lark potrząsnęła bezradnie głową. - Tutaj jest tak, jakbym o niczym już nie mogła decydować i jedyne, co mi zostało, to czekać i modlić się.

Anson ucałował ją w czoło i ująwszy pod ramię, poprowadził na siedzenia pod oknami. Dopiero wtedy zauważyła obecność doktora Younga. Do tej pory pozostawał cicho na uboczu, ale teraz uścisnął ją ze współczuciem.

- Recepcjonistka poinformowała mnie, że można dostać kawę w głębi tego korytarza - powiedział doktor Young. -Może porozmawiacie tu sobie, a ja skoczę po napoje.

Anson zdjął płaszcz i usiedli oboje na bordowej zakardowej sofie. Lark trzymała jego dłoń, gdy opowiadała, co poradziła jej pielęgniarka w sprawie dziadka.

- Wiedziałam, że nie zostało mu wiele czasu, ale nie spodziewałam się, że to się stanie tak szybko. Jak ja w ogóle mam to powiedzieć siostrze?

- Chciałabyś, żebym zadzwonił w twoim imieniu?

- Nie mogłabym cię o to prosić. To mój obowiązek.

- Ale nie musisz dźwigać go sama - odparł Anson i otulił dłonią jej policzek. - Pozwól sobie pomóc, Lark. Po to tu jestem.

Byłoby tak łatwo móc przekazać mu wszystko, a potem zapaść się w roztrzęsienie i morze łez, mgłę żalu i poczucia niesprawiedliwości losu. Westchnąwszy z drżeniem, przybrała na twarz zdecydowany uśmiech.

- Dziękuję ci... ale już sama twoja obecność znaczy dla mnie bardzo wiele.

Popatrzyła w kierunku automatu telefonicznego w budce stojącej po drugiej stronie holu. To była rozmowa, której

nie mogła odwlekać. Nie, jeśli jej siostry miały dotrzeć tu na czas. Wciąż jednak nie mogła się otrząsnąć z obaw dotyczących Bryony. Wstając z siedzenia, wyciągnęła rękę w stronę Ansona.

- Podejdiesz ze mną do telefonu? Sama twoja bliskość będzie pomocna.

Stał obok niej w otwartych drzwiach budki, a ona wybrała numer. Westchnęła cicho z ulgą, gdy okazało się, że odebrał Michael. Drżącym głosem zrelacjonowała mu, co powiedziała pani Ballard.

- Tak, rozumiem, rozumiem. - Beznamiętna odpowiedź Michaela podpowiadała jej, że nie chce, by coś dotarło do postronnych. - Pozwól, że zastanowię się nad tym i dam ci znać.

- Ona jest gdzieś blisko, prawda?

- Zgadza się.

Lark chciała zapytać o stan emocjonalny Bryony, ale najwyraźniej Michael nie mógł powiedzieć zbyt wiele. Zerknęła za siebie na Ansona i zrobiło jej się miło, gdy dostrzegła jego pokrzepiający uśmiech. Zwróciła się ponownie do Michaela:

- Dasz znać Rose? Nawet jeśli stwierdzisz, że nie powinieneś przywozić tu Bryony, Rose z pewnością będzie chciała przyjechać.

- Oczywiście. Dziękuję, że zadzwoniłaś. - Zawahał się, a potem dodał znacząco: - Trzymaj się.

Lark rozłączyła się i zatopiła w objęciach Ansona.

- Jak długo możesz zostać? - zapytała.

- Do jutra po południu. Mamy z Irwinem pokoje w hotelu Majestic.

Świadomość, że będzie mogła spędzić kilka kolejnych godzin w towarzystwie Ansona podniosła zbolałą Lark na duchu. Wrócili na sofę, gdzie czekał na nich doktor Young z trzema kubkami kawy. Kiedy pili, Lark zmusiła się, by oderwać myśli od umierającego dziadka i słuchała, jak Anson i doktor Young relacjonowali pierwszy tydzień w szkole. Wyraźnie wyczuwała rozczarowanie Ansona, gdy znowu opisywał mizerną frekwencję w poniedziałek, ale z dumą doniósł zaraz, że wszystkie dzieci Jacksonów przyszły we wtorek, razem z inną dwójką dzieci połowników.

- Liczba dzieci rosła z dnia na dzień - oświadczył Anson. - Jestem optymistycznie nastawiony.

- Tak się cieszę. - Lark zerknęła ukradkiem na zegar ścienny. Nie chciała opuszczać Ansona, ale wyszła z pokoju dziadka ponad godzinę temu i chętnie wróciłaby tam, żeby sprawdzić, co u niego.

Doktor Young odkaszlnął znacząco.

- Ojej, ale już późno. Ansonie, pora na mnie, więc chyba złapię jakiś tramwaj z powrotem do hotelu. Możesz przyjść, kiedy będziesz chciał.

Wszyscy wstali. Gdy doktor Young zakładał swój płaszcz, Anson zwrócił się do Lark:

- Czy miałabyś coś przeciwko, gdybym został jeszcze jakiś czas? Może moglibyśmy wspólnie posiedzieć przy twoim dziadku.

Wdzięczność przeppełniła jej serce.

- Ależ, tak, proszę. Jeżeli dziadek się obudzi, na pewno ucieszy się na twój widok.

Rose miała zasadniczo dwa wyjścia - zatroszczyć się o dom albo zająć się rolnictwem. Wiedziała bowiem, że nie miała wystarczająco dużo czasu i energii na obie opcje w sytuacji, gdy dziadek był przykuty do łóżka, a jej siostry daleko, i była pewna, że dziadek porządnie by ją pogonił, gdyby pozwoliła, by farma zeszła na psy. To stanowiło ich źródło utrzymania, a nawet coś więcej. To była dla dziadka praca całego życia.

- Wszystko będzie tu na ciebie czekać, dziadku. - Rose spuściła siekiere, celując w kolejne bierwiono ustawione na pniaku do rąbania drewna. Posypały się drzazgi, a siła tego uderzenia rozeszła się w górę jej ramion.

„Proszę, proszę, proszę, Panie, daj mu wyzdrowieć! Pozwól mu wrócić do domu!”

Nie obchodziło jej, co powiedział lekarz. Lekarze nie wiedzieli wszystkiego. Jak amen w pacierzu nie mieli pojęcia, jakim skończonym uparciuchem umiał być dziadek.

Gdy ustawiła kolejne bierwiono na pniaku, rozległ się warkot chevroleta. Rose nie dostrzegła w aucie Bryony i wyraźnie ją to zaskoczyło. Michael rzadko przyjeżdżał sam, a Rose nie widziała się z siostrą, odkąd wrócili z Hot Springs.

Odłożyła siekiere i podeszła do niego powoli.

- Cześć, Michaelu. Gdzie Bry?

- W domu. - Wysiadł z auta, a ponury wyraz jego twarzy przyprawił Rose o drżenie. Wetknął ręce w kieszenie swojej tweedowej marynarki. - Ona, hm, nie wie, że tu jestem.

Rose zagryzła wargę od wewnątrz.

- Nie wiem, czy mi się to podoba.

- Może wejdziemy do środka? - zapytał Michael. - Jest

coś, co muszę ci natychmiast powiedzieć.

Drżenie w środku przerodziło się w doskwierające i ścisnąjące jej żołądek przerażenie.

- Jeśli chodzi o dziadka, od razu to z siebie wyrzucić. Nie mam czasu ani cierpliwości na wymianę uprzejmości.

- Choroba postępuje szybciej, niż ktokolwiek mógł przewidzieć, Rose. Lark dzwoniła. Powiedziała, że powinnaś przyjechać zobaczyć się z nim, póki jeszcze jest czas.

Mrugając szybko, Rose odwróciła wzrok.

- Jedź sam i weź Bry. Ja mam za dużo pracy tutaj.

- Ale ty nie...

- Nie! - prawie wykrzyczała, odwracając się od niego. - Nie chcę jechać tam, żeby siedzieć przy szpitalnym łóżku i tak po prostu czekać, aż dziadek umrze. Zresztą... - Łzy z wściekłości stanęły jej w gardle. - ...ja nie mam zamiaru się poddać, jeśli o niego chodzi. Modlę się ze wszystkich sił, żeby dziadek wyzdrowiał i wrócił do domu, gdzie jego miejsce.

- Rose, skarbie... - Michael sięgnął po jej rękę, ale ona wyrwała się. - Rose, nie zachowuj się tak. Pozwól mi zawieźć cię do Hot Springs. Daniel powiedział, że zajmie się farmą do czasu twojego powrotu. A potem...

- A potem nic! Wynoś się stąd i daj mi skończyć pracę. - Rose rzuciła się w stronę stosu drewna, złapała za siekierę i uniosła ją nad kłodą, którą miała właśnie rozłupać, kiedy przyjechał Michael.

Wtedy jej ręce zaczęły się trząść, a siekiera upadła na ziemię, tuż obok jej stóp. Opadła na stary pień, który służył do rąbania drewna i chowając głowę w ramionach, załkała.

- Rose... Rosie, już dobrze. - Michael uklęknął i przytulił ją do boku. „Już dobrze” - takie bezsensowne i nic nie-znaczące słowa. Czuł, że nie potrafi pocieszyć własnej żony, a teraz wiedział, że jest równie bezsilny i nie wie, jak ułatwić kochanej, młodszej szwagierce stawienie czoła temu, co nieuniknione.

Płacz ustał i Michael pomógł jej wstać, a potem poprowadził ją do domu. Zaszlochała jeszcze z drzeniem, kiedy usadził ją przy kuchennym stole. Namoczył ścierkę nad zlewem i podał jej, żeby mogła ostudzić zaczerwienione oczy.

- Przepraszam, przepraszam - mamrotała. - Zazwyczaj nie płaczę. To po prostu...

- Nie musisz nic wyjaśniać ani za nic przepraszać. Wszyscy cierpimy i smucimy się. - Michael wysunął dla siebie drugie krzesło i usiadł ciężko. Nie potrafił przestać myśleć o Bryony, która nadal nie wiedziała nic o stanie dziadka.

Ale jak mógł dodawać jej zmartwień, gdy już i tak było jej trudno? Na początku bardzo emocjonowała się dzieckiem, a teraz, z każdym kolejnym tygodniem ciąży, robiła się coraz bardziej markotna. Przez jakiś czas starała się ukryć to pod pozorami normalności, ale nigdy nie udawało jej się to na dłużej. Na zmianę albo załamywała ręce nad bliżej nieokreślonymi sprawami, albo zwijała się pod kocem, zapadając w otchłanie przygnębienia.

A doktor Eddington zapewniał ich nieustannie, że nie mają się co niepokoić o dziecko. Albo raczej nie musieliby, gdyby Bryony nie podupadała na zdrowiu przez całe to zamartwianie. Pomiędzy porannymi mdłościami i zadręczaniem się

problemami rzadko zdarzało jej się zjeść przyzwoity posiłek. Kiedy Michael tulił ją w nocy w łóżku, mógł policzyć wszystkie jej zębra.

- Michaelu? - Rose spojrzała na niego. - Dobrze się czujesz?

Nikły uśmiech przesłonił jego wewnętrzną kotłowaną myśl. Rose nie potrzebowała dodatkowego stresu w postaci świadomości, jak trudno było Bryony.

- Po prostu zastanawiałem się, jak musi być ciężko tobie i twoim siostram. Żałuję, że nie mogę zrobić nic więcej.

- Robisz bardzo dużo i doceniam to. - Pociągnęła nosem z determinacją, a potem wstała od stołu. - Muszę dopilnować swoich obowiązków, ale ty jedź i weź Bryony. Spotkajcie się z dziadkiem. Przekażcie mu ode mnie wyrazy miłości i powiedzcie, że farma jest w dobrych rękach.

Michael wyszedł za nią na zewnątrz, a potem stał z boku, gdy ona złapała za siekierę. Zrobił unik przed odskakującą pod ciosem drzazgą.

- Gdybyś zmieniła zdanie...

- Nie zmienię.

- A potrzebujesz czegoś? Mogę przysłać kogoś, żeby ci pomógł? Może Daniela albo Caleba Wielanda?

- Dzięki. - Siekiera opadła i kolejne bierwiono rozpadło się na pół. - Świetnie sobie radzę. Nie potrzebuję niczyjej pomocy.

Michael pokiwał spokojnie głową, a potem pożegnał się i wrócił do samochodu. Wyglądało na to, że każda z sióstr Linwood musiała poradzić sobie z żalem na swój sposób. Powinien dobrze o tym wiedzieć, jako że sam spędził całe dziesięć lat po wojnie, próbując uciec od męczarni wspomnień.

Potem w jego życiu pojawiła się Bryony i pokazała mu, jak wyjść z tej izolacji, którą sam sobie narzucił. To było tak jakby obudził się z głębokiego snu. Nie, raczej jakby odsłonięto zasłony, wpuszczono światło dzienne, a on dostrzegł na nowo, jak piękne może być życie.

Gdyby tylko teraz umiał znaleźć sposób, aby przywrócić Bryony to światło.

17.

Pozostawienie Lark samej w Hot Springs było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie Anson kiedykolwiek musiał zrobić. Wiedział, że nie była naprawdę sama - państwo Vickary i siostra Ballard troszczyli się o nią - ale wyraz zawodu w jej oczach, gdy dowiedziała się, że żadna z jej sióstr nie przyjedzie, rozdzierał serce Ansona.

- Jest silna - powiedział Irwin po jakimś czasie wspólnej jazdy. - Przejdzie przez to.

- Gdyby nie szkoła...

- Tak, ale gdybyś został, przyprawiłbyś Lark o dodatkowy stres. Edukacja tych dzieci jest dla niej tak samo ważna jak dla ciebie. Musi mieć pewność, że przetrwamy podczas jej nieobecności.

- I to właśnie będzie... *przetrwanie*... bo bez niej nic nie jest już takie samo.

Irwin wyciągnął rękę i poklepał Ansona po ramieniu.

- Wróci, mój chłopcze. Choć to smutne dla niej i jej rodziny, wygląda na to, że nawet szybciej, niż ktokolwiek przypuszczał.

Jechali dalej w milczeniu, a potem zatrzymali się na chwilę w Little Rock, żeby zatankować i kupić coś do jedzenia przed dalszą podróżą do Edenu. Zanim dotarli do domu, zdążyło się już ściemnić. Światła auta omiotły frontową werandę, kiedy skręcili na podjazd.

Irwin westchnął gwałtownie.

- Dobry Boże!

Anson spał się cały i chwycił za podłokietnik.

- Co? Co się stało?

- Ciesz się, że masz kiepski wzrok. - Zamiast zwolnić, Irwin przyśpieszył jeszcze, zajechał od tyłu domu, zahamował gwałtownie i zgasił silnik. Z rękami opartymi na kierownicy, wpatrywał się przed siebie, a chrapliwy dźwięk jego oddechu dominował we wnętrzu samochodu.

- Powiedz, co zobaczyłeś - zażądał Anson. Irwin w odpowiedzi potrząsnął tylko przecząco głową, więc Anson otworzył szybko drzwi i ruszył w stronę frontu domu.

- Ansonie, nie! - Usłyszał za sobą kroki Irwina. - To nie zniknie do rana. Nie ma sensu...

Obchodząc werandę, Anson zatrzymał się na trawniku i mrużąc oczy, patrzył na dom. Jedyne, co mógł dojrzeć przy swoim kiepskim wzroku i pełni księżyca nisko nad horyzontem, to fakt, że ktoś pomalował ściany i okna czarną farbą.

Irwin dogonił go i stwierdził:

- Zostawmy to, Ansonie. Dziś już nie da się z tym nic zrobić.

- Ale co to jest? Przynieś latarkę. Muszę wiedzieć. Przeciągle i zbolale westchnięcie Irwina podpowiadało

Ansonowi, iż może żałować, że nalegał.

- Dobrze, ale tylko jeśli obiecasz, że powstrzymasz gniew

i nie będziesz próbował nic z tym zrobić, zanim się porządnie nie wyśpisz.

Anson nie mógł niczego takiego obiecać. Zacisnąwszy zęby, obrócił się i stanął na wprost przyjaciela.

- Albo mi powiesz, co zrobili mojej szkole, albo przynieś tu światła, żebym sam zobaczył.

Westchnąwszy znów długo, Irwin spuścił głowę.

- Wystarczy powiedzieć, że pewne frakcje nie są zbyt zadowolone z tego, że proponujemy wykształcenie... wszystkim dzieciom.

Anson gapił się na mazaki.

- Co tam jest napisane, Irwinie? Po prostu mi powiedz. Ledwie słyszalnym szeptem Irwin powtórzył okropne, rasistowskie słowa.

Gniew i odraza zawrzały w sercu Ansona. Zrzucił z siebie płaszcz na ziemię i zaczął podwijać rękawy koszuli.

- Przynieś mydło i wodę oraz wiadro farby... cokolwiek, żeby pozbyć się tego... tego *świństwa*.

- Nie dzisiaj, Ansonie, proszę. - Irwin pochylił się, by podnieść płaszcz przyjaciela. - Nawet byśmy nie widzieli, co robimy, a obaj jesteśmy zmęczeni podróżą.

- Myślisz, że będę w stanie odpocząć, wiedząc, że takie słowa są nagryzmołone na frontowej ścianie mojej szkoły? Nie, zamierzam się ich pozbyć natychmiast! Nie pozwolę, żeby połowa mieszkańców Edenu, przechodząc tędy jutro rano, widziała takie obrzydliwości. - Anson ruszył w stronę szopy na narzędzia znajdującej się z tyłu podwórka.

Irwin złapał go za ramię i obrócił.

- Uspokój się, dobrze? Najprawdopodobniej zostało to zrobione wczoraj w nocy, kiedy byliśmy w Hot Springs, więc

podejrzewam, że i tak już wiele osób to dzisiaj widziało. Szkoda już się stała.

Anson musiał się mocno wysilać, by oddychać normalnie i racjonalnie myśleć, podczas gdy pragnął jedynie odnaleźć tych tchórzy, którzy to zrobili, i stłuc ich na kwaśne jabłko. To, że ktoś, kto określał się mianem chrześcijanina, mógł poniżyć w ten sposób innego człowieka, a tym bardziej odmówić niewinnym dzieciom dostępu do edukacji tylko dlatego, że mają inny kolor skóry... to była największa obrzydliwość! Przeciągnął dłonią w dół twarzy.

- Po tym wszystkim, co robiliśmy, co próbowaliśmy zrobić...

- Rozumiem, uwierz mi. - Irwin okrył Ansona płaszczem i skierował go w stronę domu. - To tylko próba zastraszenia. Ohydne słowa nie zatrzymają nas w tym, co tu robimy.

Kiedy weszli do kuchni, Anson przystanął i popatrzył surowo na Irwina.

- A co, jeśli nie poprzestaną na słowach? Jeśli...

- Po kolei. Proszę, najpierw się wyśpij. Jutro rano się tym zajmiemy.

- Dobrze, dobrze. Jutro. - Idąc na górę, Anson myślał tylko o tym, jak to dobrze, że Lark tu nie było i nie mogła tego widzieć. Postanowił, że będzie to przed nią ukrywał w tajemnicy tak długo, jak to będzie możliwe.

Już o pierwszych promieniach wschodzącego słońca Anson zdrapywał i szorował czarną farbę z przednich okien. Od zimnej wody z mydlinami drętwiały mu palce, ale czerpał

wręcz chorobliwy zachwyty, gdy patrzył, jak te pełne nienawiści słowa zmieniają się w szare smugi odpływające po szybach w niepamięć.

Otworzyły się drzwi i na werandę wyszedł Irwin, w piżamie i kraciastym flanelowym szlafroku.

- Tak myślałem, że nie będziesz na mnie czekał z rozpoczęciem prac.

- Im szybciej to zniknie, tym lepiej. - Anson pochylił się, by opłukać ścierkę w wiadrze stojącym u jego stóp. Wykręcił ją energicznie i przeszedł do kolejnej szyby.

- Nie sądzisz, że powinniśmy wezwać szeryfa, zanim zmażesz wszystkie dowody?

- A co by to dało? Jeśli masz ochotę pomóc, zamiast dawać mi bezużyteczne rady, możesz zabrać się za malowanie.

Irwin parsknął.

- Dobrze, ale najpierw śniadanie. Nie podejmuję się ciężkich prac z pustym żołądkiem.

- I może zechcesz się też ubrać. - Anson popatrzył na przyjaciela z wymuszonym uśmiechem i przepaszającym wyrazem twarzy. - Przynieś mi kawy, jak będzie gotowa.

- Do usług, wasza wysokość. - Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Odraza wobec tego, co zastali po powrocie wcale nie ustępowała, ale przynajmniej w świetle dnia Anson zyskał właściwą perspektywę. To był tylko pokaz tchórzostwa. Dodało im to niepotrzebnej pracy, ale nie sprawi, że zrezygnują. Co do tego Anson był jak najbardziej przekonany.

Skończył z oknami i ruszył na tył, by opróżnić wiadro z wodą, kiedy usłyszał silnik samochodu skręcającego w ich podjazd. Zatrzymał się, żeby zobaczyć kto to i wydawało mu

się, że rozpoznał zdezelowanego, starego pick-upa Noaha Jacksona.

Otworzyły się drzwi od strony kierowcy i czarnoskóry mężczyzna stanął na ziemi.

- Dobry, panie Schafer.

- To ty, Noah? - Anson odstawił wiadro i podszedł bliżej. Noah zdjął z głowy obszarpany kapelusz i trzymał go przed sobą, przyciskając do piersi.

- Ta, psze pana. Strasznie mi przykro z powodu tych problemów, co to je pan teraz ma.

Anson nawet nie umiał sobie wyobrazić, jak bardzo te słowa musiały być krzywdzące dla rodziny Jacksonów.

- To mi jest przykro. Przepraszam w imieniu wszystkich białych, którzy kiedykolwiek okazali ci brak szacunku.

- To nie pan powinien przepraszać. Na tym świecie pełno nienawiści i ni ma jak tego zatrzymać inaczej jak przez dobrych ludzi, takich jak pan, którzy próbuj om cosik zmienić. - Noah schylił głowę. - Zrozumim, jak pan postanowi, że nie będzie wincej uczyć naszych dzieci, ale mimo tego przyjechałem, żeby pomóc.

- Wasze dzieci mogą tu przychodzić, dopóki tylko będziecie chcieli je do mnie wysyłać - odparł stanowczo Anson. - Ale nie zgadzam się dalej narażać twojej godności i kazać ci sprzątać po tych chuliganach.

- Tak po prawdzie, sir, to nie robi mi to różnicy. A może nawet da trochu satysfakcji. - Noah skinął w stronę szopy na końcu alejki. - Może mógłbym wziąć farby i tu zacząć? Będziem mieli wszystko tak jak dawniej w try miga.

Serce Ansona wypełniły wdzięczność oraz podziw. Jak mógł nie przyjąć takiej życzliwości, takiej chrześcijańskiej

wyrozumiałości w obliczu prześladowań?

- Dziękuję ci, Noahu - powiedział. - Wiesz, gdzie co jest. Gotowy na kawę, którą Irwin powinien już parzyć, Anson opróżnił wiadro w najdalszym kącie podwórka i wszedł do domu. Na kuchni bulgotała kawiarka, a w całym pomieszczeniu unosił się aromat. Anson miał właśnie nalać sobie kawy, kiedy usłyszał, że jego przyjaciel rozmawia z kimś przez telefon.

- Oczywiście, pastorze Unsworth, jestem w pełni świadomy... Tak, ale byliśmy przez weekend poza miastem i...

Anson podszedł do drzwi sekretariatu. Brzmiało to tak, jakby pastor nie dawał Irwinowi nawet dojść do słowa.

- Naturalnie, byliśmy równie oburzeni tymi plugawymi zdaniem, ale... - Irwin spojrzał na Ansona z irytacją na twarzy.

- Nie, sir, to z pewnością *nie* wpłynie na zmianę naszej decyzji. Szkoła pozostaje otwarta dla wszystkich! - Odłożył słuchawkę z trząśnięciem.

Opierając się o framugę, Anson założył ręce.

- O co tam chodziło, o ile w ogóle muszę pytać?

- Tak jak słyszałeś. Życzliwy wielebny razem z połową miasteczka, jak sam twierdził, jest zaniepokojony, że jeśli nie zgodzimy się przekształcić szkoły w instytucję tylko dla białych, będziemy wzbudzać przemoc na tle rasowym.

Anson spoglądał przez okno, gdzie właśnie pojawił się Noah wychodzący z szopy na narzędzia z puszką farby. Westchnął z rezygnacją i opadł ciężko na krzesło przed biurkiem Lark.

- Jestem tak samo jak ty przekonany, że mamy rację, ale nie chciałbym wprowadzać podziałów w tej społeczności. Czy naprawdę warto ryzykować dla tych dzieci?

- Czy warto ryzykować ich przyszłość, jeśli odmówimy im wykształcenia, na jakie zasługują? - Irwin stanął przed nim twarzą w twarz. - Ta szkoła była twoim pomysłem, Ansonie. Nie mów mi, że teraz chcesz dać za wygraną?

Anson przymknął oczy, ale zamiast placówki w Edenie, w Arkansas, ujrzał swoją ukochaną szkołę Matumaini na zboczach masywu Kenia. Wciąż pamiętał zapach wilgoci bogatych, piaszczysto-ilastych lasów. Słyszał odgłosy małych pokrzykujących na czubkach drzew i nocne chichoty hien.

Jeszcze widział Franklina Keenea, który machał mu na pożegnanie ze stopni werandy tego dnia, gdy razem z Irwinem wyruszyli na pociąg do Mombasy.

Wydał z siebie jęk, który przypominał raczej warknięcie, a potem pochylił się i schował głowę w ramionach.

- Nic, *zupełnie nic* nie wyszło tak, jak chciałem. Dopóki nie nabawiłem się tej infekcji oczu, nigdy nie zamierzałem opuszczać Kenii. Dopóki nie okazało się, że nie uda nam się pozyskać takich funduszy, na jakie liczyłem, nigdy nie planowałem, by praca Fundacji Schaferów ograniczyła się do jednej, mało znaczącej wioski.

Po podłodze zaszurało drugie krzesło i Irwin usiadł na wprost niego.

- A dopóki nie doszło do tych rasistowskich popisów na naszym domu, żaden z nas nie zamierzał przeprowadzać takiej rozmowy. Ale jest jak jest, Ansonie, i musimy sobie z tym poradzić, czy to ulegając społecznym naciskom, czy obstając mocno przy swoim. Co wybieramy?

- Gdyby chodziło tylko o mnie i o ciebie, odpowiedź byłaby prosta. Ale tak nie jest. Musimy ostrożnie stąpać, bo w przeciwnym razie możemy napotkać na coś dużo, dużo

gorszego. - Teraz Anson miał ochotę na kawę, której nie zdążył jeszcze wypić. Wstał, mówiąc: - Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć.

^®<~~~>

Lark czuwała przy łóżku dziadka w poniedziałek przez cały dzień i noc. Około północy zjawił się pastor Vickary.

- Annemarie martwi się o ciebie - powiedział, wyrywając ją z półsnu. - Może wrócisz ze mną do domu i odpoczniesz nieco. Przywiozę cię tu jutro z samego rana.

Patrzyła na dziadka i liczyła każdy jego płytki oddech.

- Ale co, jeśli...

- Rozmawiałem z pielęgniarką, która jest teraz na dyżurze. Nic się nie zapowiada. - Pastor pomógł jej wstać. - Chodźmy. Będiesz potrzebowała siły, kiedy rzeczywiście nadejdzie ten czas.

Skinąwszy słabo, Lark pozwoliła, by mężczyzna pomógł jej założyć płaszcz. Pochyliła się jeszcze nad łóżkiem, pogładziła cienkie, siwe włosy dziadka i ucałowała go w policzek. Zamrugał i jego oddech na chwilę przyśpieszył, a potem chory zapadł dalej w cichy sen.

Gdy wychodzili do samochodu, pastor Vickary zapytał:

- Rozumiem, że nic się nie zmieniło w kwestii planów twoich sióstr?

- Tak będzie najlepiej, przynajmniej dla Bryony. Rose jest... cóż, radzi sobie tak, jak umie.

- Rozumiem, ale to duże obciążenie dla ciebie, byś musiała dźwigać to sama. Jesteś dzielną, młodą kobietą, Lark Linwood.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, ale nie czuła się ani trochę dzielna w tym momencie. Raczej... zmęczona, zrezygnowana... I odarta z nadziei.

Kilkugodzinny sen w wygodnym pokoju gościnnym państwa Vickary orzeźwił ją, ale niewiele zmienił jej sposób patrzenia na świat. Zapachy kawy, tostów i jajek zwabiły ją do kuchni, gdzie Annemarie właśnie podawała do stołu śniadanie dla Samuela i dzieci.

Kobieta zaprosiła gestem Lark, by usiadła, a potem postawiła przed nią filiżankę i spodek.

- Kawa czy herbata?

- Nie musicie mnie obsługiwać. Zrobiliście już tak wiele i nigdy nie będę mogła się wam odwdzieczyć.

- Nonsens. - Wbijając jajko na patelnię, Annemarie popatrzyła na Lark spod przymrużonych powiek - To mi wygląda na kawowy poranek. Samie, możesz, proszę, nalać Lark?

- Oczywiście, kochanie. - Pastor Vickary wstał i ucałował żonę w policzek. - Wszystko dla mojej walentynki.

Dzieci mruknęły jednogłośnie.

Dopiero wtedy do Lark dotarło, jaki był dzień - 14 lutego. Ponieważ nigdy nie miała ukochanego, z walentynkami najbardziej kojarzyły jej się papierowe serca, które razem z siostrami co roku wycinały dla dziadka. Zachwycał się każdym, a potem przypinał je do lustra na swojej komodzie i zostawały tam, by mógł podziwiać dzieło swoich wnuczek przez następne tygodnie.

W pamięci powrócił jej teraz pewien dawno zapomniany obraz. Któregoś poranka przed szkołą - Lark nie mogła mieć wtedy więcej niż dziewięć, dziesięć lat - wbiegła

z powrotem do swojego pokoju, żeby zabrać książkę do ortografii. Drzwi do pokoju dziadka były lekko uchylone i usłyszała, jak ze łzami pociągnął nosem. Zajrzała do środka i zobaczyła, że dziadek stoi przed otwartą szufladą komody, trzymając w ręce wyblakłą czerwono-różową kartkę. Przesuwając czule palcem po pierwszej stronie, szeptał: „Wszystkiego najlepszego w dniu walentynek, kochana Violeto. Tęsknię za tobą, ukochana”.

Lark przytknęła dłoń do ust i wydała z siebie zduszony krzyk, gdy przypomniała sobie o flakonach różowych goździków, które pielęgniarki przynosiły wczoraj wszystkim pacjentom do pokoi. Pomyślała, że to bardzo miłe ze strony personelu, iż pamiętają o takich drobnych znakach, by rozweselić chorych i umierających, których mają pod opieką.

Pastor stanął nad nią z dzbankiem kawy.

- Co się stało, Lark?

- To będzie dzisiaj. Wiem to. - Nagle opanował ją niepokój. - Muszę wracać. Natychmiast.

Państwo Vickary nie zadawali pytań, tylko pomogli jej szybko wyjść do samochodu. Pastor nawet nie dopuszczał myśli, że miałyby iść na piechotę, za co była mu szczególnie wdzięczna. Jego uspokajająca obecność była jak balsam na jej zdruzgotane serce.

Kiedy przyszli do dziadka, przy jego łóżku zastali panią Ballard. Popatrzyła w stronę Lark ze smutnym uśmiechem.

- Właśnie miałam poprosić kogoś, żeby zadzwonił do ciebie. To już wkrótce.

Lark przyciągnęła krzesło bliżej i ujęła dłoń dziadka. Gruźłowate palce były zimne pod jej dotykiem. Jego oddech stał się nieregularny, jeszcze płytszy niż wczoraj i ciężki.

Kiedy nie oddychał przez parę sekund, Lark odwróciła się w stronę pani Ballard z niepokojem.

- To normalne - powiedziała pielęgniarka. - Po prostu zmęczone, chore ciało kończy pracę. - Dotknęła delikatnie ramienia Lark. - Czy chcesz, żebyśmy wyszli i żebyś mogła sama się z nim pożegnać?

- Nie, proszę, zostańcie. - Lark objęła też wzrokiem pastora Vickary'ego. - Może mógłbyś się pomodlić?

- Jak najbardziej. - Pastor Vickary uklęknął koło łóżka. Jedną ręką trzymał dłoń Lark, a drugą położył na głowie jej dziadka. - Ojczy, polecamy Ci tego dobrego człowieka, byś wziął go do miejsca swojego niebieskiego odpoczynku. Pozwól, by przeszedł spokojnie tam, gdzie powitasz go swoją świętą obecnością. Obdarz tych, którzy pozostają, pocieszeniem, które tylko Ty możesz dać, i umocnij ich na te nadchodzące dni i tygodnie.

Zaraz potem nastąpiło sześć krótkich oddechów i jeden głębszy oraz drżące westchnienie, i dziadek odszedł.

18.

Nie było sensu ciągnąć kogokolwiek tak daleko do Hot Springs, by zabrać Lark i dziadka do domu. Pastor Vickary pomógł jej opłacić niedrogą trumnę w miejscowym zakładzie pogrzebowym, a potem zorganizował przejazd pociągiem do Brinkley. Michael odebrał ją na dworcu i tam też właściciel zakładu pogrzebowego zajął się ciałem dziadka.

- Jak Bryony przyjęła tę wiadomość? - zapytała Lark, gdy odjeżdżali z dworca.

- Jest zupełnie rozbita, jak my wszyscy. Żałuję, że nie zgodziłaś się, bym przyjechał po ciebie.

- I zostawiłbyś Bryony samą? Potrzebowała cię dużo bardziej niż ja.

Milczenie Michaela potwierdzało, że miała rację.

Zatrzymali się w zakładzie pogrzebowym, aby dokonać ostatnich uzgodnień w związku z pochówkiem. Nie spodziewali się żałobników z daleka, więc postanowili, że nabożeństwo pogrzebowe odbędzie się następnego dnia po południu. Michael skontaktował się już z pastorem Unsworthem, który miał przewodniczyć obrzędowi w ich kościele w Edenie.

Potem ciało zostanie złożone do grobu na przyległym do kościoła cmentarzu, tuż obok babci.

Kiedy przyjechali do domu Michaela i Bryony, Lark wahała się, czy powinna wchodzić, bo nie wiedziała, w jakim stanie będzie jej siostra. Jakże niespodziewane to musiało być dla rodziny - jednego dnia dziadek żył i wykonywał swoje obowiązki jak zawsze i nagle niecałe dwa tygodnie temu jego upadek i straszna wiadomość o chorobie. Z pewnością wszyscy liczyli na cud, ale Bóg miał inne plany. Lark podczas tych ostatnich godzin spędzonych przy łóżku dziadka, gdy patrzyła na jego pogarszający się stan, nie spodziewała się już odmiany. Nie pozostało jej nic, tylko zmierzyć się z nieuniknionym.

Kotka Bryony, Skarb, przywitała ich w wejściu. Biedne zwierzę wyglądało na zaniepokojone i zagubione, więc Lark wzięła je na ręce i głaskała mięciutkie futerko. Za uszami kotki wyczuła w palcach kołtun. Fakt, że Bryony zaniedbywała i zapominała wyczesać pupilkę dodatkowo świadczył o przygnębieniu jej siostry.

- Pewnie jest w sypialni - stwierdził Michael. - Próbowałem namówić ją, żeby się przespała, ale większość czasu płacze.

Lark odstawiła kota na dywan i przeszła na palcach przez korytarz. Zajrzała do sypialni i spostrzegła Bryony zwiniętą pod kocem.

- Bry? - wyszeptała. - To ja. Wróciłam.

Z ponownym wybuchem płaczu Bryony usiadła i rozłożyła ramiona na powitanie Lark.

- Co my zrobimy? Co my w ogóle zrobimy bez dziadka? Lark nie wiedziała, co odpowiedzieć. Już tak bardzo jej

brakowało dziadka, ale teraz jeszcze bardziej brakowało jej siostry - tej silnej, zdecydowanej Bryony, która zajmowała się rodziną po śmierci mamy, która uratowała ich od głodu, gdy podjęła pracę jako pokojówka Heathów. „Co się z tobą stało, Bry?”

Trzymały się w objęciach przez jakiś czas, a potem Lark podała Bryony chusteczkę.

- Trzymaj, osusz oczy, kochana. Nie możesz cały czas tak płakać. Michael mówi, że nie jesz i nie wysypiasz się dostatecznie. To nie jest dobre ani dla ciebie, ani dla dziecka.

- Staram się, Lark, ale ostatnio wszystko jest takie trudne. Nie... nie wiem, co się ze mną stało.

- Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze... trzeba tylko czasu. - Przynajmniej Lark miała taką nadzieję i o to się modliła każdym okrucieństwem swej wątpliwej wiary.

Kiedy Bryony się uspokoiła, Michael odwiózł Lark na farmę, gdzie czekało na nią zupełnie odmienne powitanie.

Rose ledwie raczyła podnieść wzrok znad pielienia ścieżki w ogrodzie warzywnym.

- Nastawiłam na kuchni potrawkę z królika. Możesz do niej zajrzeć.

Lark spojrzała na Michaela, który tylko bez entuzjazmu wzruszył ramionami.

- Jak Bryony płacze, tak Rose pracuje. Przykro mi, Lark, ale wygląda na to, że będziesz musiała być teraz spoiwem, które utrzyma tę rodzinę.

Nigdy o to nie prosiła ani nie pragnęła takiej roli. Westchnąwszy głęboko, poczekała aż Michael przyniesie jej walizki z bagażnika i wniesie je do domu. Pomachała mu z werandy, gdy odjeżdżał.

Gotująca się na wolnym ogniu potrawka wypełniała kuchnię mieszanką oryginalnych zapachów. Rose wciąż nie była wyśmienitą kucharką, a sądząc po zastanym w kuchni nieładzie, jej umiejętność sprzątania również schodziła na psy. Pewnie była zbyt zajęta farmerskimi obowiązkami, żeby zadbać o czystość. Lark uniosła pokrywkę garnka i skosztowała wywaru. Nie najgorszy, ale przyda się szczypta soli i ciut pieprzu. Podczas gdy Rose kończyła swoje prace na zewnątrz, Lark pozmywała naczynia i starła blaty. Dobrze było zrobić coś, co dawało widoczne rezultaty, coś, co było praktycznie potrzebne.

Zrozumiała teraz, dlaczego Rose nie chciała opuścić farmy. Co mogłaby robić w Hot Springs, oprócz siedzenia przy łóżku i oczekiwania razem z Lark? Tutaj przynajmniej dbała o to, by wszystko działało tak, jakby dziadek był zdrowy. Tu było życie, cel, sens. Tu było...

Poczuła ostre i głębokie ukłucie żalu. Upuściła ścierkę do zlewu i skuliła się, dławiąc płacz. W tym momencie otuliły ją silne ramiona i głos Ansona przeniknął ją niczym światło słoneczne w zimowy dzień.

- Jestem tutaj, Lark. Jestem.

Obróciła się w jego objęciach i oparła o jego pierś.

- Skąd wiedziałeś, że będę cię potrzebowała dokładnie w tej chwili?

- Bo kocham cię tak bardzo, że wiem, jaki to musi być dla ciebie ciężki dzień. - Musnął jej czoło ustami i przytulił ukochaną głowę do swojej piersi. - Spotkaliśmy Michaela po drodze. Martwił się o ciebie. O Rose też.

- Ma wystarczająco dużo własnych zmartwień, choćby z żoną - zauważyła Lark z ironią. Unosząc się nieznacznie,

popatrzyła ponad ramieniem Ansona. - A gdzie jest doktor Young?

- Czekaj w aucie. Chciał nam dać trochę czasu. - Anson otulił dłońmi jej policzki i popatrzył głęboko w jej oczy. Jego okulary odbijały słońce wpadające przez zachodnie okno za jej plecami. - Jak się naprawdę czujesz? Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Wyprostowała się i uśmiechnęła na siłę.

- Pomaga mi, gdy mam jakieś zajęcie. Widzisz, jaki bałagan zostawiła Rose.

Anson zaśmiał się łagodnie, zdejmując płaszcz, i od razu zrobiło się jej cieplej na sercu.

- Całkiem nieźle mi idzie zmywanie naczyń. Pozwól, że ci pomogę - zaproponował.

Kiedy stali oboje nad zlewem, Anson zmywał, a Lark wycierała naczynia, otoczyło ją poczucie, że tak właśnie jest dobrze. Wyobrażała sobie życie, w którym przygotowuje posiłki i zmywa po jedzeniu razem z nim, budzi się obok niego każdego ranka. Jej twarz oblało gorąco na ten bezwstydnym kierunek, w jakim uciekły jej myśli.

Po chwili otworzyły się tylne drzwi i do środka wszedł doktor Young.

- Widzę, że starasz się na coś przydać. Potrzebujecie jeszcze pomocy?

Anson podał Lark ostatni talerz i odwrócił się z szerokim uśmiechem.

- Ale masz wycucie czasu... Właśnie skończyliśmy.

- O tak, zawsze dobrze mi to wychodziło. - Starszy mężczyzna puścił oko, gdy podchodził do Lark. - Jak się czujesz, moja droga?

- Staram się być silna. Dziękuję, że przyjechaliście. - Przytuliła go na powitanie i dopiero wtedy zauważyła przykryte naczynie, które postawił na stole. - A co to?

- Ciasto, które pani Unsworth podała przez nas - odpowiedział. - Kazała przekazać wyrazy współczucia. Wydaje mi się, że planują również urządzić przy kościele posiłek po pogrzebie.

Lark uniosła serwetkę i zobaczyła złotobrazową kratkę z ciasta, która przykrywała gęsto poukładane plastry jabłek. Coś ścisnęło ją w gardle, gdy przypomniała sobie hojność sąsiadów po śmierci mamy. Rodzina Lark również starała się tak robić wobec innych w trudnych chwilach żałoby, ale nie spodziewała się, że znów tak szybko stanie po tej drugiej stronie.

Przypomniawszy sobie o potrawce, Lark podeszła do kuchenki, żeby zamieszać w garnku.

- Zostaniecie na kolację i kawałek ciasta, prawda? - Ale zaraz potem zdała sobie sprawę z godziny. - A to już jest po piątej. Nie musicie być w szkole, żeby przygotować się na zajęcia?

Anson i doktor Young popatrzyli na siebie znacząco, a Lark poczuła, że żołądek podszedł jej do gardła.

- Co się stało?

- Nic. Zupełnie nic. - Anson się uśmiechnął, ale niezbyt przekonująco. - Uznałem, że dużo ważniejsze jest, by dzisiaj ci towarzyszyć, więc Miranda i Callie zaproponowały, że same będą uczyć dzieci.

- Ale z pewnością będą cię potrzebować, a ja będę się źle czuła, jeśli zostaniesz. - Skoczyła szybko do szafki i wyjęła miskę na tyle dużą, żeby naładować tam dwie porcje

potrawki. - Proszę, nałożę wam trochę kolacji i będziecie mogli ją zabrać. A teraz naprawdę powinniście już iść.

Nie tego oczekiwał Anson, ale widział, że Lark nie zmieni zdania. Przyjął miskę potrawki i dwa kawałki ciasta i ruszyli w podróż powrotną do Edenu. Dotarli do szkoły kilka minut po szóstej.

Miranda przywitała ich, gdy tylko zjawili się w kuchni.

- Już wróciliście? Nie spodziewaliśmy się was tak wcześnie.

- Lark nalegała. - Anson odstawił naczynia i zrzucił z siebie płaszcz. - Ilu dziś mamy uczniów?

Miranda spuściła wzrok.

- Tylko dwóch, niestety. Daniel próbował, ale...

- Ale ich rodzice bali się, że będą kolejne kłopoty. - Powietrze ze świstem wyszło z ust Ansona. - I co mam powiedzieć, skoro sam też się tym martwię?

- Daj im czas. To niedorzeczność, która w końcu ucichnie

- stwierdził Irwin, rozkładając talerze i sztuce. Miranda, milcząco, stała z założonymi rękami i nic nie mówiła. Anson przyjrzał jej się uważnie.

- Nie zgadzasz się z tym, prawda?

- Jest mało pracy nawet dla białych. Ludzie chcą po prostu bronić swojego interesu. - Zerknęła szybko za siebie i słysząc cierpliwy głos Callie tłumaczącej coś w sali lekcyjnej, dodała: - Uwierz mi, Ansonie - mówiła ściszym tonem.

- Całkowicie cię popieram, ale Eden to spokojna społeczność i nikt nie chce tu rasistowskich zamieszek.

- Najwyraźniej w rzeczywistości wcale tak nie jest, wnioskując po tym, co ktoś z tej „spokojnej społeczności” wymawiał na froncie naszej szkoły podczas minionego weekendu.

- Ansonie. - Irwin szturchnął go w łokieć. - Usiądź i zjedz kolację. I zaufaj trochę.

Westchnąwszy z żalem, Miranda przeprosiła i wyszła z powrotem do klasopracowni. Anson usiadł na miejscu, które przygotował mu Irwin, ale stwierdził, że nie ma apetytu. W poniedziałek było czterech uczniów, we wtorek jedynie dzieci Jacksonów, a dzisiaj tylko dwoje. Szkoła została otwarta niewiele ponad tydzień temu, a już wydawało się, że jest skazana na porażkę.

„I to wszystko na nic, Panie?” - myślał z rozpaczą. Dlaczego Bóg złożył w jego sercu pragnienie uczenia, marzenie o lepszym świecie, który wypełniony byłby nadzieją i możliwościami dla dzieci wszystkich kolorów skóry, a teraz to wszystko odbierał... Najpierw przez pogarszający się wzrok Ansona, a teraz przez nienawiść i rasizm?

„Byłem niewidomy, a teraz widzę” - taką odpowiedź dał faryzeuszom człowiek, którego uzdrowił Jezus. Czyżby Anson był tak zaślepiony własnymi planami i ambicjami, że rozminął się gdzieś z wolą Bożą?

Irwin wstał i zabrał talerz z potrawką, której Anson prawie w ogóle nie tknął.

- Podejrzewam, że nie masz też ochoty na ciasto. Wyrwany z zamyślenia Anson mruknął tylko:

- Może później.

- Odłożę twoją porcję potrawki i kawałek ciasta na tę chwilę w środku nocy, kiedy już będziesz miał pustkę w żołądku.

Anson w odpowiedzi uśmiechnął się cierpko, najlepiej jak potrafił w tych okolicznościach. Gdyby mógł prowadzić samochód, pojechałby z powrotem na farmę i szukał pocieszenia w obecności Lark. Tylko że to on powinien jej dać pocieszenie. Zastanawiał się, jak Lark i Rose radziły sobie dzisiaj, czy były dla siebie wzajemnym pocieszeniem, czy raczej przeszkadzały sobie przez zupełnie odmienne charaktery.

I jeszcze coś innego go trapiło - rosnące przeczucie, że Lark będzie się czuła teraz w obowiązku, by porzucić szkołę Schaferów i jeszcze na dłuższy czas odroczyć studia, żeby pomóc Rose prowadzić farmę. Choć młodsza siostra była dzielna i zdeterminowana, jak miała radzić sobie sama z utrzymaniem dzierzawionej ziemi?

Jęknąwszy z frustracją, Anson odsunął się od stołu.

- Chyba pójdę zobaczyć, jak idą lekcje. Mogę cię zostawić z naczyniami?

- Patrząc na twoje dłonie zniszczone po zmywaniu u Lark, jakże mógłbym ci odmówić?

Anson uśmiechnął się beznamiętnie i wyszedł na korytarz. Zatrzymał się przed salą lekcyjną i słuchał Callie tłumaczącej młodszemu chłopcu, jak rozwiązać problem z arytmetyki. Jej łagodny ton nie zniechęcał dziecka, nawet gdy popełniło jakiś błąd. Kiedy Callie skończy college, będzie świetną nauczycielką.

To pomyślawszy, odczuł ukłucie w środku. Lark powinna być teraz w Henderson, by ukończyć studia. Za sprawą namów Franklina Keenea zrezygnowała z college'u, żeby jechać do Kenii. Przez Ansona postanowiła odroczyć powrót na uczelnię, aby pomóc mu przy jego fundacji. Wyglądało

na to, że nie tylko jego plany zostały zniszczone. Przyczynił się także do zniszczenia przyszłości Lark.

Michael czekał pod drzwiami łazienki, nasłuchując, jak Bryony pozbywa się śniadania... albo raczej tych śladowych ilości jedzenia, na które udało mu się ją namówić. Powinna zacząć przybierać na wadze, a nie tracić. Dobrze pamiętał ten dzień, gdy Miranda wróciła do domu dwa lata temu -brzemienista i bliska śmierci głodowej. Nie chciał nawet myśleć, co by się stało, gdyby Bryony nie wzięła jej pod swój dach i gdyby służba nie posyłała im codziennie jedzenia. Michael wciąż dziękował Bogu za to, że jego siostra wróciła do życia, że urodziła zdrowego chłopca i za to, że ich ojciec w końcu przebaczył... choć Michael nadal uważał, że o wiele za późno. Oparł czoło o drzwi.

- Bryony? Wpuść mnie, proszę, to ci pomogę.

- Nie. Nie chcę, żebyś mnie oglądał w takim stanie. - Zakaszlała i wymiotowała. - Daj mi jeszcze minutkę.

Minęły dwie minuty, potem pięć. W końcu drzwi do łazienki otworzyły się. Bryony była bardzo blada, słaba i roztrzęsiona.

- Już mi lepiej. Znalazłeś moją szarą suknię?

- Położyłem ją na łóżku. Kochanie, nie musimy jechać. Wszyscy zrozumieją.

- Mam opuścić pogrzeb dziadka? - Przytrzymując się jedną ręką ściany, ruszyła niepewnie w stronę sypialni. - Muszę jechać. Moje siostry mnie potrzebują.

„Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo. I jak bardzo ja ciebie

potrzebuję" - odpowiedział jej w myślach.

Kiedy pomagał jej się ubierać, przypomniał sobie o rozmowie, którą odbył z Samem Vickarym tamtego dnia, gdy przyjęto dziadka Bryony do zakładu opiekuńczego. Na osobności Michael zwierzył mu się ze zmartwień dotyczących zdrowia Bryony, obaw, że jeśli ona nie wyjdzie z tego przygnębienia, może stracić dziecko.

- Jej lekarz stwierdził, że to przypadłość związana z ciążą i nie da się z tym nic zrobić, tylko trzeba przeczekać - wyjaśnił Michael. - Ale nie mogę patrzeć, jak ona się tak męczy. Po chwili zadumy Sam zaproponował mu coś nieoczekiwanego:

- Jeśli zechcecie i będziecie gotowi, przywieź ją tutaj. Mamy tu kompetentny i troskliwy personel. Będą mogli zadbać o twoją żonę w taki sposób, w jaki ty nie byłbyś w stanie.

i co równie ważne - mówił dalej były kapelan wojskowy - ja także tu będę, żeby was wspierać.

W tamtej chwili Michael nawet nie brał tego pod uwagę. Przecież powinien umieć sam zadbać o potrzeby żony.

„Jeśli zechcecie i będziecie gotowi...”

Bryony wspierała się mocno na jego ramieniu, gdy wychodzili do samochodu i właśnie wtedy Michael podjął decyzję. Nie można już tego dłużej ciągnąć. Jutro z samego rana zabiera Bryony do Hot Springs.

- Rose!?! - krzyknęła Lark z werandy. - Rosie, gdzie ty jesteś? Musimy już jechać do kościoła.

Ognistoczerwona burza włosów wychynęła zza traktora.

- Muszę tu skończyć. Pięć minut, dobrze?

- Nie, *nie* dobrze. - Lark pchnęła drzwi i przeszła przez podwórko. - Przestań grać na zwłokę, Rose. Możesz sobie grzebać w tym żelastwie do końca świata, ale to nie zmieni faktu, że...

Dolna warga jej siostry drżała. Próbowwała to ukryć, schylając się po klucz ze skrzynki na narzędzia.

- Och, Rosie, chodź no tu. - Lark przyciągnęła ją w objęcia, czując opór każdego jej mięśnia. - Nie ma nic złego w płakaniu, kochanie. Wyrzuć to z siebie.

- Nie potrafię. - Pociągnęła głośno nosem. - Dziadek liczy na mnie. Muszę...

- Nie, nie musisz. W każdym razie nie dzisiaj. - Z niewzruszoną miną Lark skierowała Rose w stronę domu. - Masz się umyć i ubrać w najlepsze rzeczy.

Trzeba było ją trochę dopingować, ale w końcu udało się nakłonić najmłodszą siostrę, żeby założyła swoją jedyną elegancką sukienkę, rozczesała włosy i zaplotła warkocz.

- Świetnie. Teraz już wyglądasz bardziej przyzwoicie.

- Wyglądam jak baba.

- Wyglądasz jak piękna dziewczyna, którą jesteś. - Lark założyła siostrze kosmyk włosów za ucho. - Dziadek może i liczył na ciebie, że zajmiesz się farmą, ale jestem pewna, że patrzy z nieba i ma nadzieję, że nie przyniesiesz mu wstydu wobec wszystkich znajomych, którzy przyjdą się z nim pożegnać. A teraz wkładaj płaszcz i jedziemy.

Lark dała siostrze prowadzić, licząc, że to zadanie zajmie jej myśli. Rose wzięła się w garść i szło jej całkiem dobrze, ale kiedy skręciły i zajechały pod kościół, ta zahamowała gwałtownie, wołając:

- Dobry Boże, wygląda na to, że zjawili się wszyscy z całego hrabstwa.

Lark przełknęła, bo miała wrażenie, że coś uwięzło jej w gardle. Biorąc pod uwagę, od jak dawna dziadek uprawiał ziemię na plantacji Brookbirch, mogła się spodziewać wielu ludzi, ale to przechodziło najśmielsze oczekiwania.

Caleb Wieland podszedł od strony drzwi Rose i pomógł jej wysiąść. Wziął ją w ramiona i łagodnie kołysał.

- Ogromnie mi przykro, Rose. Ogromnie przykro.

Na ten widok w oczach Lark stanęły łzy. Wyszła z pick-upa i zauważyła, że Anson już na nią czeka. Podał jej swoją chusteczkę.

- Kościół jest pełny... Zostały tylko miejsca stojące, no i ławka z przodu dla waszej rodziny. - Przekrzywił lekko głowę i uśmiechnął się do niej czule z wyrozumiałością. - Sprawiasz wrażenie, jakbyś potrzebowała ramienia do oparcia. Czy mogę wprowadzić cię do środka?

- Tak, dziękuję ci. - Lark zacisnęła palce na rękawie jego płaszcza. Dotyk szorstkiej wełny, choć gryzącej, niósł pocieszenie. - Usiądź, proszę, z nami. Na pewno będzie miejsce.

Zawahał się.

- To nie byłoby właściwe. Zresztą Irwin zajął już dla nas miejsca.

Lark chciała już go przekonywać, gotowa zaprosić do ich ławki również doktora Younga, ale coś w wyrazie twarzy Ansona sprawiło, że się powstrzymała.

W przedśionku spotkała pastora Unswortha.

- Twoje siostry już siedzą. Jesteś gotowa, moja droga? -zapytał.

Skinęła, niechętnie zmieniając ramię Ansona na towarzystwo pastora i ruszyli razem głównym przejściem.

Widzieć te wszystkie samochody i powozy konne zaparkowane przed kościołem to jedno, ale oglądać ten ogrom -przyjaciół, znajomych, to drugie. Przyjechał nawet Sebastian Heath. Lark nie widziała pani Heath i zastanawiała się nad powodami jej nieobecności. Wiedziała, jak bardzo niepokoił Michaela pogarszający się stan pamięci matki.

A potem dostrzegła trumnę i zachwiała się. Przed oczami mignęły jej obrazy z życia dziadka, gdy wydawał się zdrowy jeszcze kilka tygodni temu. Jak to możliwe, że gromadzili się tutaj dzisiaj, żeby złożyć jego ciało do grobu?

Otępiąła i oszołomiona usiadła w ławce obok Rose. Westchnąwszy z drzeniem, chwyciła mocno jej dłoń. Siostry splotyły ze sobą palce. Rose uśmiechnęła się trwożliwie, a potem ujęła rękę Bryony. Wszystkie trzy ścisnęły się razem i nawet nie powstrzymywały łez, gdy pastor Unsworth zaczął nabożeństwo.

Jakimś cudem udało im się dotrzeć do końca. Wciąż trzymając się mocno, stały potem nad grobem, kiedy pastor odczytywał fragment z Księgi Rodzaju: „W pocie więc oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie, póki nie wrócisz do ziemi, z której zostałeś wzięty; bo prochem jesteś i w proch się obrócisz!”.

I z Ewangelii według świętego Jana: „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele. Gdyby tak nie było, to bym wam powiedział. Idę przecież przygotować wam miejsce”.

Rose zbliżyła się do ucha Lark.

- Myślisz, że Bóg pozwoli dziadkowi uprawiać rolę w niebie?

- Może po tym, jak anioły skończą świętować jego przyjście. - Lark nie mogła powstrzymać śmiechu przez łzy. -Przynajmniej w niebie nie ma suszy, a torebki nasienne bawełny nie rozszarpują palców.

Caleb, Michael i dwóch innych sąsiadów opuścili trumnę do grobu. Jeszcze tylko Lark i jej siostry rzuciły symbolicznie ziemię z łopatką, a pastor Unsworth wypowiedział kolejną modlitwę i cały tłum żałobników, klucząc między nagrobkami, wrócił do budynku kościoła. W trakcie obrzędów na cmentarzu kilka pań z Kościoła powykładało na stoły w przykościelnej salce jedzenie, które przynieśli uczestnicy pogrzebu w ramach stypy. Zwykle to pomieszczenie służyło w ciągu tygodnia za szkołę, ale pogrzeby były ważniejsze, dlatego dzisiaj dzieci wypuszczono wcześniej. Wiele z nich wciąż biegało po podwórzu kościelnym, ciesząc się pogodnym lutowym popołudniem, podczas gdy ich rodzice składali kondolencje Lark i jej siostrze.

Kiedy już wszyscy się najedli, a ostatni znajomi pozabierali swoje dzieci oraz naczynia po stypie, by wrócić do swoich codziennych zajęć, Rose podeszła i szarpiąc Lark niecierpliwie za ramię, rzekła:

- Czekają na mnie obowiązki na farmie. Możemy już wracać?
- Tak, za minutkę. - Lark rozejrzała się po pustym pomieszczeniu. - Widziałaś gdzie Bryony?

Rose spochmurniała.

- Michael zabrał ją do kościoła, gdzie było cicho. Nie podoba mi się, jak ona wygląda, Lark.

- Mnie też nie. Może zagłędniemy do niej, zanim odjedziemy.

Odnalazły Bryony w ostatniej ławce, gdzie łkała cicho na ramieniu męża. Michael podniósł wzrok, gdy Lark podeszła bliżej. Jego zmartwione spojrzenie mówiło więcej niż tysiąc słów. Ucałował Bryony w skroń, wstał i wyszedł z ławki, a potem gestem przywołał Lark i Rose do przedsionka.

- Już postanowiłem - oświadczył. - Jutro z samego rana zabieram Bryony do Hot Springs do sanatorium, w którym przebywał wasz dziadek.

Lark struchlała.

- Ona chyba nie jest...

- Nie, nie. Mam nadzieję, że wyjdzie z tego. Ale potrzebuje lepszej pomocy, niż ja jej mogę zaoferować. - Michael przeczesał włosy zdrętwiałymi palcami i zerknął w stronę prezbiterium. - Już z nią o tym rozmawiałem. Zgadza się i rozumie, że to dla jej dobra.

- Zostaniesz tam z nią?

- Tak. Sam Vickary zaproponował mi pokój gościnny. Rose starła łzę z policzka i odsunęła się.

- Cała moja rodzina... Tracę ich wszystkich.

- Nie, nie tracisz, kochanie. - Lark w geście pocieszenia otoczyła ręką ramiona siostry. - Bry wróci, gdy wydobrzeje. - Rzuciła okiem na Michaela, szukając potwierdzenia. -A ja nigdzie się nie wybieram.

- Nie wierzę ci. Może teraz pracujesz dla Ansona, ale gdy tylko będziesz mogła, wrócisz do college'u, a potem wyfruniesz gdzieś, żeby uczyć.

Lark ścisnęła mocniej siostrę, potrząsając nią lekko.

- Och, mylisz się... Jest tak, jak ci powiedziałam, Rosie Linwood. Zostaję z tobą na farmie, dopóki będziesz chciała ją utrzymywać. I obiecuję, że będę pracować razem z tobą

nawet do końca naszego życia.

Zanim skończyła mówić, podniosła wzrok i dostrzegła w wejściu Ansona. Zmrużył oczy i zacisnął usta, a potem schylił głowę w niemym zrozumieniu i odwrócił się.

Serce Lark rozdarło się w otchłań ziejącą żalobą, żalem i gorzką rozpaczą. Wszystkie jej marzenia, wszystkie te cudowne pałace, które budowała w wyobraźni... wszystko to legło w gruzach.

19.

Minął tydzień, potem kolejny. Mając pewność, że Lark nie wróci do szkoły, Anson z trudem przeżywał dzień za dniem. Nie pomagało mu też to, że liczba uczniów zmalała do dwóch rolniczych rodzin i dzieci braci Jackson. Anson, Irwin i Daniel jeździli razem i osobno, odwiedzając innych rodziców, ale wymówki niewiele się od siebie różniły. Było dużo pilnych obowiązków na farmie, nadchodził sezon wiosennych zasiewów i potrzebowali każdej pary rąk. Najwyższy czas, by również młodsze dzieci przyłożyły się do pracy.

Anson poirytowany do granic obłędu w końcu zapytał jednego z ojców wprost:

- Czy to dlatego, że szkoła jest nie tylko dla białych?

Mężczyzna nie spojrział mu w oczy, ale wysunięty podbródek i spięta sylwetka mówiły same za siebie. Anson wypadł z tamtego domu, gotowy już wsiąść na najbliższy statek do Kenii. Wolał ryzyko całkowitej utraty wzroku, niż użeranie się z rasowymi uprzedzeniami tych durnych bigotów.

Któregoś popołudnia, gdy zabierał się, by przejrzeć pocztę, którą Irwin dopiero co przywiózł, przyjaciel usiadł

z hukiem po drugiej stronie biurka.

- Jak długo masz zamiar snuć się jak zbity pies?

- Nie snuję się - odburknął Anson, grzebiąc w szufladzie w poszukiwaniu noża do otwierania listów.

- To jak to określisz w takim razie? Stale masz na twarzy grymas niezadowolenia, który ledwie ustępuje i zmienia się w marsową minę na czas przyjazdu uczniów - powiedział. - Chodzisz wcześniej spać, wstajesz później i ostatnie kilka razy, gdy proponowałem grę w szachy, spławiłeś mnie.

- Mam już dość szachów. I co z tego? - Anson rozciął kopertę, niemal odcinając sobie przy tym kawałek palca. Skrzywił się i zaczął szukać w kieszeni chusteczki, żeby zatamować krwawienie.

Irwin parsknął.

- Popatrz teraz, co narobiłeś. Znów mało co nie odciąłeś sobie ręki i zniszczyłeś całkiem porządną chusteczkę.

- Jest moja, mogę ją zniszczyć. - Odwróciwszy się bokiem, Anson walczył z listem, próbując go otworzyć zranioną dłonią. Zajęło mu chwilę, by skoncentrować wzrok na tekście, ale gdy tylko wypisane na maszynie słowa nabrały kształtów, westchnął przeciągle ze zmęczeniem i rzucił list na biurko, uderzając całą dłonią o blat.

- Co się stało? - Irwin podniósł kartkę. Gdy sam przeczytał, jego kpiący uśmieшек zbladł. - Ojej. Dotacje z parafii w Fort Smith stanowią znaczną część naszych funduszy.

- No i kolejny gwóźdź do trumny. Powiedz mi, Irwinie, ale tak szczerze, co nam się tu udaje osiągnąć?

- Pracujemy zaledwie od miesiąca. Powinniśmy dać sobie czas.

- Nie dość, że ledwie wiążemy koniec z końcem, to jeszcze nie udaje nam się służyć tym dzieciom, które potrzebują nas najbardziej. Tak ma być? - Anson zerwał się z siedzenia i podszedł do okna. - Wciąż słyszy się o tych wszystkich upadających bankach. Kto wie, czy nie okaże się, że nasze konta również znikną? I wcale nie wiadomo, jak długo potrwa ten kryzys. A jak się skończy, wcale nie ma pewności, czy te niewielkie środki, które posiadamy, nadal będą dostępne.

Irwin nie odpowiedział od razu, a kiedy to uczynił, w jego głosie nie było już słycać uszczypliwości.

- Pan Bóg zawsze się troszczył o nasze potrzeby i teraz też będzie. Myślałem, że dojdziemy do wniosku, że wykształcenie choćby jednego dziecka i ofiarowanie mu lepszych szans jest warte naszego wysiłku. Bo przecież to robimy, prawda? Powiedz mi w takim razie, co tak *naprawdę* cię gryzie?

Anson zwiesił głowę.

- Tęsknię za Lark. Tęsknię za nią tak bardzo, że aż mnie boli w piersi. Każdy dzień bez niej przyprawia mnie o coraz większe cierpienia.

- Tak mi przykro, mój drogi. - Irwin podniósł się z krzesła i stanął obok Ansona przy oknie. - Czy pomogłoby ci, gdybyśmy pojechali ją odwiedzić?

- Wyraziła się jasno, kiedy przyjechała tu dzień po pogrzebie. Jej priorytetem jest Rose, a Rose jest zdecydowana utrzymać farmę.

- To przecież nie może trwać długo, prawda? Dwie młode kobiety próbujące samodzielnie utrzymać się z roli?

- Spędziłeś wystarczająco dużo czasu w towarzystwie Rose,

żeby wiedzieć, jak wiele ta farma dla niej znaczy. Nie podda się bez walki.

Irwin stanął na wprost Ansona i unosząc brwi, oświadczył:

- Mam szczerą nadzieję, że ty również.

- Że się nie poddam? Chodzi ci o szkołę? -1 o Lark.

Irwin przeszywał go tak surowym wzrokiem, że Anson aż się cofnął.

- Wygląda na to, że wybór w obu tych kwestiach nie leży w mojej gestii.

- Widzisz to, co chcesz zobaczyć. - Irwin potrząsnął szybko głową i wyszedł z sekretariatu.

Nie to Anson chciał zobaczyć, w żadnej mierze. Chciał zobaczyć, że jego szkoła kwitnie i wypełnia się chętnymi do nauki uczniami. Chciał zobaczyć koniec rasowych uprzedzeń, raz na zawsze.

Chciał znów zobaczyć Lark, trzymać ją w ramionach i mówić jej, jak bardzo ją kocha i że nie potrafi sobie wyobrazić tu życia bez niej.

Nagle zadzwonił telefon i Anson aż podskoczył. Złapał za słuchawkę.

- Halo, szkoła Schaferów?

- Halo, Ansonie. Tu Miranda. Pomyślałam, że powinnam zapytać, zanim przyjdę. - Usłyszał niepewność w jej głosie.

- Czy będziesz dziś potrzebował mnie i Callie?

- Dziękuję, ale nie. Pewnie przyjdą tylko dzieci Jacksonów.

- Anson się zawahał. - Naprawdę doceniam wasze zaangażowanie, ale biorąc pod uwagę frekwencję...

Miranda westchnęła.

- Wszyscy mieliśmy nadzieję, że będzie większa. Przykro mi, Ansonie. Jeśli jednak coś się zmieni, daj nam znać.

- Z pewnością.

Następnie naskrobał grzeczną odpowiedź dla parafii w Fort Smith i zaadresował kopertę, którą zamierzał wysłać z jutrzejszą pocztą. W tym czasie Irwin przygotował lekką kolację, którą zjedli w milczeniu.

Nadeszła szósta, a potem szósta trzydzieści i siódma, ale dzieci Jacksonów się nie zjawily. Anson stał na frontowej werandzie i wypatrywał błysku świateł samochodu ponad okrywającym się zmierzchem trawnikiem. Przygnieciony rozczarowaniem, podreptał z powrotem do środka i zaczął zamykać podręczniki i zbierać ołówki.

Kiedy wyłączył światła w mniejszej klasopracowni, na korytarz wyszedł Irwin.

- Chodź do kuchni. Natychmiast.

Zbyt zmęczony na zadawanie pytań, Anson posłusznie poszedł. W drzwiach stłumił okrzyk zaskoczenia.

- Noah?

- Przepraszam, że dzisiaj nie przywiózł dzieciaków, panie Schafer. Jakem już powiedział do doktorowi Youngowi, mielimy trochu stracha w tym tygodniu. - Noah zerknął nerwowo za siebie. - Nie chciał ja, żeby kto mnie widział, że tu przyszedłem, więc zakradłem się od tyłu.

Anson podszedł bliżej.

- Co was przestraszyło? Czy coś się komuś stało?

- Nie, psze pana, chwalić Boga. Ale ktoś powiesił kurczaka bez głowy na naszej werandzie wczorej w nocy i ostrzeżenie, coby nie uczyć naszych dzieciaków. - W jego pełnych żalu oczach widać było przeprosiny, gdy powłócząc nogami,

skierował się w stronę drzwi. - Ja i Zeke doceniamy pana wysiłki dla nas, ale nie chcemy powodować panu wincej problemów. Sobie też nie. Musimy chronić nasze rodziny.

- Rozumiem. - To było kłamstwo, ale Anson nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć. Nie mógł winić dobrego człowieka, który chciał dla swoich dzieci jak najlepiej. Jego starsze dzieci czytały na tyle dobrze, że mogły sobie same poradzić i pomóc również tym młodszym.

- Jestem panu wdzięczny. Pan to życzliwy i hojny człowiek, panie Schafer. Dumny jestem, że pana znam.

Z pomocą Irwina Anson wybrał kilka książek do arytmetyki i parę elementarzy, a potem spakował je w karton razem z zeszytami i ołówkami. Noah zniknął tak cicho, jak się zjawiał, a kiedy poszedł, Anson opadł na najbliższe krzesło.

- To już koniec - rzekł. - Nie zakładałem tej szkoły, by służyć tylko białym dzieciom. Jeśli nie może być otwarta dla wszystkich, nie będzie już więcej działać.

- Pomyśl o tym, co mówisz, Ansonie. - Irwin usiadł i popatrzył mu surowo w oczy. - Przecież to nie wina tych dzieci, że urodziły się w przeżartym bigoterią społeczeństwie. Czyż nie zasługują na to, żeby otrzymać wykształcenie? A kto wie... Może Bóg wzywa cię, żebyś pokazał im, jak żyć w harmonii z ich braćmi i siostrami w Chrystusie.

- Nie wiem. - Anson zsunął z nosa okulary i masował oczodoły. - Po prostu nie wiem.

- Wkrótce się dowiesz, synu. Wierzę w ciebie. - Irwin wstał i zamknął tylne drzwi. - Idę do łóżka. Do zobaczenia rano.

Anson siedział przy stole jeszcze dłuższą chwilę. Wiedział, że jego przyjaciel miał rację - nie był sprawiedliwy dla tych

dzieci, które mógł uczyć. A bez problemów z kwestiami rasowymi może więcej białych rodzin zdecydowałoby się na kształcenie swoich pociech.

W głowie Ansona wybrzmiewał fragment jego ulubionej pieśni:

*W Chrystusie nie ma Wschodu czy Zachodu, w Nim nie ma Północy czy Południa, ale panuje braterstwo miłości aż po krańce całej ziemi... Złączmy dłonie, apostołowie w wierze, ze wszystkich ras! Kto służy Ojcu jak syn, jest moim krewnym*⁷.

Pokój w Chrystusie i braterstwo wszystkich wierzących, niezależnie od koloru skóry... Czy takie marzenie w ogóle było możliwe?

Tęsknota za powrotem do Kenii paliła go w piersi. Tam czuł się jak w domu. Oczywiście, były pewne problemy, ale wierzył, że robi coś ważnego. Tutaj... jego praca zmieniła się w długą, wykańczającą, żmudną i najwyraźniej daremną walkę. Byłoby tak łatwo, gdyby mógł po prostu odejść, wrócić do szkoły Matumaini i zająć się tym, co zostawił za sobą.

Tak łatwo za wyjątkiem jednej... nie, nawet nie jednej, ale trzech rzeczy. Po pierwsze, Irwin nie dałby mu spokoju. Po drugie, nie mógł po prostu wrócić, przejąć sterów i odesłać z powrotem Franklina Keenea do domu.

A po trzecie, choć perspektywy wspólnej przyszłości z Lark coraz bardziej się odsuwały, nie mógł nawet znieść myśli, że jest od niej oddalony o kilka kilometrów, więc jak miałby przeżyć, gdyby dzielił ich Atlantyk, a on mieszkałby na zupełnie innym kontynencie?

⁷ Oryg. *In Christ There Is No East or West*, John Oxenham (tłum. własne).

Nieważne, jak żmudne lub obmierzłe zajęcia wyznaczała jej Rose, Lark nie potrafiła się przemóc, by pracować w ogrodniczkach tak jak jej siostra. Większość jej sukienek i tak była już stara i zużyta, a ona wolała dużo bardziej szum spódnicy wokół nóg niż szorstką sztywność dżinsu.

I choć nawet sama przed sobą nie ważyła się tego przyznać, nie chciała wyglądać „zbyt” niekobieco na wypadek, gdyby Anson zapędził się w te strony.

Co prawda nie miała prawa oczekiwać odwiedzin, mając na uwadze to, jak go odprawiła po pogrzebie dziadka. Ale co innego niby miała zrobić? Rose nie była w stanie sama utrzymać farmy, a Lark niewiele mogłaby jej pomóc, gdyby spędzała większość każdego dnia w szkole.

A teraz w dodatku Bryony przechodziła rekonwalescencję w Hot Springs, więc Rose potrzebowała poczucia stałości i bezpieczeństwa, które mogła dać jej tylko Lark. Ta dziewczyna może i miała silne ciało i zdecydowany umysł, ale emocjonalnie wciąż była młoda i wrażliwa.

Po wydojeniu Hermiony i wypieleniu warzywnika, Lark przeszła na skraj pola, które Rose właśnie orała. Stary traktor przesuwał się z warkotem i burczeniem, zostawiając za sobą długie, proste bruzdy, z których za kilka tygodni wzejdą zielone pędy bawełny.

Gdy Rose nadjeżdżała z naprzeciwka, Lark pomachała jej i zaczęła, aż się zatrzyma na końcu rzędu.

- Jadę do miasta po zakupy i żeby wysłać nasze listy do Bryony. Gdy wrócę, przygotuję lunch.

- Zajrzyj, proszę, do sklepu z paszami i nasionami - zawołała Rose, przekrzykując ryk traktora. - Chciałabym wiedzieć, ile nas będą kosztować w tym roku nasiona bawełny.

Pieniądze, zawsze drażliwy temat. Tym trudniejszy od czasów suszy. Dziadek zdołał w nieznacznym stopniu spłacić zadłużenie farmy w zeszłym roku, ale sytuacja wciąż była zbyt napięta, by mogły się czuć swobodnie. Lark już teraz brakowało tej niewielkiej pensji, którą wypłacał jej Anson. Może powinna zapytać, czy nie mogłaby pracować dorywczo.

Nie, to byłoby igranie z ogniem. Poza tym przecież i tak pracowała od świtu do zmroku, starając się nadażyć za niekończącymi się obowiązkami na farmie. Miała wrażenie, że bez dziadka wszystko schodziło im dwa razy dłużej i potrzeba było dwa razy więcej wysiłku. Nawet gdy jeszcze żył, ta praca była wyczerpująca, ale trzy siostry współdzieliły ciężar. Teraz, kiedy została tylko Lark i Rose... obawiała się, że obie tu oszaleją.

Jazda do miasta była dla niej chwilą wytchnienia. Potraktowała ją jako nieśpieszną wycieczkę, ciesząc się mijanymi widokami. Środkowe Arkansas było na swój sposób piękne, z malowniczymi polami uprawnymi rozciągającymi się wokół jak okiem sięgnąć. Lark nie cieszyła się tak farmą, gdy mama po raz pierwszy je tu przywiozła, ale teraz patrzyła na te ziemie inaczej. To był jej dom - był nim przez większość jej życia. Właściwie nie pamiętała już domu w Memphis. Tylko za każdym razem, gdy odwiedzała Bryony i Michaela w ich domku w Brinkley, miała wrażenie, że jest w nim coś znajomego. Te wspomnienia innego życia zapewne sprawiały, że Bryony była tam tak szczęśliwa, przynajmniej jeszcze do niedawna.

Robiło jej się żal, gdy zbyt wiele myślała o Bryony. Miała nadzieję, że razem z Rose uda im się wyrwać na chwilę i pojechać w odwiedziny do najstarszej siostry.

Po krótkim przystanku w sklepie z paszami, żeby zapytać o ceny produktów, których potrzebowała Rose, Lark zaparkowała przed sklepem wielobranżowym. Z koszykiem na zakupy w jednej ręce i listą zakupów oraz kopertą z listami w drugiej weszła do sklepu.

- Dobry, panno Larkspur. - Joe wynurzył się zza jednej z półek wystawowych. - W czym mogę pomóc?

- Chciałam kupić parę rzeczy i nadać list. - Lark zmarszczyła brwi, gdy popatrzyła na półkę z żywnością konserwową. - Widzę, że ceny znów wzrosły.

- Każdy jeden musi z czegoś żyć. Panienska weźmie, co potrzebuje, a ja nadam list. - Joe wyszedł bocznymi drzwiami i Lark słyszała, jak szeleści za okienkiem pocztowym.

Chwilę później wrzuciła do koszyka mąkę kukurydzianą, suszoną fasolę i cztery podeschnięte jabłka. Gdy zobaczyła ceny, jakie Joe miał za mięso mielone i rumszyk wieprzowy, stwierdziła, że Rose będzie woląla raczej zabić kolejną kurę albo ustawić więcej pułapek na króliki.

- Lark?

Na dźwięk głosu Ansona obróciła się gwałtownie i o mało co nie upuściła koszyka.

- W-witaj - wyjąkała, a serce jej waliło nieznośnie. - Miło cię widzieć. Jak się masz?

Uszanował dystans między nimi.

- Dobrze, a ty?

- W porządku. - Taka trywialna rozmowa, by uniknąć tego, co naprawdę chciała powiedzieć: „Kocham cię i tęsknię za tobą tak bardzo!”. - Jak tam w szkole?

Nagła zmiana w jego postawie mówiła jej, że nie powinna była pytać. Uciekł wzrokiem, a mięśnie jego twarzy się spięły.

- To był trudny tydzień.
- Czy mogłabym jakoś pomóc?
- Nie, raczej nie. - Jego wymuszony uśmiech wcale jej nie przekonywał. - Po prostu przyszedłem, żeby nadać list.

Dostrzegłszy kopertę w jego ręce, Lark nie mogła się powstrzymać, żeby nie zerknąć na adres.

- To ta wspólnota, która była tak hojna, jeśli chodzi o datki na szkołę?

- Do teraz tak. Jednakże sytuacja finansowa nie pozwala im już dłużej nas wspierać.

- Och, nie! I co teraz zrobisz?

- Jeszcze nie podjęliśmy decyzji. - Anson wzruszył bezradnie ramionami. - Muszę to załatwić i wracać do szkoły. Pozdrów ode mnie Rose.

Kiedy podchodził do okienka pocztowego, patrzyła na jego przygarbione plecy, wyraźnie świadczące o przygnębieniu, i serce ścisnęło się jej z żalu. Jego obojętność bolała ją jeszcze bardziej. Stali się sobie tacy bliscy w ciągu ostatnich miesięcy, ale teraz zachowywali się jak zwykli znajomi...

Joe wyszedł zza okienka pocztowego i przeszedł do kasy.

- Nie ma dziś dla was listów, panno Lark. Znalazła panienka wszystko, co potrzeba?

Powiodła wzrokiem za wychodzącym ze sklepu Ansonem.

- Tak, chyba tak. Joe podliczył zakupy.

- Dopisać na wasze konto jak zawsze?

- Poproszę.

Unosząc brew, sprzedawca wręczył jej rachunek i wskazał na zapis na dole.

- Tutej ma panienska stan kredytu na dzień dzisiejszy. Będę wkrótce potrzebował wpłaty. W przeciwnym wypadku nie będę mógł już więcej dopisywać was na zeszyt.

Lark spojrzała na sumę i wzdrygnęła się.

- Nie wiedziałam, że mamy aż tyle długu.

- Nie chciał ja prosić o spłatę, zwłaszcza po tym jak straciłyście dziadka i wogle. Ale biznes to biznes.

- Rozumiem. - Skinąwszy krótko, Lark zabrała koszyk z zakupami i wyszła powoli ze sklepu do auta.

Siedząc za kierownicą, schowała głowę w dłoniach. Jak one mają spłacić rachunek w sklepie *i jednocześnie* kupić ziarna bawełny na najbliższe uprawy? Rose zapewne знаła się na roli, ale czy ona miała w ogóle pojęcie, ile może kosztować jej upór i zacięcie w utrzymywaniu farmy?

Wieczorem, po kolacji Lark zamierzała się tego dowiedzieć.

- Musimy porozmawiać, Rose.

- Sprawdziłaś ceny nasion bawełny?

- Tak. - Lark sięgnęła do kieszeni i wyjęła skrawek kartki, który dał jej sprzedawca w sklepie z paszami i ziarnami. Przesunęła go po blacie stołu, mówiąc: - Ale to nie wszystko. Joe prosił, żebyśmy wpłaciły coś na nasz zeszyt w sklepie.

- Hmm. Dam ci jakieś pieniądze, żebyś mu zawiozła.

- Dasz mi jakieś pieniądze? - Lark otworzyła bezwiednie usta.

- Że niby co, pojechałaś i obrobiłaś jakiś bank, kiedy ja rano byłam w mieście?

Rose popatrzyła na nią, jakby jej siostra straciła rozum. Co, w tym momencie, nawet wydawało się prawdopodobne. Mruknąwszy z irytacją, Rose wstała i wyszła z pokoju.

- Gdzie ty idziesz? Musimy...

- Porozmawiać, wiem. Zaraz wracam.

Lark nie czekała. Zerwała się na nogi i poszła za Rose do sypialni dziadka.

- Co ty robisz?

- Powiem ci zaraz, jak tylko dasz mi jeszcze pięć sekund. Fala różnych uczuć przygniotła Lark, gdy patrzyła, jak jej siostra zapala lampę olejną na biurku. To była przestrzeń dziadka, a zapachy starego drewna, zatęchłych papierów oraz ulubionego mydła do golenia niezmiennie przenikały ten pokój.

Szuflada w biurku otworzyła się z lekkim skrzypnięciem i Rose wyjęła księgę.

- Możesz zerknąć? Tu widać dokładnie, na co poszły nasze pieniądze i ile dziadek odłożył na tegoroczne uprawy oraz naprawę sprzętu. Damy radę, Lark. Uda nam się.

Lark pochyliła się nad otwartą księgą i bez trudu zauważyła, gdzie skończyły się zapiski dziadka kilka tygodni temu, a zaczęły wpisy Rose.

- Podjęłaś dalsze zapisy?

- Dziadek uczył mnie tego od lat. - Z przekornego uśmiechu Rose przebijała duma. - Może nie jestem taka bystra jak ty w czytaniu i pisaniu, ale dostałam wyróżnienie z matematyki w ósmej klasie, o ile dobrze pamiętasz.

- Pamiętam. - Lark patrzyła na siostrę w zdumieniu. -Przepraszam, Rosie. Nie wierzyłam w ciebie.

- Toż *akurat* prawda. - Przewracając oczami, Rose odłożyła księgę i otworzyła kolejną szufladę. Szperając wśród papierów, macała w głębi, a potem wyciągnęła płócienny worek ściągany na sznurek. Wysypała z niego na biurko

zwitek banknotów. - Tyle udało się dziadkowi odłożyć z zeszłorocznych zbiorów bawełny. Nie ma tego tak wiele, ile powinno być, ale wystarczy na ziarno na wiosenny zasiew. Teraz susza już trochę odpuściła, więc może w tym roku będzie lepiej. Lark zagryzła wargę i przysiadła na skraju łóżka.

- Och, Rosie. Tak się boję. Czy my naprawdę damy radę? Tylko ty i ja, same?

Rose odłożyła pieniądze do szuflady tam, skąd je wzięła, i usiadła obok siostry. Siedziały blisko, stykając się ramionami. Ujęła dłoń Lark w swoją.

- Prawdę mówiąc, ja też się boję, ale dziadek poświęcił całe swoje życie dla tej farmy i mam zamiar przynieść mu chlubę, i utrzymać ją tak, jakby on to robił.

- Nigdy nie będę tak silna i odważna jak ty. - Lark popatrzyła na ich splecione palce i uścisnęła dłoń siostry. -I świetnie sobie radzisz na farmie. Jeśli tego chcesz, będę pracować z tobą najlepiej, jak będę umiała.

Krótkie pociągnięcie nosem było jedynym znakiem świadczącym o łzach Rose. Jej głos przeszedł teraz w chrapliwy szept:

- Powinnam była jednak pojechać, żeby się z nim zobaczyć. Powinnam była się pożegnać.

- Nie, kochanie. Myślałam o tym, miałaś rację, że nie pojechałaś. Lepiej pamiętać dziadka takiego, jakim był, widzieć go, jak jeździł pewnie i dumnie na traktorze albo klócił się z szefem odziarniarki bawełny o cenę za belę.

Rose zaśmiała się lekko.

- O ludzie, potrafił nieźle sprzeklinać, jak uznał, że nie płacą mu wystarczająco!

- Widzisz? Tego właśnie chciałby dziadek: widzieć cię znowu roześmianą.

- A co z tobą, Larkspur? - Podnosząc się lekko, Rose przechyliła głowę. - Już od dłuższego czasu nie słyszałam, żebyś się śmiała.

- Cóż, jest ciężko. Bardzo ciężko. Ale damy radę. Nic nie może złamać sióstr Linwood. - Lark miała nadzieję, że jej siostra nie wyczuje fałszywej brawury w jej głosie. Wstała.

- Nie wiem, jak ty, ale ja już mogę wziąć gorącą kąpiel na zakończenie tego dnia.

Rose zgasiła lampę i wyszła za siostrą do kuchni. Kiedy Lark podpałała pod kuchnię i stawiała czajnik, Rose oparła się o blat i wetknęła ręce w kieszenie ogrodniczek. Patrzyła, tak długo nic nie mówiąc, że Lark zrobiła się nerwowa.

- O co chodzi, kochana?

- O ciebie - odparła Rose. - Myślisz, że ja nie wiem, jak nieszczęśliwa tu jesteś? To nie jest twoje życie. Nie do tego zostałaś stworzona.

- Nie bądź głupia. Wyrosłam na farmie tak jak ty, Rosie.

- Lark starała się nie spotkać z nią wzrokiem. - Jasne, że zawsze miałam swoje marzenia, ale najpierw rodzina. Zawsze tak było i będzie. - Teraz już spojrzała jej prosto w oczy. - Wiem, gdzie jest moje miejsce teraz: tu z tobą.

- Ale college. Szkoła Ansona. I to wszystko, na czym ci zależało. - Rose podeszła i ujęła dłonie Lark. Trzymając je wnętrzem w stronę światła, potarła kciukiem nowe odciski.

- Tego nie było miesiąc temu.

Lark, słysząc te słowa, odsunęła się. Zbyt dobrze pamiętała, jak miękkie były jej dłonie przez te dwa lata w college'u. Jednak szybko powróciły poszarpane skórki, szorstkie miejsca

i połamane paznokcie.

Zagwizdał czajnik. Lark chwyciła rękawicę kuchenną, wołając:

- Pora na kąpiel.

^<§?<—

Otulona w sweter, z kocem owiniętym wokół nóg, Bryony odchyliła głowę do tyłu, napawając się cudownym zachodem słońca. Drobnny deszczyk, który spadł wcześniej, sprawił, że szyszki sosnowe błyszczą teraz na wysokich drzewach otaczających ogrody. Świeży, ożywczy zapach, promienie słońca na twarzy... Bryony na nowo zaczynała czuć się jak człowiek.

Wszyscy byli tutaj bardzo życzliwi, zwłaszcza przyjaciel Michaela, pastor Vickary i wesola rudowłosa pielęgniarka o irlandzkim akcencie. Świadomość, że to oni byli z dziadkiem podczas ostatnich chwil jego życia niosła Bryony pocieszenie za czas, gdy jej własna niemoc - ciężka melancholia, która drażyła duszę i ciało - uniemożliwiała jej obecność w tym miejscu.

Jakieś kroki na ścieżce zwróciły jej uwagę. Michael szedł z wolna w jej stronę, uśmiechając się jak zawsze, jakby same te starania mogły wyciągnąć Bryony z mrocznej otchłani, w której była pogrążona.

- Listy z domu - oświadczył, przyciągając sobie krzesło ogrodowe. - Jeden od twoich sióstr, a drugi od Mirandy.

- Przeczytaj mi je. - Usiadła wygodniej i obdarzyła męża spojrzeniem pełnym miłości. Wnosił radość, jak nikt inny w ostatnim czasie. Kochała go ponad życie.

Przeczytał najpierw list od Lark z zapewnieniem, że opiekuje się Rose i wszystko na farmie przebiega sprawnie. Nic o szkole Ansona, co trochę zastanowiło Bryony. Była pewna, że Lark powinna już wrócić do pracy. A farma... Czyżby ich najmłodsza siostra naprawdę chciała ją sama utrzymywać?

List Rose jasno potwierdzał, że taki właśnie miała zamiar.

Północne pola są już zaorane i gotowe na bawełnę. Spodziewam się większych plonów w tym roku, a Caleb obiecał odrobek podczas zbiorów.

- Widzisz - powiedział Michael, składając kartki. - Twoje siostry dobrze sobie radzą.

Bryony zwijała w palcach róg koca.

- Przynajmniej o tym chcą mnie przekonać. Rose może i jest zadowolona, że zostaje na farmie, ale wiem, że Lark nie. Martwię się o nią.

- Ostatnio martwisz się praktycznie wszystkim. - Żartobliwy ton Michaela nie mógł ukryć prawdziwości tego stwierdzenia. - Twoje siostry są już dorosłe i na pewno sobie poradzą z tym, czego się podejmą.

Nie powiedział tylko, że Bryony też jest dorosła i powinna być wystarczająco silna, żeby otrząsnąć się z przytłaczających ją uczuć i być taką żoną, na jaką on zasługiwał. Podniosła wzrok i popatrzyła na niego przez łzy.

- Przepraszam. Naprawdę przepraszam.

- Daj spokój. - Jednym szybkim ruchem przesiadł się na ławkę obok niej i wziął ją w ramiona. - Wiem, że się starasz, najdroższa. Bardzo chciałbym umieć ci pomóc.

- Pomagasz samą swoją obecnością, tym, że mnie przytulasz i pocieszasz. - Poglądziła go po karku, bawiąc się włosami przesuwanymi się między jej palcami. Pociągnęła

nosem i usiadła prosto, a potem zmusiła się do uśmiechu. - Przyniosłeś swój szkicownik? Nad czym ostatnio pracowałeś?

- Magnolie w Hot Springs. - I ten nieśmiały uśmiech, który często widziała, gdy ktoś pytał o jego rysunki. Sięgnął po torbę stojącą obok krzesła.

Bryony nigdy nie miała dosyć przeglądania szkicowników Michaela, strona po stronie, nie za szybko. Jego realistyczne, kolorowe rysunki przedstawiające rośliny, drzewa i kwiaty niosły ze sobą przedsmak wiosny, odnawiającej się nadziei. Jakiś powiew czegoś ciepłego i pachnącego przeniknął jej ducha i zasłona niepokoju, z którą tak bardzo walczyła, wydawała się zniknąć.

Popatrzyła na Michaela, czując tak wielką miłość w sercu, że aż ją bolało.

- Naprawdę zdrowieję - powiedziała.

I po raz pierwszy od dłuższego czasu, rzeczywiście tak sądziła.

20.

Już kilka dni po odejściu dzieci Jacksonów ze szkoły białe rodziny zaczęły na nowo posyłać do niej swoje pociechy. Radości tej towarzyszyły mieszane uczucia i z pewnością nie było to coś, z czego Anson był dumny.

Trochę jednak odetchnął, jeśli chodzi o finanse. Kongres uchwalił *Ustawę o nadzwyczajnej pomocy dla banków* i banki zostały na nowo otwarte, a wielokrotne rozmowy telefoniczne Irwina z ich bankierem z Little Rock upewniły ich, że pieniądze Fundacji Schaferów nadal są bezpieczne. Wciąż jednak, jeśli chcieli utrzymać płynność finansową na dłużej, musieli znaleźć nowych ofiarodawców, a to wydawało się mało prawdopodobne z powodu zastoju gospodarczego w kraju.

Przynajmniej teraz nie trzeba było już wysupływać z budżetu pensji dla sekretarki, choć i tak Lark nie dostawała tyle, ile powinna za taką pracę. Anson doświadczył tego mocno, kiedy przejął za nią odpisywanie na maszynie na listy od darczyńców i do potencjalnych ofiarodawców. Pisał dwoma palcami, patrząc na klawiaturę, co zajmowało

mu trzy razy więcej czasu, i do momentu, gdy skończył, bolała go już głowa, od wysilania wzroku, i plecy między łopatkami.

Kiedy po raz trzeci z rzędu nacisnął zły klawisz, zaklął pod nosem i wyrwał kartkę z wałka. Zgniół ją w kulkę i cisnął do kosza.

- Spokojnie - Irwin zganił go z za większego biurka. - Zrób sobie przerwę, Ansonie. Siedzisz zgarbiony nad tą maszyną od samego rana.

- Gdyby jeszcze te listy coś dawały. Dużo więcej płacimy za ich nadanie, niż wnoszą korzyści.

Irwin zamknął z trzaskiem magazyn rolniczy, z którego coś wynotowywał. Jedynym pozytywnym krokiem, jaki podjęli, było skoncentrowanie lekcji na tych sprawach, wokół których toczyło się codzienne życie ich uczniów.

- Naprawdę... jeśli nie zaczniesz nad sobą panować...

- To co... zrzekniesz się naszej przyjaźni?

- Przyjaźni nigdy, ale może naszego partnerstwa. Jestem za stary na to, żeby użerać się z twoimi zmieniającymi się z dnia na dzień humorami. Wykańczasz mnie.

Choć wcale nie chciał tego przyznać, Anson wiedział, że trudno z nim żyć w ostatnim czasie. Zerwał okulary i rzucił je na biurko.

- Jeśli obiecuję, że popracuję nad sobą, czy mi wybaczysz?

- Umowa. - Irwin wstał i obszedł biurko. - A teraz weź swój płaszcz. Jedziemy na przejażdżkę.

- Ale co z...

- Daj spokój. Znam niezawodny sposób, żeby poprawić ci humor... Oczywiście, jeśli dasz na to choć trochę przyzwolenia.

Anson uniósł obie dłonie.

- Lark? Nie. Nie mogę jej tego zrobić. Nie zrobię tego *sobie*.

- Czego ty się boisz? Że będziecie do siebie pasować? -Ton Irwina złagodniał. - Ansonie, ona jest tym najlepszym, co cię w życiu spotkało. Nie pozwól jej odejść.

- To nie ja *pozwalam*. Takie są... okoliczności. Ona poświęciła się pracy na farmie z siostrą, a ja...

- Ratujcie mnie, jak powiesz, że i tak oślepniesz i żadna kobieta nie zasługuje na to, żeby być obciążona opieką nad inwalidą, to chyba cię zaraz stąd wyciągnę i spuszczę porządne manto.

Anson odwrócił się.

- Ale taka jest prawda, czyż nie? Lark ma już dosyć zmartwień bez cackania się z moim kiepskim wzrokiem.

- Nie miałeś problemu z oczami, gdy ona tu pracowała, porządkowała sale lekcyjne, zajmowała się korespondencją i pomagała przygotowywać lekcje?

- Możesz w końcu przestać? - Anson złapał za okulary i zaczął czyścić szkła chusteczką. - Wszystko się skomplikowało. Zabałaganilo. Zagmatwało.

- W rzeczy samej. - Potrząsnąwszy głową z oburzeniem, Irwin zerwał marynarkę z oparcia krzesła i zarzucił na siebie. - W takim razie skoro nie chcesz jechać ze mną spotkać się z Lark, to ja sam...

Irwin nie zdołał dokończyć, gdyż rozległo się pukanie do drzwi wejściowych. Na odchodne jeszcze zza pleców rzucił miażdżące spojrzenie i wymaszerował z sekretariatu. Anson słuchał jego tupania, gdy przyjaciel przemierzał dom. Starał się rozpoznać po głosach, kto mógłby ich odwiedzić, ale mówili zbyt cicho.

Zaciekawiony, ruszył do głównego holu. Zanim dotarł do drzwi klasopracowni, Irwin zamknął już wejście i odwrócił się z ponurą miną.

- Telegram - oświadczył. - Od Franklina Keenea. Strach przeszył wnętrze Ansona.

- Co pisze?

- „Sytuacja nie do obrony - przeczytał. - Zamykamy szkołę. Wracamy do Stanów w przyszłym miesiącu. - Ręka ze skrawkiem papieru opadła mu i Irwin dokończył jeszcze: -Więcej szczegółów w liście".

Anson osunął się na ścianę.

- Jak...? *Dlaczego?*

- Wydaje mi się, że będziemy musieli poczekać na ten list. - Irwin oparł dłoń na ramieniu Ansona. - Musimy wierzyć, że Frank miał ważne powody, bo w przeciwnym razie nigdy nie podjąłby takiej decyzji. Wiemy przecież, jak kenijskie lokalne szkoły naciskały na to, by samodzielnie kształcić swoje dzieci.

- Tak, ale myślałem, że da się z nimi współpracować. -Anson uderzył pięścią w ścianę za sobą. - Gdybym tylko tam został...

- Dostyc! - Irwin potrząsnął nim energicznie. - Gdybyś został, zapewne byłbyś już ślepy. Cokolwiek możemy myśleć o prowadzeniu się Franka w życiu prywatnym, to był odpowiednim człowiekiem do tego, by przejąć szkołę Matumaini.

Ze zwieszoną głową Anson pokiwał smutno. Odepchnął się od ściany.

- Potrzebuję trochę świeżego powietrza. Idę się przejść. Boże, *dlaczego?* To było jedyne pytanie, które przychodziło mu do głowy, gdy złapał za kurtkę i wypadł na zewnątrz.

Już wystarczająco przygnębiało go to, że jego plany i nadzieje na Fundację Schaferów niknęły z dnia na dzień, a teraz jeszcze patrzył, jak życiowe dzieło jego rodziców dobiega końca. Miał wrażenie, że tego nie przeżyje.

Długimi susami dotarł do miasta, minął sklep wielobranżowy i skierował się w jakąś samotną drogę. Nie zważał na to, w jakim kierunku idzie ani gdzie wyląduje. Nie liczyło się, czy wróci na czas na dzisiejsze lekcje. Miranda i Callie znów go wspierały, gdy było więcej uczniów, i one oraz Irwin mogli sobie doskonale poradzić bez niego.

I tak był bezużytecznym workiem kości. Zupełną i kompletną porażką we wszystkim, co było ważne.

„To diabeł podpowiada ci takie rzeczy na twój temat” -w głowie słyszał głos siostry Mary John tak wyraźnie, jakby szła tuż obok niego. Co ona teraz robi, gdy szkoła zostanie zamknięta? Pracowała w Matumaini, odkąd Anson był małym chłopcem.

Zwolnił kroku i roześmiał się cynicznie. Siostra Mary John, która zapewne miała już ponad siedemdziesiąt lat, mogła w końcu uznać to za doskonałą okazję, by wreszcie cieszyć się zasłużoną emeryturą.

Dotarł do rozgałęzienia dróg i zatrzymał się, by zorientować się w okolicy. Głupio byłoby zgubić się gdzieś pomiędzy farmami i nie móc znaleźć drogi powrotnej do miasteczka.

I wtedy dopiero dotarło do niego, że trochę na prawo, na końcu drogi leży farma Rigbyego. Czy doszedł tu przez przypadek... czy taki miał zamiar? Z rękami w kieszeniach stał przez dłuższy czas przed ogrodzeniem, a jego wzrok przykuł rozmazany w oddali obraz, który pamiętał jako szczyt dachu

domu Lark. Rozum mówił mu, że powinien od razu zawrócić i odejść. Serce coś zupełnie odwrotnego. Serce wygrało.

Drzwi kuchni otworzyły się nagle, zaskakując Lark tak bardzo, że o mało co nie upuściła gorącego żelazka na nogi. Myślami była gdzieś daleko, co przychodziło jej łatwo, gdy prasowała całą stertę wypranych prześcieradeł, dopiero co zdjętych ze sznura na pranie.

- Mamy towarzystwo - rzuciła Rose, a na jej ustach zagościł łobuzerski uśmieszek. - Może zechcesz przeczesać włosy.

- Przeczesać... - Lark wzięła gwałtowny wdech i ścisnęło ją w żołądku, jakby ktoś przypalał ją tym żelazkiem. Wyraz twarzy Rose nie pozostawiał złudzeń co do tożsamości ich gościa. Prawie dwa tygodnie minęły od dnia, gdy Lark wpadła na Ansona w sklepie, a ona odliczała każdą godzinę od tamtej chwili, tęskniąc za nim tak bardzo, że myśli o nim towarzyszyły jej nawet w snach.

Snach, z których nie chciała się budzić, bo mogły się nigdy nie spełnić.

W mgnieniu oka opanowała twarz, nakładając niewzruszoną maskę, i odstawiając żelazko, rzekła:

- Zaproś ich do środka. Zaparzę cykorii.

- Nie ma *ich*. Jest tylko Anson. Wygląda, jakby tu przyszedł z miasteczka. - Rose wyjrzała przez kuchenne okno. - Widziałam, jak idzie drogą, gdy jechałam traktorem. Już prawie tu jest.

Nogi same poniosły Lark do sypialni, gdzie były jej szczotka oraz lustro, tak że nawet nie zdążyła się zastanowić, dlaczego jej wygląd zewnętrzny miałby w ogóle mieć jakieś znaczenie. Ledwie skończyła wpinać ostatnie wsuwki w koczek, gdy rozległ się głos Rose witający przybysza.

- Cześć, Ansonie. Co cię tu sprowadza?

- Byłem, hm...

Lark zauważyła z korytarza nerwowy ruch grdyki Ansona. Wyszła do nich i starała się pewnie powiedzieć:

- Witaj.

- Lark, ja... - Przełknął. Lark widziała już przejawy jego frustracji. Zamartwiał się problemami w szkole, widziała, jak stara się ukryć złość na swój pogarszający się wzrok, ale nigdy nie widziała go jeszcze tak całkowicie przybitego.

Zerkając na siostrę z niepokojem, Rose wycofała się w stronę drzwi.

- Muszę jeszcze dokończyć parę rzeczy. Miłej wizyty.

- Ansonie, co się stało? - Lark sięgnęła po jego dłoń i pociągnęła go za sobą do kuchni. - Usiądź i opowiedz mi.

- Nie powinienem był przychodzić. Nie chcę cię tym obciążać.

- Czym? - Chłodny dreszcz przeszył wnętrze Lark, gdy wyobraziła sobie wszelkie straszne nowiny, które mógł przynieść.

Opadł na krzesło. Oparł się mocno łokciem o stół, a jego wzrok skupił się na jakimś niewidocznym punkcie. Tonem tak apatycznym, jak jego oblicze, wyszeptał:

- Szkoła Matumaini została zamknięta.

- Och, nie, Ansonie! Nie! - krzyknęła. Upadając na kolana obok jego krzesła, chwyciła go w ramiona, jedną ręką

gładząc jednodniowy zarost, pod którym łukiem zarysowywała się jego szczęka. Czowała na policzku, jak ciężko unosi się i opada jego pierś, słyszała mocne bicie jego serca. Tak jakby nie miał w środku już nic. Żadnej siły. Żadnej nadziei. Żadnej chęci, by iść dalej.

- Przepraszam - wymamrotał. - Wiem, że nie chciałaś mnie widzieć, ale ja...

- Nie chciałam cię widzieć? - Lark odchyliła głowę do tyłu, szukając jego spojrzenia. - Tęskniłam za tobą tak, iż myślałam już, że umrę z tego cierpienia.

Popatrzył na nią z rozwartymi ustami. Ściągnął brwi, jakby nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. A potem ze zdławionym wdechem, wciągnął ją na swoje kolana i zatopił twarz w jej szyi. Przyłgął do niej tak mocno, że ledwie mogła oddychać, ale to nie było ważne, bo liczyło się jedynie to, że go kocha i że on kocha ją.

Powoli jego uścisk złagodniał. Przesuwał dłonie czule po plecach, a jego usta muskały jej szyję, paląc w każdym miejscu, gdzie stykały się ze skórą. Ujęła w dłonie jego policzki i delikatnie podniosła jego głowę. Ich usta spotkały się, najpierw nieśmiało, a potem mocniej, przeradzając się w nienasycony głód. Lark wlała w ten pocałunek całą głębię swojej miłości.

Nagle uświadamiając sobie to bezwstydną zapomnienie, zadrżała, i odsunęła się.

- Ja... ja wcale taka nie jestem, taka bezczelna... - powiedziała. Zacisnęła mocno powieki i zakryła spuchnięte wargi obiema dłońmi.

- Proszę, nie mów, że to było coś złego. - Anson odciągnął jej dłonie i zamknął je w uścisku, a potem złożył na nich

długi i wymowny pocałunek. - Sam Bóg wie, jak bardzo potrzebowałem ciebie i tej chwili. Myślę, że to właśnie On przyprowadził mnie tu dzisiaj, bo ja sam nie miałbym wystarczająco dużo odwagi.

Lark wcale nie miała ochoty opuszczać azylu jego bliskości, ale czuła, że musi, bo w przeciwnym razie może znów zatracić się w tym rosnącym w jej wnętrzu pragnieniu. Jej dłonie wciąż zamknięte były w jego uścisku, ale przesiadła się na krzesło obok. Gdzieś w głębi pamięci przypomniało jej się, że Anson wspominał coś o szkole Matumaini. Musiała się teraz na tym skupić i pamiętać, że właśnie po to tu przyszedł dzisiaj po południu. Nie dla namiętnych pocałunków i deklaracji miłości, ale po pocieszenie.

Zebrała się w garść, mając nadzieję, że on nie przejrzy tej maski przyjacielskiego zatroskania, i stanowczo położyła ręce na swoich kolanach.

- Opowiedz mi, co się stało. Dlaczego zamykają szkołę Matumaini?

Patrzył na nią przez chwilę, jakby nie zrozumiał pytania. A potem wyraz jego twarzy stał się bardziej surowy i ten niewielki fizyczny dystans między nimi wydawał się nagle powiększyć.

- Jeszcze nie znam szczegółów. Tylko to Franklin przekazał nam w telegramie.

Na wspomnienie imienia profesora Keenea wyszły na jaw dawno zapomniane uczucia. Zdławiła je szybko i skupiła się z powrotem na Ansonie.

- Co powiedział?

Anson przekazał istotę wiadomości.

- Musimy poczekać na jego list, żeby dowiedzieć się reszty.

- Odwróciwszy wzrok, uderzył pięścią w stół. - Uwzględniając szybkie zmiany zachodzące w Kenii, powinienem był widzieć, że koniec zbliżał się nieuchronnie. Ja po prostu nie chciałem tego przyznać.

- To oczywiste, że nie chciałeś. To było twoje rodzinne dziedzictwo. - Lark chciała wziąć go za rękę, jakoś pocieszyć, lecz nie ośmieliła się. - Ale przecież wciąż masz fundację. Możesz pomóc tak wielu dzieciom tu na miejscu.

- Nie tak, jak pragnąłem - odparł z niezadowoleniem.

- Przez pogarszającą się gospodarke straciliśmy znaczne wsparcie finansowe. A na dodatek pewnie słyszałaś już, że uczymy teraz tylko białe dzieci.

Lark przytaknęła.

- Daniel przyjechał tu kilka dni temu, żeby pomóc Rose ściąć martwe drzewo. Opowiedział nam, co się stało u Noaha Jacksona i przekazał, że dałeś mu trochę książek, żeby mogli uczyć się w domu.

- To było jedyne, co wtedy mogłem zrobić. Gdybym nie...

- Anson zacisnął usta. Potrząsnął głową z lekceważeniem. A potem stanowczo podjął: - Gdybym nie tracił wzroku, jeździłbym codziennie na farmę Jacksonów i sam uczył te dzieci.

Nie dziwiło jej to. Pasja Ansona do uczenia dzieci wykraczała poza troskę o środki finansowe. Lark poczuła na ramionach ciężar wyrzutów sumienia za to, że go opuściła, tak przygniatający, jakby niosła pień tego starego martwego orzesznika.

- Gdybym jakoś mogła pomóc, pomogłabym. Ale Rose mnie teraz potrzebuje. Każdy dzień jest... - zaczął jej się łamać głos - ...taki ciężki.

Anson zaklął pod nosem i ruszył do wyjścia. Zatrzymując się jeszcze z rękami na biodrach, westchnął ostro.

- Tego właśnie nie chciałem. Martwić cię moimi problemami. Moimi... rozczarowaniami. - Położył dłoń na kłamce i dodał: - Jest już późno. Powinienem wracać.

Lark niewiele powiedziała Rose po tym, gdy Anson wyszedł, informując tylko krótko siostrę o jego problemach i unikając dalszych pytań oświadczeniem, że idzie wcześniej spać.

Co wcale nie wyszło jej na dobre. Przez całą noc zmagala się ze zmartwieniami i żalem, a wszystko to mieszało się z nienasyconą tęsknotą, jaką mógł wypełnić tylko on... i druzgocącą pewnością, że to się nigdy nie stanie.

Istniała jednak jedna rzecz, którą była w stanie zrobić i nad ranem podjęła decyzję. Wstała jeszcze przed świtem, wydoiła Hermionę i nastawiła owsiankę, żeby się gotowała, zanim Rose się zbudziła.

Rose spojrzała tylko na Lark ubraną w najlepszą sukienkę i unosząc brwi, skwitowała:

- Mam nadzieję, że nie planujesz czyścić kurnika w *takim* stroju.

Krzywiąc się w grymasie, Lark postawiła kubek cykorii przed siostrą.

- Czy poradzisz sobie beze mnie do jutra? Muszę coś załatwić w... - zawahała się. Równie dobrze mogła to z siebie wyrzucić.

- W Arkadelphii.

- Arkadelphii!? A jaki interes możesz mieć tak daleko...

- Nagle rysy Rose zmroził wyraz zrozumienia. - Zmieniłaś zdanie. Wracasz do college'u.

- Nie, skarbie, nic z tych rzeczy. Obiecałam ci, że nie wyjadę.
- Lark sięgnęła po dwie miseczki z szafki. - Chciałabym... chciałabym jednak odwiedzić panią O'Neill. - „Między innymi” - dodała w myślach. Ale co, jeśli było już za późno? - Wrócę jutro po południu i postaram się nadrobić obowiązki, nawet jakbym miała na to poświęcić całą noc.

Rose zagryzła wargę.

- Nie zapomnę, ile dla mnie poświęciłaś, Lark. Jedź. Dam sobie radę.

Po śniadaniu Rose odwiozła Lark do Edenu akurat na czas, żeby zdążyła złapać najbliższy autobus do Arkadelphii.

Był ładny dzień na miły spacer spod stacji do domu pani O'Neill. Otwierając jej drzwi, starsza kobieta uśmiechnęła się promiennie.

- Lark Linwood. Co za miła niespodzianka!

- Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe odwiedzin bez zapowiedzi. To taka spontaniczna wyprawa.

- Ależ skąd. Proszę, proszę wejdź! - Pani O'Neill przywitała ją serdecznym uściskiem, a potem zaprowadziła do przytulnego salonu. - Usiądź, a ja nastawię wodę na herbatę. - Krzątając się w kuchni, zawołała przez ramię: - Jak długo zostajesz? Planujesz wrócić na trymestr letni?

Lark poczuła mocne ukłucie żalu.

- Nie mogę. Sytuacja znów się zmieniła - odparła. Kiedy pani O'Neill wróciła, Lark opowiedziała jej o chorobie i śmierci dziadka oraz o tym, że teraz musi pomagać siostrze na farmie.

- A ja myślałam, że pracujesz dla tego miłego znajomego, pana Schafera. Czy on nie zakładał szkoły tam u was?

- Tak, to prawda, ale... napotkał pewne problemy. - Lark stwierdziła, że nie ma co wspominać o rasistowskich kwestiach. Jej wizyta powodowana była inną pilną sprawą. - Ze względu na zły stan gospodarki wielu ofiarodawców fundacji musiało się wycofać. Anson nie mógł sobie pozwolić na opłacanie mojej pensji.

- Jaka szkoda. Tak, mamy trudne czasy. Te zamknięcia banków wywołały w nas panikę. - Czajnik zagwizdał, więc pani O'Neill przeprosiła i wyszła.

Przerwa w rozmowie dała Lark kilka minut na przemyślenia. Czy dobrze robiła? Czy pani O'Neill się zgodzi?

Siedziały razem z filiżankami świeżo zaparzonej herbaty w dłoniach i talerzykiem pokrojonej babki piaskowej na stoliku pomiędzy nimi, kiedy Lark zebrała się na odwagę.

- Pomyślałam sobie o pieniądzach, które pan O'Neill zostawił dla mnie. - Zacisnęła usta. - Chyba powinnam najpierw zapytać, czy pani bank przetrwał kryzys.

- Tak, nasze konta zostały nietknięte, dzięki Bogu. - Pani O'Neill pociągnęła łyk herbaty. - Co sobie pomyślałaś, złociutka?

Kęs ciasta, który Lark ugryzła stanął jej w gardle. Przełknęła z trudem i wytarła usta serwetką.

- Co by pani powiedziała, gdybym... gdybym użyła części pieniędzy pana O'Neilla, by wspomóc Fundację Schaferów? Wiem, że nie na to zostały przekazane - dodała szybko - ale te pieniądze mogą zmienić tak wiele w życiu tych dzieci, które w przeciwnym wypadku nie miałyby wielkich szans na edukację.

Marszcząc brwi w zamyśleniu, pani O'Neill odstawiła filiżankę i spodek.

- Szczerze doceniam to, co pan Schafer stara się zrobić, ale czy nie przyniosłabyś mu więcej pożytku, gdybyś miała dyplom z pedagogiki?

- Tak kiedyś sądziłam, ale potrzeba jest tu i teraz, a ponieważ obecnie pracuję na farmie z Rose, nie mam nawet czasu i sił na studiowanie zaocznie. Jeszcze wiele lat minie, zanim będę mogła mieć nadzieję na ukończenie studiów. -Dla siebie zostawiła słowa, które same cisnęły się na usta: „Jeśli w ogóle”.

Kobieta wypuściła powietrze przez zaciśnięte wargi.

- Już na samą myśl o tym serce mi się kraje. Lark, skarbie, czy nie ma jakiegoś sposobu, jakiejś nadziei, że uda ci się to zrobić, i to raczej prędzej niż później?

Lark powinna być wdzięczna, że pani O'Neill nie zgałła jej za ten absurdalny pomysł, iż dwie młode kobiety zamierzają utrzymać dzierżawę farmy.

- Pewnie zawsze jest nadzieja. Tylko Bóg wie, co będzie w przyszłości. - Zerknęła na Biblię położoną pod lampką do czytania. Wzięła Pismo Święte na kolana i otworzyła na 25 rozdziale Ewangelii według świętego Mateusza. - Nie potrafię przestać myśleć o słowach Jezusa: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili”. - Patrząc poważnie na panią O'Neill, Lark mówiła dalej: - Te dzieci, które każdego dnia muszą znosić trudy wespół ze swoimi rodzicami, by udało im się wiązać koniec z końcem - to właśnie one są tymi *najmniejszymi*, którym Jezus nakazał służyć. Nie proszę, by przekazać całą kwotę na fundację, ale tylko część, która

pomoże Ansonowi utrzymać szkołę, a my w nadziei będziemy się modlić o nadejście lepszych czasów. Wzrok starszej kobiety złagodniał.

- Podejrzewam, że Benjamin nie sprzeciwiłby się wykorzystaniu tych środków w tak szczytnym celu. Dopijmy herbatę, a potem pójdziemy do banku, żeby wybrać trochę pieniędzy.

- Dziękuję! - Lark ulżyło i sięgnęła po dłoń pani O'Neill.

- Obiecuję, że te pieniądze będą dobrze wykorzystane.

- I obiecuj mi jeszcze jedno - mówiła pani O'Neill, mrużąc oczy. - Że gdy tylko pozwolą na to okoliczności, zrobisz wszystko, co w twojej mocy, by ukończyć college i zdobyć dyplom z pedagogiki.

Ze ściśniętym gardłem Lark skinęła głową.

- Gdy tylko pozwolą okoliczności.

Korzystając z przyjazdu do miasta w sobotę, by odebrać Lark wracającą z Arkadelphii, Rose zatrzymała się w sklepie z paszami, bo chciała zakupić kilka rzeczy. Kiedy wracała do auta, spostrzegła, że Caleb Wieland zmierza w jej kierunku.

Gdy podszedł bliżej, uśmiechnął się i pociągnął ją za warkocz zwisający jej przez ramię.

- Jak tam, pętaku?

- Całkiem nieźle. - Rose cieszyła się, że Caleb nie traktował jej ze smutkiem i współczuciem. Chociaż mógłby sobie darować tego „pętaka”. W końcu była już dorosłą kobietą.

- A jak mama?

Uśmiechnął się w zadumie.

- Radzi sobie. Jak zawsze, ma lepsze i gorsze dni. Mam nadzieję, że to będzie lepszy rok.

Zachmurzyło się i w powietrzu czuć było orzeźwiający zapach deszczu.

- Przynajmniej nie jest tak sucho. Masz już wszystko przygotowane pod zasiew?

- Prawie. A ty?

Rose wyprostowała się.

- Już zaczęłam orać. Jeszcze kilka tygodni i będę mogła obsiać pola bawełną.

- Ja tak samo. - W spojrzeniu Caleba błysnęła troska. - Pamiętaj, gdybyś potrzebowała pomocy, wystarczy poprosić.

- Razem z Lark świetnie dajem sobie radę, dzięki.

- Razem z Lark *dajemy* sobie radę - poprawił ją Caleb, wymądrzając się tą odrobiną wyższego wykształcenia, które otrzymał, zanim porzucił college, żeby szukać pracy i utrzymać rodzinę.

Rose prychnęła.

- Nie wiedziałam, że *ty i Lark* razem zajmujecie się rolnictwem.

Caleb przewrócił oczami.

- Chciałem powiedzieć, Rosie, że jeśli będziesz kiedyś czegoś potrzebowała...

- Powiedziałam, że dajemy radę. - Zeszła z werandy sklepu z paszami. - Miło cię było spotkać, Calebie, ale muszę już lecieć. Autobus Lark ma zaraz przyjechać.

- Czekaj... A gdzie ona pojechała? Rose zawahała się.

- Do Arkadelphii.
- Ona chyba nie...
- Nie - odcięła się Rose trochę obcesowo. - Po prostu pojechała do znajomych z wizytą. Wróci. Dzisiaj. Tak jak mówiłam.
- Rosie. - Głos Caleba nabrał tego współczującego tonu, którego miała nadzieję nie słyszeć. - Wiem, że chcesz życia na farmie, ale oboje wiemy, że Lark tego nie chce. I wiesz dobrze, że i tak zostanie, bo cię kocha.
- Myślisz, że o tym nie wiem? - Rose zacisnęła dłonie w pięści. - Myślę o tym codziennie, w każdej chwili.
- W takim razie wiesz, że powinnaś ją puścić, pozwolić jej żyć własnym życiem. Nie wiąż jej z farmą poczuciem winy i zobowiązania.
- Czuła, że nadchodzą łyzy wściekłości, ale nie pozwoliła sobie na nie.
- Nie robię tego, Calebie, przysięgam. Może odejść, kiedy tylko będzie chciała.
- A Lark o tym wie? Bo nie zrobi ruchu bez twojej zgody. - Palce Caleba musnęły jej rękę. - Bez twojego zapewnienia, że dasz sobie radę sama.
- Rose przeniosła ciężar z nogi na nogę, zagryzając mocno dolną wargę. Podczas tamtej rozmowy z Lark w pokoju dziadka miała tyle pewności, ale teraz...
- A co, jeśli ja sama nie jestem o tym tak całkiem przekonana?
- Caleb roześmiał się na głos. To był taki ciepły, życzliwy śmiech, nie szyderstwo czy drwina.
- Rosie Linwood, gdybyś nie była choć trochę przerażona tym, czego się podjęłaś, naprawdę zacząłbym się martwić.

Ale kiedy patrzę na ciebie, widzę taką siłę, odwagę i upór, którego nikt inny nie ma.

Jego słowa rozpałały coś pod jej sercem. Posłała mu pytające spojrzenie.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. - Chwycił ją za ramiona i popatrzył jej głęboko w oczy. - Tylko pamiętaj, ja także będę tu dla ciebie. Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała pomocy, czy to w dzień, czy w nocy, w deszczu lub w słońcu, po prostu powiedz.

Kiedy już wszystko, co Caleb powiedział, dotarło do niej, kiedy zmieszało się ze wszystkimi troskami gryzącymi jej serce i umysł w ciągu kilku ostatnich tygodni, wiedziała, że już najwyższy czas, by zrobić, co należy. Jej pomysł zaczął nabierać kształtów i na jej twarzy pojawił się zawadiacki uśmiezek.

- Tak mówisz, Calebie? Mogę prosić o cokolwiek? Zerknął na nią z ukosa.

- Jakoś nagle zacząłem się obawiać, że mogę pożałować swoich słów.

21.

Anson leżał w pokoju na górze, na sofie, by dać oczom nieco odpocząć, podczas gdy Irwin czytał na głos *Wielkiego Gatsbyego* Fitzgeralda. Za każdym razem, kiedy w powieści pojawiała się Daisy, w głowie widział Lark - ale tylko jej radosne usposobienie i piękno, bo Lark z pewnością nie miała nic wspólnego z frywolną i płochą Daisy Buchanan.

Nie mógł przestać myśleć o tamtym pocałunku, o słodczych ustach Lark, o tym, jak doskonale pasowała do jego ramion.

Nie mógł też przestać pomstować na zawłości życia, które ich rozdzieliły.

Zgodnie z wiarą powinien być przekonany, że Bóg działa we wszystkim dla dobra tych, których kocha² - co było tematem dodającego otuchy kazania ojca Dempseya podczas dzisiejszej mszy - ale dlaczego Bóg nie mógł pozwolić, by Anson widział i doświadczał tych dóbr prędzej niż później?

- I wtedy Daisy i Gatsby rozwinęli skrzydła i odlecieli do Timbaktu, gdzie żyli szczęśliwie, by żywić się korzonkami i jagodami...

²Por. Rz 8,28.

Anson podniósł nagle głowę. - Co!?

- Sprawdzalem tylko, czy słuchasz. - Chichocząc, Irwin zamknął książkę. - Nie byłem pewien, czy zasnąłeś, czy myślami znów byłeś gdzieś indziej.

Co do tego nie było wątpliwości, że był daleko od dzielnicy East Egg w Nowym Jorku. Pocierając oczy, Anson opuścił nogi na podłogę i usiadł.

- Chyba wystarczy tego próżnowania.

- O, daleko nam do tego.

Rozległo się pukanie do drzwi. Irwin sprawdził godzinę na zegarku.

- Popołudniowa niedzielna wizyta? Któż to może być? Gdy Irwin nie ruszał się, by wstać, Anson sapnął i sięgnął po okulary leżące na końcu stołu.

- Skoro ty nawet nie drgniesz, domyślam się, że jest tylko jeden sposób, żeby się o tym dowiedzieć.

Na werandzie przed wejściem zastał Caleba.

- Witaj, Ansonie. Przepraszam, że zakłócam dzień święty.

- Ależ wcale nie. - Anson przytrzymał drzwi. - Co cię sprowadza?

- Zastanawiałem się, czy nie mógłbyś się ze mną przejść do kościoła. Jest tam ktoś, z kim powinieneś się spotkać.

- Czy to ma jakiś związek ze szkołą?

- Można tak powiedzieć. Jak już mówiłem, przykro mi, że zawracam ci głowę w niedzielę, ale tylko w tym czasie dało się zorganizować spotkanie.

Anson nie chciał brzmieć niegrzecznie, zwłaszcza jeśli to jakiś rodzic potrzebował porozmawiać o kształceniu dziecka, ale nie mógł się powstrzymać przed pytaniem:

- Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego nie mogli przyjść tutaj?

- Hm, cóż... Chyba byli trochę podenerwowani pierwszym spotkaniem. - Caleb skinął na Ansona i ruszył w dół schodów. - To zajmie tylko chwilę.

- W porządku, tylko założę marynarkę.

- To prości ludzie. Sama koszula wystarczy. - Zerkając w stronę przejrzystego popołudniowego nieba, Caleb zaciągnął się powietrzem. - Mamy dziś piękny, wiosenny dzień na przechadzkę.

Trudno było się nie zgodzić. Poza tym Anson nie mógł sobie pozwolić, by stracić okazję na wciągnięcie do szkoły kolejnych uczniów. Jeśli ci ludzie mieli jakieś wątpliwości albo obawy, musiał zrobić, co w jego mocy, żeby ich uspokoić.

Odwrócił się, by krzyknąć na górę do Irwina, że wychodzi, ale zorientował się, że przyjaciel stoi tuż obok, wyciągając przygotowane dla niego przyciemniane okulary.

- Nie zapomnij o tym, chłopcze.

- Podśluchiwałeś, co? Spodziewam się, że nie zamierzasz iść ze mną?

- Jestem przekonany, że wolą raczej porozmawiać z tobą. Opowiesz mi wszystko, gdy wrócisz. - Uśmiechając się z lekceważeniem, Irwin skierował się w stronę kuchni.

- Rób, jak chcesz - mruknął pod nosem Anson, zmieniając okulary, a na głos do Caleba powiedział: - Możemy iść?

Podczas krótkiego spaceru do kościoła Caleb pogwizdywał beztrosko i nie wydawał się zbyt zainteresowany rozmową z towarzyszem. Przed drzwiami świątyni pokierował

Ansona do środka.

- Idź, usiądź sobie. Zaraz przyjdą.

Anson rozejrzał się wokół, gdy tylko zmienił okulary.

- Ale mówiłeś, że już tam czekają.

- Ta. Ehm, po prostu pójdę ich poszukać. - Caleb machnął ręką w stronę głównej nawy. - Idź już. Nie krępuj się.

Anson właśnie nagle poczuł się bardzo skrępowany. Najpierw ta dziwna prośba Caleba, a teraz ten pusty kościół... Coś było nie tak.

Kiedy zajął miejsce w tylnej ławce, otworzyły się boczne drzwi koło prezbiterium. Wstał, gotów na spotkanie z kimś, kogo przysłał Caleb. To był jednak pastor Unsworth.

- Och, dzień dobry, panie Schafer. Przepraszam za najście. Muszę po prostu załatwić coś w zakrystii.

- Może wielebny wie przypadkiem, kogo Caleb Wieland miał tu przysłać do mnie na spotkanie?

- Hmm. Na pewno zaraz tu będą. - Mężczyzna zniknął za wewnętrznymi drzwiami w prezbiterium.

Wróciwszy do ławki, Anson usadowił się tak, żeby móc obserwować jednocześnie główne drzwi i boczne wejście. Minęło pięć minut, potem dziesięć. Kiedy już w końcu stwierdził, że pójdzie poszukać Caleba, frontowe drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Ktoś stanął w wejściu. Anson dostrzegł tylko niewyraźną sylwetkę na jasnym tle światła z zewnątrz. Ponownie wstał.

- Dzień dobry, czy to do mnie? Usłyszał pełne zaskoczenia westchnienie.

- Anson?

Serce podskoczyło mu w piersi.

- Lark?

Weszła do ciemnego wnętrza. Włosy w kolorze lnu miała rozpuszczone na ramiona. Po raz pierwszy widział ją, gdy nie miała ich upiętych. Zerkając za siebie, powiedziała:

- Przepraszam, ale nie wiem, o co chodzi. Rose poprosiła mnie, żebym spotkała się tu z Callie w sprawie pomocy w studiach.

- Od kiedy tu jestem, widziałem tylko pastora Unswortha. Jest w zakrystii. Może on będzie wiedział...

- Nie przejmuj się. - Westchnąwszy z rozdrażnieniem, Lark usiadła w najbliższej ławce. - Mam dziwne przeczucie, że zostaliśmy wrobieni.

Dopiero po chwili Anson uświadomił sobie, że miała rację. Irwin był dziwnie niezainteresowany przyjazdem Caleba, a Caleb najwyraźniej starał się unikać wyjaśnień dotyczących tego, kto miałby czekać na Ansona w kościele.

- Więc... - Anson stanął przy ławce Lark, a ręce swędziały go, by przesunąć palcami przez jej połyskujące pasma włosów. - Jak sądzisz, o co tu może chodzić?

- Nawet nie chcę wiedzieć. Ale Rose zachowywała się bardzo dziwnie, od kiedy wróciłam wczoraj z Arkadelphii.

- Pojechałaś do Arkadelphii?

Lark się odsunęła, żeby zrobić Ansonowi trochę miejsca na ławce obok siebie. Zostawiła dużo więcej przestrzeni niż to było konieczne, trochę ku jego rozczarowaniu, choć uszanował ten dystans, mając świadomość, że tak było bezpiecznie dla nich obojga. Bawiła się w rękach paskiem torebki.

- Nie chciałam ci tego mówić w ten sposób.

- Wracasz na studia? - Przesunął się i kładąc rękę na jej dłoni, dodał: - Lark, tak się cieszę!

- Nie, nie po *to* tam pojechałam. Chciałam... - Westchnęła

nerwowo. - Wysłuchaj mnie po prostu, dobrze? I nie odrzucaj od razu mojej propozycji ani nie pouczaj mnie, dlaczego nie powinnam tego robić. Przyglądał się badawczo jej twarzy.

- Co ty mi chcesz powiedzieć, Lark?

- Pojechałam spotkać się z panią O'Neill, żeby zapytać, czy mogę wykorzystać część środków zapisanych mi przez jej męża. Chciałam przeznaczyć je na fundację. Zamierzałam przynieść ci pieniądze rano. - Spojrzała na niego z nieśmiałym uśmiechem. - Ale najpierw chciałam obmyślić porządne argumenty, żeby przekonać cię do przyjęcia tego daru.

Serce Ansona rozpierało tak wiele uczuć, że nie był w stanie nawet znaleźć odpowiednich słów.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny, ale nie sędzę, żebyś kiedykolwiek wymyśliła tyle argumentów, bym dał się przekonać. Lark, to są twoje pieniądze na college. Nie mogę...

- Możesz i zrobisz to. - Musnęła palcami jego policzek i przeszły go dreszcze. - Proszę, Ansonie. Pozwól mi to zrobić dla ciebie. Dla wszystkich dzieci, którym będziesz pomagał.

Wpatrywał się w nią tak długo, iż wydawało się, że czas się zatrzymał. Jego ręka jakby sama przesunęła się po oparciu ławki, aż palcami dotknął jej włosów i zanurzył się w ich jedwabistości. Miała lekko rozchylone usta, a on przekrzywiwszy głowę, musnął je w pocałunku.

- Kocham cię, Lark Linwood. Tak bardzo, bardzo cię kocham. Spuściwszy powieki, wyszeptała:

- Zatem musisz też na pewno wiedzieć, jak bardzo ja pokochałam cię.

- Dlaczego, Lark? Dlaczego tak długo z tym walczyliśmy?
- Bo oboje mamy zobowiązania, od których nie możemy się wymigać. - Jej tęskne spojrzenie przeszywało go na wskroś. - Ty masz fundację, a ja Rose i farmę.

Przyciągnął ją bliżej do siebie i oparł czoło o jej czoło.

- Każdy dzień, gdy nie jesteśmy razem, jest dla mnie torturą.
- Dla mnie również. Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałabym... - Jej głos stał się niewyraźny i nagle uniosła głowę, żeby rozejrzeć się po kościele.

- Co się stało?

- Wciąż się zastanawiam... Skoro naprawdę padliśmy ofiarą knowania Rose i Caleba, o co mogło im chodzić?

Anson okręcał wokół palca pasmo jej włosów.

- Może właśnie o to, co się tu dzieje teraz, że siedzimy razem, wyznajemy sobie uczucia, którym nie da się zaprzeczyć.

- Ale Rose nie ma interesu w tym, żeby to podsycać. Bardzo mnie potrzebuje na farmie.

Nagle otworzyły się drzwi świątyni i do środka weszła Rose.

- Taka jesteś! Znowu traktujesz mnie jak małą, bezradną siostrzyczkę.

Anson i Lark poderwali się jednocześnie na równe nogi, a Lark obróciła się i stanęła na wprost siostry.

- Jak długo nas podsłuchiwałaś?

- Wystarczająco długo. - Rose przywołała gestem kogoś i za jej plecami pojawił się Irwin.

Anson prychnął.

- Mogłem się domyślić, że maczałeś w tym palce. - Opiekuńczym gestem osłonił Lark. - Zabawa z uczuciami innych

ludzi to niebezpieczna gra.

- Jakbyśmy o tym nie wiedzieli! - Nagle twarz Rose zrobiła się poważna. - Larkspur, będę ci wdzięczna do ostatniego tchu za wszystko, co chciałaś dla mnie poświęcić. Ale jak długo, według ciebie, mogłabym żyć ze świadomością, że stanęłam na drodze twojemu przeznaczeniu? - A ty, Ansonie

- ciągnęła. - Jesteście podobni jak dwie krople wody, oboje honorowi i zdecydowani, by rzucić wszystko i zrezygnować z własnego szczęścia. Podjąłeś się wspaniałego dzieła, poświęcając się szkole, ale jeśli nie ożenisz się z moją siostrą i...

- Proszę o wybaczenie... *co takiego?* - Słowa, które usłyszał, trafiły go niczym cios w brzuch.

- Słyszałeś, co powiedziała - wtrącił nieoczekiwanie Irwin.

- I już najwyższy czas na to, bo szczerze mówiąc, mam serdecznie dość twojego jęczenia, jaki to jesteś samotny, a twoje życie bez sensu, gdy nie ma Lark.

Lark poderwała głowę i zapytała:

- Czy to prawda?

Przełykając z trudem, Anson spuścił brodę.

- Która część... ta o jęczeniu czy ta o tęsknocie?

- Chyba obie. - W jej błękitnych oczach błysnęła iskierka czułości.

- I chwała niebiosom - zachwycił się dalej Irwin - że właśnie jesteśmy w kościele i jest tu akurat duchowny, który może od razu zapisać was do ślubu.

Na twarz Ansona wypłynął gorący rumieniec, gdy odwrócił głowę, spoglądając za siebie.

- Witam. - Pastor Unsworth stał w przejściu z pełnym unżenia uśmiechem oraz długopisem i zeszytem w dłoni.

- Kościół jest wolny jutro. Możemy odprawić uroczystość, gdy tylko wrócicie z zezwoleniem na zawarcie małżeństwa.

Anson poczuł, jak Lark spięła się i przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Zwolnijcie trochę. Nie możecie tak nami manipulować. Potrzebujemy czasu...

- Czasu? - Irwin cmoknął. - Ile jeszcze czasu wam potrzeba, żeby stwierdzić fakt, że jesteście sobie pisani? *Chcecie* być razem, prawda?

Coś trzasnęło w sercu Ansona, jakby nagle otworzyła się kłódka, a wszystkie nadzieje i marzenia o przyszłości z Lark wyfrunęły na wolność. Każde ukochane wyobrażenie wznosiło się, wypełniając jego serce i przesycając powietrze wokół nich. Nie potrafiłby z siebie wykrztusić w tym momencie ani słowa, nawet gdyby od tego zależało jego życie.

Dzięki Bogu, Lark wiedziała, co powiedzieć za nich oboje:

- Jesteście niepoprawni! Rose. Na zewnątrz. W tej chwili!

Chwyciwszy Rose mocno za łokieć, Lark wyprowadziła ją za kościół, a potem nagle się zatrzymała. Obróciła siostrę na wprost i zawołała:

- Rose Catherine Linwood, co ty na miłość boską wyprawiasz?

- To chyba oczywiste - odcięła się Rose, wyszarpując się jednocześnie z uścisku Lark. - Zwłaszcza dla takiej światowej kobiety z wyższym wykształceniem jak ty.

- Ja nie mam... - Doprowadzona do szału Lark uderzyła dłonią w czoło i wzięła kilka uspokajających wdechów.

Kiedy w końcu była w stanie mówić, a nie krzyczeć, rzekła:
- Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak to było żenujące? Anson i ja zaakceptowaliśmy obecną sytuację, a teraz... - Miała zupełnie ściśnięte gardło. - Teraz...

Rose wyduła wargi i uśmiechnęła się z wyższością.

- A teraz stoisz przed brutalną prawdą, że kochacie się do szaleństwa i jesteście śmiertelnie przerażona.

Lark bezwiednie rozwarła usta. To spokojne stwierdzenie jej siostry dotknęło ją do żywego.

- Tak - odparła drżącym głosem. - Jestem przerażona. Czuję się jak okręt podczas sztormu, rzucony to tu, to tam, i nie mam pojęcia dokąd... ani czy w ogóle dotrę do jakiegoś portu.

- To po prostu taki czas. - Rose złapała Lark za dłoń i trzymała ją delikatnie. - Czuję się podobnie, zanim nie odnalazłam swojego portu tu, na farmie dziadka. Tu jest moje serce, tu czuję się bezpiecznie i widzę sens swojego życia.

- Szczerze popatrzyła Lark prosto w oczy. - Ale ty musisz znaleźć swój własny port i obie wiemy, że twoje miejsce nie jest na farmie, ale u boku Ansona.

- Rose...

- Nie, posłuchaj mnie. Wiem, że się o mnie martwisz, czy dam sobie radę sama. Tak, ja też się boję. Ale Bóg jest moją siłą i wiem, że sobie poradzę. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - A poza tym przecież miałam najlepszego nauczyciela...

Lark, westchnąwszy, wyszeptała:

- Dziadek...

- Czuję tu jego obecność każdego dnia. - Rose położyła rękę na sercu. - Czuję, że jest ze mną w promieniach

wschodzącego słońca grzejących moje plecy, w każdej zarwanej bruździe, w każdym kubku cykorii, tak gorzkiej, że aż wykręca. Roześmiały się obie.

- Nadal nie rozumiem, jak on mógł ją pić taką mocną. -Lark starła pojedynczą łzę. - Och, Rosie, kocham cię i doceniam to, co robisz, ale jak miałabym cię kiedykolwiek zostawić samą? To zbyt wiele pracy na jedną osobę, nawet jeśli padło na tak silną kobietę jak ty.

- Pomoc będę miała zawsze, kiedy będzie trzeba. Caleb z uporem wciąż mi ją proponuje i, szczerze, już się boję, że to będzie wręcz uciążliwe. Jest też Daniel, który zawsze chętnie pomoże. I wiele innych dzierżawców dookoła, na których mogę liczyć. Przecież zawsze umieliśmy sobie wzajemnie pomagać, gdy zachodziła taka potrzeba.

- Wiem, ale...

- Nie ma ale. - Rose szybko i mocno potrząsnęła dłonią Lark. - Twoje miejsce jest z Ansonem w jego szkole. A kiedy sytuacja się poprawi, wrócisz do Henderson i zdobędziesz ten dyplom, tak jak zawsze marzyłaś. Będziesz najlepszą nauczycielką, Lark, zapamiętaj moje słowa... Och, na litość boską, już się nie maż, kobieto!

Rose zaczęła szperać po kieszeniach ogrodniczek i zaraz wyciągnęła chusteczkę, która na pierwszy rzut oka nie wyglądała na zbyt czystą, ale Lark i tak ją wzięła i znalazłszy jakiś nieużywany róg, otarła mokre policzki.

- No już, dobrze - oświadczyła Rose. - A teraz, jak już to sobie wyjaśniłyśmy, wracajmy do środka. Pastor Unsworth może mieć ważniejsze sprawy niż czekanie cały dzień, aż wybieriecie datę ślubu.

Dopiero po chwili dotarło to do Lark.

- Rose! Chyba nie myślisz naprawdę, że moglibyśmy tak szybko zdecydować się na ślub.

- Im szybciej, tym lepiej, tak mi się wydaje. - Rose złapała siostrę za nadgarstek i pociągnęła ją w stronę głównego wejścia. - Możemy to uprawomocnić jutro, z samego rana... Nawet włożę sukienkę, jak to cię uszczęśliwi. A jeśli Anson czuje potrzebę błogosławieństwa od swojego księdza, możecie pojechać potem do Brinkley i wziąć ślub także w kościele katolickim.

- Rose! - Lark na próżno starała się uwolnić rękę z uścisku siostry.

Kiedy wyszły z za rogu, Lark znalazła się nagle na wprost Ansona, przed schodami prowadzącymi do kościoła. Mrużąc oczy w jasnym słońcu, złapał ją za rękę, a jego zalotny uśmiech mówił jej, że on też musiał odbyć podobną rozmowę z Irwinem.

Oddychając ciężko, Lark pokręciła przecząco głową.

- To wariactwo. Nie możemy...

- Dlaczego nie? Co nas trzyma?

Otworzyła usta, zamierzając wyłożyć z tuzin albo więcej powodów, dla których pośpiech nie jest wskazany, ale serce stanęło jej w gardle i nie mogła z siebie nic wydusić.

- Jeśli potrzebujesz więcej czasu, żeby wszystko zaplanować, rozumiem to. - Anson pogładził ją po policzku. Jego spojrzenie było tak łagodne i pełne troski. Zaśmiał się z czułością. - Poza tym jeszcze nie było właściwych oświadczeń, prawda?

Lark nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Cóż, nie da się zaprzeczyć.

Wciąż trzymając jej prawą dłoń, Anson zrobił krok do tyłu i przyklęknął na jedno kolano.

- Larkspur Linwood, kocham cię tak bardzo, że nie da się tego nawet wyrazić słowami. Czy to jutro, czy za miesiąc, czy kiedy tylko twoje serce będzie gotowe, proszę, powiedz, że mogę wypatrywać radośnie tego dnia, gdy zostaniesz moją żoną.

Lark zdusiła w gardle szloch. Jedyłą odpowiedzią, na jaką umiała się zdobyć, było krótkie, acz wymowne pokiwanie głową.

Anson wybuchnął śmiechem i zerwał się na nogi, a potem pochwycił ją w uścisku. Całował ją mocno, uparcie i radośnie, a ona drżała w jego ramionach. To było jak jakiś nierealny sen, zbyt cudowne, by mogło być prawdziwe, ale ciepło warg Ansona i słony smak jego łez zmieszanych z jej łzami, a potem radosne okrzyki i aplauz, który nagle rozległ się wokół nich - to wszystko upewniało ją w tym, że ta chwila była jak najbardziej rzeczywista.

Wśród hałasu rozbrzmiał głos pastora Unswortha:

- Zatem mamy ten ślub jutro czy nie?

Wciąż zamknięta w objęciach Ansona, Lark odchyliła głowę do tyłu i spojrzała na niego. Na jej ustach zagościł smutny uśmiech.

- Nie mogę, nie bez Bryony.

- Oczywiście, że nie. - Anson ucałował ją w czoło. - Poczekamy, aż wydobrzeje.

Rose podeszła bliżej i oparła policzek na ramieniu Lark.

- Wróci do nas wkrótce, ja to wiem.

Niechętnie wysuwając się z uścisku Ansona, Lark przesunęła się i przytuliła siostrę.

- Pewnie powinnam porządnie wygarbować ci skórę za takie wtrącanie się, ale nie mam do tego serca. Dziękuję ci, Rosie. Dziękuję, że pomogłaś mi dostrzec ten cudowny dar, który miałam cały czas pod nosem.

Gdy Lark obudziła się w poniedziałek rano, zresztą po wcale nie tak porządnie przespanej nocy, musiała sobie na nowo cały czas przypominać, że Anson się jej oświadczył, a ona odpowiedziała „tak”. Wciąż dręczyły ją wątpliwości: niepokój związany z tym, że zostawi Rose, obawy o zdrowie Bryony, troska o Ansona, który stawiał opór uprzedzeniom i walczył, by nieść wykształcenie potrzebującym dzieciom niezależnie od koloru ich skóry.

Gdy już uporała się z porannymi obowiązkami i pozmywała talerze po śniadaniu, Rose podała jej sweterek i torebkę.

- Chodź, jedziemy do miasta. Lark zrobiła gniewną minę.
- Nie trzeba mi więcej niespodzianek, siostrzyczko.
- Żadnych niespodzianek, po prostu zabieram cię do pracy. -
Rose ruszyła w stronę drzwi. - Idziemy. Anson będzie czekał.

Chociaż wczoraj Lark i Anson jeszcze długo rozmawiali, nie doszli do tematu jej powrotu do szkoły. Przez większość czasu wciąż przeżywali to zaskoczenie i jeszcze trochę się całowali. Przesunąwszy językiem po wargach, Lark nadal czuła słodycz tamtych pocałunków.

Rose postukała nerwowo obutą nogą.

- Masz zamiar tak stać i wyglądać jak rażona strzałą amora?
Ruszaj się, dziewczyno!

- Ale nie potrzebujesz mnie tutaj? Jest wiele do...

- Wydawało mi się, że już to uzgodniłyśmy. Zrobiłam za-
wczasu większość przygotowań do zasiewu. Dam sobie radę
sama do końca.

Lark przeszła przez kuchnię i stanęła przed siostrą.

- Rosie, widziałam ten bałagan w domu po tym, gdy wróciłam
z Hot Springs.

Rose z zakłopotaniem schyliła głowę.

- Tak, trochę mi się to wymknęło spod kontroli. Ale to przede
wszystkim dlatego, że przeżywałam smutek po dziadku. Teraz
poradzę sobie lepiej.

- Nawet jeśli... - Lark zacisnęła mocniej usta. - Jak sobie
pomyślę, że będziesz tu sama... Strasznie się tego boję.

- Jeżeli to ma ci jakoś pomóc, wiedz, że rozmawiałam z Bo
Jorgensenem wczoraj po kościele. Właśnie podłączył ich dom
do telefonu towarzyskiego³. Muszę powiedzieć, że to wielka
odmiana dla jego żony, choć podejrzewam, że będzie spędzać
większość czasu, gadając z sąsiadami, zamiast zajmować się
swoimi obowiązkami.

- Linia telefoniczna? - Już od wielu lat Lark miała nadzieję, że
kiedyś będzie je na to stać. - Mamy na to pieniądze?

- Znajdzie się. - Rose puściła jej oko. - Nie powinno być
trudno, skoro mamy o jedną głowę mniej do wyżywienia.

A potem obie skrzywiły się i zamyśliły ze smutkiem nad
wielką pustką, która powstała po odejściu dziadka.

³System telefonii stosowany w przeszłości, dzięki któremu podłączano do centrali dwóch abonentów za pośrednictwem jednej pary przewodów. Rozwiązanie to stosowane było w celu zmniejszenia kosztów.

- Cóż, na pewno będzie mi łatwiej, kiedy będę wiedziała, że możesz zadzwonić, gdy tylko będzie ci trzeba pomocy.
- Westchnąwszy, Lark założyła sweterek. - Dobrze w takim razie. Jedźmy do miasteczka.

Rose wysadziła ją pod szkołą i Lark pozwoliła sobie wejść kuchennymi drzwiami. Anson stał przy blacie, nalewając kawę, której o mało co nie upuścił, gdy zobaczył Lark. Na jego twarzy odmalował się pełen zaskoczenia, ale radosny uśmiech.

- Lark, co ty tutaj robisz?

- Wygląda na to, że przyszedłam do pracy. To znaczy, jeśli nadal masz dla mnie posadę w fundacji.

- Oczywiście, jeśli tylko chcesz. Ale myślałem...

- Moja młodsza siostra potrafi być bardzo przekonująca.

- Lark położyła torebkę na stole i skinęła w stronę kawiarki.

- Wystarczy na jeszcze jedną porcję?

Ponowne wejście w obowiązki w sekretariacie wydawało się niczym powrót do domu, jeśli nie liczyć przekornego błysku w oku doktora Younga, którym obdarzył ją, gdy siadła za swoim biurkiem. Sądząc po stercie odręcznie spisanych notatek i czekającej na uwagę korespondencji, Lark wnioskowała, że brakowało im jej bardziej, niż sobie wyobrażała.

Kiedy tylko poczyniła pewne postępy w pracy, odsunęła krzesło od maszyny do pisania i rozciągnęła się. Anson popatrzył na nią znad listów, które podpisywał. Na widok jego uśmiechu ścisnęło się jej serce.

- Wreszcie zrobiło się normalnie, odkąd tu jesteś - oświadczył. Zaraz potem jego uśmiech spochmurniał. - Obiecuję ci, Lark, że wkrótce odeślę cię do Henderson, żebyś mogła ukończyć studia.

- Będzie na to czas. Teraz to właśnie tu jest moje miejsce. A póki co możesz mi pomóc uczyć się do kursu korespondencyjnego. - Posłała Ansonowi pokrzepiający uśmiech, a potem jej wzrok spoczął na telefonie stojącym w kącie biurka. - Myślisz, że mogłabym zadzwonić do Bryony? Tak bym chciała usłyszeć jej głos, a może byśmy jej powiedzieli naszą nowinę...

Chwilę później Lark połączyła się z recepcją w ośrodku dla rekonwalescentów. Powiedziano jej, że mąż Bryony wziął ją na spacer, ale recepcjonistka obiecała, że oddzwoni, gdy tylko wróca. To chyba dobry znak, że Michaelowi udało się namówić żonę, by zaczerpnęła świeżego powietrza. Lark starała się znaleźć sobie zajęcie przez następną godzinę, gdy czekała na dzwonek telefonu.

Kiedy w końcu rozległ się ten wyczekiwany dźwięk, Anson skinął na Lark, by odebrała, a potem cicho wyszedł z pokoju.

- Bryony? - Lark przyciskała słuchawkę do ucha. - Jak się masz, kochanie?

- Dużo lepiej. - Lark słyszała to w jej głosie. - Hot Springs to takie cudowne miejsce, a ludzie tutaj są tacy mili. Tak się cieszę... - Głos Bryony zaczął się łamać. - Cieszę się, że dziadek spędził ostatnie chwile w tak spokojnym otoczeniu.

- Ja też... Bryony, muszę ci coś powiedzieć i mam nadzieję, że to cię uraduje. Ja i Anson... zaręczyliśmy się.

- Och, Lark! Niezmiernie się cieszę! - Przez telefon słysząc było pociągnięcia nosem. - Kiedy ślub? Masz już jakieś plany?

- Dopiero wczoraj mi się oświadczył. Nawet nie mieliśmy za bardzo czasu, żeby o tym porozmawiać. - Lark nie wspomniała nic o chytrym planie Rose. - Zresztą nie mogę

wyść za mąż bez obu moich sióstr u boku, więc do momentu aż wydobrzejesz na tyle, by wrócić do domu...

- W takim razie ja też mam dobrą wiadomość. Byłam na wizycie u położnika, którego poleciła mi Annemarie Vickary i on powiedział, że nie jestem jego jedyną pacjentką, która cierpi na lęki i smutek w ciąży. Twierdzi, że jestem na dobrej drodze, by czuć się lepiej, i obiecuje, że to wkrótce minie.

Serce Lark wypełniła dziwna lekkość.

- To *naprawdę* dobre nowiny, Bry. I twój głos brzmi lepiej. Szczęśliwiej. Bardziej jak ty.

- Pomogły mi również spotkania z pastorem Vickarym. Czytaliśmy List do Filipian, głównie rozdział czwarty, w którym święty Paweł przypomina nam, byśmy skupiali się na tym, co jest prawdziwe, co godne, co sprawiedliwe, co czyste⁴. - Wydała z siebie spokojne westchnienie. - Lark, teraz widzę wszystko dużo wyraźniej. Wciąż są chwile, gdy się zmagam, ale wtedy zwracam oczy na Pana i wszystkie moje obawy i troski zaczynają blednąć.

Lark miała gardło tak ściśnięte, że ledwie była w stanie z siebie coś wydusić. Spojrzała w niebo i prosto z serca wyszeptała:

- Dzięki Ci, Panie Jezu!

- Więc ustalaj datę i zacznij planować ślub - zarządziła Bryony. - Nic nie będzie mogło mnie zatrzymać.

- Kocham cię, Bry.

- Ja ciebie też, moja droga siostrzyczko.

Gdy Lark skończyła rozmowę, Anson stanął za nią. Jego ramiona otuliły ją, a usta pieściły jej szyję.

⁴Por. Flp. 4,8.

- Nie mogłem wytrzymać i podsłuchiwałem. Brzmiałaś bardzo optymistycznie.

- Tak. - Wtuliła się w niego, ciesząc się tą chwilą. Po raz pierwszy od miesiący była tak pełna nadziei.

- W takim razie możemy porozmawiać o dacie ślubu? Bo jeśli nie zostaniemy wkrótce małżeństwem, będę miał coraz większe trudności, by zachowywać się w twojej obecności tak, jak przystoi dżentelmenowi.

Przeszyły ją ciepło i mrowienie, i jakieś bardzo kobiece uczucia. Obróciwszy się, popatrzyła mu prosto w oczy, a dłoń nie oparła mocno na jego ramionach.

- A ty nie wąż się mnie znów całować, bo będę miała problemy ze skupieniem się na odpisywaniu na korespondencję albo przeglądaniu z tobą konspektów lekcji na wieczór.

- Chodzi ci o coś takiego? - Anson schylił głowę i złączył z nią usta w pocałunku, który odbierał jej dech.

- Dokładnie - wydusiła z siebie, a jej serce waliło jak oszalałe.

- Albo takiego? - Uśmiechając się szeroko, musnął ponownie jej usta.

Wtedy poczuła, że jej ciało staje się wiotkie.

- Ansonie... Z tą datą ślubu...

Epilog

- Wyglądasz świetnie, kochanie. - Anson przeszedł za plecami ukochanej żony, gdy ta wpinała szylkretowy grzebień w niedawno przycięte włosy. Osobiście wolał, jak miała długie, ale wyglądała elegancko z tymi jasnymi kosmykami muskającymi jej szyję. - Pośpieszmy się. Irwin czeka już w samochodzie.

Puściła mu oko w lustrze.

- Naprawdę, można byłoby pomyśleć, że to *ty* masz zostać ojcem.

Aż go ścisnęło w żołądku.

- Lark. Ty chyba nie...

- Nie, kochanie. Nie jestem. - Odwróciła się z uśmiechem i szczychnęła go w policzek. - Uspokój się, dobrze? Miranda mówiła mi, że przy pierwszym dziecku zawsze dłużej schodzi. Mamy mnóstwo czasu, żeby dotrzeć do Brinkley, zanim Bryony urodzi.

Anson nie mógł powstrzymać lekkiego ukłucia rozczarowania, że jego żona nie nosi jeszcze ich dziecka, ale oboje wiedzieli, że będzie łatwiej, jeśli Bóg nie pobłogosławi im

dziećmi, dopóki Lark nie skończy studiów. Ulegając namowom Ansona, Lark zapisała się na pierwszy trymestr letni w Henderson, ale stanowczo nalegała, by zostać w domu na resztę wakacji i spędzić możliwie najwięcej czasu z Bryony oraz nowo narodzonym dzieckiem.

Wcale nie było łatwo przeżyć te tygodnie rozłąki, gdy Lark była na uczelni, ale jeśli uda im się przetrwać te parę lat, będą mieli resztę życia, by cieszyć się swoim towarzystwem - zarówno jako mąż i żona oraz jako nauczyciele współpracujący w Fundacji Schaferów.

Anson również żywił nieśmiałą nadzieję, że kiedy minie kryzys gospodarczy i zaczną napływać nowe środki, mógłby założyć drugą szkołę w Arkadelphii, tak by być blisko Lark podczas jej studiów w college'u. Irwin powinien bez trudu poradzić sobie ze szkołą w Edenie, zwłaszcza że było coraz bardziej prawdopodobne, iż uda się zatrudnić lokalnych nauczycieli z hrabstwa do pomocy w nauczaniu.

Edukacja innych niż białe dzieci wciąż była wyzwaniem. Anson i Irwin organizowali weekendowe wizyty u tych rodzin, by uczyć ich prywatnie, ale ukryty sprzeciw nadal się utrzymywał. Anson nie chciał jednak zrezygnować. Wierzył z całego serca i duszy, że Bóg dał mu misję, żeby przez nauczanie nieść nadzieję i zachętę dla wszystkich dzieci, a skoro On wezwał go do tego, to da zarówno wiedzę, jak i środki.

Wciąż żałował, że szkoła Matumaini musiała zostać zamknięta, ale list od Franklina Keenea nieco wyjaśniał. W kolejnych miesiącach po wyjeździe Ansona Frank wypracował dobre stosunki z kierownictwem lokalnych szkół i część kenijskich nauczycieli znacznie podniosła swoje kompetencje

dzięki szkoleniom, które organizował Frank. Jednakże z powodu rosnącej niezależności kenijskich szkół, koszt utrzymania Matumaini był zbyt wysoki, by rekompensowało to dobro, które niosła ze sobą szkoła.

Placówka jednak zasłużyła na swoją nazwę, bo dała nadzieję tam, gdzie wcześniej prawie w ogóle jej nie było.

- No i kto teraz się ociąga? - Stojąc u szczytu schodów, Lark spoglądała na niego z lekką dezaprobatą. - Znów gdzieś uleciały ci myśli. Dokąd teraz?

Uśmiechając się szeroko, objął ją w pasie.

- Po prostu sumowałem otrzymane błogosławieństwa. Odchyliła się.

- Tylko nie zacznij mnie całować, Ansonie Schafer, bo nigdy nie dotrzemy do Bryony przed narodzinami dziecka.

- Nagle zaczęło ci się śpieszyć? - droczył się z nią Anson, całując ją w nos, a potem westchnął teatralnie. - Świetnie. Jeszcze będę się musiał tłumaczyć Irwinowi, dlaczego kazaliśmy mu czekać tyle czasu w aucie, gdy sami...

- Ansonie! - Pacnąwszy go żartobliwie w ramię, Lark pognąła w dół schodów.

Anson stwierdził, że warto było usłyszeć jej odmowę, tylko po to, żeby podziwiać ten zalotny uśmiech.

Podróżując na tylnym siedzeniu z Ansonem, Lark złapała się na tym, że wciska prawą stopę w podłogę, jakby to mogło pomóc Irwinowi jechać szybciej. Tylko sprawiała wrażenie spokojnej przed mężem, ale w środku była kłębkim nerwów - oczekiwania i wcale niemałego niepokoju.

Bryony zdecydowała się rodzić w domu, a nie w szpitalu, i choć mieli być tam doktor Eddington oraz Dancy ze swoim doświadczeniem akuszerki, to jednak nie wykluczało, że mogły się pojawić jakieś komplikacje.

Gdy Irwin zatrzymał się przed domem Michaela i Bryony, zauważyli, że po drugiej stronie ulicy i na podjeździe stoją już zaparkowane inne pojazdy. Nawet Rose zdążyła dojechać z farmy. Lark wyskoczyła z samochodu i pobiegła głównymi schodami.

- W końcu! - Rose poderwała się z kanapy w salonie i rzuciła w jej objęcia.

Ponad ramieniem siostry Lark dostrzegła Mirandę i Callie. W fotelu po drugiej stronie pokoju siedział z nieodgadnio-nym wyrazem twarzy Sebastian Heath, huśtając na kolanie małego Georgea.

Lark obróciła się i zajrzała w głąb korytarza, skąd dochodziły stłumione jęki z sypialni.

- Coś już wiadomo?

- Już blisko, tylko tyle wiemy. Och, Lark, ona wydaje takie straszne dźwięki. Przez ostatnie kilka minut darła się jak jakiś potępieniec...

Kolejny wrzask z sypialni sprawił, że obie siostry podskończyły. A potem rozległ się śmiech i Dancy wykrzyknęła:

- Alleluja! Pani Bryony, ma pani dziewczynkę! Lark i Rose uścisnęły się serdecznie.

- Siostrzenica - westchnęła Lark. - Mamy kochaną, malutką siostrzenicę!

Wydawało się, że minęły całe wieki, nim zjawił się Michael z drobniutkim zawiniątkiem w ramionach i szerokim uśmiechem rozświetlającym twarz.

- Poznajcie Iris Mirandę Heath.

- Mama byłaby taka dumna. - Lark ponownie uścisnęła Rose, a potem wyciągnęła dłoń w stronę Mirandy, która płakała z radości.

Wzruszony do łez Sebastian podszedł bliżej z Georgem na rękach.

- Popatrz, masz kuzynkę.

Dziecko wyciągnęło paluszek, żeby dotknąć drobniutkiej główki noworodka.

- Śliczna.

Sebastian zamrugał szybko.

- Tak, to prawda. Jest piękna.

- Kiedy będziemy mogli zobaczyć się z Bryony? - zapytała Lark.

- Jeszcze kilka minut. Już kończą. - Ledwie to powiedział, drzwi do sypialni otworzyły się.

Z pokoju wyjrzała Dancy.

- Panienska Bryony chce się zobaczyć z siostrami. Wejdźcie.

Splatając dłonie, Lark i Rose ruszyły korytarzem. W sypialni doktor Eddington kończył już pakować swoje narzędzia. Skierował jeszcze kilka wskazówek, najpierw do Bryony, a potem do Dancy, która miała zostać z położnicą na noc, przeprosił zgromadzonych i obiecał, że zajrzy kolejnego dnia z samego rana.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Bryony wyciągnęła rękę do sióstr.

- Widziałyście ją? Czyż nie jest kochana?

- To najpiękniejsze dzieciątko na świecie. - Lark przysiadła na krańcu łóżka, a Rose obeszła je z drugiej strony.

Na zmianę tuliły delikatnie Bryony, łącząc się w płaczu ze szczęścia.

Bryony westchnęła ze zmęczeniem, ale i z zadowoleniem.

- Cóż to był za rok.

- Rok wielu zmian, bez wątpienia - zgodziła się Rose. Usta Lark rozciągnęły się w smutnym uśmiechu.

- Niektóre smutne, a inne radosne, ale przeszliśmy przez to i jesteśmy teraz silniejsze i mądrzejsze. - Jej spojrzenie uciekło gdzieś, tak jak jej myśli. - Dokładnie rok temu byłam w Kenii, bujająca w obłokach i marząca o wspaniałych rzeczach, których mogę dokonać.

Rose szturchnęła ją ponad łóżkiem.

- A teraz jesteś starą mężatką, tak jak Bryony.

- *A także* - dodała Bryony z niedwuznacznym spojrzeniem - dokonujesz tych wspaniałych rzeczy. Twoje marzenia się spełniają, Lark. Zawsze wierzyłam, że ci się uda. - Podniosła się odrobinę wyżej na łóżku. - Teraz idźcie przynieść moją dziewczynkę. Już mi jej strasznie brakuje.

Kiedy Michael i dzieciątko wrócili do Bryony, a Dancy przygotowywała posiłek w kuchni, reszta rodziny zaczęła się rozchodzić. Gdy zostali tylko Lark i Anson, Irwin zostawił ich samych na huśtawce stojącej na werandzie Bryony.

- Chciałabyś kiedyś mieć dziecko? - zapytał odważnie Anson.

- Wiesz, że tak. - Widziała tę tęsknotę w jego oczach, tę nadzieję i to pragnienie. I jeszcze ten niepokój, żeby jego wzrok nie pogorszył się na tyle, by nie mógł spojrzeć w twarze swoich dzieci. - Ansonie, jeśli chcesz, żebym odłożyła jeszcze na dłużej college...

- W żadnym wypadku. - Trzymając ją blisko siebie, złożył

długi i czuły pocałunek na jej czole. Wtuliła się w jego pierś.
- A może zostawimy tę decyzję Bogu? On widzi lepiej niż my, co nas czeka. - Z jej gardła dobył się cichy śmiech. -W końcu On widział, jak bardzo cię potrzebowałam.

- Myślę, że odwracasz kota ogonem. Ja nawet nie chciałbym sobie wyobrażać, gdzie bym był bez ciebie, moja droga.

Huśtawka kołysała się delikatnie, złote promienie zachodzącego słońca grzały ich plecy, a Lark patrzyła w stronę różowych obłoków dryfujących przez niebo. Potem zamknęła oczy i uśmiechnęła się, bo jej najpiękniejsze marzenie nie było już gdzieś tam w chmurach, ale tuż obok niej: Anson trzymający ją w ramionach tak silnych, pewnych i bezpiecznych. Wiedziała, że w życiu nie musi już szukać niczego więcej - bo oto właśnie dzięki miłosiernej miłości Boga otrzymała najpiękniejszy dar.

Podziękowania

Po raz kolejny mam nadzieję, że moja powieść upamiętniła ten trudny okres w historii Ameryki. Wielki Kryzys dotknął boleśnie cały kraj, ale jak to wyjaśnia William D. Downs Jr. w książce zatytułowanej *Stories of Survival: Arkansas Farmers during the Great Depression (Historie ocalałych. Farmerzy z Arkansas w czasach Wielkiego Kryzysu*⁵), już lata 20. obfitowały w trudny czas dla tego stanu. Ludzie tracili życie i mienie w licznych tornadach, które przechodziły przez ten obszar w 1926 roku, a potem podczas wielkiej powodzi w 1927. Susza panująca w latach 1930-31 spowodowała kolejne zniszczenia, gdyż uprawy były zupełnie spalone i nastąpiło załamanie rynku w obrocie bawełną. Downs pisze: „Krach na Wall Street w odległym Nowym Jorku był najmniejszym z ich problemów”.

A jednak, kiedy susza w Arkansas zaczynała ustępować na początku lat 30., trudności w stanach Wielkich Równin dopiero się zaczynały. Zbyt intensywna eksploatacja gruntów rolnych oraz skąpe opady sprawiły, że na obszarach

⁵W nawiasach podano tłumaczenie własne przywoływanych tytułów.

Oklahomy i Teksasu oraz fragmentach Kansas, Kolorado i Nowego Meksyku zapanowała susza zwana „Dust Bowl”. Fronty burzowe niosły ze sobą silne wiatry, które wyrzucały górne warstwy gleby w powietrze, tworząc całe ściany pyłu, i te drobne cząsteczki mogły być niesione na odległość setek kilometrów. W 1932 roku odnotowano czternaście takich burz piaskowych. Liczba ta wzrosła już do trzydziestu ośmiu w kolejnym roku. Aby lepiej przyjrzeć się przyczynom i trudnościom, z jakimi borykano się w okresie „Dust Bowl”, polecam obejrzeć film *Black Blizzard*, który był wyświetlany na History Channel.

Również ogólnokrajowy kryzys finansowy odegrał znaczną rolę w niedoli gospodarczej Arkansas. Według Encyklopedii Arkansas (www.encyclopediaofarkansas.net) na początku lat 30. w tym stanie było 420 instytucji bankowych. W latach 1930-33 aż 283 z nich zostały zamknięte. Następnie 6 marca 1933 roku, zaledwie dwa dni po objęciu urzędu, prezydent Franklin Roosevelt wydał oświadczenie, w którym zarządzono zawieszenie wszystkich transakcji bankowych z natychmiastowym skutkiem. Kongres szybko zajął się opracowaniem takich ustaw, które mogłyby zapobiec kryzysowi i już 9 marca została uchwalona *Ustawa o nadzwyczajnej pomocy dla banków*. Wcielono ją w życie kilka dni później, dzięki czemu banki mogły zostać ponownie otwarte. Mimo ustabilizowania się pracy tych instytucji finansowych, na koniec tego dziesięciolecia w Arkansas były już tylko 234 działające banki. W skali całego kraju ponad 4 tysiące banków zostało nieodwołalnie zamknięte. Więcej na ten temat można dowiedzieć się na stronie o historii Rezerwy Federalnej (www.federalreservehistory.org).

Tak jak w pierwszej części z serii *Kwiaty Edenu* zatytułowanej *Upragniony deszcz*, miasta i miasteczka wymieniane w powieści istnieją naprawdę. Choć tak właściwie wynik wyszukiwania w Internecie dla „Eden, Arkansas” pokaże jedynie, że to „zamieszkały obszar” w hrabstwie Monroe. Na mapie oznaczony jest on na południe od autostrady międzystanowej 1-40, jakieś 40 kilometrów na południowy zachód od Brinkley. Dlatego też miasteczko Eden z lat 30., jakie opisane jest w tych powieściach, jest wytworem mojej wyobraźni. Na stronie internetowej hrabstwa Monroe okoliczny pejzaż określony jest jako: „bogate, rolne obszary leżące w płaszczyźnie delty”. Jeśli chcielibyście się dowiedzieć więcej na temat systemu dzierżawienia ziemi w Arkansas na początku dwudziestego wieku, polecam skorzystać ze strony internetowej Encyklopedii Arkansas, na którą powoływałam się już wcześniej.

Pobyty Larkspur w Kenii został częściowo zainspirowany przez fotosafarii zorganizowane w sierpniu 2013 roku w Kenii, w którym mogliśmy z mężem uczestniczyć w ramach wyjazdu grupowego z naszego Kościoła, o czym już wspominałam w podziękowaniach. Kiedy nasz kenijski przewodnik oprowadzał nas po tym pięknym kraju, pełnym kontrastów, wskazał na wiele szkół, opisując pokrótce historię ustanawiania okręgów niezależnych placówek. Szkoły te zawdzięczają swoje początki nasilającemu się konfliktowi pomiędzy chrześcijańskimi misjonarzami a ludnością Kikuju (najlicniejsza grupa etniczna w Kenii) w kwestiach kulturowych tradycji obrzezania kobiet. Kontrowersje sięgnęły zenitu w 1929 roku, kiedy znaczna część chrześcijańskich konwertytów pochodzących z plemienia Kikuju odmówiła

porzucenia wielowiekowych plemiennych zwyczajów nawet pod groźbą ekskomuniki i zaczęła bojkotować szkoły i kościoły misyjne. W latach 20. i 30. zakładano coraz więcej szkół i kościołów niezależnych od kontroli misjonarzy czy rządu. Więcej na ten temat można się dowiedzieć z książki Jomo Kenyatta pt. *Facing Mount Kenya* oraz Jamesa Tooley'a, *The Beautiful Tree*.

Tak na marginesie, jeśli jesteście ciekawi, jakie widoki podziwiała Lark i jej towarzysze podróży, kiedy ich statek przepływał przez Kanał Sueski, możecie wyszukać na Youtubie „Suez Canal 1930”.

Na wiejskich obszarach Ameryki szkoły dostosowywały tak rozkład zajęć, żeby lekcje nie kolidowały z okresami siewu czy zbiorów. Mimo to bardzo często dzieci kończyły edukację po ósmej klasie, a czasem nawet wcześniej. Wiele z nich było potrzebne w domu, żeby przejąć część obowiązków albo opiekować się młodszym rodzeństwem. Inne musiały szukać zatrudnienia, by pomóc w utrzymaniu rodziny.

Prawa Jima Crowa miały zapobiec sytuacji, w której biali i czarni uczęszczaliby do tych samych szkół i oczywiście szkoły dla białych otrzymywały więcej wsparcia z funduszy publicznych. W związku z tym czarni nauczyciele nie mieli tego samego poziomu wykształcenia co biali i szkoły dla czarnych niejednokrotnie podupadały i były przepełnione. W książce Downsa pt. *Stories of Survival*, William Edward Delamar, który rzucił szkołę po trzeciej klasie, opisuje swoje doświadczenia uczęszczania do placówki, w której obowiązywała segregacja rasowa: „Kiedy białe dzieci były podwożone do szkoły autobusami szkolnymi, my musieliśmy

chodzić na piechotę. Nie wiedziałem, co to płaszcz przeciwdeszczowy. Jeśli padało, po prostu szedłem dalej".

Henderson State Teachers College, obecnie Henderson State University, zaczął swoją działalność w 1890 roku jako Arkadelphia Methodist College. Opublikowany w 1929 roku biuletyn z okazji przemianowania instytucji na Henderson State Teachers College głosi: „Henderson State ma być synonimem gruntownego wykształcenia, jak i profesjonalnego szkolenia. Absolwenci będą wiedzieli, *czego* mają uczyć, a także *jak* uczyć... Przeznaczony jest dla studentów, którzy chcą przygotować się do prawdziwej pracy na polu edukacji, a także poza nim". Lubię myśleć, że właśnie takie wykształcenie otrzymała tam Lark.

Infekcja oczu, której nabawił się Anson to jaglica, zwana inaczej egipskim lub przewlekłym pęcherzykowym zapaleniem spojówek. Choroba ta jest powszechna w większości krajów afrykańskich, w tym także w Kenii. Jest to bakteryjne zakażenie wskutek kontaktu z wydzieliną z oka lub nosa osoby zainfekowanej. Jaglica powoduje przerost spojówki powiek, co może prowadzić do zmian bliznowatych rogówki i licznych dodatkowych infekcji, a w konsekwencji również do utraty wzroku. Zastosowanie roztworu siarczanu miedzi było najbardziej skutecznym leczeniem aż do końca lat 30. Obecnie przepisuje się takie antybiotyki jak tetracy-klina. Więcej możecie się dowiedzieć na stronie Światowej Organizacji Zdrowia (www.who.int).

I jeszcze coś na temat ciężowej depresji Bryony, która jest autentycznym stanem, jaki według ekspertów osiąga nawet jedną na dziesięć ciężarnych. Niepokojącymi sygnałami może być ciągle zamartwianie się, spadek energii, utrata

lub przybieranie masy ciała, trudności ze spaniem lub nadmierne spanie, brak zainteresowania aktywnościami, które wcześniej się lubiło, oraz powracające myśli o śmierci lub samobójstwie. Niektóre źródła opisują ten stan jako „dziewięciomiesięczny tunel czarnowidztwa, niepokoju i rozpaczny”.

Chociaż depresja ciążowa może przytrafić się każdej kobiecie niezależnie od okoliczności, smutne wydarzenia, takie jak problemy rodzinne czy śmierć ukochanej osoby, mogą się również do tego przyczynić. Stan Bryony był wypadkową zamartwiania się o dobro jej sióstr, postępującej demencji jej teściowej i nagłej straty jej dziadka. A wszystko to działo się dodatkowo w trudnym okresie dla ogólnokrajowej gospodarki.

Tak jak w przypadku każdej depresji, nie ma co mówić choremu, żeby wziął się w garść, a traktowanie depresji ciążowej z lekceważeniem i zaniedbanie odpowiedniego leczenia może prowadzić do zwiększenia ryzyka okołoporodowego. W takim przypadku często skuteczna jest terapia kognitywna - omówienie tych kwestii z profesjonalistą. W poważniejszych przypadkach depresji ciążowej może zająć potrzeba ostrożnego włączenia leczenia środkami przeciwdepresyjnymi. W sytuacji Bryony połączenie opieki szpitalnej, wsparcia w rodzinie i jej silnego oparcia na wierze w końcu przyniosło rezultaty.

Najważniejsze jest, by nie cierpieć samotnie. Żeby nie myśleć, że się zwariowało i że to „wszystko w twojej głowie”. Jeśli podejrzewasz u siebie depresję ciążową albo widzisz takie symptomy u kogoś bliskiego, nie wahaj się szukać pomocy.

Dużo dowiedziałam się podczas przygotowań do tej powieści, kiedy wyobrażałam sobie jacy byli moi bohaterowie,

z jakimi trudnościami musieli walczyć, i jak się cieszyli, gdy je pokonali. Mam nadzieję, że z radością zapoznaliście się z postaciami Lark, Ansona i ich znajomych, a jeśli jeszcze nie czytaliście *Upragnionego deszczu*, to tam właśnie znajdziecie historię miłości Bryony i Michaela. Kolej na Rose przyjdzie w trzeciej części, już w przyszłym roku, i możecie być pewni, że będzie się tam dużo działo!

Jeszcze raz dziękuję, że spędziliście ze mną ten czas. Jak zawsze, proszę, wybaczone mi wszelkie niezgodności historyczne, które może napotkaliście, i potraktujcie je jako pewną dowolność charakterystyczną dla pisarzy. Z chęcią poczytam komentarze moich czytelników, więc zapraszam, by kontaktować się ze mną przez stronę MyraJohnson.com, gdzie znajdują się też linki do moich profili w mediach społecznościowych oraz informacje o pozostałych książkach mojego autorstwa.

Z serca błogosławię i dziękuję

Myra Johnson